M-1369

Dubl. abo 8084011

WYPISY POLSKIE

DLA KLASY CZWARTEJ SZKÓŁ ŚREDNICH

UŁOŻYLI

JAN CZUBEK I ROMAN ZAWILIŃSKI

WYDANIE DRUGIE.

CENA EGZ. OPR. W PŁÓTNO K 2 h 40.

CENA ZNIŻONA
Kor. 1.50.

W KRAKOWIE
KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1906.

55163

M- 1369

Wyłączono z zasobu
dubletów Bibl. Jagiell.

W Krakowie, 1904. — Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Akc.
Bibl. Inst. Fil. Pol.
D-197 5/ poz.

Bibl. Jag.
1959 B 1972

SPIS RZECZY.

		Str.
1.	Bóg, przez Fr. Zabłockiego	1
	2. Krzyż w Kościeliskiej dolinie, przez A. Gillera	—
	3. Piłka, przez Karola Wittego (Spektatora)	7
4.	Ciche wzgórze, przez Adama Asnyka	10
	5. Mickiewicz jako przyjaciel, przez Wł. Mickiewicza	11
	6. Pasowanie na łegina, przez ks. Sofrona Witwickiego	14
7.	Huculska ptaszyna, przez ks. Karola Antoniewicza	15
	8. Pobratymstwo	16
	9. Strata nauczyciela, przez Karola Wittego (Spektatora)	19
10.	Godność w niewoli, przez Lucyana Siemieńskiego	22
	11. Trafiła kosa na kamień, przez Ignacego Chodźkę	23
	12. Zdobycie Meksyku, przez Tadeusza Korzona	26
13.	Spokój, przez Kornela Ujejskiego	31
	14. Oszczędnością i pracą, przez J. I. Kraszewskiego	32
	15. Życie miejskie w dawnym Krakowie, przez Stosława Łagunę	36
16.	Żórawie, przez Maryę Konopnicką	40
	17. Zarozumiałość, z Ksenofonta tłom. K. Kaszewski	41
	18. Rzeczpospolita Babińska, przez K. Chłędowskiego	43
19.	Duma o Samuelu Koreckim, przez Felicyana Faleńskiego	48
	20. W niewoli tatarskiej, przez Henryka Sienkiewicza	50
	21. Zawiązki dziejów Zaporoża, przez M. Dubieckiego	55
22.	Karol Chodkiewicz, przez J. U. Niemcewicza	62
	23. Piękny czyn Zbaraskiego, przez K. Glińskiego	63
	24. Ostra Brama, przez Stanisława hr. Tarnowskiego	68
25.	Buława Rewery, przez Mieczysława Romanowskiego	72
	26. Zgon rycerza, przez Henryka Sienkiewicza	74
27.	Karol Gustaw w katedrze Wawelskiej, przez K. Koźmiana	83
	28. Obrona króla, przez Henryka Sienkiewicza	85
	29. Sąsiedzi, przez tegoż	94
30.	Błogosławieni, przez Jana Kasprowicza	99
	31. Śluby królewskie, przez Henryka Sienkiewicza	100
	32. Bitwa pod Warką, przez tegoż	103
33.	Kartka z raptularza, przez Maryę Konopnicką	108
	34. Z wyprawy wiedeńskiej, list króla Jana III.	110

Str.
35. Śląsk, przez Jana Karłowicza 113
36. Na fujarce, przez Maryę Konopnicką 117
37. Talizman, przez Stefana Gębarskiego . . . . . —
38. Gdańsk, przez Stanisława hr. Tarnowskiego 122
39. Nowy Rok, przez Maryę Konopnicką 128
40. Zima w Jakucku, przez Adama Szymańskiego . . . . . —
41. Z życia bohatera, z »Rozmaitości« 131
42. Z daleka, przez Maryę Konopnicką 137
43. Z listów misyonarza (O. Jana Beyzyma T. J.) 138
44. Laska proroka, przez K. Brodzińskiego 151
45. Z życia Józefa II. 152
46. Misya katolicka w Bagamoyo, przez H. Sienkiewicza . . 155
47. Pacierze, przez A. E. Odyńca 159
48. Wagi Ofira, przez Bolesława Prusa 161
49. Urzędy w Polsce 165
50. Do sosny, przez Stefana Witwickiego 169
51. Lizus, przez Juliana Łętowskiego . . . . . —
52. Arcyserwis, przez Adama Mickiewicza 181
53. Nauczyciel mego ojca, przez Edmunda de Amicis . . . 183
54. Trzeci maja 1791., przez Leona Wegnera 189
55. Koncert Jankiela, przez Adama Mickiewicza 194
56. Ostatnia nobilitacya, przez Józefa Szujskiego 196
57. Praca strumieni i rzek, przez Wł. Skłodowskiego . . . 201
58. Arcymistrz, przez Adama Mickiewicza 205
59. Gość wśród burzy, (z »Przyjaciela Dzieci«) 206
60. Przepowiednie pogody, przez Stanisława Kramsztyka . . 208
61. Sodalis Marianus, przez Adama Mickiewicza 211
62. Somo-Sierra, przez K. Bodzantowicza . . . . . —
63. Epoka lodowa, przez dra E. Romera 213
64. Krajobraz marcowy, przez Deotymę 219
65. Pokusa, przez Kajetana Koźmiana 221
66. Klimat ziem polskich, przez dra E. Romera 223
67. Wiosna r. 1812., przez Adama Mickiewicza 229
68. Pod Możajskiem, przez K. Bodzantowicza 230
69. Wyprawa na Moskwę, przez L. Siemieńskiego 233
70. Dwór w zaścianku, przez Adama Mickiewicza 236
71. Wierność Polaków, przez K. Bodzantowicza 238
72. Wiosna w Jakucku, przez Adama Szymańskiego 240
73. O witajże nam, wiosenko..., przez Jana Kasprowicza 242
74. Życie rybackie na Helu, przez ks. Ł. Gołębiewskiego . . 243
75. Przykładna kara, przez Alberta Wilczyńskiego 249
76. Muzyka wieczoru, przez Adama Mickiewicza 254
77. Chałat, przez Wiktora Gomulickiego 255
78. O pracy (z dziełka bezimiennie pod tymże tytułem wydanego w Poznaniu w r. 1902.) 263
79. Grzeczność, przez Adama Mickiewicza 268

Str.

80. Na pokładzie, przez Stefana Żeromskiego 270
81. Wycieczka do Melsztyna, przez Wł. L. Anczyca 272
82. Burza, przez Kazimierza Tetmajera 276
83. Tatry, przez dra E. Romera . . . . . —
84. Tatry, przez Fr. Nowickiego 281
85. Skalny motyl, przez Kazimierza Tetmajera . . . . . —
86. Zawrat, przez Stanisława Witkiewicza 282
87. Zawrat, przez Fr. Nowickiego 286
88. Wakar, przez Abgara-Sołtana . . . . . —
89. Polowanie na sumaka, przez Juliusza Słowackiego 292
90. Słowa H. Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika J. Słowackiego 295
91. Karol Marcinkowski (z »Biesiady Literackiej«) 296
92. Burza, przez Adama Mickiewicza 301
93. Brak woli, przez Bolesława Prusa 303
94. Sclavus saltans, przez Maryę Konopnicką 310
95. Łaciarz, przez Klemensa Junoszę 311
96. Polonez, przez Adama Mickiewicza 318
97. Henryk Schliemann, przez Ludwika Ćwiklińskiego . . . 320
98. Bitwa pod Custozzą, (podług »Gazety Lwowskiej«) . . . 326
99. Modlitwa, przez Adama Pługa 333
Objaśnienia 336
Wiadomości o autorach 341

Spis rzeczy podług gatunków prozy i poezyi.

A) Proza.

I. Powiastki, opowiadania, legendy.

1. Krzyż w Kościeliskiej dolinie (2)
2. Mickiewicz jako przyjaciel (5)
3. Strata nauczyciela (9)
4. Trafiła kosa na kamień (11)
5. Oszczędnością i pracą (14)
6. Zarozumiałość (17)
7. W niewoli tatarskiej (20)
8. Piękny czyn Zbaraskiego (23)
9. Zgon rycerza (26)
10. Obrona króla (28)
11. Sąsiedzi (29)
12. Talizman (37)
13. Wagi Ofira (48)
14. Lizus (51)
15. Nauczyciel mego ojca (53)
16. Ostatnia nobilitacya (56)
17. Gość wśród burzy (59)
18. Somo-Sierra (62)
19. Pokusa (65)
20. Pod Możajskiem (68)
21. Wierność Polaków (71)
22. Przykładna kara (75)
23. Chałat (77)
24. Na pokładzie (80)
25. Skalny motyl (85)
26. Wakar (88)
27. Marcinkowski (91)
28. Łaciarz (95)
29. Schliemann (97)

II. Obrazki i szkice.

a) historyczne.

1. Zdobycie Meksyku (12)
2. Życie w dawnym Krakowie (15)
3. Rzeczpospolita Babińska (18)
4. Zawiązki dziejów Zaporoża (21)
5. Śluby królewskie (31)
6. Bitwa pod Warką (32)
7. Z wyprawy wiedeńskiej (34)

8. Z życia bohatera (41)
9. Z życia Józefa II. (45)
10. Urzędy w Polsce (49)
11. Trzeci maja r. 1791. (54)
12. Wyprawa na Moskwę (69)
13. Bitwa pod Custozzą (98)

b) geograficzne i przyrodnicze.

14. Ostra Brama (24)
15. Śląsk (35)
16. Gdańsk (38)
17. Zima w Jakucku (40)
18. Praca strumieni i rzek (57)
19. Przepowiednie pogody (60)
20. Epoka lodowa (63)
21. Klimat ziem polskich (66)
22. Wiosna w Jakucku (72)
23. Tatry (83)

c) z życia i obyczajów.

24. Piłka (3)
25. Pasowanie na łegina (6)
26. Pobratymstwo (8)
27. Z listów misyonarza (43)
28. Misya kat. w Bagamoyo (46)
29. Życie rybackie na Helu (74)
30. Wycieczka do Melsztyna (81)
31. Zawrat (86)

III. Rozprawki.

32. O pracy (78)
33. Brak woli (93)

IV. Mowa.

34. Słowa H. Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika J. Słowackiego (90)

B) Poezya.

I. Opisowa.

1. Godność w niewoli (10)
2. Samuel Korecki (19)
3. Karol Chodkiewicz (22)
4. Buława Rewery (25)
5. Karol Gustaw w katedrze Wawelskiej (27)
6. Kartka z raptularza (33)
7. Laska proroka (44)
8. Pacierze (47)
9. Arcyserwis (52)
10. Koncert Jankiela (55)
11. Sodalis Marianus (61)
12. Krajobraz marcowy (64)
13. Wiosna roku 1812. (67)
14. Dwór w zaścianku (70)
15. Muzyka wieczoru (76)
16. Grzeczność (79)
17. Polowanie nasumaka (89)
18. Burza (Mickiewicza) (92)
19. Sclavus saltans (94)
20. Polonez (96)

II. Liryczna.

21. Bóg (1)
22. Ciche wzgórze (4)
23. Huculska ptaszyna (7)
24. Spokój (13)
25. Żórawie (16)
26. Błogosławieni (30)
27. Na fujarce (36)
28. Nowy Rok (39)
29. Z daleka (42)
30. Do sosny (50)
31. Arcymistrz (58)
32. O witajże nam, wiosenko (73)
33. Burza (Tetmajera) (82)
34. Tatry (84)
35. Zawrat (87)
36. Modlitwa (99)

1. Bóg.

Zdumiewającej budowy świata
Ty jesteś, Boże, światłem i życiem;
Blask dnia i nocy, godowa szata,
Są tylko słabem Twojem odbiciem;
Wokoło płyną Twej chwały zdroje:
Jasność i piękność — wszystko to Twoje.

Gdy na dobranoc promień zachodni
Ponad otwartym pełza obłokiem,
Ach! nam się zdaje, żeśmy już godni
Zajrzeć do niebios śmiertelnem okiem;
Blaski, co złocą nocy podwoje,
Tak wielkie, jasne — Panie, to Twoje.

Co niebu, ziemi, gdy noc ponura
Skrzydła gwiaździstej ciemni roztoczy,
Niby* ptak czarny, którego pióra
Zdobią tysiączne błyszczące oczy,
Ta święta ciemność, te ogniów roje,
Tak wielkie, liczne — Panie, to Twoje.

Gdy młoda wiosna życiem oddycha,
Twój dech ociepla jej wonne tchnienie,
I każdy kwiatek spóźniony z cicha
Twych ogrzewają oczu płomienie;
Wokoło płyną Twej chwały zdroje:
Jasność i piękność — wszystko to Twoje.

Franciszek Zabłocki.

2. Krzyż w Kościeliskiej dolinie.

W kursie letnim 1852. roku uczył nas W. Pol geografii Polski w wykładzie prawdziwie świetnym, zatytułowanym »Północne stoki Karpat«.

Najobszerniej traktował Tatry, bo opisowi ich poświę-

* Należy uzupełnić: *Jest* niby ptak czarny...« (święta ciemność).

cił kilka z kolei lekcyi, posługując się wielką przez siebie sporządzoną mapą, na której dokładnie narysowana była siatka wszystkich górzystych pasm, potoków i dolin. Była to, właściwie mówiąc, karta sztabowa, przez W. Pola poprawiona i dokładnością przewyższająca wszystkie dotąd znane.

Gdy wykłady zbliżały się do końca, W. Pol zapowiedział podróż naukową w Tatry w czasie zbliżających się wakacyi. Kto chciał w niej wziąć udział, zapisać się musiał na liście, w mieszkaniu profesora na Piasku, niedaleko kościoła karmelickiego.

Miała to być druga w tym roku uniwersytecka wycieczka. Z pierwszej, pod przewodnictwem wielce zasłużonego profesora geologii, L. Zejsznera, odbytej do Wieliczki i pomiędzy pasma wzgórzy, ciągnące się od Podgórza do Wieliczki, niedawno powróciliśmy. Jeżeli z tej krótkiej podróży odnieśliśmy niemały pożytek naukowy, jakżeż się nam wielkie zapowiadały korzyści i przyjemności z podróży w Tatry, pod przewodnictwem takiego znawcy gór, jak autor »Pieśni o ziemi naszej«! Radość nasza nie miała więc granic. Całowaliśmy po rękach serdecznego naszego profesora za samą obietnicę pokazania nam niebotycznych Tatr.

W. Pola kochaliśmy jak ojca, bo też i on kochał nas jakby synów swoich i dbał o to, ażebyśmy wyrośli na dobrych obywateli kraju. Podróże uważał za uzupełnienie swoich w uniwersytecie wykładów. Dopiero bowiem w podróży, na łonie przyrody, w cieniu borów lub na szczytach gór rozwiązywał cały skarb swojego ziemioznawstwa, podobny w tem do Wojciecha Jastrzębowskiego, znakomitego przyrodnika i filozofa, który podróżując po kraju ze studentami, zwykł uzupełniać naukę o rodzinnej ziemi, wykładaną w szkole rolniczej w Marymoncie.

Na wycieczkę w Tatry wybrał Wincenty Pol drugą połowę lipca i pierwszą sierpnia, jako porę najmniej w górach dżdżystą.

Zostawało więc kilka tygodni czasu. Nie chcąc go spędzać na bruku miejskim, postanowiłem zwiedzić tę okolicę, która w plan podróży uniwersyteckiej nie wchodziła, to jest, Babią górę. Ułożywszy się z Wincentym Polem o miejsce i godzinę przyłączenia się do jego gromady podróżnej, sam

tymczasem wyjechałem z moim kolegą uniwersyteckim do Sidziny pod Babią Górą.

Kilka tygodni tam zabawiwszy, pośpieszyłem do Kościelisk, gdzie według umowy połączyć się miałem z gromadą podróżnych, pod komendą Wincentego Pola.

Towarzyszy uniwersyteckich zastałem w karczmie, zbudowanej za pierwszą bramą Kościeliskiej doliny, w tem miejscu, gdzie rozszerzone skały zamykają łąkę zawsze majowej zieloności i znajdują się ślady dawnych kuźnic, oraz budynków różnego przeznaczenia.

Wincentemu Polowi nie mogłem się z powodu późnej godziny przedstawić, udał się już bowiem do domku leśniczego na spoczynek wraz z towarzyszącą mu starszyzną. Studenci pokładli się w karczmie pokotem na sianie.

Nocleg w małej karczmie kościeliskiej mógł się wydawać bardzo niewygodnym dla tych, co przywykli do hoteli alpejskich w Szwajcaryi; dla nas jednak, niewybrednych a uczących się twardego życia, nie zawierał nic nieprzyjemnego i niewygodnego. Na świeżem sianie z hal tatrzańskich spaliśmy smaczniej, niż na miękkich puchach. Snem wzmocnieni, powstaliśmy o świcie z naszego legowiska, zupełnie zdrowi i w wesołem usposobieniu. Wyszedłem za innymi z karczmy, ażeby się umyć w źródle Lodowem.

Co za widok, jaki poranek! Stanąłem oczarowany pięknością doliny! Piękniejszej, nawet w rojeniach fantastycznych, nie wyobrażałem sobie. Wrażenie, jakie na mnie zrobił jej przecudny widok, odbiło się w mej duszy podniesionem uczuciem swobody. Za każdem spojrzeniem nowy obraz i nowy urok! Ile kształtów i barw, tyle myśli i uczuć. Powietrze zdawało mi się być samem zdrowiem. Oddychając niem, czułem woń fijołków i zapach żywicznych świerków, rosnących na urwiskach skalnych. Obłoczki białe suną, jak duchy Ossyanowe, ponad doliną lub czepiają się turni, oblanych promieniami wschodzącego słońca.

Zapatrzony w zmieniającą się pod oświetleniem barwę skał i borów i wsłuchany w szum potoku, roztrącającego swe kryształowe fale o kamienie, nie spostrzegłem zbliżającego się do mnie Wincentego Pola. Przywitał mnie słowami: »Czy zdrów przybywasz z Babiej Góry?«

Wysłuchawszy krótkiego mego opowiadania o podróży na Babią Górę, polecił mi znajdować się na przechadzce po Kościeliskiej dolinie przy swej osobie, poczem poszedł dowiedzieć się, czy już wszyscy są po śniadaniu. Gdy już ostatni wypił mleko i zjadł kawał chleba, W. Pol dał hasło zebrania się i pochodu.

Wyruszyliśmy z pod karczmy i rozpoczęliśmy zwiedzanie Kościeliskiej doliny od źródła Lodowego, którego obfite wody, bijąc od dna w górę, rozdzielają się na swej przestrzeni w trzy różnokierunkowe spławy.

Towarzyszyło nam kilku przewodników. Starsi wskazywali nam skały, odznaczające się wysokością lub dziwacznością kształtów, i wymieniali ich nazwy, wzięte z podobieństwa tych kształtów, młodsi szli, niosąc pakunki. Pomiędzy przewodnikami byli Jędrzej Wala i Maciej Sieczka z Zakopanego, później powszechnie znani, wówczas jeszcze młodzi. Sieczka, młodszy od swego towarzysza, był dorodnym młodzieńcem, już wtedy uznany za dobrego przewodnika.

Nie górale jednak, lecz sam Wincenty Pol był naszym rzeczywistym w tej podróży przewodnikiem. Chodził po szczytach, jak góral, a Tatry znał dokładnie.

Zbliżaliśmy się do skały Pisanej, z pod której wypływa bystry potok Czarnego Dunajca, w ciągłych wodospadach przepływający całą dolinę.

Pieczarę pod Pisaną zwiedzał Goszczyński. Szedł, brnąc dość głęboko w wodzie, aż do miejsca, w którem pieczara, mocno zwężona, nie przedstawiała dostatecznej szerokości do przesunięcia się w dalszy ciąg podziemia.

Gdy niektórzy z towarzyszy odczytywali nazwiska na skale Pisanej, inni ryli na niej scyzorykami swe imiona, tymczasem W. Pol bawił nas i uczył swem opowiadaniem. Wyliczając znakomitych podróżników tatrzańskich, obszerniej mówił o tych, którzy, jak Stanisław Staszic, Seweryn Goszczyński, Ludwik Zejszner (zebrał pieśni Podhalan), pisali o Tatrach i zachęcali naszą publiczność do poznania najpiękniejszej krainy w polskiej ziemi. W tem wyliczeniu pominął sam siebie, chociaż więcej od wszystkich innych miał pod tym względem zasług.

Za skałą Pisaną dolina jest cokolwiek węższa, lecz

równie, jak dotąd, malownicza. Porównanie widoków jest niemożebne, gdy każdy wydaje się patrzącemu najpiękniejszym i najbardziej romantycznym.

Wśród ciągłego zachwytu doszliśmy do miejsca, w którem dolina rozszerza się znowuż, a pomiędzy drzewami otwiera się widok na dość jeszcze odległą górę Pyszną czyli Bystrą. Zamyka ona dolinę, a wierzchołek swój podnosi do 2.249 m. wysokości. Z mostku, ułożonego z okrąglaków, Pyszna przedstawia się w majestatycznej okazałości.

Niedaleko tego mostku, na brzegu potoku, wskazał nam W. Pol słaby już ślad jakiejś budowli i dwa młyńskie kamienie, a poza drogą na pochyłości góry mogiłę.

»Tu w tem miejscu — rzekł do nas — stać miała za czasów króla naszego, Zygmunta I., płóczka, w której woda, ściekająca po równi pochyłej, oddzielała złoto od piasku. Górale nazywali ją młynem. Podanie o tym młynie i o młynarzu, który złota Zygmuntowi dostarczał, słyszałem w pierwszych latach moich po Tatrach wędrówek. Jest ono prawdopodobne; nie ulega bowiem wątpliwości, że złoto w dawnych wiekach znajdowano w kościeliskim potoku. Z czasem, jak wszędzie, wyczerpało się i zaniechano robót. Zdaje się, że to nastąpiło już za panowania wspomnianego króla; opowiadali mi bowiem starzy ludzie, że ostatni młynarz, który złoto w tym młynie dla króla Zygmunta I. wypłókiwał, został przez opryszków zabity i oto w tej mogile został pochowany. Na mogile zabitego stał krzyż wprawiony w kamień młyński. Słoty krzyż zniszczyły, burza go obaliła — kamień zaś z mogiły, który widzicie na brzegu potoku, spławiły gwałtownie z gór ściekające wody. Panowie, szanujmy podania i pamięć tych, co polskim królom wiernie służyli: wtoczmy kamień na mogiłę i postawmy w nim krzyż na pamiątkę młynarza króla Zygmunta, z przesławnego rodu Jagiellonów«.

Słowa ukochanego profesora były dla nas rozkazem. Jedni z towarzyszy, wziąwszy z sobą kilku górali, udali się z leśniczym na górę pomiędzy starodrzew, ażeby wyciosać krzyż świerkowy; drudzy, i ja w tej liczbie, zajęliśmy się wtaczaniem kamienia na dawne miejsce poza drogą, na mogiłę. Niełatwo go było poruszyć, wrósł już bowiem w zie-

mię na brzegu potoku i wiele trzeba było wysileń, żeby go stamtąd wyważyć. Gdyśmy go wydobyli, podkładaliśmy podeń drągi i gałęzie, które się nam pod ciężarem kamienia ustawicznie łamały; powoli jednak posuwaliśmy go naprzód po pochyłości w górę. Dużo czasu zeszło, zanim zdołaliśmy go na mogiłę wtoczyć. Robotę utrudniał nam deszcz, który zaczął padać w chwili jej rozpoczęcia. W. Pol z starszyzną schronił się pod skałę i nam toż samo radził uczynić, lecz nie chcieliśmy roboty przerywać i pomimo deszczu pracowaliśmy dalej.

Gdyśmy spoceni i przemoczeni, dokonawszy, co nam było polecone, siedli wreszcie do odpoczynku, nadeszła wyprawa z lasu, niosąc z sobą krzyż wysoki, pięknie z drzewa świerkowego wyciosany. Była to robota młodzieży, w której dopomagali im górale.

Po złożeniu krzyża na ziemi, nastąpiła narada nad tem, czy ma być na nim napis i jaki napis? Gdy się zgodzono, że napis być powinien, podawano rozmaite słowa, lecz wszystkie jako niestósowne zostały odrzucone.

Wincenty Pol milczał. Gdy się rozprawa uciszyła, wskazując ręką szczerbate turnie, rzekł jakby w natchnieniu: »Natura w tej dolinie rozwinęła wszystkie wdzięki i uroki swoje. Człowiek zdumiały, stojąc wobec tych piękności, gotów z uniesieniem uznać naturę, dzieło rąk Boskich, za samego Boga, a jednak nic niema nad Boga! W nim jest dopiero rzeczywista piękność, jak jest rzeczywiste dobro i rzeczywista prawda. Niechaj więc te słowa św. Pawła: »I nic nad Boga« będą w najpiękniejszej dolinie Tatr wyryte na krzyżu, stojącym na mogile wiernego sługi dobrego i mądrego naszego króla, Zygmunta I.«

Okrzyk »I nic nad Boga!« był wyrazem powszechnej wszystkich obecnych zgody na ten wzniosły a tak stósowny w tem miejscu napis.

T. Żebrawski, inżynier, wydobył nóż z kieszeni i zaczął ryć na krzyżu te słowa. Wyrył je — krzyż podnieśliśmy i utwierdziliśmy go mocno na kamieniu, przygniatającym mogiłę.

Deszcz padać nie przestawał. Stanęliśmy wszyscy pod krzyżem, a W. Pol rzekł: »Nie mamy kapłana i wody świę-

conej z sobą, więc psalmami i pieśniami poświęcimy ten krzyż« i zaintonował: »Kto się w opiekę poda Panu swemu«.

Na tem skończyła się ceremonia poświęcenia krzyża w Kościeliskiej dolinie.

W rok potem byłem zmuszony odbyć piechotą ośmnaście miesięcy trwającą podróż z Warszawy do syberyjskiej Dauryi, przezwanej Nerczyńskim krajem.

Gdy już przybyłem na miejsce, patrząc w Szylce na bystrą i szeroką rzekę tejże nazwy i na malowniczo wzniesione nad nią góry, przystrojone lasem modrzewiowym, przypomniałem sobie krzyżyk w Kościeliskiej dolinie i w tęsknem, lecz w pełnem zaufania uczuciu zawołałem: »I nic nad Boga!«

3. Piłka.

(Ze wspomnień Krzemieńczanina).

Zabawy młodzieży potrzebują powietrza, przestrzeni i gwaru; o wszystkie te warunki w Krzemieńcu nie było trudno. Powietrze doskonałe, zdrowe, wśród gór lub na ich szczytach przestrzenie wielkie, a tem milsze, że od miejskiego porządku, gdzie co krok o coś zaczepić się, zepsuć, przewrócić można, dalekie; gwaru — gwar był ogromny, rozkoszny prawdziwie, bo całemi gromadami w niektórych miejscach po stu i więcej chodziło się razem. Podróż na plac zabawy, najwięcej uczęszczany, koło Maćkowej Doliny, za miastem, bezpieczna i wygodna, bo tylko w późnej jesieni, wśród deszczów nieustających, lub na wiosnę, w czasie puszczania lodów i zmarzniętej ziemi, topili się na Maćkowej Dolinie ludzie czasem, konie często; — już w maju, czerwcu i wrześniu to wszystko suche, równe, twarde a szerokie.

Zabawą główną i najprzyjemniejszą była piłka, dziś zapomniana lub miękkością cywilizacyi do tak zniewieściałej zabawki sprowadzona, że uczeń dawniejszy wstydziłby się wziąć ją do ręki, jako rzeczy, która od jednego silniejszego uścisku, energiczniejszego uderzenia pęka. Piłkę naszą w domu się wyrabiało, niewymyślnym ale doświadczonej trwałości kunsztem. Gumy elastycznej dobry kawałek we środek, na to wełny, nie angielskiej, parę łutów w nitkach

i jeszcze na to rękawiczka ojca, dziadzia, wuja, dobrze obciągnięta we dwa kółka, i jeden w około wiążący je pasek mocny, i — rzecz gotowa, trwała, w miarę odskakująca od ziemi i muru, wogóle od ciała twardszego, np. głowy studenckiej lub od pleców, postaci doskonale okrągłej, barwy zawsze szarej. Po odskakiwaniu czyli odbijaniu się nosi miano w języku technicznym gry w piłkę k o z ł a; sprężyście odskakująca zwie się k o ź l i s t ą. Z tem jednem narzędziem głównem ogromna liczba gier da się urządzić; jeżeli dodamy kij gruby, prosto z płotu wyłamany, żadną nieuszlachetniony sztuką, pięć ćwierci łokcia długości, półtrzecia cala obwodu, okrągły, suchy, broń Boże ostrugany, bo takich używają baby i pieszczochy — więcej do prawdziwego szczęścia doskonałego ucznia nie potrzeba. Z domu wychodzi się po podwieczorku, więc żadne pierniczki, bułeczki, ciasta nie przystoją żwawemu chłopcu, krzywdę męskości jego przynoszą; gdyby się zdarzyły wiśnie ku środkowi czerwca, albo czereśnie, gardzić niemi nie wypada, śliwki dobre we wrześniu nie są do odrzucenia.

Wychodzą tedy drobne gromadki z różnych domów i domków, na Szewskiej ulicy już się spotykają i mieszają nieco, bez względu na klasy i kursa czasem, — a już na Maćkowej Dolinie staje się to jednem wielkiem ciałem, na różnej wielkości, siły i spójności atomy rozbitem i nieustannie wirującem ku sobie i od siebie. Tu dopiero na ogromnej przestrzeni gładkiej, z jednej strony ograniczonej publiczną drogą, z drugiej głębokim jarem, gdzie strumień jakowyś płynie, a za jarem góra, niższego gatunku krzewiem zarosła, rozwija się cała ruchawka. Tu jeszcze większe pomieszanie rodów: silniejsi i wyżsi mistrze w piłce, choć czasem nie dygnitarze w nauce, biorą prym przed celującymi i medalowymi dostojnikami. Jeśli gra w palanta, to m a t k ą może być trzecioklaśnik, byle zwinny, a d z i e c k i e m jego kursak nieobrotny lub z natury czasem niezdolny do tej sztuki, nad którą wyższej i pożyteczniejszej wiek młody i potrzeby jego nie znają. Wszakże tu potrzeba tak dzielnie i trafnie uderzyć palantem piłkę, aby szybkością strzały szła daleko — i wysoko: daleko, aby znużyć przeciwnika biegiem, wysoko, aby oko jego nie łatwo kie-

runek jej rozeznało. Zwinnie i zręcznie najrozmaitsze zmieniają się w jednej chwili kierunki i postawy ciała, bo przeciwnik bystry — nie żartuje: może trafić i sprawa wszystkich przegrana. Trzeba umieć biegać, uderzać, wczas przypaść do ziemi, wczas podskoczyć, w bok się rzucić lub podlatując w odwrocie, mieć ciągle mierzącego na oku — i wreszcie dojść do bezpiecznego zawsze schronienia, do matki. Może tańce estetyczniej wyrabiają ruchy i postawę, gimnastyka wzmacnia muszkularność i rozwija słabsze części organizmu: piłka wszystkie ruchy tańca i gimnastyki bez systemu wprawdzie, ale dzielniej łącząc w sobie, wykształca, a tem milsza i pożyteczniejsza, że nie ma charakteru lekcyi, więc niema przymusu. Przy grze w piłkę wszystkie członki ciała są w nieustającym i mieniającym się ciągle ruchu; chodzi się krokiem szybkim, przyśpieszonym, zapędnym, ile siły wystarcza a wtenczas i ręce są w działaniu bezwiednie metodycznem, pomagają korpusowi i nogom do wspólnego celu. Ręce się wyciągają w górę i nadół, wtył i naprzód, a to wszystko nie pod komendą przymusową, ale pod wpływem wolnej woli, koniecznej potrzeby, którą honor studencki dobrego gracza nakazuje.

Gry w piłkę, jak: palant, meta, podbijanka na szerokiem polu, ściana, kasza, żydek kręcony w domowych zagrodach, były codziennemi zabawami. Najwspanialsza z nich wszystkich — Bar — w wielkie tylko uroczystości szkolne, jak majówki, praktykowana, potrzebowała obszernego pola, wielkiej liczby dobranej młodzieży, odznaczającej się siłą i szybkością w biegu. Był to rodzaj walki, gdzie dwie równe partye do boju stawały, ścigały się, brały jeńca i wyzwalały go: obraz istotnie zajmujący, pełen ruchu i rozmaitości, coś na małą skalę z igrzysk olimpijskich pieszych skopiowanego.

Rzecz szczególna i miła zatem wspomnieć, że najlepsi uczniowie, wzorowi w nauce i obyczajach, najdoskonalej grali w piłkę i z zawziętością, śmieszną nieraz, o zaszczyt pierwszeństwa walczyli tu na tych obszarach Maćkowej Doliny, jak w sali fizycznej: w dolinie szło o pochwycenie piłki w locie, w sali fizycznej o medal srebrny lub złoty. Pamiętam, że do najdzielniejszych graczów należał A. T. Oli-

zarowski, że niedoścignionym był Achilles Breza, na trzecim kursie medalem złotym zaszczycony, a potem na polach grochowskich czy ostrołęckich, jako dzielny oficer artyleryi, krzyżem złotym polskim. Nie wiele ustępował najpierwszym Piotr Falkenhagen (Zaleski), gorący do piłki w ostatnich jeszcze latach pobytu w liceum, zdolnym był jednocześnie poważniej sięgnąć myślą tam, gdzie wyższa powinność wzywała. Ten sam zawzięty szermierz na Maćkowej Dolinie, kiedy po 1831. r. znalazł się wśród pierwszorzędnych głębokich rozmów angielskich, uznanie ich prędko zdobyć potrafił, jako najczynniejszy współpracownik pisma ekonomicznego, cenionego wyżej nad inne w Anglii, a więc w Europie.

Rzecz naturalna, że ci wszyscy godni uczniowie Krzemieńca nie odrazu z ławek szkolnych na wyższe w społeczności przechodzili stanowiska, ale każdy niewątpliwie wyszedł z pojęciem czystem obowiązków: cnoty, pracy i poświęcenia i na nich oparty umiał iść naprzód.

4. Ciche wzgórze.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niem kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim, krwawym znojem.

Jak tam słodko! jak tam błogo!
Nie dotknięte bolem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmąci,
Cichnie ludzkiej głos boleści...
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści.

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi:

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela,
I całuje stopy krzyża —
Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiośnie
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie;

Pod tym krzyżem w ranek jasny
Na mogile kwiaty rwałem;
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile,
Siąść pod krzyżem na mogile,

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku,
Oczekuje zawsze cudu...

Adam Asnyk.

5. Mickiewicz jako przyjaciel.

Mickiewicz dowiedział się od jenerała Umińskiego, któremu Garczyński, dawny jego adjutant, jaśniej stan swój wytłómaczył, że choroba Stefana wzmaga się szybko. Zadrżał na wieść o jego niebezpieczeństwie i zapomniał o »Panu Tadeuszu«. Nie wiedział tylko, jak i gdzie wyruszyć. 6. maja 1833. r. napomknął Garczyńskiemu o trudnościach połączenia się z nim: »Trudno nam z miejsca ruszać, paszportów nie ma, do Niemiec nie puszczają, a przekradłszy się, trudno nazad wrócić. Finanse też w lichym stanie«. Gdy Garczyńskiego już doktorzy wyprawiali ku cieplejszym stronom, liczył, że zjedzie się z Adamem w Strasburgu. »Do Strasburga mnie trudno niesłychanie — odpisał mu Adam — dla zupełnego braku funduszów i kłopotów paszportowych. Jeżeli mi przyjdzie spodziewany w tych dniach sukurs, będę się starał koniecznie pojechać do Szwajcaryi, aby się z tobą spotkać«. »Marzyły mi się«, pisze 14. maja Garczyński, »odbierając te objaśnienia, dziwy nie dziwy... Strasburg niedaleko Paryża, myślałem sobie, może Adam przyjedzie, zoba-

czymy się, ożyję! Rozchwiałeś mi wszystko! Takie lamenta były rozkazem dla przyjaciela. Garczyński 5. czerwca doniósł Adamowi, że jedzie do Bazylei, a stamtąd na Bern do Bex. Mickiewiczowi udało się uzyskać paszport do Szwajcaryi i w Bex stanął 8. lipca. Czuwanie Adama nad dogorywającym przyjacielem jest-to, według słów Ignacego Domeyki, »piękny epizod z jego życia i maluje serce jego«. »Smutne«, pisał Adam do Domeyki, »i rozdzierające duszę było widzenie się nasze. Patrząc na twarz Stefana, tak bladą i smutną, przewracało mi się w sercu«.

Z Bex Adam przeniósł się z chorym do Genewy. Chory coraz upadał na siłach, często dziwaczył, troszczył się o drugi tom swych dzieł, obawiał się, aby prenumeratorowie nie odbierając go, nie posądzili autora o oszustwo, podejrzywał Domeykę, że po wyjeździe Adama wszystko w kąt rzucił. »Trzeba zatem«, pisał Adam do pana Ignacego, »kochane dziecko uspokoić«. Nie sposób było w tych warunkach Adamowi pracować, z biedą przepisał pieśń czwartą »Pana Tadeusza«, a 29. sierpnia wyruszył z Genewy do Lyonu, a z Lyonu dopłynął Rodanem do Awignonu. »Możesz wystawić sobie«, pisał 7. września 1833. roku do Domeyki, »biedy podróży z chorym, którego na ręku z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba, w kraju, gdzie oberżyści spojrzawszy mu w oczy widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą!« Podróż była tak uciążliwa, osobliwie dla Mickiewicza że już także chorować zaczął.

Tymczasem przyjaciele Adama na wieść, że niedomaga, postanowili posłać mu kogoś na pomoc. Bohdan (Zaleski) wziął to na siebie i w liście pod datą 7. września o swoim zamiarze uwiadomił Domeykę. »Nie wdając się dłużej w żadne targi z sumieniem, jadę do Awignonu, skoro tylko odbierzem wiadomość, że męczennicy nasi stanęli na miejscu. Istotnie w drużynie Adama jam najmożniejszy i mnie najłatwiej wystarać się o paszport, a zatem na mnie to przypada braterska kolej, na mnie cięży chrześcijański obowiązek. Z natury mojej kozackiej czuję w sobie powołanie na pocieszyciela. Darmo! nie łudźmy się naszą modlitwą! Niema rady, Garczyński musi kończyć, jak Kamil (Mochnacki). Wiem, jaką zawieruchę i rozstrojenie sprawi to nieubłagane fatum

w całej organizacyi Adama, tak zbytnie czułej i drażliwej. Należy nieustannie czuwać nad nim i pielęgnować jak najstaranniej. Zbytnia czułość jest rzeczą zmysłową i niechrześcijańską. Mam całą zbrojownię gotowych pocisków, które jak kartacze pękać będą na sto śmiertelnych rozłamów. Zresztą zawrzasnę mu do ucha dumkę naszą ruską:

Niech łza ziemska, chociaż szczera,
Rajskich snów nie płoszy z powiek!
Płaczmy, gdy się rodzi człowiek,
A weselmy, gdy umiera!

Pod tą istnie kozacką filozofią kryły się u Bohdana braterskie współczucie i rzewność, które mogły Adama orzeźwić i pocieszyć, ale nie zaraz się zeszli. Adam nie zachęcał Bohdana do tej podróży: »Nic tu wesołego ani przyjemnego was nie czeka«, pisał do Domeyki 12. września. Stefana kochanego zdrowie tak okropnie zniszczone! Nadziei żadnej.

Zaleski pomimo tego listu puścił się w drogę, lecz dopiero po śmierci Stefana odnalazł Adama w Lyonie. Na szczęście przyjaciel Garczyńskiego, Wielkopolanin, Pągowski, dopędził go w Awignonie i Mickiewicz mógł wyjechać do Marsylii, niby się starać o paszport do Włoch, dokąd się rwał biedny chory. Wybierając się 12. września, pisał do Domeyki: »Nie uwierzycie, co to jest patrzeć ciągle na takie gaśnięcie miłej osoby!

Mickiewicz, wróciwszy 18. września z Marsylii, znalazł Garczyńskiego bardzo zmienionego. Pani Klaudyna Potocka przybyła w wilię do Awignonu i konającemu poecie »osłodziła ostatnie chwile na ziemi«. Garczyński zasnął w Bogu 20. września. Udzielając 13. listopada Odyńcowi szczegółów o zgonie Garczyńskiego, Adam jeszcze podziwiał Klaudynę Potocką. »Nieraz nawet Stefanowi w czasie jego choroby nie mogłem wstrzymać się, aby co przykrego nie powiedzieć, albo milczeniem zagniewanem karciłem dziwactwa słabości, którym trzeba przebaczyć. My, mężczyźni, nigdy nie osiągniemy doskonałości moralnej w pobłażaniu i w przebaczaniu: przekonałem się o tem, patrząc na Potocką«. Jak miłość własna jest cechą mierności, tak uwielbienie dla wielkości drugich znamionuje dusze niepospolite. Potocka, nie-

pomna własnych trudów i poświęceń, unosiła się nad Adamem, pisząc do Odyńca: »Mickiewicz dzień i noc nie odstępuje Stefana. Duszę jego w geniuszu przeczułam, a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest i geniuszem wyższy od wybranych«.

Władysław Mickiewicz (Żywot Adama Mickiewicza).

6. Pasowanie na łegina.

Każdy Huculi, chcąc być uważanym za człowieka zdatnego do śmiałej i ciężkiej pracy a najwięcej do boju, musi odprawiać dwa akty, t. j., musi być uznanym najprzód za pacholę, niejako za giermka, a później za łegina, jakoby za rycerza. Młody Huculi, aby zostać giermkiem, winien razem z innymi odbyć, jak oni mówią, czuwanie nocne przy trupie, nim zostanie pogrzebany. Wtedy do chaty zmarłego schodzą się sąsiedzi, gdzie zapaliwszy świecę i odmówiwszy modlitwę za zmarłego, usiadają około stołu, a gazda ich częstuje, co trwa blizko do północy. Około północy starzy Huculi idą do szopy i tam siedzą około płonącej watry (ognia), młodzież zaś i gazdowie młodsi siadają w sieni, tworząc zwykle czworobok i bawią się w hruszkę, do naszej pytki podobną. W hruszkę tę bawią się w ten sposób: jeden z nich kładzie się na ławkę stojącą w środku sieni i wsuwa głowę, a właściwie oczy, w czapkę lub kapelusz, aby nie widział, kto go uderzy. Teraz bierze jeden w rękę łopatkę i uderza nią w plecy leżącego na ławce, a ten jeżeli zgadnie, kto go uderzył, wstaje, a na jego miejsce kładzie się ten, kto go uderzył; jeżeli zaś nie zgadnie, musi się po drugi raz położyć i to się powtarza, dopóki nie natrafi na uderzającego. Hucułki przypatrują się temu zdala. Chłopak, który chce zostać pacholęciem (giermkiem), przystępuje teraz do bawiących się i prosi o przypuszczenie go do zabawy. Natychmiast łegin, rycerz, na to zezwala i rozkazuje młodzikowi zdjąć z siebie rzemyk o jednej sprzączce, którym chłopak następnie bije leżącego na ławce. Ten naturalnie odgaduje, kto go uderzył, bo gdy go inni biją łopatką, ten go

bije rzemykiem, co łatwo bardzo poznać. Chłopak więc musi się teraz położyć i odbiera od wszystkich niemiłosierne cięgi. Jeżeli nie zapłacze z bólu, a Hucułom się już sprzykrzy albo ich litość zdejmie, wtedy Huculi żonaty przepasuje go swym rzemieniem o 3 sprzączkach na znak, że od tego czasu może już taki pas nosić. Zostawszy giermkiem, może on już palić fajkę w gronie starszych osób, ale mu jeszcze tańczyć nie wolno, bo to przywilej łeginów. Na spławie zaś wolno takiemu giermkowi stać na tyle jako drugi kiermanicz t. j. podrzędny sternik.

Gdy Huculi skończy lat 20 i da dowód swej śmiałości, a przedewszystkiem przytomności umysłu, może być pasowany na łegina. Najbardziej nadarza mu się do tego sposobność, gdy się spotka na połoninach ze zwierzem drapieżnym i okaże się odważnym i mężnym; gdy w czasie powodzi lub przy zwykłym stanie Czeremosza umie przy spławianiu uniknąć miejsc skalistych; wreszcie, gdy spławy utworzą niejako tamę, a właściwie zaporę, a on nie poniesie żadnej szkody, ale nadto wyratuje zatopione tramy. Nie jest to rzeczą łatwą, bo lada chwila może on znaleźć śmierć w nurtach rzeki. Po okazaniu takiego dowodu męstwa inni krzyczą: »sese ciekawy łegin« i od tego czasu bywa uważany za takiego. Odtąd jest on nie podrzędnym ale pierwszym kiermaniczem, może zawierać sam ugodę o robotę w zrębach i na Czeremoszu, odbiera sam za to płacę i wolno mu jest tańczyć przy każdej zabawie, choćby nawet z najmajętniejszą i najpiękniejszą Hucułką. Gdyby takiego łegina kto obraził, w obronie jego stają wszyscy; w cerkwi, chociażby jeszcze nie był kniaziem, dostaje do rąk honorową świecę, a przy biesiadach już nie siada na szarym końcu. Nadto gazda oddaje mu już swoje bydło tak w domu, jako i w drodze.

7. Huculska ptaszyna.

Przyleciałaś tu, ptaszyno,
Między dzikie góry,
Chcesz przyczepić twe gniazdeczko
Do przelotnej chmury.

Leć w doliny, leć w równiny,
Tam zamki i grody,
Tam są śpichrze pełne zboża
I kwiatów ogrody.

Na szerokich, żyznych łanach
Już żółknieje zboże:
Tu ci ziarna biedny Hucuł
Posypać nie może.

Tam weselej, tam swobodniej
Latać tobie będzie;
Tutaj w polu jodły rosną,
Głaz sterczy na grzędzie.

Tutaj matka nie wyżywi
I własnej dzieciny;
Leć, ptaszyno, w inne strony,
W podolskie równiny.

— Nie polecę, nie porzucę
Huculskiej zagrody,
Bo mi milsze wasze lasy,
Milsze górskie wody.

Pod tą strzechą matka moja
Gniazdeczko zlepiła,
Ja w tej chatce z twą dzieciną
Razem się rodziła.

Tu mnie matka nauczyła
Smutną piosnkę nucić,
Ja tu z wami chcę pozostać
I z wami się smucić.

Latać będę po tych skałach,
Kryć się w tej gęstwinie,
Będę z wami w cichej nocy
Śpiewać w połoninie.

Dla was ja nie pożałuję
Do lotu skrzydełek,
Bo wiem, że wy dla mnie zdradnych
Nie macie sidełek.

I na cmentarz nieraz zlecę,
Gdzie są wasze groby,
I na krzyżu tam usiędę,
Nucąc pieśń żałoby.

A więc dajcież mi umierać
Tam, gdziem się rodziła,
Bo ta ziemia nad świat cały
I ptaszynie miła.

Karol Antoniewicz.

8. Pobratymstwo.

U wszystkich narodów napotykamy piękne wzory przyjaźni i poświęcenia; zwyczaj jednak przybierania sobie przyjaciół za krewnych i uświęcania tego stosunku obrzędem religijnym znajdujemy tylko u Słowian. Istnieją też osobne nazwy na oznaczenie tego »pokrewieństwa z wyboru«; używany na to najczęściej wyraz »pobratymstwo« serbskiego jest pochodzenia, gdyż i sam zwyczaj najbardziej jest rozpowszechniony u Serbów.

Ciekawy to, a bez wątpienia i piękny rys charakteru Słowian, że osoby nie tylko pozbawione rodziny, lecz nawet posiadające bliższych krewnych, nie poprzestając na związkach, którymi ich obdarzyła natura, przekraczają niejako ciasny zakres rodzinny i tworzą sobie z wolnej woli i z własnego wyboru nowe związki, niekiedy o wiele ściślejsze i trwalsze, aniżeli pomiędzy najbliższymi krewnymi. »Budi mi po Bogu brat«, »budi mi po Bogu sestra« — oto uro-

czyste wyrazy, którymi się pokrewne dusze wzywają do zawarcia »pobratymstwa« lub »posestrymstwa«. Obok pobratymów i posestrym spotykamy u Serbów także p o o j c z y m ó w (przybranych ojców), p o m a j k i (przybrane matki) a nawet p o s y n k ó w (przybranych synów).

W pobratymstwie święci wzajemna miłość, przywiązanie i szacunek swoje największe tryumfy. Pobratym uczyni dla swego pobratyma wszystko; niemasz ofiary, którejby nie poniósł przybrany brat dla duchowego krewniaka i mnóstwo możnaby przytoczyć przykładów, w których pobratymstwo przeszło zwycięsko ogniową próbę poświęcenia. Z wielkiej liczby wybieramy jeden, najbardziej znany. Oto w wigilię pamiętnej bitwy na Kosowem polu (1389) sprawia car Łazarz gody i ująwszy »puhar złoty oburącz« tak się odzywa do jednego z bohaterów, Miłosza Obylicza:

Twoje zdrowie, Miłoszu wojwodo!
Twoje zdrowie, niewiernyś, czy wiernyś!
Jutro zgładzić mnie myślisz śród boju
I odbieżeć do cara Murata;
Mimo tego — w twe ręce, Miłoszu!
Wypij wino — a przyjmij w cześć puhar!

Na to się zrywa na równe nogi Miłosz i rzecze:

Chwała tobie, przesławny Łazarzu!
Chwała tobie za zdrowie niegodne,
Za to zdrowie i za ten podarek;
Lecz nie chwała za słowo zgryźliwe.
Jutro w boju, o carze! obaczym,
Kędy wiara, a kędy niewiara:
Tak mi, Boże, dopomóż, jedyny!
Jutro do dnia wyruszam na pole
I tą ręką zakłuję Murata
I tą nogą na gardziel nastąpię:
Tak mi, Boże jedyny, dopomóż!

Miłosz ma jednak dwu pobratymów: Iwana Kosanczyca i Milana Toplicę, którzy i w tym ostatnim terminie dochowują Miłoszowi wiary.

Myśmy twoi — i w życiu i w śmierci:
Ja, Kosanczyc, a Milan Toplica.

Nazajutrz, rychło świt, wdzierają się trzej pobratymi do obozu tureckiego, sprawiają okropne zamieszanie, a Mi-

łosz dostaje się nawet do namiotu sułtana Amurata i topi mu sztylet w piersi. Wszyscy trzej giną śmiercią bohaterską.

Obrzęd, przestrzegany przy zawieraniu »pobratymstwa«, bywa w różnych okolicach różny, przypada jednak wszędzie na jakieś święto albo uroczystość rodzinną, jak wesele, chrzciny i t. p. Okoliczność, że dziś jeszcze tu i owdzie akt zawarcia pobratymstwa odbywa się w kościele i że w starych księgach liturgicznych stósowne na ten obrzęd znajdujemy modlitwy, każe wnosić na pewne, że chrześcijańska modlitwa zastąpiła tu miejsce jakiejś starej ceremonii pogańskiej. W Czarnogórze n. p. udają się przyszli pobratymi do popa, a następnie razem z nim do cerkwi, gdzie pop odmawia nad nimi pewne modlitwy, poczem obaj kosztują po trzykroć wina z podanego kielicha i całują krzyż, ewangelię i święte obrazy. Ten z nich, który pierwszy podał myśl do zawarcia związku, zaprasza następnie pobratyma do siebie na ucztę i obdarza go nadto jakim upominkiem n. p. szatą, bronią, nożem i t. p.

Związek, w ten sposób zawarty, jest święty na całe życie i łatwiej przebaczą ludzie rozterkę z rodzonym bratem, aniżeli zerwanie pobratymstwa. Odtąd już mają się pobratymi nawzajem po bratersku miłować i wspierać, a nawet w razie potrzeby z narażeniem własnego życia jeden drugiemu nieść pomoc.

Zwyczaj ten utrzymuje się po dziś dzień nie tylko u Serbów, ale u Bułgarów i Rosyan, u których symbolem związku jest zamiana krzyżów i dlatego pobratym zwie się tam krestowyj brat — brat krzyżowy.

W dawnej Polsce piękny ten zwyczaj również był znany, lubo pod innem mianem; pobratymów zwano u nas »braćmi ślubnymi«. Wzniosłą ceremonię »ślubu bratniego« tak opisuje w jednej ze swych powieści znakomity znawca naszej przeszłości, Zygmunt Kaczkowski.

»Piękne to było widowisko w hoczewskim kościele. A działo się to w samą niedzielę Zielonych Świątek i wszystka szlachta okoliczna była zgromadzona w świątyni. Po sumie i po odśpiewaniu pieśni nabożnych panowie Bobowski i Osuchowski, w świąteczne suknie ubrani i świątecznie na duszy przystojni, bo po spowiedzi i św. komunii będący,

trzymając się za ręce, obadwa przystąpili do ołtarza i uklękli na stopniach, na których już ksiądz, stuletni staruszek i pleban tamtejszy, czekał na nich, na krześle, bokiem do ołtarza obrócony, siedzący. Gdy uklękli, ksiądz powstał i przeczytawszy najpierw nad ich głowami modlitwę, słuchał potem statecznie, jak ci obadwa panowie ślubowali sobie w głos: iż się wzajemnie kochać, jako bracia rodzeni, i wspierać będą zdrowiem, fortuną i życiem i że się w żadnym terminie nie opuszczą ani porzucą aż do śmierci.

— A kiedybyśmy obadwa — czytał dalej w głos Osuchowski rotę swoją napisaną na karcie — tylko jeden grosz mieli, tedy połowa należeć będzie jednemu, a połowa drugiemu. A kiedyby nam obydwom tylko jedna pozostała ręka tedy ta ręka ma pracować na chleb dla obydwóch. A kiedyby nam obydwom tylko dwie pozostały nogi, tedy te nogi mają nosić ciała obydwóch. Czego daj Boże dotrzymać i co do słowa ziścić, a ku Twojej wiecznej chwale obrócić. Amen.

Potem ksiądz im powkładał obrączki na palce, mieniając tak, jako to czyni przy ślubie małżeńskim, a pobłogosławiwszy ich zgóry, rzekł do nich głośno:

— A aby to było ku chwale Tego, który tu na nas patrzy, i ja życzę z całego serca.

Poczem jeszcze pokłonili się obadwa aż do ziemi i ucałowali stopnie ołtarza Pańskiego, a wziąwszy się znowu za ręce, szli precz, wesoło patrząc i kłaniając się szlachcie, czyniącej im rum przez sam środek kościoła. Piękne bo też i bardzo budujące uczynił ten obrzęd na obecnych wrażenie i tak chwycił za serce wszystkich, że nawet wiele dawnych i długotrwałych nienawiści i kłótni pomiędzy sąsiadami ustało natenczas i wielu dawnych nieprzyjaciół, w kościele podczas tego aktu przytomnych, ze łzami w oczach podało sobie prawice do zgody«.

9. Strata nauczyciela.

(Ze wspomnień Krzemieńczanina).

Trzy miesiące pomiędzy Bożem Narodzeniem i Wielką Nocą nie przeszły tak jednostajnie, jak jednostajnie życie studenckie płynie; zdarzyły się wypadki nawet bolesne: stra-

ciliśmy jednego kolegę z wyższej klasy i jednego profesora, z którego imieniem związane było założenie tej szkoły i pewna rzeczywista wartość w początkowej nauce. Umarł Strzelecki — a chociaż cierpkim był i surowym dla swych uczniów, tak wielkie zdobiły go przymioty jako nauczyciela i człowieka, że w chwili pierwszej wieści o jego zgonie żal szczery i powszechny obudził się w sercach naszych. Uderzenie we wszystkie dzwony kościoła licealnego w połączeniu ze dzwonem szkolnym potwierdziło aż nadto wyraźnie smutną wiadomość i przeraziło mieszkańców miasta. Krzemieniec, jak każde mniejsze miasteczko, gdzie jest większy jakiś zakład naukowy, najściślej losy swoje z tym zakładem łączył, cały nawskróś był niejako licealną kolonią. Nie było domu znaczniejszego, któryby nie należał albo do profesora liceum, albo profesora nie miał za mieszkańca głównego, któryby nie należał do kogoś, co w szkole ma swego syna, krewnego, lub wreszcie nie był przeważnie przez uczniów zajętym. Mnóstwo obywatelskich rodzin rok cały, prócz wakacyi, przemieszkiwało w Krzemieńcu dla edukacyi dzieci. Nawet te parę tysięcy Polaków mojżeszowego wyznania z uczniów miało cały swój zarobek jako rzemieślnicy, kupcy, właściciele domów zajezdnych itp. Wypadek tedy smutny lub radosny, jaki się zdarzył w szkole, obchodził całe miasto i obudzał smutek i radość nieudaną. Śmierć profesora, który tu od lat dwudziestu zamieszkał, który pamiętał i znany był osobiście Czackiemu, który przez niezwykłą swoją zdolność nauczania i niezwykłą surowość względem uczniów stał się popularnym i głośnym, odbiła się boleśnie w całej tej szkolnej osadzie, najrozmaiciej złożonej.

Na pierwsze żałobne uderzenie dzwonów zbiegli się słudzy w domu naszym strwożeni, dając znać, że ktoś z panów naszych, jak nazywali profesorów, umarł. Ponieważ Strzelecki od kilku tygodni już złożony był chorobą, a wszystko, co się działo w szkole, wiadomem było najmniejszej z tej wielkiej rodziny istocie, więc słudzy owi wyrażając niepokój, dodali zaraz: »Pewnie pan Strzelecki umarł«. Rzecz to na pozór mała, ale znacząca, i jak każda rzeczywiście myśl wyższa, moralna, łatwo najróżnorodniejsze żywioły połączyć i zbratać może. Krzemieniec miał do ośmiu

tysięcy mieszkańców, więc w stosunku do wielkości miast polskich liczył się wówczas do większych — a ta cała masa żyła pod wpływem i władzą jednej wyższej idei, której nie pojmowała zapewne, ale dobroczynną jej siłę czuła i brała w siebie.

Przyszliśmy do klasy poważni, do żartu nie było humoru, lekcya odbywała się ponuro; nauczyciel, Lefort, najzacniejsza dusza w świecie, miał łzy w oczach, gdy mówił, żeśmy stracili dobrodzieja. »Moje dzieci — rzekł — trzeba, żebyśmy się pomodlili za pana Strzeleckiego: uklęknijcie i zmówcie pacierz«. Zmówiliśmy pacierz serdecznie i nie w jednem oku dziecka łza się zakręciła na widok prawdziwej boleści starca, który na czele potulnej dziatwy głośno modlitwę zaczął. W pierwszej chwili nie słuchał i nie wykładał lekcyi, rejestru uczniów czytać nie kazał — a mówił nam, jak dobrym był, jak miłosiernym zmarły, — kiedy tu przybył, jak szanował go sam Czacki, pan dyrektor, każdy.

Eksportacya ciała odbyła się o godzinie szóstej wieczór, na której nie brakło nikogo ani z uczniów ani z profesorów. Józef Korzeniowski, nauczyciel wymowy i literatury polskiej, umiał z tego życia skromnego, w ciasnem zawartego kole, ale z życia użytecznego dla kraju, osnuć mowę piękną, do głębi serca przejmującą. Głos jego dźwięczny, sposób mówienia wytworny a prosty, elektryzowały słuchacza. Miał on rzeczywiste przymioty na mowcę publicznego: daru improwizacyi nie posiadał, ale rzecz przygotowaną znakomicie umiał podnieść sztuką, większym mowcom właściwą. Pamiętam ustęp jeden z tej mowy, a powtarzali go uczniowie na drugi dzień wszyscy. »Nie wyniosła go sława za granice tych murów, za wierzchołki gór naszych, lecz z niejednem westchnieniem żebraka przeszło imię jego do Pana niebios«. Strzelecki był bardzo miłosierny: zawsze jakiś biedny uczeń na koszcie jego kształcił się w szkołach, ale taką tajemnicą miłosierdzie to było pokryte, że szczególny tylko wypadek wykrywał je czasami; żebraka nigdy obojętnie nie omijał, podziękowań nie przyjmował, prośby słuchać nie lubił: starał się ją, uprzedzając datkiem, na ustach zamknąć. Tę stronę charakteru odbił szczególnie w mowie pogrzebowej Korzeniowski — bo zresztą, co więcej można było

powiedzieć o życiu pracowitem a cichem nauczyciela arytmetyki? Że pełnił te obowiązki z poświęceniem rzadkiem, to powinność każdego, że praca zgon jego przyśpieszyła, i to rzecz zwyczajna w zawodzie poczciwych ludzi: giną z pracy bezowocnej tysiącami, a jedyną nad nimi mową pogrzebową bywa kilka kropel święconej wody, na trumnę pryśniętej.

10. Godność w niewoli.

W pewnym dworze zwierzęta,
Konie i woły, osły i cielęta,
Ponieważ o nie nie dbano,
Rznięto i bito i jeść nie dawano,
Postanowiły z godnością żyć,
To jest dać się rznąć i bić,
Ale nie lizać pastuchom łapy,
Ani całować harapy,
Nie ogłaszać rykiem, kwikiem,
Jak miło być niewolnikiem.
»Wszak — mówił konik — niewola mniej gniecie,
Gdy jej liberyi nie nosim na grzbiecie«. —
Uczciwa rada przypadła do smaku,
I nie było między nimi
Słychać o żadnym dworaku;
Byli biednymi, ale nie podłymi.
Lecz pan dziedzic doszedł spisku:
I rozkazał na pastwisku
Złapać osła na postronek,
Ozłocił mu uszy obie,
Kokardą upstrzył ogonek,
I rzekł: »Leib-osłem cię zrobię!«
Osieł krzyknął i wesoły
Wpadł pomiędzy konie, woły:
»Czy widzicie te oznaki?
Pan mię wyniósł nad charłaki!«
I błyskając uchem złotem,
Tak pozawracał im głowy,
Że o godności zwierzęcej potem
Nie było mowy.
W miarę jak zmieniał się duch,
Nietylko uszy, lecz brzuch
Każdy sobie złocić dał.

A pan się śmiał
I rzekł do rządcy: »Waść zapisz
Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
Że kiedy wróbla na plewy nie złapisz,
Próżnego zawsze złapiesz na pozłotę«.

Lucyan Siemieński.

II. Trafiła kosa na kamień.

(Ustęp z pamiętników kwestarza).

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą koni zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Był to pan Kwetko, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwodził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek uwijał się około nakrytego stołu, do którego za wejściem państwa z dziećmi i panem filozofem za nimi po benedykcyi zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *iure victi*, panie budowniczy! — odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie — odpowiedział on — bo *remissa* nie znaczy przegranej. Rozumiałem ja wprawdzie, że odrazu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus, qui tenet!* Więc niech szlachcic prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus, qui tenet iniuste!* — odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księże teologu — odezwał się pan Kwetko. — Teologia i *iurisprudentia*, to dwie osobne *scyencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelako — odezwał się starosta — ja jestem zdania księdza Joachima i dlatego, niżeli na nowo w *subselliach* prawować się rozpoczniemy, poradzić się musimy przyjaciół i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu adwersarzowi, jeżeli ona mu słusznie należy. Ale o tem potem, a teraz, księże kwestarzu, ponieważ twej dywidendy tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, pobudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu, pan marszałek pokazał miejsce samo jedno na samym końcu stołu długiego naprzeciw starościny, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu — rzekł — miejsce kwestarza, a to twoja porcya — dodał, wskazując na dość sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* — odpowiedziałem i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzieindziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński chleb powszedni zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JWpana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i wyexercytować, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle — odezwał się pan Kwetko. — Kwestarz powinien być jowialista i koncepcista; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomościa; a jeżeli na tem jegomości brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kaletę talarów: bo u nas na wstępie, kiedy najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich. Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum — rzekłem — którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote, panie budowniczy? — rzekł starosta. — I ostrzegam, nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiciej, jak w ustępnej.

Ale zaufany w swej mądrości pan budowniczy kiwnął głową i po chwili milczenia zapytał mnie:

— Jak to, dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemszalnych, posługaczów *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyślić się, o co idzie panu budowniczemu.

— Nie wiem — rzekłem — żadnego osobnego nazwania. Pospolicie zowią nas podług officyów, do jakich kto przeznaczony: brat kwestarz, brat *servitor*, brat zakrystyan i tym podobnie.

— Nie, nie; jeszcze osobna a ogólna denominacya dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju! — rzekłem, a już przewidywałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem, jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo niepodobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swojem imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No, to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się pałkuć, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nie prawdaż?

— Prawda — rzekłem — tylko że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje. — Ale kiedy jegomość tak biegły w denominacyach, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna denominacya, z którą się nieraz pewnie zdarzyło jegomości spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy — rzekł zbity odrazu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje — ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj, nadaje, dobrodzieju, nadaje; tylko onego jegomość nie chcesz wymówić, bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to zaklęte słowo, którego pan budowniczy wymówić nie chce — rzekł, śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić — rzekłem — mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? To ja muszę jegomości przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, na-

zywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*. I tej wielmożności kauzyperdy jegomości winszuję — dodałem, powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfundował do reszty pana budowniczego.

— Płać dwa złote, płać! — woła nań starosta.

— To więcej warto — odezwał się pan chorąży — bo ja w tem, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych — odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! — rzekłem — Poznawszy teraz *subiectum* Pańskie, wola Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! — krzyknęli wszyscy. — Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić.

A starosta dodał:

— Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mi mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez ustanku; i poszliśmy z księdzem kapelanem do jego kwatery na zwyczajny spoczynek. *Ignacy Chodźko* (Obrazy litewskie).

12. Zdobycie Meksyku.

Ferdynand Kortez posiadał charakter niezmiernie hartowny i umysł przezorny, powściągliwy, w pomysły płodny. Przybywszy do Ameryki w 19. roku życia, dostał wcale dobrą posiadłość, czyniącą dochodu rocznego 3000 *castellanos*, ale porzucił ją, obróciwszy wszystkie fundusze swoje na urządzenie wyprawy do jakichś nieznanych złotodajnych krajów, do jakiegoś 'El-Dorado. Mając 553 żołnierzy, 16 koni, 10 armat i 4 falkonety, oraz 200 Indyan do posługi, puścił się z Hawany do Ameryki centralnej i wylądował na Jukatanie w pobliżu ludnego miasta Jabasko (1519). Zajął je, rozprószywszy kilkadziesiąt tysięcy czer-

wonoskórych wojowników i w głównej świątyni ustawił ołtarz z obrazem N. Panny Maryi; zagrzewał bowiem żołnierzy swoich nietylko obietnicami bogactw, ale też zbawienia duszy za nawracanie pogan.

Dowiedziawszy się o istnieniu wielkiego i bogatego w złoto państwa *Mechiko* (Meksyk), Kortez popłynął ku północy i w dogodnem do wylądowania miejscu założył miasto Vera Cruz (Wera Kruc: Krzyż prawdziwy). Hiszpanie obrali niezwłocznie dwóch *alkaldów* (sędziów), *alguazila* (policmajstra), podskarbiego i innych urzędników, mających działać w imieniu Jego Królewskiej Mości. Przed tym rządem stanął Kortez z odkrytą głową, żeby otrzymać legalną nominacyę na wodza (*capitan general*) i wielkiego sędziego kolonii z prawem pobierania piątej części zdobyczy w srebrze i złocie; tyleż należało oddzielać dla króla (część królewska).

Na powitanie białych ludzi przybył gubernator prowincyi; dziwił się zbrojom a jeszcze bardziej niewidzianym nigdy koniom, prosił o jeden hełm i przesłał doniesienie swoje do stolicy przez pieszą pocztę. Po tygodniu ukazało się poselstwo od cesarza meksykańskiego z darami, niesionymi przez stu niewolników, ale i z żądaniem, aby ludzie biali nie posuwali się dalej w głąb kraju. Kortez wręcz odpowiedział, że przyjdzie do stolicy z pozdrowieniem od swego króla; dodał nadto, że ma obowiązek wytępienia bałwochwalstwa.

I puścił się w drogę w parę miesięcy później, spaliwszy wszystkie jedenaście okrętów, zebrawszy wiadomości o plemionach okolicznych. Przez Jalapę, przez śnieżne góry (*Agna*), przez doliny malownicze, okryte kaktusami, aloesami, wanilią, kakao, obfitujące w koszenilę, dążył on do państwa Tlaskali, które nie ulegało cesarzowi meksykańskiemu. Mniemał, że znajdzie tu sprzymierzeńców. Omylił się jednakże. Tlaskalańczykowie spotkali go w szyku bojowym i stoczyli trzy bitwy z godnem podziwu bohaterstwem, bo chociaż występowali w przemagającej liczbie (30 i 15 tysięcy ludzi), ale ich groty z jakiegoś szklistego minerału (itztli) nie mogły przebijać kaftanów i pancerzy hiszpańskich. Byli oni prawie bezbronni wobec szpad ze stali toledań-

skiej, wobec gromów broni ognistej, ziejącej obłokami siarczystego dymu; sądzili zresztą, że biali ludzie są dziećmi słońca i doznają jego boskiej opieki. Pomimo to wszystko nieugięty wódz tlaskalański nie chciał słyszeć o żadnych układach pokojowych, nawet po chybionym napadzie nocnym na obóz hiszpański. Ale wojsko straciwszy ducha, zmusiło go do poddania się Kortezowi. Ten przyjął walecznego przeciwnika z rycerską grzecznością. Tlaskala była miastem większem od Grenady; miała rząd arystokratyczny. Mieszkańcy witali Hiszpanów z uwielbieniem i oświadczyli się niemal z chęcią iść gromadnie na nienawistny im Meksyk. Jakoż zebrał Kortez 6000 wyborowych wojowników, którzy bardzo mu się przydali w walkach późniejszych. Szło jeszcze ze 3000 innych krajowców, którzy ciągnęli armaty i dźwigali pakunki obozowe.

Wkroczył więc Kortez niedługo w granice państwa Azteków, narodu wojowniczego, który przed 300 laty podbił całe płaskowzgórze i zbudował (1325) stolicę Mechiko wśród słonego jeziora, połączoną z lądem tylko trzema groblami i mostami zwodzonymi. Władca ich, 40-letni Montezuma, rozkazywał 30 kacykom, z których każdy podobno mógł przyprowadzić po 100.000 wasali. Zabierał on poddanym swoim wielu chłopców do wojska, nadto co roku musiało iść 20—50 tysięcy ludzi pod noże ofiarnicze kapłanów. Bo chociaż Aztekowie doszli do niepospolitej cywilizacyi, chociaż doprowadzili rolnictwo, przemysł, prawodawstwo, piśmiennictwo do znacznej doskonałości, religia ich wszakże była dziką i straszną. Świątynie ich, kształtu piramidalnego, o kilku tarasach, mieściły na górnych piętrach izby, krwią przesiąkłe i cuchnące; przed posągiem boga wojny nieustannie tkwić musiały 4 serca ciepłe, świeżo wydarte z piersi ludzkich, a czaszki pomordowanych ofiar zawieszało się na ramie drewnianej (takich czaszek naliczył pewien Hiszpan 163.000 przy głównej świątyni). Inny bóg »dusza świata« żądał krwi dziewcząt, a bóg deszczów ofiary dziewcząt.

Atoli dziwnym trafem ta sroga religia ułatwiła podbój Kortezowi. Kapłani powiadali, że białolicy bóg słońca oddalił się gdzieś za morze, a z powrotem jego upadnie panowanie Azteków. Gdy więc ukazali się Hiszpanie, przyby-

wając morzem od wschodu, Montezuma uznał ich za dzieci słońca, nie śmiał wojny z nimi rozpocząć i starał się tylko oddalić chwilę swego upadku poselstwami, bogatymi darami, wzniecaniem rokoszów po drodze. Lecz Kortez nie dał się powstrzymać i stanął nad brzegiem jeziora. Wtedy Montezuma osobiście powitał go przed miastem i przeznaczył mu na mieszkanie obszerny pałac. W licznych lubo nizkich budynkach tego pałacu pomieścił się Kortez wygodnie z całem swojem wojskiem i taborem. Nie omieszkał zatoczyć armat przy bramach i przerazić mieszkańców tegoż wieczora hucznemi salwami.

Przez tydzień rozglądał się Kortez po wielkiem i wspaniałem mieście, doznając wszelkiej uprzejmości, gdyż Montezuma pozwolił nawet na urządzenie kaplicy chrześcijańskiej w najwyższej piramidzie, obok świątyni boga wojny. Aliści 8. dnia przyszedł Kortez z licznym zbrojnym orszakiem i w tonie groźnym, uskarżając się na zdradzieckie wymordowanie jednego oddziału hiszpańskiego (pod Vera Cruz), oświadczył, że Montezuma powinien przenieść rezydencyę swoją do hiszpańskiej kwatery. Przerażony monarcha bladł, czerwienił się, wreszcie uległ. Wybrał się niezwłocznie z całym dworem swoim i sam jeszcze uspakajał zbiegające się tłumy, zapewniając, że oddaje tylko wizytę Kortezowi. Doznawał wprawdzie wszelkich względów i honorów, należnych dostojeństwu monarszemu, ale był jeńcem, musiał wydać jednego kacyka z 15 urzędnikami na spalenie żywcem za popełnioną zdradę, uznał się uroczyście poddanym »białego władcy poza wodami« i pozwolił na zabranie skarbu, którego wartość wynosiła 35½ milionów franków w złocie, srebrze i drogich kamieniach. Kortez wysłał kilka oddziałów do płóczkarni złota i zajął ogromne dobra prowincyi Oachaka, poczem przesłał »część królewską« zdobyczy i pierwszy swój raport Karolowi, który w owym czasie wybierał się właśnie do Niemiec z Korunii (1520). Obejrzawszy piękne tkaniny oraz wyroby złote meksykańskie, król nie chciał roztrząsać próśb Korteza ani skarg na niego zaniesionych.

Gubernator Kuby (Velasquez) wystawiał Korteza jako buntownika. Otrzymał nawet pozwolenie na wysłanie prze-

ciwko niemu floty z silnym oddziałem wojska. Kortez wszakże nie uląkł się następstw walki: zostawił w Meksyku 140 ludzi, pożegnał Montezumę i śpiesznie pobiegł ku wybrzeżu. Wśród burzy atakował i wziął do niewoli dowódcę wyprawy, potem wcielił wszystkich zwyciężonych żołnierzy do swoich szeregów.

Tymczasem w Meksyku powstała ludność przeciwko Hiszpanom. Kortez pośpieszył z odsieczą i zdołał wejść do oblężonego obozu. Zaczęły się straszne boje. Aztekowie szli masami, nie zważając na ogień działowy, powiadając, że są gotowi poświęcać po tysiąc swoich wojowników na jednego Hiszpana. Montezuma ukazał się na wieży i zachęcał poddanych swoich do złożenia broni, lecz odpowiedziano mu okrzykami, że stał się babą i obrzucono go pociskami, od których padł raniony. Sam Kortez ofiarował układy, ale nadaremnie. Zdobył i spalił najwyższą piramidę boga wojny, lecz Aztekowie walczyli dalej z niezłomną zaciętością. Zniechęcenie i nieposłuszeństwo objawiło się nareszcie w wojsku hiszpańskiem. Kortez musiał opuścić swoje fortyfikacye, przebijać się przez ulice przy pomocy ruchomych wież, przeprawiać się przez kanały za pomocą mostów przenośnych i z ogromnemi stratami wyszedł na brzeg jeziora. W otwartem polu zastąpiło mu drogę 200.000 Indyan, lecz Kortez zwyciężył.

Przekonał się on teraz, że nie zdoła o własnej sile podbić Meksyku, że potrzeba podburzyć podbite przez Azteków plemiona. Dokazał tego jeszcze w tym samym (1520) roku. Z górą 100.000 ludzi (Tlaskalańczyków i innych sprzymierzeńców) ruszyło pod jego rozkazami na Meksyk, gdzie po śmierci Montezumy panował już nowo obrany cesarz Gwatemozyn. Pierwsze ataki były niepomyślne i niepodobna było zdobyć grobel. Dopiero gdy przywieziono 13 brygantyn i spuszczono je na jezioro, mógł Kortez zmiatać armatami masy Azteków i wdzierać się w ulice. Ale walka była straszliwa. W jednym szturmie sam Kortez został pochwycony i zawdzięczał ocalenie swoje tylko tej okoliczności, że Aztekowie nie chcieli go zabić, zachowując na ofiarę dla boga wojny. Zdobyli przytem 2 działa, 7 koni i 72 jeńców. Potem każdego wieczora przez tydzień widziano, jak tych

brodatych jeńców kapłani zmuszali batami do tańca na szczycie najwyższej piramidy, jak wydzierali im serca z piersi, a ciała zrzucali ze schodów na zjedzenie zgłodniałym tłumom. Brakło już bowiem żywności i wody słodkiej w mieście. Zniszczenie było straszne; pałac królewski został zburzony, gruzami domów Hiszpanie zasypywali kanały i fosy; pomimo to Gwatemozyn zawsze odrzucał układy. W piątym miesiącu pozostała zaledwie ósma część miasta; leżały kupy trupów niepogrzebanych, pozostający przy życiu wojownicy byli bezsilni. Gwatemozyn próbował uciekać wodą na 4 łodziach, lecz zagrożony strzałami statków hiszpańskich, musiał się poddać (1521). Wtedy Aztekowie zaniechali walki; w ciągu trzech dni następnych wychodzili z miasta; było ich około 70.000; liczbę poległych i zmarłych podają na 240.000.

Na gruzach dawnej stolicy Azteków zabudował się rychło nowy, chrześcijański, hiszpański Meksyk. Potem bez oporu zajęto całe obszerne płaskowzgórze *'Anahuak* i nazwano je Nową Hiszpanią. Było to prawdziwe 'El-Dorado, dostarczało bowiem obficie złota i srebra w prowincyach Zakatekas, Guamachuato, Tehuantepek; dotarli wkrótce Hiszpanie do Kalifornii, skąd przynieśli złoto i perły. Wywożono też do Europy trzcinę cukrową, bawełnę i koszenilę, która do połowy XVI. wieku zastępuje w warsztatach farbiarskich czerwiec, dostarczany dawniej z Polski (z Rusi Czerwonej).

Tadeusz Korzon.

13. Spokój.

Słońce się zniża, niebo pogodne
I zwierciadlane, jak szyby wodne,
I wieczór, jak sen spokojny.
Dobry On w górze, dobry i hojny,
On, bez nazwania, co ten świat nizki
Ustraja, jak dziecko własne,
W srebrne obsłony, w szmaragdów błyski,
Co ranka w kwiaty jasne.

Dokoła góry zieleniejące,
A w dole łąka; na gładkiej łące
Ciemniejsze łóż arabeski,
A wszędzie taki spokój niebieski,

Że mi się zdaje, że tu jest Eden,
Że w miejscu wczoraj stworzonem
Pierwszy żyjący stoję sam jeden,
Pod szklanym niebios dzwonem.

Sam!? — sam? — sam tylko?! — Dusza się zlękła
Tego sieroctwa... Ot, muszka brzękła,
Ot, ptak poleciał przez liście,
Ot, ścieżka czeka na czyjeś przyjście.
A tam na polu ludzie się bielą,
Ot, i dolata ich śpiewka!
A tam po wzgórzu dymy się ścielą,
Ot chata, ot cerkiewka!

Pełno nas, pełno na Bożym świecie!
Jest z kim podzielić się szczęściem przecie;
Ile każdemu potrzeba,
Znajdzie się zdroju, cienia i chleba;
Jednego Ojca jedne my dzieci,
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich świeci
I równa nam opieka. *Kornel Ujejski.*

14. Oszczędnością i pracą.

(Opowiadanie JP. Radcy miasta Lublina).

Moje życie i najobojętniejszego może zająć, pochlebiam sobie, bom się nie wykołysał w dostatkach i, co mam, winienem Bogu i sobie. A z łaski Bożej kawałek chleba mam porządny i niejeden magnat, co z wielkim dworem na trybunał się wlecze, nie pochwali się tak czystą fortuną, jak moja, a wszystko winienem sobie. Ojca mojego nie pamiętam, matkę tylko biedaczkę cokolwiek sobie przypominam; była ona, czego mi nie wstyd wcale, przekupką i siadała zazwyczaj pod krakowską bramą z jabłkami, potem koło jezuickiego kolegium, którędy zwykli byli przechodzić studenci do klas.

Cały mój fundusik był kilkadziesiąt złotych podobno i to Bóg wie, czy i tyle warte były nasze ławeczki, króbki, koszyki, trocha rupieci, łachmanów i zapas buczyny, jabłek, gruszek, śliwek, wiśni, wedle pory roku. Jak pamiętam, chodziłem bosaka, w szarej koszulinie, rzadko mając czem głowę zawinąć, i karmiłem się nadgniłymi owocami i polewką do-

mową, którą dopiero wieczorem gotowała matka dla mnie i dla młodszej siostry, wkrótce zmarłej na ospę. Mieszkaliśmy w loszku na tyle Grodzkiej ulicy, w izbie ciemnej i wilgotnej, sklepionej, o jednem oknie nad samą ziemią, często śmieciem zarzuconej, bez podłogi, a w deszcz wody pełnej. Mieszkaliśmy — to się tylko tak mówi; bo matka i ja ledwieśmy trochę nocy tam przepędzali, a cały dzień od świtu do późna, czy mróz, czy wicher, czy zamieć, czy skwar, potrzeba było pod bramą siedzieć i czekać kupujących. Że nie było mnie z kim zostawić, chodziłem z matką zawsze, odziany jako tako, grzejąc ręce nad garnkiem z węglami zimą, chłodząc się murem zimnym w skwary i gapiąc się na ulicę.

Ciężkie to były życia początki; jak je wspomnę, ciarki po mnie chodzą. Biedna matka chora była, niecierpliwa i za najmniejszą rzecz nie żałowała mi szturchańców, rózg i łajania. Ja to znosiłem milcząc, a myślałem sobie: jak zdużam, to pójdę pracować i nikt na mnie krzyczeć nie będzie i będę sam sobie panem. Ta myśl pocieszała mnie w dzieciństwie, z którego prędko wyszedłem, bo w latach dziewięciu już nosiłem koszyk z piernikami po mieście, groch młody, ogórki i tym podobne łakocie. Raz, gdy trochę podchmielony mecenas szedł ulicą i koło kościoła jezuickiego wysunął mu się z zanadrza plik papierów, jam go podjął i pobiegłem za nim. Bardzo był rad ze znalezienia zguby i dał mi dwa talary za to. Schowałem je, nic nie mówiąc matce, a nazajutrz, wiedząc już, gdzie czego dostać, kupiłem sobie dobry koszyk, krajkę mocną, stare szare płótno wyciągnąłem u matki i zamiast pójść z nią do ławki, puściłem się w miasto, kupiwszy zielonego grochu i ogórków, za które dałem na ogródku za miastem trzy złote. Cały dzień chodziłem od Kapucynów do Krakowskiej bramy, wywołując swój towar, i wieczorem miałem pięć złotych w węzełku, trochę grochu przywiędłego i pewną nadzieję, że sobie już dam radę.

Trafiało się, że dla swywoli uciekałem nieraz od matki i dopiero wieczorem powracałem do stancyi, pewien dobrych szturchańców, ale razem i wieczerzy; mrokiem i teraz, ale z koszykiem na plecach i dumą w duszy, udałem się do

sklepiku. Matka już stała w progu, jakby na mnie czekała, i jak mnie tylko zobaczyła, podniosła miotłę ogromną, dając mi znać, co mnie czeka. Ale nie zląkłem się, bo wiedziałem, że mi przebaczy... Jakoż, zobaczywszy mnie z koszykiem i wesołą twarzą, osłupiała, zdawała się z początku nie poznawać, wreszcie odezwała się: — A to co, Michałku? — Zejdźmyno, to ja matuni wszystko rozpowiem, jak było — odpowiedziałem ufny w siebie i powoli zlazłem za matką do loszku, zdjąłem koszyk, siadłem na wywróconem wiadrze i tak począłem od dwóch talarów moich, aż do zarobku dziennego, dodając: — Otóż zobaczycie, teraz już ja i matuni i sobie na chleb zarobię — i nie bójcie się!

Matka tak była zdziwiona, uszczęśliwiona i przejęta tym niespodzianym moim rozumem, że mnie aż w głowę pocałowała i rozpłakała się z radości... Nastawiła prędko wieczerzę, a gotując ją, po kilka razy patrzała moich pieniędzy, rozpytywała mnie i powtarzała sama do siebie:

— No! co sprytny, to sprytny!

I nie wytrzymała przez wieczór: poszła zaraz do sąsiadek pochwalić się synem, sprowadziła starą Kasprową i starą Frankową i kazały mi znów opowiadać, jak to było, kto mi to poradził, jak ja tego dokazałem.

Następnych dni matka sobie siadła pod bramą, a ja poszedłem znowu po Krakowskiem i tak powoli dałem się poznać, że już w parę tygodni miałem sobie przedaż zapewnioną.

Potem, że mi się zieleniny nie podobały, bo to psująca się rzecz, zacząłem handlować różnemi drobnostkami, zabawkami dziecinnemi, szpilkami, tasiemkami, igłami... A żem pracować lubił, wesoło witał kupujących, czasem potrzebnym pokredytował, jakoś mi dobrze szło, tak, że cośmy z matką przeżyli, to przeżyli, a jeszcze około sta złotych miałem zapasu.

Pamiętam, że już naówczas chodząc koło sklepów, mówiłem sobie: »Chybaby Bóg nie łaskaw, a ja sklep mieć muszę«. I taka mnie ambicya opanowała, żem pracował i grosz do grosza składał niezmordowanie, aż w ostatku udało się, jeśli nie sklep mieć swój, to choć budkę koło św. Ducha, gdziem z początku szkaplerze, paciorki, obrazki, medaliki,

książeczki i różne terefelki trzymał. Matka zawsze jeszcze zasiadywała, choć stara, nad swojemi jabłkami, chociem ja jej to perswadował; ale próżnować nie lubiła, przywykła kłócić się ze studentami i takie to już było jej życie. Bywało, jak zachorzeje, a zmuszę ją, żeby w domu w cieple posiedziała, tak nudzi, że rady sobie dać nie może: wstaje, do okna chodzi, stęka i nazajutrz nieboga wlecze się z garnkiem znowu na swoje miejsce. Chciałem, żeby sobie w mojej budce ze mną przesiadywała, ale nie mogła; studenci ją wszyscy i ona wszystkich znała doskonale i już żyć bez siebie nie umieli. Ta wrzawa chłopaków, spory z niemi, ciągła baczność, żeby jej nie okradli, ożywiały ją i odmładzały. Śmiała się, gdy ją nazywali C y b e l ą i gniewała się, sądząc, że to znaczyło cebulę poprostu, której nie sprzedawała; domagała się, żeby ją lepiej przezwali jabłkiem lub gruszką, ale wszystkie pokolenia studentów znały już ją pod tem nazwiskiem. Mnie tymczasem szło bardzo dobrze i nie pamiętam w życiu szczęśliwszych chwil nad te, które spędzałem, nosząc w koszyku na plecach nadzieje, sadząc je w budce obok siebie. Dobiłem się później wszystkiego, czegom tylko żądał; ale mniej mnie to uradowało, niżeli marzenia dziecinne... nie było też już i poczciwej starej matki, by się z nią podzielić dostatkiem. Staruszka siedziała, póki tylko mogła, u bramy kolegium jezuickiego, a gdy już zwlec się nie potrafiła na stanowisko, jednego dnia w jesieni przechorowała dwie doby i zasnęła na zawsze... Kamienny nagrobek na cmentarzu dominikańskim, z koszem owoców na wierzchu wyrobionym, to pomnik mojej matki...

Sam jeden pozostawszy, pracowałem dalej i z budki pod św. Duchem wprędce przeniosłem się do najętego sklepiku naprzeciwko ratusza, a sklepik to już był, co się nazywa, nie wielki, ale zaopatrzony dobrze w korzenie, cukier, kuchenne przyprawy i t. p. Ale że to się jeszcze z niewielkiego grosza kupowało od hurtowników, zysk nie był znaczny i musiałem dorabiać się, nim doszedłem do tego, że sam sobie towar mogłem sprowadzić. Z dwóch talarów, rzuconych mi przez mecenasa podchmielonego, w krótkich latach przyszedłem do dwóch tysięcy talarów gotówki i zapasu sklepowego... Prawda, że mi się wiodło, ale trochę się

i pochwalić tem mogę, bo i wagi i miary pilnowałem, nikogom na grosz nie oszukał i oszczędzałem w początku, jak ostatni sknera — a zrobiłem był sobie ślub, który dotychczas dopełniam, dawać każdemu ubogiemu, którego spotkam, ni mniej ni więcej tylko grosz na pamiątkę mego ubóstwa. Może i ta moja jałmużna dała mi szczęście, ale to pewna, że szkody nie miałem nigdy ani od złodzieja ani od pożaru ani z oszukaństwa złych ludzi, i powoli, powoli, ot, z urwisza ulicznego, włóczęgi, któryby mógł przepaść na wieki, wyszedłem na mieszczanina, na hurtownego kupca, kupiłem kamienicę, ożeniłem się dobrze, dziatki mi się hodują dobrze i dostatek powiększa. A w dodatku jestem radcą miasta Lublina i ludzie mnie uważają i kiedy król nieboszczyk przejeżdżał przez nasze miasto, trzymałem baldachim u Krakowskiej bramy...

J. I. Kraszewski (Ostatni z Siekierzyńskich).

15. Życie miejskie w dawnym Krakowie.

Rynek zdobią rozmaite, po części i dziś jeszcze stojące budowle: ratusz, z którego została tylko wieża, Sukiennice, śpichlerz, mennica, domy zwane »Jelenie«, »Barany«, »Chrystofory«, Pani Krakowskiej, Pana Morstina, rajców miejskich i t. d. Na przestrzeni niezabudowanej roztasował się drobny handel, pogatunkowany ściśle na najrozliczniejsze gałęzie, z których każda oddzielne ma dla siebie wskazane siedlisko. Przekupki, sprzedające jarzyny (które winny być »bez naci«), mają do tego miejsce »na rynku, podle ryb słonych«. Przekupki, które sprzedają »rzeczy rozmaite«, siedzą »jedno pod kabatem«, bo gdzieindziej im wzbroniono. »Okienniczki« w rynku i w ulicach mogą »na okniech« sprzedawać tylko chleb, bułki, owoce, gomółki; żadnych zaś innych przedmiotów, a to pod »winą pańską«. Wzbroniona jest sprzedaż »ogórków słonych, niedosolonych ani dokwaszonych, daleko więcej obwarzanych«. Kołaczy nigdzie w całem mieście sprzedawać nie wolno. Zaopatrywać się w ryby wszelakie tak świeże, jak słone i suche, można tylko u rybitwów na Podbrzeziu albo inszych ludzi, którzy je na targ niosą albo wiozą; wszelki zaś udział przekupni w tym han-

dlu surowo zakazany. Wogóle zresztą żaden przekupień ani żadna przekupka żadnego dnia żadnych rzeczy nie ma kupować na przekup, póki chorągiew stać będzie na tem miejscu, na którem stać zwykła: potem wolno wszystkim skupować »bez wszelakiego braku« (ograniczenia). »A gdzieby się kto tego przestąpić ważył, taki każdy srodze będzie karan tak straceniem rzeczy wszystkich, jako też i więzieniem, to jest niewiasta koszem, mężczyzna w kunie siedzeniem, bez wszelakiego miłosierdzia«. A nie są to próżne groźby, gdyż snuje się po rynku czterech wybranych »panów deputatów«, doglądając tego porządku i mając prawo »występne karać bez wszelakiej folgi«, za którą to pracę otrzymują tygodniowo z ratusza każdą sobotę trzy złote wynagrodzenia, zwanego »konsolacyą«. Ułatwia im to zadanie dobrana przez nich straż w odpowiedniej liczbie, która »szpieguje« występnych w mieście i »przed bronami«.

Takie życie powszednie urozmaicały od czasu do czasu zbiegowiska pospólstwa, zbrojne burdy lub doniosłe wypadki dziejowe. Oto »szkodnicy i złodzieje drewni, którzy drwa na brzegu miejskim do tego czasu kradli«, nie zważając na świeży wilkirz (1574. r.), upominający ich, »aby się pohamowali«, śmieli kraść jeszcze w nocy, a we dnie sprzedawać, na czem pojmani zostali. »Nie poszły im wymówki: jednego, że dano mi, — drugiego, iż swoje noszę, — trzeciego, iżem kupił«; — tego więc, który po raz pierwszy ujęty został na kradzieży, ukarano »u prągi staniem za szyję w kunie dzień cały, a one drwa, z któremi go pojmano, zawieszono mu na szyję«; wtóry zaś, »który po takiem karaniu śmiał ważyć się drugi raz, był ochłostan u prągi i z miasta precz wygnan«; ostatni wreszcie, iż »go trzeci raz dostano w takimże postępku, został obwieszon między stosy na szubienicy«. Surowość prawa nawet dla białych głów, zbierających trzaski, nie zrobiła wyjątku, a względem tego, komu dowiedziono, że kradzione drwa w domu chowa, albo je przedaje nakradłszy ich, twardszą się jeszcze okazywała; takiemu bowiem już za drugim razem nakazano »ucho urznąć, albo nos pryskować dla znaku«.

Innym razem czterech żaków akademickich, uzbrojonych w szable, napadło na kramy garncarskie; pobili sługi

miejskie i wdarli się do ratusza, gdzie pogasiwszy światła, byliby poranili czeladź, gdyby ta nie stawiła im mężnie oporu. Gwałtowników ujęto, uwięziono i stawiono przed sądem, prócz jednego, który dobrał się do pierwszego piętra ratuszowego, a stamtąd oknem na rynek spuściwszy się, zbiedz zdołał. W tem gorszem położeniu znaleźli się trzej pozostali; nie pomogło im wcale, że akademia, broniąc swej wyłącznej jurysdykcyi nad studentami, żądała wydania uwięzionych; rajcy bowiem miejscy, nie wchodząc w rozbiór praw akademii, oświadczyli, że nie wiedzą, kim są winowajcy, a gwałciciele spokojności publicznej, co targnęli się na »miejsce uprzywilejowane majestatu Jego królewskiej Mości, bo na ratusz królewski«, nie mogą być usunięci z pod powagi praw, najłaskawiej miastu nadanych. Sąd przychylił się do tego widzenia rzeczy, a obwinionych uznał za godnych kary śmierci. I byliby oddali szyje pod miecz katowski bez wszelakiego z m i ł o w a n i a, gdyby prośby wyższego duchowieństwa, oraz doktorów i magistrów akademii, poparte jednomyślnem przyzwoleniem rajców, z m i ł o w a n i a im nie wyjednały. Przychylił się do tego zasiadający wówczas na sądzie starosta krakowski, z tego między innemi powodu, że jemu, jako w początkach dopiero swego urzędowania będącemu, »raczej miłosierdziem niźli surowością powodować się należy«. Darował przeto i odpuścił winowajcom karę główną, ale tem srożej się zastrzegł, że na przyszłość będzie karał podobnych gwałtowników bez żadnych już względów, podług prawa.

Nie jedyne to było zajście, a krewkość ówczesnych ludzi kazała co chwila niemal obawiać się onych i z góry im zapobiegać i środki stósowne obmyślać. Więc oto np. jegomość pan Wacław Chodorowski, burmistrz, tytułowany z rzymska *prokonsulem*, poważnie kroczy z ratusza wieczorem do domu swego, a niby liktorowie przy konsulu w starym Rzymie, towarzyszą mu czterej strzelcy miejscy w jednostajną barwę odziani, dźwigając potężne miecze; dzieje się to zaś, jak nas wilkirz z roku 1528. zapewnia, »wedle starego i chwalebnego zwyczaju, ku ozdobie całego miasta a majestatowi senatu«, rozumie się — miejskiego. Atoli inny wilkirz, pięciu laty późniejszy, szczerzej i prościej rzecz tę

przedstawia, wyznając, »że senatorski majestat i urząd burmistrzowski poczęto lekceważyć, traktować bez uszanowania, i to nie tylko przez ludzi z pod innej jurysdykcyi, ale także, co jest daleko gorszem, przez obywateli władzy naszej poddanych«. Pachołkowie z mieczami mieli więc złemu zaradzić, a dla większej pewności burmistrzowi zagrożono karą dziesięciu grzywien za każdem ukazaniem się bez tego zbrojnego orszaku; gdyby zaś grzywien zapłacić nie chciał, będzie złożony z urzędu i więziony w ratuszu dopóty, dopóki się nie uiści. Żeby jednak pachołkom nie uroiło się przypadkiem w głowie, iż owe miecze im samym dodają także »majestatu«, ustawa zaleca, aby odprowadziwszy burmistrza wieczorem do domu, tamże miecze zostawiali.

Król Henryk ma odbyć uroczysty wjazd do stolicy więc »zacna rada krakowska« postanawia iluminować miasto i nakazuje »srodze«, by przed każdym domem zawieszona była latarnia przez trzy tygodnie, pod grozą zapłacenia kary bez wszelakiego miłosierdzia. Ówcześni rajcy krakowscy z panem burmistrzem, Erazmem Czeczotką, nie tylko uprzedzali tym pomysłem iluminacyjnym nasz oświecony wiek XIX., ale go prześcignęli znacznie, bo nie tylko wskazali, jak wysoko wisieć ma latarnia, ale nadto oświadczyli, za jaką cenę świecę kupić do niej należy i o której godzinie ją zapalić, by świeciła, póki całkiem nie zgorzeje.

Byłoby to jednak z krzywdą dla prawdy, gdybyśmy nie dodali, że w tym samym roku, po ucieczce uczczonego iluminacyą króla, miała rada miejska wydać uchwałę, zapewniającą powszechne bezpieczeństwo i spokojność, uchwałę praktyczną i natchnioną nie zaściankowem wcale uczuciem. Znajdujemy w niej między innymi ten ciekawy szczegół, że na znak trwogi dla zwoływania ludu wytrębywano z wieży ratuszowej »piosnkę starodawną zwykłą, ledwie każdemu w Polsce znajomą Boga rodzicę«. Umiała rada miejska pilnować brukowania ulic, czyszczenia kanałów, budować wodociągi, stanowić przepisy sanitarne na czas zarazy, zaradzać pogorzelom i t. d. Gdy zasię »zacna rada« okaże się w czem niedbałą, już nie trąba ratuszowa, ale królewski głos z zamku na Wawelu przypomni jej obowiązki, już to dla uprzątnięcia jazów z koryta Wisły, już utrzymania

w stanie obronnym murów miejskich, albo nakazując, aby bluźniercy Maciejowi Sulikowskiemu odjęto urząd radziecki na Kazimierzu, w której to miejscowości sekciarze, jak się zdaje, obrali sobie dogodne siedlisko.

Stosław Łaguna.

16. Żórawie.

Pod tą cichą złotą zorzą
Żórawie leciały,
Z tem szerokiem, smutnem polem
Krzykiem się żegnały.

— Ty szerokie, puste pole,
Ty czarny ugorze!
Już my lecim, odlatujem
Za to sine morze!

Już my lecim, odlatujem
W te powietrzne drogi,
Nie będą nas więcej żywić
Twoje chlebne brogi.

Nie będą nas więcej poić
Wody strumieniące,
Nie zakrzykniem już hejnału
Na to ranne słońce!

Nie zakrzykniem już hejnału,
Bijący skrzydłami,
Nie zaszumią nasze pióra
Nad temi łąkami.

Nie zaszumią nasze pióra
W chorągwiane loty,
Nie poniosą twoich pieśni
W błękit jasny, złoty!

Hej! szerokie, puste pole,
W sinych mgłach stojące,
Czekaj ty nas a wyglądaj
To majowe słońce!

Czekaj ty nas a wyglądaj
Od zachodniej strony,
Jak zapachną trawy twoje
I ten gaj zielony.

Czekaj ty nas a wyglądaj
Rankami cichemi,
Jak się wiosna rozbłękitni
Dookoła ziemi!

A my drogi nie zagubim
Przez to morze sine,
Po pióreczku rzucać będziem
W szumiącą głębinę...

A my drogi nie zagubim
Z powrotem do ciebie,
Poznamy ją po tej zorzy,
Po tem bladem niebie...

Poznamy ją po tej rosie,
Co na tobie świeci,
Po tych jasnych, lnianych główkach
Twoich małych dzieci!

Lecą, lecą, odlatują,
Żegnać ich żałosno...
— Nie smućże się, puste pole,
Wrócą, wrócą z wiosną!...

Marya Konopnicka.

17. Zarozumiałość.

Syn Arystona, Glaukon, lubo dwudziestu lat jeszcze nie skończył, obałamucony przez sofistów marzył wciąż o objęciu rządów miasta i ani krewni ani przyjaciele nie mogli mu wybić z głowy tego przywidzenia.

Jeden dopiero Sokrates, który kochał go jako brata Platonowego, zdołał przyprowadzić go do rozsądku, nie bez trudu wszakże dokazawszy, by młodzieniec posłuchał jego rozmowy.

— Podobno ty, Glaukonie — zapytał go — chcesz stanąć na czele państwa?

— Tak jest, Sokratesie.

— Trudno zaiste o piękniejszy zamiar; jeżeli on ci się uda, zdolnym będziesz wyświadczyć przysługi przyjaciołom, wznieść dom własny i wzmódz potęgę ojczyzny. Znać cię będą w Atenach, niebawem w całej Helladzie i może, jak o Temistoklesie, posłyszą o tobie cudzoziemcy nawet. Rzecz oczywista, że musisz służyć krajowi, jeżeli chcesz, aby imię twoje było czczone. Ale, na Zeusa, nie kryj się przedemną, i powiedz mi, jaką to usługę chcesz nasamprzód ojczyźnie wyświadczyć?

Glaukon milczał, zastanawiając się, od czegoby zacząć.

— Prawdopodobnie — mówił Sokrates — ty chcesz kraj swój wzbogacić?

— Niewątpliwie.

— Zbogacić kraj, nie jestże to samo, co powiększyć jego dochody?

— Zapewne.

— To powiedzże mi, na czem polegają obecne dochody państwa i wiele wynoszą? Musiałeś nad tem się zastanawiać, ażeby, gdy jednych braknie, zastąpić je drugimi?

— Zaprawdę — odrzekł Glaukon — dotąd nie pomyślałem o tem.

— Jeżeli to uszło twojej uwagi, to zapewne znasz wydatki państwa, i te, co są mniej potrzebne, postanowiłeś znieść?

— I nad tem się nie zastanawiałem.

— Ha, to wypadnie nam odłożyć twój zamiar zbogacenia

kraju, który nie mógłby się powieść, skoro nie znasz ani jego dochodów ani wydatków.

— Ależ, Sokratesie, czy nie można zbogacić kraju łupami, zdobytymi na nieprzyjacielu?

— Bez wątpienia; tylko trzeba być silniejszym, bo z mniejszemi siłami łatwo jest stracić i to nawet, co kto posiada.

— To prawda.

— A więc — rzekł Sokrates — kto zamyśla o wojnie, musi znać dobrze potęgę i własnego narodu i nieprzyjaciół, ażeby według tego zachęcać do wojny, jeżeli siły są większe, lub zalecać roztropność, kiedy ktoś czuje się słabszym.

— Słusznie mówisz.

— Powiedz mi więc — zapytał Sokrates — jaka jest nasza siła lądowa i morska, a jaka nieprzyjaciół?

— Wyznaję — odpowie Glaukon — że w tej chwili nie wiem.

— To pewnie sobie gdzieś to zapisałeś: udziel mi swoich notatek.

— Nie, nic nie zapisywałem.

— To, jak widzę, nie prędkobyśmy rozpoczęli wojnę, choćbyś nawet i objął rządy, bo tak wiele przedmiotów musisz się przedtem nauczyć.

— W samej rzeczy, Sokratesie, dobrze radzisz.

— O ile słyszałem, Glaukonie — począł znów Sokrates — nie zwiedziłeś dotąd naszych kopalń srebra; nie wiesz zatem, dlaczego one teraz przynoszą mniej, niż przynosiły dawniej?

— Prawda, nie byłem tam.

— Więc i o kopalniach nic mówić nie będziemy. Lecz pewny jestem, że musiałeś dokładnie obliczyć, na jak długo wystarcza krajowi zboże, które w nim corocznie zbierają, tudzież, jak wiele co rok potrzebujemy, abyś na wypadek nieurodzaju zdrową radą i znajomością rzeczy mógł ojczyznę od głodu ocalić?

— To trudna sprawa, Sokratesie, żeby jeszcze i w takie drobnostki wchodzić należało.

— Przyznaj jednak, Glaukonie, że kto nie zna potrzeb swego własnego domu, ten nim zarządzać nie może. W mieście naszem jest przeszło dziesięć tysięcy domów; a że tru-

dno jest wszystkimi zawiadywać odrazu, czemu nie zacząłeś od zarządu domem swojego stryja? Po takiem doświadczeniu mógłbyś się podjąć obowiązku rozleglejszego; bo gdy jednemu domowi poradzić nie potrafisz, jakże chcesz być użytecznym całemu krajowi?

— Gdyby mnie był stryj usłuchał — rzekł Glaukon — byłbym mu oddał wielkie usługi.

— Jakto? — zakończył Sokrates — jednego stryja swego przekonać nie mogłeś, a chcesz przekonać wszystkich Ateńczyków i w liczbie ich swojego stryja? Ostrożnie, Glaukonie! bo niebezpieczna jest podejmować się tego, czego nie umiesz. Zamiast pochwał mogą cię spotkać nagany, zamiast czci, potępienie. Jeżeli pragniesz dostojeństwa i chcesz, ażeby imię twoje z wdzięcznością wspominano, pracuj nad ukształceniem własnem, zanim cokolwiek przedsięweźmiesz. Do kierunku publicznemi sprawami zabieraj się wtedy, gdy nauką i doświadczeniem postawisz się wyżej nad zwyczajnymi ludźmi.

Z *Xenofonta* tłóm. *K. Kaszewski* (Wypisy z autorów starożyt.).

18. Rzeczpospolita Babińska.

W Babinie, koło Lublina, mieszkał pan Stanisław Pszonka, herbu Janina, sędzia lubelski. Przodków jego znano z tatarskich wypraw, ale on dopiero zasłynął i z korda i z dowcipu na całą Polskę. Gdzie uczta, gdzie wesele, gdzie huczna zabawa, tam Pszonka rej wodził i w lot składał rymy pełne humoru, »kazania szlacheckie« sypał, jak z rogu obfitości — ale go też nie brak było, gdzie publiczna sprawa tego wymagała, albo gdzie sąsiadowi w pomoc przyjść było potrzeba.

Zła droga była tylko do Babina, a gdy się Pszonki pytano, czemu jej nie każe naprawić, odpowiadał, że strzeże błota koło dworu, jak oka w głowie, bo ono mu gości sprowadza. I rzeczywiście, kto raz przyjechał do Babina i złej drogi spróbował, ten niechętnie stamtąd wyjeżdżał, bojąc się z powrotem niebezpiecznej przeprawy. Sąsiad Kaszowski mawiał, że Pszonka umyślnie na to cztery woły trzyma, aby

wyciągali tych, co ugrzęźli na babińskiej drodze i wołają ratunku.

Kaszowski pół życia u niego przesiedział, gdyż często innego był zdania, aniżeli Pszonka, i nigdy nie miał dość czasu, aby go przekonać. Dwaj sąsiedzi założyli wesołe towarzystwo, Rzeczpospolitą Babińską, w której Pszonka był prefektem i burgrabią, Kaszowski kanclerzem, a innych urzędników mieli niemało.

Zdarzyło się, że podczas sejmu piotrkowskiego długie były deszcze, a przeto w Babinie na błocie i na gościach nie zbywało; wszyscy koryfeusze Rzeczypospolitej zjechali się, aby nowych przyjmować obywateli i rozdawać dostojeństwa. Gwarno też było w modrzewiowym dworze, otoczonym lipami i nizkim bukszpanem, a napis nad głównemi drzwiami: »Śmiech i dobre sumienie zawsze w parze idą« dobrze usposabiał dla mieszkańców domu.

W wielkiej izbie kilkunastu się zgromadziło szlachty. Izba tchnęła prostotą; na głównej ścianie wisiał duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed nim gorejąca lampa, po kątach było widać poprzybijane wiązki święconego ziela, a nic na pozór nie okazywało, aby tu miała być lekkiego humoru siedziba. Trzeba było dopiero wejść pomiędzy towarzyszy.

— Pan Rej z Nagłowic ma głos! — rzekł Pszonka, siedzący na czele stołu i dzierżący w ręku rodzaj buławy z wizerunkiem błazna, wyrzeźbionego ze słoniowej kości...

— Nasza Rzeczpospolita — odezwał się pan Mikołaj — coraz się większem cieszy powodzeniem. Jak pszczoły do ula, garnie się do nas szlachta, a wkrótce więcej będziem liczyć poddanych, aniżeli Król nasz Najjaśniejszy. Nie dziwić się zresztą temu, bo chociażeśmy niedawno stolicę założyli w Babinie, to przecież państwo nasze jest dawniejsze, aniżeli państwa greckie, perskie i wszystkie inne, bo jeszcze Dawid powiedział, że każdy człowiek kłamcą jest, a kłamstwo jest zasadą i istotą naszej Rzeczypospolitej, w której i Daryusz i Aleksander i cały świat jest objęty.

— Wnoszę, żeby nazwisko Dawida króla wpisać do naszych ksiąg jako pierwszego Babińczyka! — przerwał pan Dereśniak.

— Nad rzeczą tą później obradować będziem — odezwał się Pszonka — nasz Totumfac, pan z Nagłowic, ma jeszcze więcej do mówienia.

Rej znowu rozpoczął:

— Otóż dowodem tego, jak się rozwija nasza Rzeczpospolita, jest mnóstwo listów, które dostajemy od szlachty proszącej, aby ją wpisać w poczet towarzyszów babińskich. Odpowiedzi na te listy wygotuje kanclerz; senat babiński zechce wszakże naprzód postanowić, kogo przyjąć w nasze grono, a kto po wieczne czasy ma być wykluczonym.

— Przeczytajcie kandydatów — rzekł Pszonka.

Rej zaś na to:

— Lupa Podlodowski podnosi swe zasługi w poselskiej izbie, prosząc, aby go przyjąć za »sejmowego milczka« Rzeczypospolitej Babińskiej, albowiem dużo na sejmikach mówi.

— Raczej go zrobić cyrulikiem starej królowej, bo jej krwi złotej nie mało upuszcza — zgryźliwie przyciął pan Derśniak.

— Nie szlachecka to rzecz z cudzem złotem mieć do czynienia — odrzekł pan Pszonka — podwoje do naszego senatu dla takich zamknięte. Trzeba odpisać panu Podlodowskiemu, aby się podał na wielkiego podskarbiego księstwa Baryjskiego.

— Są i tacy — mówił dalej pan Rej — którzy wprawdzie nie proszą o zaszczyt należenia do naszego towarzystwa, ale tak dobrze zasłużyli się około rzeczy naszych, że ich przyjąć należy w poczet obywateli babińskich. I tak radbym, aby ze stanu senatorskiego zaprosić księdza prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego na generalnego spowiednika Rzeczypospolitej Babińskiej, albowiem głosi, że grzech, jakiby powstał, gdyby król odepchnął prawowitą małżonkę, bierze na siebie. Takich spowiedników nam trzeba, którzyby grzechy nasze przejmowali!

Wśród śmiechu zgodzono się na wniosek pana Reja. Następnie wniósł pan Derśniak, aby i pana Jana Tęczyńskiego zrobić urzędnikiem, gdyż utrzymuje, że chętniej wolałby Solimana Turczyna w Krakowie oglądać, aniżeli królowę Barbarę w Polsce.

— Niech będzie naszym hetmanem — odpowiedział

Bibl. Inst. Fil. Pol. W. U. P.

Pszonka — skoro tak łatwo otwiera nieprzyjaciołom granice. Niższy urząd trzeba nadać panu Tarle, który powiedział, że w Rzymie jeden kościół niedobudowany więcej kosztuje, niż pięćdziesiąt kroć sto tysięcy milionów, a jeszcze go nie dobudują do sądnego dnia. Powiedział także, że we Włoszech nie biją cieląt, aż dopiero w czterech latach.

— Można go mianować referendarzem cudzoziemskich spraw i podskarbim koronnym — wtrącił Rej.

Dalszy tok obrad przerwały jakieś krzyki i wołania w podwórzu. Gospodarz zrozumiał je natychmiast, a wychyliwszy się przez okno, zawołał:

— Posłać woły na przyprzążkę!

Jakiś gość ugrzązł w błocie, więc wszyscy Babińczycy powychodzili na ganek ciekawi, kto z deszczem przybywa. Po chwili zobaczono w bramie duży wóz, czterema zaprzężony końmi i czterema babińskimi wołami.

— Sam Nabuchodonozor nie jeździł tak wspaniałym zaprzęgiem — odezwał się któryś z gości.

Przybył kanclerz babiński, pan Kaszowski, i przywiózł ze sobą Piotra Boratyńskiego, podstarościego krakowskiego. Zaprowadzono ich do wielkiej izby i kazano na wstępie Boratyńskiemu wpisać swe nazwisko w księgę babińskich towarzyszy jako zobowiązanie, że odtąd będzie strzegł interesów i honoru Rzeczypospolitej. Na czele księgi było napisano:

Niech prawica pióro, lewa puhar trzyma:
Pisząc a pijąc — troski o los niema.

Rozgościwszy się, opowiedział Boratyński, że go do Babina przysłała stara królowa, która wiele słysząc o wielkim dowcipie a czci Babińczyków, kazała mu wręczyć pieczęć, godną takiego kanclerza, jakim się szczyci zacne towarzystwo.

— Podziękujcie od nas — odpowiedział Pszonka — za ten dar Najjaśniejszej Pani i powiedzcie jej, że gdyby Rzeczpospolita miała jeszcze królewską godność do rozdania, gdyby panujący nam miłościwie Zygmunt August nie był już jej królem, toby w zamian za pieczęć przysłała swą koronę królowej Bonie. Obecnie jednak babińscy towarzysze inaczej się wywdzięczyć nie mogą, jak mianując Najjaśniej-

szą Panią opiekunką dostojnej małżonki naszego króla, która, zewsząd uciskana, starannej potrzebuje ręki.

Kaszowski i Boratyński zerwali się, jakby ich kto zimną wodą oblał, a pierwszy z nich zaraz odpowiedział:

— Zapominacie, burgrabio, że Najjaśniejsza Pani, jak i wielu z nas, jesteśmy przeciwnikami nieprawnego królewskiego związku z wdową po Gasztołdzie.

— Tytuł taki byłby ubliżeniem dla starej królowej — dodał Boratyński.

— Prócz was, kanclerzu — spokojnie odpowiedział Pszonka — i nowego naszego towarzysza, którego nam miło gościć w naszym domu, niemasz w babińskim senacie przeciwnika królewskiego związku. Wszak tak, panie Mikołaju? — dodał, zwracając się do Reja.

— Za czem serce przemawia, za tem my idziemy — odpowiedział poeta — żeby było, gdybyśmy nie stali po stronie Królewskiej Miłości...

— Widzę więc, że w Babinie — z wzrastającą gwałtownością odezwał się Boratyński — rozum nie panuje!

— Odkąd do towarzystwa przystępują członkowie, którzy nie wiele go mają — odciął Rej.

Boratyński już o szablę uderzył, ale Pszonka wstrzymał go, mówiąc żartobliwie, że w Babinie tylko piórem a puharem wolno walczyć.

— To mnie wykreślcie z tej księgi — wołał Boratyński, wskazując na kartę, na której się przed chwilą zapisał.

Rej skwapliwie zmazał Boratyńskiego nazwisko, mówiąc:

— Za duszę zmarłego Babińczyka przez tydzień po kielichu węgrzyna wypić potrzeba.

Boratyński mimowoli się roześmiał, a podając rękę Rejowi, zapytał:

— A za duszę Babińczyka, który z martwych powstał?

— Ten, co z martwych powstał, co się nawrócił na naszą wiarę, dwa musi wychylić puhary.

— Dajcie więc wina, panie gospodarzu — odrzekł Boratyński — wypełnię tę karę a przyjmijcie mnie napowrót do waszego koła.

Pszonka uściskał Boratyńskiego i wesołość była wielka

w Babinie, a Kaszowski mówił, że od czasu, jak jeździ do Pszonki, jeszcze z nim nigdy nie był jednego zdania, a mimo to nierozerwana łączy ich przyjaźń; tak samo też i teraz: on jest przeciw królewskiemu małżeństwu a Pszonka broni Gasztołdowej — a przecież na chwilę waśni nie zaznali.

— Łączy nas dobra wiara, cnota i poczciwa stałość — rzekł Pszonka, a Rej odpowiedział:

Wielki to klejnot; kto to w sobie czuje,
Stałością pisze, cnotą pieczętuje.

Kazimierz Chłędowski (Królowa Bona).

19. Duma o Samuelu Koreckim.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi
Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż, kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano;
Pięć dni go siekli groźni najezdnicy,
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt — odrzekł Samuel — sam tak chciałem: u mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy straże,
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z poza świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczń natknięto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały!

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławe brzaski?
Chrzęsły wrzeciądze. — Kto tam? — Czausz sułtana
Wchodzi zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To, co rzekł zwiastun, snać złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alić tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły —
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści,
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu ściąwszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi:
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwścieka imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża;
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nieugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibądź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

Felicyan Faleński.

20. W niewoli tatarskiej.

Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niej przywykłem, żem prawie zapomniał, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: »Ptaszyny marne! ach, mówcie Rzeczypospolitej i wszelkim stanom, żem jako szlachcic patryota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem«. Koniec mej nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna.

Na niebie nad Krymem zjawiła się rózga gniewu Bożego, kometa, i sinem okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni Tatarowie z gwarem, brzękaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu ciskali, aby zastraszyć onego ptaka złej wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny; bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść tej wiosny do Rzeczypospolitej dwoma szlakami — i nie poszły. Ludzie kupami na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, skąd miał »czarny dziw«, jak go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór się już w stolicy chanowej pokazał. Sam chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie.

Przybył tedy chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. *Praefectus* Sukyman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarz przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy nie wiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodżów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się, aby w wielkiem nagromadzeniu ludzi łatwiej nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, zwykle w tej części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłówne, a inne ułusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliżej przyszła. Dziękował tedy Bogu chan za ocalenie i szczodrze wróżbitów obdarzył, a wielu też niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni frukta łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba.

Pewnego razu przejeżdżając podle barłogu, na którym leżałem, bardzo blizko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, coby to był za człowiek tak nędzny. Ten co odrzekł, nie wiem; widziałem jedno, że długo ze sobą

rozmawiali i widać Sukyman na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżył, gdyż w końcu rzekł głośno: »Spróbuj go, panie!« Czem zaciekawiony chan sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim krzycząc: »Na twarz, psie niewierny!« — alem tego nie uczynił, choć mnie długiemi trzcinami po głowie bić poczęli. Więc on władca, zbliżywszy się, pytał: »Czemu na twarz przedemną upaść nie chcesz?« Odpowiedziałem mu: »Panie, jeśli szlachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił«. Tu chan, odwróciwszy odemnie twarz, rzekł: »Roztropnie mówiłeś, Sukymanie«. A potem do mnie: »Gdybym ci wybór dał: albo cześć mi oddać i na twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzeć — cobyś wybrał?« Na to odrzekłem, że niewolnikowi wybierać nie przystoi; niechże więc uczyni ze mną, co zechce, niech jednak baczy, że każdy najpodlejszego stanu człowiek może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy, w woli Boga swoje *initium* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiej swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa. On, zastanowiwszy się nad mojemi słowy, tak potem mówił: »Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał«. Odrzekłem: »Ciało moje jest tylko w niewoli«. Co słysząc Tatarowie pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go roztropnym. Namyśliwszy się tedy, odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: »Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni«. Więc potem miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie, mówiąc: »Pan nasz cię nie zapomni; ale gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas«.

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojej, jeszcze mnie na barłogu leżącego, już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: »Rozważyłem — rzecze — słowa, któreś

rzekł, w mądrości mojej i na wagach sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męstwo łaskę u mnie; mów tedy, czegobyś pragnął, abym dla cię uczynił?« — Odpowiedziałem, że we wolnym zrodzonemu stanie, wolność najmilszym by mi była fruktem łaski jego. On spytał: »A gdy ci jej odmówię?« — »Tedy daj śmierć« — odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, aby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsiębierze. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namyśliwszy się, mówił: »Giaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowo: żółty tołub ci dam, do dworu mego cię wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż z dobrej woli służyć mi będziesz«. Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomyślałem, że to pokusy są może szatańskie; a potem jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: »Czem byłeś na świecie?« Zali rzeknę owym rycerzom w boju poległym: »Koniuszym byłem z dobrej woli tatarskim«? I okrutny strach mnie zdjął przed tem ojców pytaniem, większy, niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do chana ręce, wołałem: »Panie! woli ty mojej nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nie tylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu, w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wziąwszy, muszę im go odnieść nieskalanym«. »Niewolniku, złamałeś łuk« — rzekł chan i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniew począł występować na jego oblicze; ale się opamiętał i takiemi do Sukymana ozwał się słowy: »Mądry Sukymanie! Zaprawdę, w łasce za daleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u nóg twoich w pokorze się czołgał«.

Wtem odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzeć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wytężywszy, o to najwięcej Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa

została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, żem przedstawiciel jest tej siły krzyża, co się nie zgina, żem ja tu poseł jest Rzeczypospolitej, na mękę od stanów delegowany, żem ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus*, powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, tak niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś mnie siec surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynąłem. Pytali mnie tedy: »Padniesz twarzą?« Odpowiadałem: »Szlachcicem polskim jestem«. Wtedy ci siekli mnie na nowo, inni zaś ogień wolny pod nogami memi zapalili abym się piekąc, prędzej o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdlałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitej: »Widziszże ty mnie i słyszysz?« Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Perekop, doszedł mnie głos: »Widzę!« — W dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiem obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nademną i poczułem, że lecę, na ręku onej niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: »Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach! Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów paladynie cichy, krwawej ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!...« I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą.

Wóz skrzypiał podemną i wiatr obwiewał mnie świeży, a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę: step jedno, step, jak morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jasełeczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: widzę przy sobie twarz starą Chimka, marszałka JW. Tworzyańskiego,

któremu, z domu wyjeżdżając, dukatów ważnych trzysta na prowizyę oddałem, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: »Bogu niech będzie chwała, jużeś nam waćpan oprzytomniał«. Pytam: »Gdzie jadę?« — »Do Rzeczypospolitej.« — »Wolny-m jest?« — »Wolny«.

Chimek chana już w Kizlich nie zastał, który, gdy zaraza przeszła do miasta, zwanego Eupatoria, wyjechał, a Sukyman, za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał. *Henryk Sienkiewicz.*

21. Zawiązki dziejów Zaporoża.

W czasach zamierzchłej przeszłości kończyny wschodnie kraju miały ludzi śmiałych, zbrojnych, lekkich jeźdźców którzy dorywcze boje toczyli z wrogami, również dorywczo wpadającymi i zbrojną ręką coś urywającymi. Ludzi takich nazywano z mongolska — kozak. Gwagnin dość dokładnie określa, co to jest kozak. Mówi on, że to »chudy pachołek, nikomu nie poddany, zdobyczy sobie szukający, a za pieniądze, komu chce, służy«. Określenie dość dokładne. Orężny jeździec, nieujęty w karby wojskowej karności, zbrojny ochotnik, po części opryszek — to »kozak«. Tacy kozacy, orężni ochotnicy, ukazują się bardzo wcześnie, ale nie w ziemiach środkowego, bądź dolnego Dniepru; ukazują się oni na wyżynach, oddzielających górną Dźwinę od górnego Dniepru; najwcześniej ich widzi ściana pograniczna, oddzielająca litewskie ukrainne, t. j., pograniczne grody od świeżo wyzwolonego z mongolskiej niewoli wielkiego księstwa moskiewskiego: są oni obrońcami północno-wschodniego węgła Litwy. Wieść jednak o nich prędko tam ginie, a niebezpieczeństwa od drugiej połowy XV. w., srożące się na całej południowej połaci Polski — na krańcach Braclawszczyzny i Kijowskiego — każą tam wyszukiwać środków obrony. Stają więc kupy orężne, niesforne, lecz bitne, gromady lekkiej jazdy, umiejące sobie dawać radę z resztkami dawnych koczujących plemion, co się po stepie jeszcze tułały, a niemniej i z nowym wrogiem, Tatarzynem. Kozactwo było podczas Jagiellońskiej doby pawężą skuteczną przeciw napadom tatarskim; była to obrona grodów południowych. Kozactwo

jednak i Sicz na Niżu — to dwie rzeczy różne. Kozactwo, acz tworzyło się na kończynach ziem zasiedlonych, których w gródkach miało być obroną, miało pewne czucie z krajem. Sicz zaś wytworzyła się wśród innych warunków przyrody, wśród większych niebezpieczeństw i z wybitnymi ślady organizacyi rycerstwa zakonnego, którą wiatr Zachodu przyniósł na jałową ziemię Pól Dzikich, na niespopielałe jeszcze ogniska koczowisk hord stepowych.

Pierwszy ślad sadowienia się jednostek orężnych na Niżu spotykamy bardzo wcześnie. Za dni kończących rządy Kazimierza Jagiellończyka przybywają wielekroć do Kijowa z »Niżu« (t. j. z dolnego Dniepru) kozacy, którzy bawili się handlem. Są o nich dziejowe wskazówki, mówiące nam, że przybywający do Kijowa »kupiec chrześcijanin albo mieszczanin albo kozak« powinien był składać pewną daninę; zarówno też i ci, co pływali z Kijowa na Niż (w dół rzeki) w celu zarobkowania, obowiązani byli do dawania wojewodzie »dziesiątej części« z tego, co zdobędą. Wyróżnianie w dokumencie dziejowym kozaków, jako stanu oddzielnego, jest dowodem, że nie tylko jeździec zbrojny, orężnik pojedynczo, samopas walczący, ale włóczęga stepowy, szukający dróg zbogacenia się, również miano kozaka nosił. Widocznie, iż zanim oddali się wyłącznie rycerskiemu rzemiosłu, kozacy byli poszukiwaczami pomyślności na innych drogach: szukali jej w handlu, rybołóstwie lub w niebezpiecznych przygodach. Starostowie grodów ukraińnych, w naddnieprzańskiej Ukrainie, wytworzyli z nich straż grodową, a zatem żywioł pożyteczny, wywiązujący się wybornie w początkach istnienia swego z obowiązków, które się stały ich udziałem.

Jednocześnie z kozactwem miejskiem tworzy się kozactwo niżowe. Tworzy się ono poza ziemiami osiadłemi, wśród przyrody innej, stepowej i dzikiej. Kozactwo to — instytucya nader oryginalna, mająca dużo własności zakonu rycerskiego — od Niżu przybrało nazwę Niżowców lub Zaporożców, gdyż »za progami« pierwsze ich zawiązki się spotykają. Stowarzyszenie orężników niżowych nie wytworzyło się w jednej chwili, nie było czynem jednego człowieka. Zawiązywały je lata i duch rycerski, który wiał od półno-

cnych krawędzi stepu, z Bracławszczyzny, z południowych kończyn Rzeczypospolitej. Bracławszczyzna, t. j., ziemie nad Bohem rozścielające się, na zachód zaś ku środkowemu biegowi Dniestru sięgające, były sąsiadką najbliższą stepów, nic więc dziwnego, że największej ilości bojowników stepowych owe właśnie ziemie dostarczały. Ci, co szli na Niż z Bracławszczyzny, przynosili z sobą ducha rycerskiego i tradycye zachodniej cywilizacyi. Warunki dziejowego rozwoju Bracławszczyzny, od początku prawie XV. w., przelewały tam mniejsze własności do rąk starych, możnych rodów, które z Wołynia, z Podola, z Rusi Czerwonej, z ziem bezpiecznych przybywając nad Boh, stawały się strażnikami niejako ziem Bohowych i środkowego Dniestrowego porzecza. Tam zawiązywały te rody od niepamiętnych czasów bractwa rycerskie. Możny właściciel ziem obszernych, posiadający środki obrony owych ziem i innych sąsiednich, który wznieść mógł zamek i opatrzyć go w stosowny, bojowy rynsztunek, stawał się sztandarem, około którego grupowały się drobne, uboższe rody szlacheckie. Tacy bojownicy, w stosunku do możnych, tworzyli tak zwane poplecznictwo orężne: był to rodzaj bractwa, którego członkowie, nazywani poplecznikami, zobowiązywali się do wzajemnej obrony. Wyraz »druh poplecznyc spotyka się często w urzędowych dokumentach XVI. i początku XVII. w. Z biegiem czasu, jeśli który z członków tych możnych rodów stanął wśród »Dzikich Pól« u katarakt Dnieprowych, jeśli się zetknął z orężnym fermentem społecznym, który się od XV. wieku siedlił na łęgach »za progami«, i zdobył tam bodaj chwilową przewagę, wziętość, czynił usiłowania szczepienia tegoż samego orężnego poplecznictwa na Niżu, jakie istniało, kwitnęło w południowych województwach Rzeczypospolitej. Do orężnego poplecznictwa przywiązywano pojęcie cnoty rycerskiej, wolnej od wszelkiego zarzutu. Samuel Korecki, postać nader rycerska, znana w pieśniach ludu, który o nim na Ukrainie śpiewał: »Buw pan Koreckij... win nebesnu syłu maw i wojewaw...« Korecki, idąc na wyprawę turecką pod buławą Żółkiewskiego, która to wyprawa skończyła się klęską cecorską, pisze rodzaj testamentu i napomnień dla swych druhów poplecznych, gdzie czytamy takie wzniosłe określe-

nie cnoty szlacheckiej, a więc rycerskiej: »Cnota szlachecka — pisze on — powinna być, jako oliwa na napoju każdym«. Maluczki ten rys pojęć naszego rycerstwa XVI. w., które zabiegło na Niż i kumało się z orężnikami, tworzącymi tam zbrojną gromadę, zupełnie wolną, acz na ziemiach Rzeczypospolitej gnieżdżącą się, przyczynia się niemało do wynalezienia klucza zagadki, skąd zbiegowie ziem różnych, w pewnej części z ludu wiejskiego pochodzący, mogli mieć pojęcie o bractwach rycerskich, skąd do nich zabłąkać się mogła myśl o organizacyi orężnej, przypominającej zakon rycerski.

W Polsce to jedynie, nie zaś gdzieindziej na Wschodzie Europy, powstawały w XVI. w. zamiary zawiązania zakonu rycerskiego, któryby był obroną od niewiernych. Widzimy tę myśl podnoszoną u nas, od czasów Kazimierza Jagiellończyka do dni Batorego, bardzo wiele razy. Już podczas wojny o odzyskanie od Krzyżaków dolnego Powiśla (zatem przed r. 1466.) słyszymy o projekcie przeszczepienia Teutońskiego zakonu — Krzyżaków — z grodów dolnego Powiśla na stepy południa polskiego, graniczącego ze światem pogańskim. Projekt ten nigdy nie przekroczył granicy dziedzin marzeń politycznych, chociaż poruszano go kilkakrotnie znacznie później nawet. Józef Wereszczyński, biskup kijowski, mąż gorliwy o dobro publiczne, zachęca już za czasów Zygmunta III. do wytworzenia zakonu rycerskiego na Zadnieprzu, któryby bronił Rzeczpospolitą od najść tatarskich; lecz i ten projekt dalekim był od urzeczywistnienia, nie zszedł z kart broszur politycznych na grunt życia rzeczywistego. Znacznie wcześniej Jakób Podlodowski, w celu wyżej wskazanym, marzy o zawiązaniu na Ukrainie zakonu rycerskiego św. Łazarza, ale i tego projektu nie zdołał Podlodowski wcielić w życie. Były i inne w tym kierunku marzenia i zamiary mniej rozgłośne, na karcie dziejów nie zapisane, świadczące jednak, że myśl polskiej społeczności ku wytworzeniu tego rodzaju instytucyi niejednokrotnie się zwracała. Prawa bractwa niżowego, nigdy nie tworzące kodeksu spisanego, a jedynie istniejące w tradycyi, zbliżające się w niektórych swych orzeczeniach do reguły zakonnej (zachowywano bowiem w Siczy z całą ści-

słością celibat), świadczą, iż jeden z tych projektów zakonów rycerskich, z którymi polskie umysły niejednokrotnie się nosiły, otrzymał na Siczy pewne urzeczywistnienie.

Przecław z Brzezia Lanckoroński rozpoczyna szereg tych mniej więcej znanych twórców siczowego bractwa. Przemożny ten pan małopolski, wszedłszy w posiadanie starostwa chmielnickiego, stanął tem samem na pograniczu krain, wystawionych na bezpośrednie niebezpieczeństwo najazdów tatarskich. Wiąże on więc około siebie całą sieć poplecznictwa orężnego, stają pod jego chorągwie liczne druhy popleczne, zubożała, z mienia przez Tatarzyna wyzuwana szlachta, która, chcąc ocalić siebie i swą ziemię od łyk pogańskiego jassyru, poddaje się rozkazom możnego rycerza-protektora, staje na stanowisku jego klientów. Poplecznictwa sieć rozszerza się coraz dalej i szerzej; rycerz małopolski nie poprzestaje na tępieniu wroga wtedy tylko, gdy ten wpada do ziem osiadłych, szuka go w pustyni, zapędza się pod warowne częstokoły Oczakowa; nic więc dziwnego, że docierał do progów i pomnażał swych druhów poplecznych spotkanymi tam zastępy orężników różnej wiary, pochodzenia i języka. Chęć walki z niewiernymi, często chęć wysunięcia się z pod opieki prawa, jednoczyły różnojęzyczne jednostki, różne co do stopnia kultury, pochodzenia, pojęć. Przecław Lanckoroński potrafił w dziczejące gromady tchnąć ducha rycerskiego, zjednoczyć je obyczajem prawdziwego chrześcijańskiego rycerstwa. Eustachy Daszkiewicz również, ze stanowiska starosty zamków ukraińnych, rozszerza swój wpływ na Niż. Staje on tam jako urzędowy niejako organizator, pierwszy stara się uchwałami sejmu skleić oazę daleką stepowego rycerstwa z Rzecząpospolitą. Było to za dni Zygmunta I. Zachodnie prowincye Polski po raz pierwszy dowiedziały się o Siczy, która już wtedy w bractwo orężne była zorganizowaną i mogła już 6000 orężnika do boju wystawić. Słuchano na sejmie przedstawień Daszkiewicza o zorganizowaniu z Niżowców stałej straży na Dnieprze, ale do uchwał stanowczych nie przyszło. Nie dbano wówczas, jak i później, o siłę i jedność państwa, o zrąb Rzeczypospolitej, który mógł się łatwo rozluźnić i rzeczywiście rozluźnił. Dymitr Wiśniowiecki i Samuel Korecki, obaj możni kniaziowie

ziem ukrainnych, zapisali swe imiona nie tylko na karcie dziejów, ale i w fantazyi ludowej. Poezya ukraińska, ludowa, przed wiekami, a zarazem i poezya nasza współczesna, mówią o nich. I jedna i druga barwami jaskrawemi malują owe postacie. Lud ukraiński czcił je znać obie zarówno, bo w wyobraźni ludowej zlewają się one w jednę postać bohatera, rycerza olbrzymich czynów. Cześć ludu jest dla nas miarą, jaką przewagą odznaczali się oni wśród ziem niżowych. Oto pieśń ukraińska, ludowa, oddająca hołd ich pamięci, lecz w tej pieśni Wiśniowiecki Dymitr, kończący swój rycerski a zarazem awanturniczy żywot na haku wieży sułtańskiego więzienia w Stambule za czasów Zygmunta Augusta, i Samuel Korecki, jeniec z pod Cecory, później, niż w pół wieku, bo już w XVII. stuleciu zamordowany w tej wieży, jednoczą się w jedną całość. Dla poetycznej fantazyi ludu znika przestrzeń czasu, znikają rysy charakterów, różniące ich wzajem: jednaki duch bohaterski spaja te dwie postacie w jedną.

Buw pan Korećkij,
Dmytro Wysznowećkij,
Win nebesnu syłu maw,
I wojewaw,
Hromom, ta swoim słowom!...
Jeho newirny ne zlubyły...
Łowyt' na joho wartowały,
Łowyt' na joho czatowały,
Potom joho spojmały
Taj w kajdany zakowały,
I rebro joho krukom zatiahały,
I na stini prybywały...
Wysyt' pan Korećkij ne deń i ne dwa,
A wysyt' ot tak sim hoda,
I ne ist' i ne pje,
A taki wse swoje dumaje...

Przytoczony tu fragment pieśni jest jednem z świadectw dziejowych rycerskiego służenia rycerzy polskiej Rzeczypospolitej bezpieczeństwu ziem ukrainnych. Dymitr Wiśniowiecki w dziejach siczowych zaważył najbardziej. Dużo on tam przelał swego ducha rycerskiego, lecz zarazem nie zaszczepił karności bojowej, gdyż sam jej nie miał. Zygmunt August pragnie go z owych stepów dzikich sprowadzić do

ojczyzny, do wnętrza Rzeczypospolitej, gdzie jego miejsce właściwszem by było, lecz Dymitr niesforny nie wraca. Buduje na wyspie Charcicy (Chortyca) warownie przeciwko Tatarom, których to warowni ślady ziemne do dziś tam wznoszą się, ale z Niżu nie wraca; i bezwiednie spełniając misyę dziejową Rzeczypospolitej, niesienia myśli rycerskiej na Niż, gdzie więcej było usposobień rozbójniczych, niż innych, sam w tym zawodzie zatraca się, ginie dla społeczeństwa i dla cywilizacyi, wśród której wzrasta na chrześcijańskiego bojownika. Biegnąc na Niż, niesiono tam polski język i polski obyczaj... Wśród różnojęzycznych gromad mowa nasza bujniała tam gwarnie; w pierwszej epoce zawiązków Siczy mówili po polsku wszyscy znakomitsi rycerze siczowi. Są w tym względzie poważne świadectwa dziejowe. Bielski przy schyłku XVI. w., a monasterscy letopiscy kijowscy, jak Leon Boboliński w XVIII. stuleciu, mówią nam o tem jednomyślnie, a zgodnie z biegiem dziejowych wypadków. Świerszczo ski, lublinianin, Wawrzyniec Kozłowski, herbu Jastrząb, płoczczanin, Zadorski, Janczyc, Zaleski, Kopyłowski, Beskowski, Libiszowski, Sokołowski, Czyżowski, Bogucki, których jednocześnie (w r. 1574.) widzimy w siczowych szeregach, chodzili na tatarskie potrzeby pod znakiem wawelskiego Białego Orła i inną, niż polską mową, nie mówili. Samuel Zborowski, co tam nosił swą swawolną głowę i jego »popleczni orężnicy«, acz często ze swą macierzą skłóceni, nie używali na Niżu innej prócz polskiej mowy... I zaiste, póty rzeczywistej sławy Zaporoża, póty ono żywi w swem łonie ducha rycerskiego, póty wydaje ze swych szeregów »mężów lwiego serca« i jest rzeczywistą zaporą od wrogów, póty Sicz mienić się może »tarczą Ukrainy«, póki Rzeczpospolita była jej macierzą, a orzeł wawelski powiewał nad jej zbrojnymi tabory... Gdy tej opieki nie stało, Zaporoże przedzierzga się na gromadę prawie zbójecką; wyższe pragnienia znikają w piersiach jej bojowników i wreszcie nadchodzi rok 1775., gdy pieśń ludowa wielkie requiem dziejowe nad sławą i samem istnieniem Siczy zaśpiewała.

Maryan Dubiecki (Obrazy i studya historyczne).

22. Karol Chodkiewicz.

Kiedy Batory na Moskali godzi
I litewskie pułki zbiera,
Grono młodzieńców drogę mu zachodzi,
By powitać bohatera.

»Któż to pacholę? — król Stefan zapyta —
»Tej pięknej, śmiałej postawy?
»Albo się mylę, lub nad nim już świta
»Promień bohaterskiej sławy«.

Był to Chodkiewicz; z młodości poranku
Rycerskie lubił ćwiczenie,
Godził na ostre lub w zawartym szranku
Żelazne zrywał pierścienie.

Gdy pierwsze stawił pod Zamojskim pole,
Wódz hamując zbytek męstwa,
»Na lepsze — wołał — zachowaj się dole:
Czekają ciebie zwycięstwa«.

Spełnił Chodkiewicz, co wódz zapowiadał,
Wielkim stał się wojownikiem,
Niejedną klęskę bitnym Szwedom zadał
Odwagą i zręcznym szykiem.

Przezeń Inflanty Polsce się wróciły,
On zgiął dumę Sudermana;
Przezeń Kirchholmska z nierównemi siły
Pamiętna w dziejach wygrana.

Tam w wątłych łodziach ogień niosąc wzdęty,
Morskiej powierza się fali,
Pod Salą szwedzkie napada okręty,
Zwycięża, bierze i pali.

Ilekroć Polska nieprzyjaciół miała,
On wszystkich walczy, zwycięża:
Turczyn, Szwed mężny i Moskwa doznała
Dzielności jego oręża.

Z trzech części świata zebrał Osman dumny
Liczne szyki pod Chocimem;
Juczne wielbłądy, działa i lud tłumny
Posępnym ćmiły się dymem.

Waleczny hetman w bitwach zapalczywych
Na czele swoich naciera,
Dowodzi, walczy w wycieczkach szczęśliwych,
Przeważne tłumy odpiera.

Próżno Karakasz przykładem i głosem
Do rzezi hordy zagrzewa,
Bo wnet, śmiertelnym ugodzony ciosem,
Bluźnierczą duszę wyziewa.

Ugięty Osman przez okropne straty,
Gdy już umowy zawiera,
Chodkiewicz złaman trudami i laty,
Do namiotu wodze zbiera.

Stał hetman polny i rotmistrze dzielne,
Gdy z łoża wódz się podnosi;
Każdy z nich widząc znaki w nim śmiertelne,
Łzą cichą jagody rosi.

Wódz się odzywa: »Kochani rodacy,
W zbyt ciężkiej rzucam was chwili,
Lecz się nie trwożę, jesteście Polacy:
Walczcie, jakeście walczyli.

Niech w was ojczyzny pamięć nie ustaje.
Tu wodzów tuli do łona,
Lubomirskiemu buławę oddaje,
Ściska za rękę i kona.

Już się żałosny płacz w obozie wszczyna,
Pogonie kirem okryte;
Ten świetne pod nim zwycięstwa wspomina,
Ów miasta szturmem zdobyte.

Osman czcząc w wodzu pomyślność oręża,
Acz silna jego potęga,
Na martwych zwłokach walecznego męża
Mir wieczny Polsce przysięga.

J. U. Niemcewicz.

23. Piękny czyn Zbaraskiego.

Noc była już późna, obóz spoczywał we śnie pogrążony. Około ciemnego namiotu hetmana chodziły czaty, namioty innych wodzów spały także: zdawało się, że sen

wszystko ogarnął, wszystkich przytulił, uśpił niechęci, jeżeli były, i stanął na straży serc ludzkich, różnemi namiętnościami potrącanych. Nie wszędzie jednak panowała cisza i senność. Z jednego namiotu biła czerwona smuga światła i odzywały się gromkie okrzyki: »Na bój! Śmierć lub zwycięstwo! Za Dniestr! Był to namiot kniazia Koreckiego, a owe okrzyki były odpowiedzią zebranych tam zwolenników kniazia na mowę p. Tomasza Zamoyskiego, który może nie bez wiedzy naczelnego wodza zawiadomił zgromadzenie o przyjętych przez hetmana warunkach pokoju. Rwano się do boju, wierzono w zwycięstwo, a oto, bez wypróbowania sił nieprzyjacielskich, przyjmują się upokarzające pokoju warunki, dobrowolnie do słabości przyznaje się — i to kto? Rzeczpospolita polska!... i kiedy? — w chwili, gdy jej oręż zwycięski na dalekiej północy granice państwa zakreślał.

Wstyd jakiś oniemił usta rycerskie, a boleść doznanego zawodu ciemną chmurą na czołach usiadła. Pierwszy Plichta poruszył się i przerwał milczenie:

— Zgnębiłeś mnie, kniaziu! — rzekł.

— Hańba! — zawołał Korecki. — Chocim oddany, Mohyłów krew się kurzy, do wolności naszych się biorą, a oto nie jesteśmy już pewni i siedzib własnych.

— Nie gwałtuj tak, kochanieńki — zaśpiewał litewskim akcentem Kopyciński — a pozwól mnie zrozumieć to, czego wyrozumieć nie mogę: hetman niewiernemu Turkowi Chocim oddał — widno, że tak trzeba było zrobić, a nam nie szczekać na jaśnie wielmożnego hetmana, jeno wody do gęby wziąć i siedzieć cicho. Mohyła po karku dostał, bo się rozkazowi jaśnie wielmożnego hetmana sprzeciwił. To trudno! niech słucha — taki jest Zakon Boży. Źle też nie zrobił, że obiecał wam, kochanieńkie, rogów przytrzeć... Każdemu bykowi tak robią, gdy bodzie. Ale dlaczego Berszadę ma spalić, to tego już ja wyrozumieć nie mogę: ani to forteca ani Mohyłów powinowata, tylko własność prywatna, którą uszanować samemu królowi godzi się.

— Berszada, hm!... Waćpan nie wiesz, co jest Berszada? — rzekł kniaź.

— I dlatego pytam, kochanieńki.

— W niej się kozactwo zaporoskie kupi i stąd zagony

rozpuszcza w dziedziny padyszacha. »To gniazdo żmij — jak się Skinder-basza wyraził — musi być zniszczone«. Musi, rozumiesz waszmość?

— Ten Turek dobrze się wyraził, kochanieńki!

— U waćpana wszystko dobrze! — prysnął kniaź — Szkoda, że skóry waścinej na sandały dla siebie nie zażądał: nie wiem, jako wonczas byłoby.

— A niechby ją złupił, kochanieńki, jeżeli z tego dobro dla Rzeczypospolitej wypaśćby mogło.

Książę Zbaraski wpatrzył się w Kopycińskiego, a kniaź tak dalej prawił:

— Dobro, nie dobro, ale jako mi się widzi, Zbaraski kniaź zapytany być powinien: jego to własność, on jeden pozwoleństwo może dać, lub nie dać! Ale hetman wiedział, że pozwoleństwa takiego nie będzie, a Dniestr zanadto mu się pogłębił, więc gwałtu dopełni i Skinder-baszy z Berszady iluminacyę sprawi. Kto wie, czy już podpis hetmański nie spoczął na podanym przez Turków pergaminie.

— Za wielką hańbą pokój byłby okupiony — odezwał się głos z boku.

— Hetman się cofnie, podpisu jeszcze niema — ktoś wtrącił.

— Wiem, że położony będzie — ozwał się Zamoyski.

Na to się podniósł książę Zbaraski i rzekł z mocą:

— Ja, mości panowie, wiem, że... nie będzie!...

— Aaa! — zabrzmiał okrzyk uradowania.

I wołania dały się słyszeć:

— O Berszadę pokój się rozbije!...

— Zbaraski przy prawie swem obstanie!

— Za Dniestr pójdziem!...

— Zobaczy pan Żółkiewski, że i przeciw niemu zdębić się można.

— Niech żyje kniaź Jerzy! — podniósł się okrzyk.

Ale pana Zbaraskiego już nie było. Wyszedł z namiotu, w przechodzie tylko dotknął dłoni Kopycińskiego i szepnął:

— Poczciwe waćpan masz oczy. Wielką naukę wyczytałem w nich dla siebie.

— Co takiego, kochanieńki? — spytał Litwin. Ale odpowiedział mu tętent kopyt. Zbaraski kniaź do swoich pułków odjechał.

Przed namiotem oczekiwał na księcia dworzanin jego.

— Piasecki! — szepnął książę.

— Co wasza miłość rozkaże?

Zbaraski dłoń położył na ramieniu ulubieńca i szeptać coś mu począł. Gorączkowe jakieś wydawał rozkazy, odpowiedzi nie słuchał, na zapytania nie pozwalał, tajemnicze zaś polecenie skończył słowami:

— Gdy słońce raz trzeci zajdzie, popioły niech ujrzy i pyły!

Piasecki skłonił się — kniaź ręką na pożegnanie mu skinął i pośpieszył do namiotu wodza.

— Hetman? — zapytał strażnika.

— Śpi — odpowiedziano.

— Idź i powiedz mu, że Zbaraski kniaź na niego czeka. Sprawa ważna, widzieć się z wodzem dziś jeszcze muszę.

— Bez wielkiej to fatygi się obejdzie, bo od pewnego czasu hetman z Morfeuszem w niezgodzie jest. Ledwie do łoża się przytknie, wnet wstaje i abo pacierze szepce, abo wzdłuż namiotu chodzi.

Zbliżyli się do sypialni hetmańskiej.

Po za spuszczonem płótnem namiotu słychać było kroki miarowe. Nocna lampka pełgała, przyćmiewana raz wraz cieniem ruchomym.

— Kto tam? — dał się słyszeć głos Żółkiewskiego.

— Zbaraski Jerzy — ozwał się kniaź.

Płótno namiotu podniosło się i ukazała się wysoka postać hetmana. Brew miał ściągniętą, jakby z onej wizyty ponocnej rad nie był.

— Wybacz, wasza miłość — odezwał się Zbaraski — że o tak późnej godzinie was niepokoję, ale...

— Ale... wracasz waszmość od Koreckiego, gdzie Tomasz Zamoyski o niecofnionem postanowieniu mojem wam mówił.

— Tak, wasza miłość!

— Wiem, z czem waszmość przybywasz... O Berszadę ci chodzi?

— Tak, wasza miłość.

— A mnie o dobro Rzeczypospolitej.

Tu sięgnął ręką po pergamin przy łożu na stole leżący.

— Ciężkie warunki — dodał — i wierz mi waszmość, że większy od ciebie kamień na piersi czuję.

— A! — zawołał uradowany kniaź — podpisu jeszcze waszej miłości niema?

Żółkiewski brew ściągnął.

— Niema, ale będzie! Dłoń się usuwa, palce wypowiadają posłuszeństwo, lecz przed rozkazem woli mojej ulegną... A ty, mości książę?...

— Chroń mnie Bóg, aby z mojej przyczyny pokój Rzeczypospolitej miał się odwlekać! — zawołał Zbaraski.

— Dziękuję! — rzekł hetman.

— A jednak wasza miłość upakarzającego warunku spalenia Berszady nie podpiszesz...

— Dwa dni mam dane do namysłu. Waszmość czas skracasz — odpowiedział Żółkiewski i sięgnął po inkaust.

Zbaraski ukląkł.

— Jeszcze jeden dzień zwłoki, a Berszada z powierzchni ziemi zniknie! — zawołał.

Hetman wpatrzył się w młodzieńczą twarz księcia.

— Nie rozumiem — rzekł krótko.

— Wydałem rozkaz Piaseckiemu, aby przeraził mieszkańców nadejściem Turków i wywiódł ich z zagrożonego miasta. Wyjdą — i płomienie się zerwą, podłożone ręką wysłańców. Rozumiesz, wasza miłość? Wypadek!... o popioły nie upomni się nikt. Berszady nie będzie, lecz nie będzie i podpisu, przed którym cofają się palce waszej miłości.

Żółkiewskiemu pióro wypadło z rąk.

— Amen! — rzekł. — Piękny czyn waszmości panu historya zapisze na kartach swoich.

Pochylił się — i pocałunek na czole młodego kniazia złożył.

W noc trzecią ogromna łuna oświetliła sklepienie niebieskie — to płonęła Berszada.

Miasto, podpalone ze wszech stron, w ciągu nocy jednej obróciło się w kupę gruzów. Skinder-basza uwierzył w wypadek pożaru, Żółkiewski traktat podpisał i nastąpił odwrót dwóch potęg pogodzonych.

Kazimierz Gliński (Cecora).

24. Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wązką, daleko smuklejszą może, niż Floryańska w Krakowie, prawdziwie »ostrą«; w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków... Czyż nieprawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki — starożytność i przepych.

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą, ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią podjeżdża; ta brama bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowane wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu »Panny świętej, co w Ostrej świeci Bramie«; widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jej okien największe środkowe szeroko otwarte, a za tem oknem firanki, które zasłaniają obraz; ale napróżno szukasz przepychu lub starożytności. Owszem, nic skromniejszego, powiedzmy poprostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że zdaje się być jej facyatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej kwadratowej baszty. Inaczej świeci obraz częstochowski ze swojej Jasnej Góry, której

wieże i baszty na kilka mil widne dokoła, i zdaleka już można mu się pokłonić.

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze tej baszty, tak mniej więcej, jak figura św. Floryana w bramie Floryańskiej w Krakowie; później wystawiono nad wjazdem kapliczkę drewnianą, już cokolwiek więcej przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła św. Teresy już w początkach naszego wieku. Na marmury nie było ich stać; jestto prosty mur, niczem nie ozdobiony ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, pilastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha, niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich gwarnych ulic wileńskich, bo prowadząc do kolei, jest główną komunikacyą miasta. Dawniej powozy jeździć po niej nie mogły, a ruch cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki, ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą popod Ostrą Bramą bez ceremonii i nieustannym turkotem przeszkadzają do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosowemi poręczami niema. W jakiejś przystawce, w jakiejś żółtej, niepokaźnej budzie po lewej stronie ulicy są ciasne, wązkie drzwiczki, jest ciasny, wązki, ciemny korytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość brudne; po tych wychodzi się do maleńkiego przedsionka (czy kruchty), znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianej budzie, z niego zaś naprost są ciasne drzwiczki do małej zakrystyi, a na prawo małe, wązkie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy.

Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznem, nieznośnem. Z dwóch ścian dłuższych jedną zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jej szerokość ołtarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to nizkie tak, że ten ołtarz, choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za nizki w stosunku do swej szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu niema ani marmurów, ani złota, ani pereł i kamieni, ani lamp kosztownych; ściany pociągnięte klejowo szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur; kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze srebra, ale to wszystko drewniane, obwieszone tylko srebrnemi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych, drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie ołowiane są czy cynowe. I wota skromne. Niema częstochowskich buław hetmańskich, ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to ręce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jak gdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze, to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak, że na obrazkach wydaje się, jak gdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości. Tam Matka Boska na swojej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda, jak królowa na majestacie; tu w tych prostych białych murach, w tej ciasnej przestrzeni, w tem otoczeniu ubogiem wygląda sama, jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy popatrzeć trudno; — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tem ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią gromadka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często, i to nie nad sobą tylko, ale jak tam po powrocie z Golgoty, i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o Salomei albo Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takiem uczuciem pojął i przedstawił Delaroche w Wielkim Piątku, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu, albo na kolanach próbują krzepić

i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jak gdyby należał do tego orszaku, jak gdyby szedł za nim gdzieś daleko, na końcu i przez uchylone drzwi patrzał na te sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał.

Taki jest charakter Ostrej Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tem miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie, gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły, gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali, jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła, nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w tej swojej biedzie i przez nią.

Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcej, niż naturalnej wielkości; jej kolor nie czarny wcale, raczej zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko że nie jest, jak w Częstochowie, na aksamicie perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnej, pozłoconej blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całej kaplicy.

Zrana msze wychodzą jedna po drugiej bez przerwy aż do godziny jedenastej, wieczorem zaś o szóstej czyta ksiądz litanię przed odsłoniętym obrazem, a zawsze tak wieczorem, jak zrana, kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewej stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowanego, który na piętrze ma tylko jednę salę, raczej duży pokój z oknami, dającemi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia; to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy. Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami, szkaplerzami i wszelkim takim kramowo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dość lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach na blasze lub drzewie, jakiemi pyszni się Częstochowa. Kto więc, jadąc do Wilna, liczy na to, że wróci do domu, wioząc łupy bogate, świętości z Ostrej Bramy, ten niech się z tą nadzieją pożegna. Zato przekupki, które te

świętości sprzedają, otoczone są najwyższem uszanowaniem całego miasta, nawet całej Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności. *Stanisław Tarnowski.*

25. Buława Rewery.

Twarz taka pogodna, pod hełmem włos siwy,
Na czole promienie spokoju,
Powraca z daleka; choć starzec sędziwy,
A jeszcze przewodził tym w boju.

Lecz tęskno Rewerze po bojach spoczynku
I życia z rodziną w zagrodzie
I gędźby przy szklance i dum przy kominku
I słońca zachodu w pogodzie.

O, dosyć mu krwi już — i dosyć już chwały,
Zdobytej na hordzie, Osmanie,
I Moskwie i Szwedzie: bohater on biały
Już doma do grobu zostanie.

Sześćdziesiąt lat gromi i wiatry stepowe
Prześciga zwycięską pogonią;
Na mrozach północy obielił on głowę,
A pierwszy, gdzie szable zadzwonią.

Dziś spokój w Koronie; śmierć w bojach nie miała
Dla piersi żelaznych tych gromu.
Więc myślał Rewera: Bądź, Panie, Ci chwała!
Żywota dokonam już w domu!

Tam syn mu w sen wieczny zaciśnie powieki
Po życiu burzliwem i srogiem;
Rozmawiał on z wrogiem, jako step daleki:
Dziś pragnie rozmowy już z Bogiem.

Tu jego już błonia, bogate tak w plony,
Koń stąpa drożyną zamkową;
Tam rolnik sędziwy swe orze zagony
I nuci skowronek nad głową.

Rewera tak dawno nie widział już pługa,
Więc stanął. — »Szczęść Boże!« — zawoła
I patrzał, jak czarna krajała się smuga,
I radość błyszczała mu z czoła.

I wzrok się promieni. Wtem rolnik się zwrócił,
Poznaje: pan jego wielmożny;
Więc skoczył od pługa i do nóg się rzucił:
— »A witaj, hetmanie, w dzień zbożny!«

— »Nie hetman jam, bracie. O, żyzna to rola!
Orz śmiało, ja wracam do domu:
Tatarzyn już końmi nie stłoczy ci pola
Ni Bohdan przyniesie ci gromu.

I rolnik usłuchał, pług sprawił, gnał woły:
Pług w ziemię się zaciął — ustawa.
Pękł lemiesz — patrzają: — o święte anioły!
Pod skibą hetmańska buława!

Podnieśli, śniedź starli i podziw ich ima;
A rolnik przy pługu uklęka
I patrzy na niebo łzawemi oczyma
I rzewną modlitwę wyjęka.

Od wschodu bo dziwnie widnokrąg się mroczy
I ptastwa mnogiego tam wrzawa;
Wtem rolnik się zerwie, do wodza przyskoczy:
— »O panie, to twoja buława!«

Weź broń twą, hetmanie! — Jam znachor tej włości:
Bóg czasem mi zgadnąć pozwoli,
A przyszłość wyczytać umieją i prości;
Buławę weź w dani z twej roli!«

Rewera się zdumiał: »Żyw jeszcze przez Boga!
Nasz hetman koronny żyw jeszcze!«
A rolnik odpowie: »Idź, panie, na wroga!
Źle wróżą nam ptaki te wieszcze.

Patrz, lecą od wschodu — tam burza się zrywa:
Ptak darmo od gniazda nie leci;
Znać, grzmi tam janczarka i burczy cięciwa:
Hetmanie, pośpieszaj do dzieci!

Rewera na trakt się zawrócił już lwowski,
Bodzony ostrogą koń bieży.
Wieść leci po drodze: zginął Kalinowski!
Rewera i wierzy — nie wierzy.

I modli się w duszy rolnika słowami:
»O Boże! czyż nigdy spokoju?
Czyż wiecznie twój piorun grzmieć będzie nad nami?
Ach! wiecznież nam latać do boju?«

On wjeżdża do Lwowa, a dziwny gwar w grodzie
I odgłos go wita studzwonny;
Witają go pany i ludu powodzie:
»Hej! wjeżdża nasz hetman koronny!«

»O ratuj, hetmanie! wieść straszna od Boha:
Chmielnicki Bohdanko znów w polu;
Legł hetman koronny na błoniach Batoha,
A kozak już hula w Podolu!«

— »Skąd wieści, rycerze? — hej szlachta, Bóg z wami!«
Podano list króla — buławę.
Rewera list czytał i zalał się łzami
I pomknął na boje, na krwawe.

Mieczysław Romanowski.

26. Zgon rycerza.

— Macie się z oblężonego Zbaraża przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o groźnem naszem położeniu — rzekł książę Jeremi Wiśniowiecki. — By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

— To ja! — rzekł pan Longinus Podbipięta z promienną twarzą.

— Dziś wieczorem po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna — dodał książę. — Listów żadnych do króla nie dam. Co waść widzisz, to opowiesz, weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu, ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał czas jakiś, a potem ucałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak mi blizki jesteś serca, jak brat. Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg Zastępów i nasza Królowa Anielska.

Książę miał łzy w oczach, bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa; inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsnął dreszcz zapału i płomień chodził mu po kościach i ra-

dowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna a bohaterska nadzieją blizkiej ofiary.

Rycerze wyszli z namiotu.

— Muszę waszmościów pożegnać — rzekł pan Longinus.

— Jakto? gdzie idziesz? — pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy, poszedł pan Longinus śpiesznie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli.

Pan Podbipięta po spowiedzi i komunii cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo nieprzyjaciele uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskiemi, że swoi swoich odróżnić nie mogli. Nieprzyjaciele wytężyli wszystkie siły, bo myśleli, że to ma być ostatni szturm i że odtąd głodem tylko będą nękali oblężonych. Ale po trzech godzinach wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznemi stratami, że były później wieści, jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się we wały, porywania wozów, bezprzestannej strzelaniny, nędzy i głodu. Niestrudzony książę Jeremi natychmiast po szturmie poprowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która skończyła się nową klęską nieprzyjaciół, poczem dopiero cisza ukoiła tabor i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

— Pistolety dobrze osłoń — szeptał Skrzetuski — żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczymy na ratunek.

— Ciemno, choć oko wykol! — szepnął Zagłoba.

— To lepiej — odrzekł pan Longinus.

— Cicho-no — przerwał Wołodyjowski — coś słyszę.

— To jakiś konający chrapie — nic to!

— Byleś się do dębiny dostał...

— O Boże! Boże — westchnął Zagłoba, trzęsąc się jak we febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas! — rzekł Longinus.

— Czas! czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem!

— Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie, bracia, zdrowi, a przebaczcie, jeżelim któremu w czem zawinił.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony.

— Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się we fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu, raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom i znikł w ciemności.

Między drogą do Załuzia a gościńcem z Wiśniowca rosła dąbrowa, przerywana wązkiemi, w poprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Załuzie: tam to postanowił dostać się pan Podbipięta. Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku nieprzyjacielskiego taboru; ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru przez całą noc kręciło się najwięcej ludzi i straże najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzane były strażami, które objeżdżali ustawicznie setnicy i pułkownicy. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nie tylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z dru-

giej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w który z dołów lub rowów, pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono. Przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom nieprzyjacielskim. Stanął i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich żołnierzy, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Od czasu do czasu słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, również była pokryta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka, nikogo na całym majdanie, oprócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłych i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż nakoniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni. Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było świateł, jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą to odkryją, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu? — pomyślał pan Longinus. I tęsknota przygniotła go jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży owo światełko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie: książę Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki, tam go kochają i radziby go obronić, a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki był nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła się w nim wahać. Nadleciał doń w ciemności blady niepokój i począł szeptać mu do ucha: »Nie przejdziesz! to niepodobieństwo! — wróć się, jeszcze, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała cho-

rągiew runie na twój ratunek; — przez te tabory, przez tę dzicz nie przejdzie nikt«. Ów obóz ogłodzony, zasypany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią. — Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły, a oni sami już nie pójdą, ani nikogo nie wyszlą i będą czekali dalej Bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie? — W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus. — Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością; bo on ze wszystkiego korzysta. Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię zhańbić, wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy! — i ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciężyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliźnich; nakoniec jakby odpowiadając groźbie dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze: A tak i pójdę!

Po pewnym czasie znalazł się na owem pobojowisku, na którem w dniu pierwszego szturmu jazda książęca rozbiła nieprzyjaciela. Droga tu już była równiejsza, mniej rowów i dołów i nic prawie ciał. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi, ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim stawem a taborem.

Szedł teraz szybko, bez przeszkód i już zdawało się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę. Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni. — Straże! — pomyślał. Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu; więc rzucił się co tchu w bok i zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się bez ru-

chu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz. Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze więcej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy... Głosy oddalały się stopniowo i nakoniec znikły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej.

Deszcz tak drobny, jak mgła, począł mżyć. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Po lewej stronie pana Longina zabłysło w odległości dwóch stai małe światełko, potem drugie i trzecie, dziesiąte. Teraz był już pewny, że znajduje się na linii taboru. Światła były rzadkie i mdłe, widać spali tam już wszyscy i tylko gdzieniegdzie pito lub gotowano strawę na jutro.

— Bogu dzięki, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus. — Znużeni muszą być śmiertelnie. — Zaledwie to pomyślał, gdy zdala usłyszał znów tupot koński: jechała druga straż. Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany, więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blizko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem konie przywykłe przechodzić koło leżących ciał, nie zastraszyły się. Pan Longinus poszedł dalej. Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznem było, że cały krąg, objęty taborem, strzeżony był, jak źrenica oka.

Pan Longinus szedł dalej. Ale już nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek; więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet i szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę. Konne oddziały straży nie miały tu co robić. Po chwili pokazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Zato tabor nie był dalej, jak na dwa strzelania z łuku: i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równolegle do szeregu wozów. Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i owdzie ogniskach widać było siedzące postaci. W jednem miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina; i rycerz znów

musiał się cofać ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Zdaleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których zdzierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha rzeźnikom na piszczałkach. Była to część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność. Lecz ściana taboru, oświecona mdłemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się, co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać. Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru, albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolisku, chybaby się chciał cofnąć znów do Zbaraża; ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i to znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacyi, dla wolnej drogi, potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze więcej do wozów. Blaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić; ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy. Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie, — w obronę z ciałem i duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez owę gardziel przedostanie; więc modlił się nie tylko za siebie, ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie

ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł. Czerniały teraz przed nim chrósty i gąszcze, za którymi rosła dębina, za dębiną bór aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie i sława i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Czyste serce pana Longina nie wezbrało pychą, ale jak serce dziecka rozpłynęło się we łzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł jak olbrzym, depcąc krze; co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej — i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nimi tak czarna, jak w podziemiu. Ale to i lepiej. Wstał lekki wiatr, więc dęby szumią z lekka, rzekłbyś, mruczą pacierz: »Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchrońże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę«.

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzednie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściały mocniej, jakby chciały rzec: »Zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas«. Ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, z pod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

— Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały, nakrycia głowy jakieś śpiczaste: to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie postaci Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk

straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia, i chwyciło go żylastemi rękoma,lecz on wstrząsnął się tylko i wszyscy zapaśnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Poczem straszliwy miecz rycerza zazgrzytał w pochwie — i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania na ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych,rżenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach. Tatarzy rzucili się jeszcze raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza i ciął straszliwie. Trupy zaczerniły mu się pod nogami, inni cofnęli się, zdjęci trwogą.

— Diw! diw! — rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny, i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnymi. Biegli Tatarzy z kosami, z drągami, z łukami, ze szczapami palącego się łuczywa. Gorączkowe pytania poczęły się krzyżować i przelatywać z ust do ust: Co to jest? co się stało? — Diw! odpowiadali koniuchowie. — Diw! powtarzały tłumy. — Diw! Ubij! Żywcem' bierz! Żywcem!

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie. Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu, olbrzymi, oparty o drzewo i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiał głos komendy: Bierz go! Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem, jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestrachu wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili. Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał, drgających jeszcze w agonii.

— Sznurów! sznurów! — zabrzmiał jakiś głos. Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka.

Wówczas po kilkunastu tęgich ludzi chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować nim pana Longina do drzewa. Ale pan Longin ciął mieczem i przeciwnicy z obu stron padli na ziemię. Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie nawzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych, chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda; ale on podarł ich, jak odyniec rozdziera zajadłe kundle. Dąb, zrośnięty z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza, z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł, nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Wtem wśród rozwścieczonej ordy rozległy się dzikie wołania: Uk! uk! Wówczas na widok łuków i strzał, wysypywanych z kołczanów pod nogi, poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci i rozpoczął litanię do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: Matko Odkupiciela! — i otarła mu skroń. Druga strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: Panno wsławiona! — i utkwiła mu w ramieniu. Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał. I gdy pan Longinus powiedział: Gwiazdo zaranna! już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już, jak przez mgłę, łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada na piersi — nakoniec ukląkł. Potem na wpół już z jękiem powiedział pan Longinus: Królowo Anielska! — i to były jego ostatnie słowa na ziemi. Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłę jasną, u nóg Królowej Anielskiej. *Henryk Sienkiewicz* (Ogniem i mieczem).

28. Karol Gustaw w katedrze Wawelskiej.

Karol w gmachach Wawelskich o pomniki pyta.
Sędziwy Starowolski przy drzwiach króla wita,
Starowolski, mąż wiekiem poważnego czoła,

Świadom i dziejów Polski i dziejów kościoła.
To jest Kaźmierz — rzekł kapłan — ostatni z krwi Piasta,
Pod nim wzrosły te grody, te twierdze, te miasta;
Miejsca pustyń osady i zamki zaległy;
Objął Polskę drewnianą, a zostawił z cegły;
Księgą praw gwałt ukrócił, który lud uciskał;
Rdzewiał pod nim miecz Chrobrych, a lemiesz połyskał.
Zwano go królem chłopów: — gdy zawarł powieki,
Imię Wielkiego wdzięczne przyznały mu wieki;
Lud pomnik trwalszym nad spiż wyrazem ozdobił,
Żal swój usty wytłoczył i łzami wyżłobił.
Lecz gdy ucisk powrócił między wiejskie chaty,
Lud od natłoku ledwie wstrzymały te kraty;
Cień jego wywołując przy żałosnych skargach,
Łzą marmur, w pył zmiękczony, unosił na wargach. —
To jest król, najsławniejszy walecznymi czyny,
Batory; poszedł za brzeg Połoty i Dźwiny
I potężnem ramieniem przy dzielnych hetmanach
Zmusił Moskwę pokoju błagać na kolanach.
Niestety! gdy zamierzał dokonywać dzieła,
Dni drogie dla narodu śmierć w Grodnie przecięła«. —
Gdy się ku drugiej stronie świątyni przybliża,
Czyta napis u stopni wzniesionego krzyża:
»Przy tym krzyżu Jadwiga łzy sączyła hojne,
Ilekroć król i naród biegł odpierać wojnę;
Zdobiła tron cnotami, zgasła w wieku wiośnie«.
I kapłan opowiada jej życie żałośnie,
Jakie dla obu ludów, dla Boga, dla wiary
Z miłującego serca zrobiła ofiary. —
Gdy się dalej posuwa, na przeciwnej stronie
Widzi posąg, leżący z berłem i w koronie.
Na drobnym wzroście dziwi go ogrom pancerza.
To jest — rzekł kapłan — ojciec Wielkiego Kaźmierza,
Łokietek, wielki męstwem, chociaż drobny ciałem.
Złączył Polskę, rozdartą naddziadów podziałem,
Przemógł współzawodników, a w polach Połowców
Przytarł dumną potęgę grabieżnych Krzyżowców.
Trzykroć tułacz, po trzykroć powracał do tronu
I na ostrzu oręża trzymał go do zgonu.
Na to się obrażona pycha w królu cuci;
Rzekł: »Łokietek wasz wrócił, Jan Kaźmierz nie wróci!«
Odpowiada pokornym głosem stróż świątyni:
»Królu, fortuna zmienna, a Bóg cuda czyni«.
Jak piorunem rażony kapłańskiemi słowy,
Zaniemiał i już wątek przerywa rozmowy.
Pierwszy raz czuje w piersiach zachwianego ducha:

Już nie widzi pomnika, nie szuka, nie słucha;
I gdy się krokiem zbliża do przysionków końca,
Spotyka przez Millera wysłanego gońca:
Częstochowa się broni; goniec nie ukrywa
Klęsk zadanych, o działa i o pułki wzywa.
»Waleczność nasza, królu — mówi — jest daremna:
Ten mały klasztor wspiera potęga tajemna«.

Kajetan Koźmian (Stefan Czarniecki).

27. Obrona króla.

Przed Janem Kazimierzem, zdążającym od Śląska do ziemi polskiej, zabielały wreszcie Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły od nich okrutne, póki nie zagasły w mrokach, cały świat obejmujących.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz i zapytali:

— Człeku, a czy my to już w Polsce?

— Tam za skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

I góral zaciął szkapinę.

— Miłościwy panie — zakrzyknął z uniesieniem jeden z rycerzy — stanąłeś już *inter regna*, bo oto twoje od onej rzeczułki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, aby mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem, ów król zaś i tułacz padł po chwili krzyżem w śnieg

i począł całować ziemię tak ukochaną a tak niewdzięczną, która w chwili klęski ochronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny; góry i szczyty poblizkich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły ubierać się fiolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga, a blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał na doliny. Więc jodły poblizkie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały onę dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły gospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednem miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać *Ave Maria*, a za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzinna, dawno nie widziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy — wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły; więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu: król, dygnitarze i rycerze.

W drodze znajdowano wszędzie pewnych przewodników z pomiędzy górali, którzy szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud, duszą i sercem oddany królowi, chociaż ubogi i napół jeszcze dziki, mało albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nie trudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swych siekier i ruszyli z gór. Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a klęskę ponieść łatwo. Zginęło

też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz więc szli chętnie, gdy im powiedziano, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich też wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy, sobie tylko znanemi »pyrciami«, przez miejsca tak niedostępne, że — rzekłbyś — i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białymi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę i bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Dojechano już do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na wschód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowo droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę, jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w ręku je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać. Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach.

Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną, długą i prostą, a tak wązką, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie. Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się, tworząc mniej strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu, na zrę-

bach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym pokładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptactwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

— Bo nie można. Ów wąwóz zakręci się opodal, potem będzie siklawa, za siklawą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho. Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszech stron. — Nic nie słychać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany Boskie! Już są blizko!... Zaraz się ukażą!...

— Może to marszałka Lubomirskiego ludzie? — rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! — rzekł.

Kiemlicze, jak zwykle, ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem; lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nim leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blizko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady.

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój tensam, w który przebrał się, wychodząc z klasztoru częstochowskiego; więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku; tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blizko, że prawie trącili się kolanami i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos Kmicica:

— Bij!

I jako skała, oderwana od opoki, tocząc się w przepaść, druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt... Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzask i jęki.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno

się złożą, próżno sztychów nadstawią; tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia, wściekłe, jak błyskawice, szybkie. I nadludzkimi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa. Dwaj Kiemliczе młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncyusz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król — na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza, że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego! — krzyczał z rozpaczą. — Tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór króla, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami, i zamiast cofać się posuwał się naprzód. A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie!... — wołał król.

Szczęściem przeciw Kmicicowi i Kiemliczom dla ciasnoty miejsca mała tylko liczba ludzi mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w pier-

siach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. »Jeszcze choć jednego!« — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwrócił się ku innemu. Szwedom wszelako po pierwszej chwili zamieszania i strachu wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo, i natarli z furyą; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać; lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu. Tyzenhauz ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach. Lecz cóż znaczyła ta nowa garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blizko trzysta koni liczącemu! Nie było wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, który widocznie wolał pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem. Nagle — stanął, jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jakby ziemia wzruszyła się z posad, jakby bór, rosnący w górze, chciał wziąć udział w walce, i pnie drzewne, bryły śniegu i lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś w szeregach wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów, uderzających o pancerze. Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedną

kupę, kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną. A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w okrągłe skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała i kilkaset dziwnych postaci poczęło się spuszczać w dół po pochyłościach śnieżnych. Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncyusz ze zdumieniem patrzał na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącemi jeszcze siekierkami. Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska! oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: »Król! król! Jezusie! Maryo! król!« Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Za-

panowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec, i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy. Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie, i skinął ręką, że chce mówić; a gdy się uciszyło, rzekł podniesionym głosem tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu odtąd ojcem będę!

— Amen! — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać się górali, skąd się wzięli we wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakiemś wojskiem; postanowili tedy wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów; chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć psubratów zawcześnie.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Kmiecica! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... Szukać go, szukać!... Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam!

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte, pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie

uchronił go od zmiażdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk:

— Dla Boga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie. Kmicic odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczem otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta. Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

Henryk Sienkiewicz (Potop).

29. Sąsiedzi.

Gawęda szlachecka z wieku XVII.

W młodości odziedziczyłem na Ukrainie, koło Taraszczy substancyę znaczną. Miałem i dwie wioski po matce w spokojnym kraju wedle Jasła, alem w ojcowiźnie rezydować wolał, że to ordy bliżej i o przygodę łatwiej. Fantazya kawalerska ciągnęła mnie na Sicz, ale nic tam już było po nas; jednakże w Dzikie Pola w kompanii niespokojnych duchów chodziłem i rozkoszy zaznałem. Dobrze mi było na majętności; to tylko dolegało mi srodze, iż miałem lichego sąsiada. Był to prosty chłop z pod Białocerkwi, któren za młodu na Siczy był, tam się szarży atamana kurzeniowego dosłużył i do Warszawy od kosza posłował, gdzie też i uszlachcon został. Zwał on się Dydiuk. A trzeba waćpaństwu wiedzieć, że my się od pewnego wodza Samnitów wyprowadzamy, zwanego Musca, co po naszemu: »mucha« znaczy. Ów Musca po nieszczęśliwych przeciw Rzymianom

wyprawach na dwór Ziemowita, syna Piastowego, przybył, który przezwał go dla większej wygody Muscalskim, co potem potomność na Muszalskiego przerobiła. Poczuwając ja się tedy do krwi tak zacnej, z wielką abominacyą patrzyłem na owego Dydiuka. Bo, żeby był umiał ten honor, jaki go spotkał, szanować i większą doskonałość stanu szlacheckiego nad wszelkie inne uznał, możebym nic nie mówił. Ale on, ziemię jako szlachcic trzymając, z samej godności jeszcze się naigrawał. Więc pasya trawiła mnie dzika i począłem go gnębić. Nie zląkł się, człek był śmiały, z nawiązką płacił. Na szable byłby wyszedł, alem ja tego nie chciał, mając nikczemność krwi jego na uwadze. Znienawidziłem go jak zarazę, i on mnie nienawiścią ścigał. Raz w Taraszczy, na rynku, strzelił do mnie; o włos mnie nie zabił; ja zasię rozszczepiłem mu głowę obuszkiem. Dwakroć zajeżdżałem go z dworskimi ludźmi, dwakroć on mnie z hultajstwem. Nie zmógł mnie, ale i ja przecie nie mogłem mu dać rady. *Odium* rosło we mnie z każdym dniem, ażem pożółkł. Ciągle o tem jeno myślałem, jakoby go schwytać.

Ale Pan Bóg zrządził inaczej.

Miałem za wsią pasiekę zacną i raz poszedłem ją oglądać. Było to pod wieczór. Zabawiłem tam ledwie z dziesięć pacierzy, aż tu *clamor* jakowyś o moje uszy uderza. Obejrzę się: dym jako obłok nade wsią. Po chwili lecą ludzie. »Orda! orda!« A tuż za ludźmi — ćma, powiem acańskim! Strzały lecą, jakoby deszcz zacinał, i gdzie nie spojrzę, baranie kożuchy i dyabelskie mordy ordyńskie. Ja do konia! Nimem nogą strzemienia dotknął, już mnie z pięć albo sześć arkanów chwyciło. Rwałem je przecie, silny byłem... *Nec Hercules!*... W trzy miesiące potem znalazłem się z innym jassyrem za Bachczysarajem, we wiosce tatarskiej, Suhajdzik zwanej.

Panu memu było na przezwisko Salma-bey. Bogaty był Tatarzyn, ale nieludzki i dla niewolników ciężki. Musieliśmy pod batogami studnie kopać i w polu pracować. Chciałem się wykupić: miałem za co. Przez pewnego Ormianina pisałem listy do moich majętności pod Jasłem. Nie wiem, czyli listy nie doszły, czy okup w drodze przejęto; dość, że

nic nie przyszło... Powieźli mnie do Carogrodu i na galery sprzedali.

Siłaby o tem mieście opowiadać, od którego nie wiem, jeżeli jest większe i ozdobniejsze na świecie. Ludzi tam, jako traw w stepie albo kamieni w Dniestrze... Mury na Jedykule srogie. Wieża przy wieży... W grodzie razem z ludźmi psi się błąkają, którym Turcy krzywdy nie czynią, dlatego widać, że się do pokrewieństwa poczuwają, sami psubratami będąc.. Niemasz między nimi innych stanów, jeno panowie a niewolnicy, zaś nad pogańską niemasz cięższej niewoli. Bóg wie, czy to prawda, ale tak na galerach słyszałem, że wody tamtejsze, jako jest Bosfor i Złoty Róg, któren w głąb miasta zachodzi, z łez niewolników powstały. Niemało tam i moich się polało...

Straszna jest potencya turecka i żadnemu z potentatów tak wielu królów, jako sułtanowi, nie podlega. Sami zaś Turcy powiadają, że gdyby nie Lechistan (tak oni Rzeczpospolitą, matkę naszą, nazywają), tedyby już *orbis terrarum* dawno panami byli. »Za plecami Lacha — powiadają — reszta świata w nieprawdzie żyje, bo ów — prawią — jak pies przed krzyżem leży, a nas po rękach kąsa...« I mają słuszność, bo przecie tak było i tak jest... Siła jest złego w naszej Rzeczypospolitej, ale przecie tak myślę, że nam ową funkcyę i Bóg kiedyś policzy i ludzie może policzą.

Ale owo wracam do tego, co mi się przygodziło. Ci niewolnicy, którzy na lądzie, w miastach i po wsiach żyją, w mniejszej jęczą opresyi od tych, którzy na galerach wiosłować muszą. Bo onych galerników raz na brzegu nawy wedle wiosła przykuwszy, nie odkuwają już nigdy, ani na noc, ani na dzień, ani na święta — i do śmierci w łańcuchach żyć tam trzeba; a tonie-li okręt *in pugna navali*, to oni z nim razem tonąć muszą. Nadzy są wszyscy, zimno ich mrozi, deszcz moczy, głód gniecie, a na to niemasz innej rady, jeno łzy i praca okrutna, bo wiosła są tak wielkie i ciężkie, że dwóch ludzi do jednego trzeba...

A mnie przywieźli w nocy i zakuli, posadziwszy naprzeciw jakiegoś towarzysza niedoli, którego *in tenebris* poznać nie mogłem... Kiedym to usłyszał ów stukot młota i dzwonienie kajdan — miły Boże! zdawało mi się, że ćwieki

moją trumnę zabijają, chociaż i tobym wolał. Modliłem się, ale nadzieja w sercu, jakoby ją wiatr zwiał... Jęki moje dozorca batogami potłumił, więc przesiedziałem cicho całą noc, póki nie zaczęło świtać... Spojrzę ja wtedy na tego, kto ma ze mną wiosłem robić — Jezu Chryste miły! — zgadnijcie państwo, kto był naprzeciw mnie? — Dydiuk!

Poznałem go zaraz, chociaż był goły, wychudł i broda urosła mu w pas, bo już dawniej był na galery zaprzedan... Począłem się na niego patrzeć, on na mnie; poznał mnie także... Nie mówiliśmy do siebie nic... Ot, na co nam obom przyszło! Ale przecie taka jeszcze była w nas zawziętość, że nie tylko nie powitaliśmy się po Bożemu, ale uraza buchnęła w nas, jak płomień, i aż radość chwyciła za serce każdego, że i jego wróg tak samo cierpieć musi...

Tegoż samego dnia nawa ruszyła w drogę. Dziwne było z największym nieprzyjacielem za jedno wiosło imać, z jednej misy ochłapy jeść, którychby psi u nas jeść nie chcieli, jedno tyrańskwo znosić, jednem powietrzem dychać, razem cierpieć, razem płakać... Płynęliśmy po Helesponcie, a potem po Archipelagu. *Insula* tam przy insuli, a wszystko w mocy tureckiej... Oba brzegi takoż... świat cały!.. Ciężko było. W dzień znój niewypowiedziany. Słońce tak pali, że aż woda zda się od niego płonąć, a kiedy one blaski poczną drgać i skakać na fluktach, rzekłbyś: deszcz ognisty pada. Pot się z nas lał, a język przysychał nam do podniebienia... W nocy zimno kąsało, jak pies... Pociechy znikąd — nic, jeno strapienie, żal za utraconem szczęściem, strapienie i mordęga. Słowa tego nie wypowiedzą...

Potem pożeglowaliśmy naokół Peloponesu. Dzień szedł za dniem, tydzień za tygodniem; myśmy z Dydiukiem słowa do siebie nie rzekli, bo jeszcze hardość i zawziętość mieszkała w naszych sercach... Ale poczęliśmy zwolna kruszeć pod ręką Bożą. Z trudu i zmienności aury grzeszne cielsko jęło nam prawie odpadać od kości; rany, surowcem zadane, gnoiły się na słońcu. W nocy modliliśmy się o śmierć. Co się zdrzemnę, to słyszę, jako Dydiuk mówi: »Chryste pomyłuj! Świataja Preczystaja, pomyłuj! daj umerty!« On też słyszał i widział, jakom ja do Bogarodzicielki i Jej Dzieciątka ręce wyciągał... A tu jakoby wiatr morski urazę z serca

zwiewał... Coraz mniej, coraz mniej... W końcu, jakem nad sobą płakał, tom i nad nim płakał. Jużeśmy też oba spoglądali na siebie inaczej... Ba! poczęliśmy sobie świadczyć. Jak na mnie przyszły poty i śmiertelne znużenie, to on sam wiosłował; jak na niego, to ja... Przyniosą misę, każdy uważa, żeby i drugi miał. Ale patrzcie, acańskwo, co to natura ludzka! Poprostu mówiąc, miłowaliśmy się już, ale żaden nie chciał tego pierwszy powiedzieć...

Kiedy już okrutnie nam było źle i ciężko, powiedziano nam w dzień, że nazajutrz spotkamy się z wenecyańską flotą. Żywności też było skąpo i wszystkiego nam żałowali prócz bicza. Przyszła noc: jęczymy z cicha i — on po swojemu, ja po swojemu — modlimy się jeszcze żarliwiej. Patrzę ja przy świetle miesiąca, aż jemu ciurkiem łzy na brodę lecą. Wezbrało mi serce, więc mówię: »Dydiuk, toć my z jednych stron: odpuśćmy sobie winy«. Jak to usłyszał — miły Boże! — kiedy chłopisko nie ryknie, kiedy się nie zerwie, aż łańcuchy zabrzękły. Przez wiosło padliśmy sobie w ramiona, całując się i płacząc... Nie umiem rzec, jakeśmy się długo trzymali, bo tam już i pamięć nas odeszła; jenośmy się trzęśli ode łkania...

Pan Bóg pobłogosławił nas i łaskę swoją okazał, ale na razie gorzko przypłaciliśmy ów braterski sentyment. Oto, trzymając się w objęciach, poplątaliśmy tak łańcuchy, żeśmy ich odczepić nie mogli. Przyszli dozorcy i dopiero nas rozczepili, ale kańczug więcej godziny świstał nad nami. Bito nas, nie patrząc gdzie. Popłynęła krew ze mnie, popłynęła i z Dydiuka, pomieszała się i poszła jednym strumieniem w morze. No! nic to! stare dzieje... na chwałę Bożą!

Od tej pory nie przyszło mi do głowy, że ja od Samnitów pochodzę, a on chłop białocerkiewski, niedawno uszlachcon. I brata rodzonego nie mógłbym więcej miłować, jakom jego miłował. Choćby też i nie był uszlachcon, jednoby mi było — choć wolałem, że był. A on po staremu, jako niegdyś nienawiść, tak teraz miłość oddawał z nawiązką. Taką już miał naturę.

Nazajutrz była bitwa. Wenecyanie rozegnali naszą flotę na cztery wiatry. Nasza galera, potrzaskana srodze z kolubryn, zataiła się przy jakowejś pustej wysepce, poprostu

skale z morza sterczącej. Trzeba ją było reperować, a że żołnierze poginęli i rąk brakło, musieli nas rozkuć i siekiery nam dać. Jakeśmy tylko na ląd wysiedli, spojrzę na Dydiuka, a u niego już tosamo w głowie, co u mnie. »Zaraz?« — pyta mnie. »Zaraz!« — mówię i, nie myśląc dłużej, w łeb dozorcę; wtem on samego kapitana. Za nami inni, jako płomień! W godzinę skończyliśmy z Turkami, potem zładziliśmy jako tako galerę i siedli na nią bez łańcuchów, a Bóg miłosierny kazał wiatrom przywiać nas do Wenecyi.

O żebranym chlebie dostaliśmy się do Rzeczypospolitej. Podzieliłem się z Dydiukiem podjasielską substancyą i oba zaciągnęliśmy się znowu, ażeby za nasze łzy i za naszą krew zapłacić. Podczas potrzeby podhajeckiej Dydiuk poszedł aż do Krymu. Lecz gdy powracał, syt zemsty, od strzały poległ. Ja ostałem i teraz oto, ilekroć łuk naciągam, czynię to na jego intencyę, a żem tym sposobem nieraz duszę jego uradował, na to mi świadków nie braknie.

Mój Boże! ziemia nasza z krwi nie osycha, kłócim się i bijem, a przecie Bóg posiał w serca nasze jakoweś *semina* miłości, jeno że one jakoby w płonnej glebie leżą i dopiero pod uciskiem i pod kańczugiem pogańskim, dopiero w tatarskiej niewoli, niespodzianie wydają owoce.

Henryk Sienkiewicz (Pan Wołodyjowski).

30. Błogosławieni.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni:
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z Chwałą króluje Zwycięstwo —
Bez twardych kajdan i bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...
Ten raj się tylko dla silnych zieleni —
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprzątali z ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdzie złote słońce blaskiem zamigoce,
Będą wołali duchem podniesieni:
Za ojców sprawą świat się nam rumieni —
Błogosławieni!...

Jan Kasprowicz.

31. Śluby królewskie.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem, i pół regimentu węgierskiego wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny. Więc najprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistymi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze, szychterze, płatnerze, kordybanci, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście, bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko pre-

zentowało broń, następnie żołnierze spuszczali muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncyuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojsko, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncyusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzieniegdzie błyśnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncyusz z cyboryum kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncyusza: »*Ecce Agnus Dei*« i król przyjął komunię.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele tak, że oddechów ludz-

kich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

»Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kaźmierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacyę czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflandzkie i Czernichowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko Twojej osobliwej opiece polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w teraźniejszem utrapieniu Królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...«

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

»A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu, Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zmiłowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!«

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

»A że, z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresyi ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nas wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczy-

nionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego *votum*, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję.«

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który najprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozpłakane głosy powtarzały: »Amen! amen! amen!« na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubami królewskimi łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczem radość niepojęta jako czysty płomień rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: »wiktorya! wiktorya! niech żyje!« jechał do grodu i tam onę niebieską konfederacyę wraz z Tyszowiecką roborował.

Henryk Sienkiewicz (Potop).

32 Bitwa pod Warką.

(d. 7. kwietnia 1656.).

Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co duchu do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dąć w krzywuły i następował ze wszystkiemi chorągwiami ku rzece.

Wtem poskoczył co tchu na dzianecie do Wąsowiczowej chorągwi, która była najbliżej rzeki.

— Stary żołnierzu! — krzyknął — ruszaj mi ku mostowi tam z koni i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął

buzdyganem. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim, jak tuman kurzawy wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w klepisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wązki, zatem trudny do zdobycia a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

To też w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonię Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwległy naczołek. Zataczano coraz nowe sztuki i faskule poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragonii, padać na łąkę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem, na tyłach armii, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu i spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli — mówił — koniecznie chcą ów most sforsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed całą armią bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowym bitwy, ku któremu zwolna poczęła ciężyć i ściągała się cała linia szwedzka. W godzinę później zmienił się jej cały szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycyi. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi! — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał,

że źle się dzieje i aż dygotał z niecierpliwości; nakoniec nie mógł wytrzymać dłużej, zaczem spiął konia, aż rumak stęknął żałośnie i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, nie wiadomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać! — odrzekł Czarniecki.

— Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece chorągwiami! ku rzece! Do szeregu waść!

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linią wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień, dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizyi:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pognębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniem!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg, komu wiara, komu ojczyzna miła, za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

— Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Maryo! — ryknął, wspinając do skoku konia Zagłoba.

Wtem ława mężów i koni runęła we falę, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzegi. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzane stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarniecki przepłynął pierwszy, lecz nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyganem i krzyknął na Wołodyjowskiego:

— W skok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nich!

I tak puszczał jednę za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i zakrzyknąwszy »W imię Boże! szczęśliwie!« — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtaryi stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wicher liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem skoczył za nią Szandarowski i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko trwająca; po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie i tłum bezładny począł umykać ku głównej armii.

Chorągwie Czarnieckiego biegły za nimi z krzykiem straszliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielając.

Stało się wreszcie jasnem, dlaczego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armii skupiła się na ów punkt i dlatego nikt nie bronił i nie miał czasu bronić przeprawy wpław. Przytem wszystkie niemal paszcze

armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był na rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy, odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył pod lasem pułki jazdy; nim do jakiejkolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnymi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych przykryły, jakoby chmurą, całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpaczy, krzyki tryumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby w kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej — i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zerwała się nagle pod rzeką i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem z boku nowe zabrzmiały wrzaski: to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biedz ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za nimi lunął wkrótce cały potok ludzki w najokropniejszem zwichrzeniu. Artylerya, piechota, jazda, pomieszane ze sobą, uciekały ku lasowi, oślepłe z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli w niebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu zrzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami, pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konie i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Trup padał na tru-

pie. Cięto bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki; ku lasowi, jak okiem sięgnął, widziałeś tylko uciekających i goniących; gdzieniegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armii, która biegła ku lasowi, została w pień wycięta. Dotarły do niego nieliczne szwadrony rajtaryi, za którymi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopi, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszliwsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przybocznej jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń; trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkieterów i jazdy, uciekało do Mniszewa. Muszkieterów wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozprószyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedynczych jeźdźców chłopi.

Nim słońce zaszło, armia Fryderyka, margrabiego badeńskiego, przestała istnieć.

Pan Czarniecki powrócił jeszcze przed zachodem słońca z królewskim pułkiem i stanął na środku majdanu. Wojska powitały go grzmiącym okrzykiem. Co który oddział nadciągnął, to wiwatował bez końca, on zaś stał w blaskach słonecznych, utrudzon niezmiernie, lecz cały promienny, z gołą głową, z szablą zwieszoną na temblaku i coraz odpowiadał wiwatującym:

— Nie mnie, mości panowie, nie mnie, lecz imieniu Boskiemu. *Henryk Sienkiewicz* (Potop).

33. Kartka z raptularza.

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— »Ratuj królu! Giną Niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom—chrzest z ołowiu.

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze...
— Ratuj — królu — bohaterze!« —

Król się porwał rozgniewany:
— »Wara — krzyknął — bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych [śmieci!

— Miecz mi dajcie!... Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech hussarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!« —

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!...

Za trzy zorze i trzy noce
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmią harmaty, świszczą kule;
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem
Po tem polu, krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-góra* we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu — lecz na wieki;
Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...

— »Hej na obóz! Naprzód wiara!« —
Poszła koniom z nozdrzy para.
Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą
Koń kopytem, mąż ostrogą.

— Naprzód! —
Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił, bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

Marya Konopnicka.

---

* Kahlenberg.

34. Z wyprawy wiedeńskiej.

(List króla Jana III. do królowej po zwycięstwie wiedeńskiem).

W namiotach wezyrskich, 13. Septembra w nocy.

Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko!

Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzyi. Wielbłądy, muły, bydła, owce, które to miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; drudzy zaś, osobliwie renegaci, na dobrych koniach i pięknie ubrani od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospólstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad się wróci. Prochów samych i amunicyi porzucił więcej, niżeli na milion. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którejm sobie zawsze widzieć pragnął. Kanalia nasza w kilku miejscach zapaliła tu prochy, które całe sądny dzień reprezentowały, bez szkody całe ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nieszczęście wielkie, bo pewnie na milion w nich uczyniło szkody.

Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za wezyrem postępując, przedał się jeden pokojowy jego i pokazał namioty jego tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszą: chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziśże jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały mi się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie

widziało. Niema porównania ze zdobyczą chocimską. Kilka samych sajdaków, rubinami i szafirami sadzonych, stoją się kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś »ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił«, bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkiem siedzeniem; i samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kihaję jego, t. j., pierwszego człowieka po nim zabito i paszów niemało. Złotych szabel pełno po wojsku i innych wojennych rynsztunków. Noc nam ostatka przeszkodziła i to, że uchodząc, okrutnie się bronią. Janczarów odbiegli w aproszach, których w nocy wyścinano: bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta; jakoż mieli czem co począć.

Ja ich rachuję, prócz Tatarów, na trzy kroć sto tysięcy; drudzy tu rachują namiotów samych na trzy kroć sto tysięcy i biorą proporcyą trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie nocy i dzień rozbierają je, kto chce już; i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą. Ludzi niewinnych, tutecznych Austryaków, osobliwie białychgłów i ludzi siła porzucili; ale zabijali, kogo tylko mogli. Siła barzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych które żyć mogą. Wczora widziałem dzieciątko jedne we trzech leciech, chłopczyka barzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna, że wezyr wziął tu był gdzieś w którymści cesarskim pałacu strusa żywego, dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć. Co zaś za delicye miał przy swych namiotach, wypisać nie podobna. Miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty, i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać.

Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło trzymać nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły. Z beluardów podmurowanych, okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały stra-

szliwe i tak je zrujnowali, że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany.

Wojska wszystkie, które dobrze barzo swoję czyniły powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przełamać — bo mnie się przyszło z wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził tak, że już nasz środek albo korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obracały — przybiegały do mnie książęta, jako to: elektor bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję, a całując w gębę, generałowie zaś w ręce, nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawaleryi i infanteryi, wołały: »Ach unser brave Kenik!« Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero i tu dziś rano książę lotaryński, saski; bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do pana Marszałka Nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi; cóż komendant Staremberg tuteczny! Wszystko to całowało, swym *salvatorem* zwało. Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie; drudzy się tylko dotykali, wołając: »Ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!«

Naszych niemało zginęło w tej potrzebie; osobliwie tych dwóch żal się Boże, o których już tam opowiedział *du Pont*. Z wojsk cudzoziemskich książę *de Croi* zabity, brat postrzelony i kilku innych znacznych zabitych. *Padre d' Aviano*, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą nad wojskami się naszemi przelatującą.

My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie mię odstąpić nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże; za co mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała! Kiedy już postrzegł Wezyr, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie, płakał jako dziecię. Potem rzekł do Hana: »Ty mię ratuj, jeśli możesz«. Odpowiedział mu Han: »My znamy Króla; nie damy mu rady, i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli«. — Gorąca tu mamy tak srogie, że prawie nie żyjemy,

tylko piciem. Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem. Ja nie wiem, czem już oni będą strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Już tedy wsiadamy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem; i jakom dawno wspomniał, że się, da P. Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy, gdzie P. Wyszyński niech każe nam kończyć kominy i stare poprawiać budynki.

List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej. Książęta saski i bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Musimy iść dwie mili wielkim pośpiechem dla wszystkich smrodów od trupów, koni, bydeł, wielbłądów. Fanfanik dzielny w najwyższym stopniu, na pięć mię jeszcze nie odstąpił. Ma się wybornie w takich fatygach, jakie większe być nie mogą i robi się przystojnym. Z księciem bawarskim, (który lezie wszędzie do nas i wczora przyjechał do nas od komendanta, dowiedziawszy się o mnie), jako brat z bratem. Zdobyczy mu swoje Fanfanik rozdaje ostatnie. Książę *de Hesse von Cassel,* którego tylko nie dostawało, przybył tu do nas. To wojsko przypomina bardzo zastępy, które Godfryd prowadził do Ziemi Świętej.

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca najśliczniejszą moję Marysieńkę. Niech się wszyscy cieszą a P. Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: »A gdzie wasz Bóg?» Dzieci całuję. Minionek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska. — Do Litwy piszę, t. j. do dwóch hetmanów, aby już nie tu, ale prosto szli do Węgier. Kozacy zdrajcy niechaj za mną idą. Te listy do hetmanów litewskich odsyłać jak najpilniej. Którędy będą mieli iść Litwa, oznajmi się drugą okazyą.

35. Śląsk.

Piękny i bogaty kraj, ciągnący się długim pasem od źródeł Wisły ku północy po obu brzegach Odry aż ku granicy Marchii Brandenburskiej, od czasów historycznych i zapewne wiele wieków przedtem zaludniali Polacy, granicząc

od zachodu z Morawianami i Czechami, a od południa ze Słowakami. Od połowy w. XII. Śląskiem zaczęli się dzielić Piastowie nasi, przez co osłabiał się związek ich z Polską i z czasem zupełnie się zerwał, zwłaszcza, gdy książęta i szlachta się zniemczyli, lud tylko wiejski został wierny aż po dziś dzień narodowości swojej; ale kilkuwiekowy napływ Niemców osadników i germanizacya domowa, idąca od książąt i panów, skurczyły ogromnie dawne granice plemienia naszego.

Dzisiaj południowa część Śląska, mniejsza, należy do Austryi; nazywamy ją Śląskiem austryackim albo cieszyńskim; północną zaś, daleko większą, półtora wieku temu Prusacy oderwali od Austryi i do państwa swojego wcielili.

Przez ciąg wieków obszar żywiołu polskiego zmniejszył się więcej, niż o połowę, tak, iż dzisiaj pod zaborem pruskim Polacy siedzą tylko na Śląsku górnym; wszystko zaś, co leży na zachód od linii, przeprowadzonej od Krotoszyna, przez Brzeg i Prudnik (Neustadt) do Ostrawy morawskiej, jest już prawie zupełnie zniemczone, choć istnieją jeszcze wsie polskie rozrzucone, jak wyspy, na morzu niemieckiem. Na ogół Polaków na Śląsku pruskim liczą przeszło milion.

Na Śląsku austryackim, czyli w księstwie cieszyńskiem, Niemcy osiedli tylko w Cieszynie i w Bielsku, oraz we wsiach sąsiednich; główną ludność prowincyi tej stanowią Polacy i Czesi; ci ostatni siedzą w pasie zachodnim, w liczbie około 100.000, Polaków jest około 250.000, a Niemców około 50.000.

Ludność polska na Śląsku austryackim nadaje sobie kilka nazw miejscowych: mieszkańców gór nazywają Góralami, a część ich, około Jabłonkowa, Jabłonkowianami albo Jackami, może dlatego, że zamiast *tylko*, mówią *jacy*. Mieszkańców części środkowej nazywają Wałachami, to jest, niby Włochami czy Rumunami, a ludność równin, na północnym zachodzie Księstwa, Lachami albo Dolakami.

Dobra większe na Śląsku są w posiadaniu Niemców, a ogromny kawał księstwa cieszyńskiego jest własnością jednego z arcyksiążąt austryackich; administracya dóbr tych składa się z samych Niemców; żywioł polski stanowią przeważnie wieśniacy i w części mieszczanie. Jednakże skutkiem rozbudzenia ducha narodowego, od drugiej połowy wieku

XIX. ludność przyznająca się do polskości nie tylko, że się nie zmniejsza na całym Śląsku, ale się znacznie powiększa, pomimo wszelkie zabiegi nieprzychylnego nam rządu pruskiego i części narodu niemieckiego.

O charakterze Ślązaków tak pisał dobrze znający ich profesor Lucyan Malinowski:

»Wszyscy, którzy kiedykolwiek pisali o Śląsku, nawet Niemcy, których przecie nie można posądzać o stronniczość pobłażliwą, wydają nader pochlebny sąd o cnotach domowych ludu śląskiego. W istocie, ile sam mogłem się przeświadczyć i opierając się na świadectwach duchowieństwa miejscowego, wyznać muszę, iż pochwały te nie są bynajmniej przesadzone. Jest to lud uczciwy, dobroduszny i łagodny. O wysokiej jego moralności społecznej świadczą najwymowniej kroniki sądowe. Nie słychać tu o kradzieżach, rabunkach, a cóż dopiero o rozbojach i morderstwach. Głównym rysem charakteru Ślązaka jest rozwaga i umiarkowanie. Pracowitość, a z drugiej strony dobrobyt ochraniają go od dzikich i gwałtownych namiętności.«

Śląsk niewątpliwie jest najwyżej oświeconą dzielnicą polską: gospodarstwo, przemysł, szkoły, porządek w życiu prywatnem i publicznem, złagodzenie obyczajów, wszystko to świadczy o prawdziwie europejskim rozwoju tej krainy. Rozbudzony w ostatniej połowie stulecia duch polski musi walczyć z ciężkiemi przeszkodami, które mu stawia zaciekły »hakatyzm«; ale że mimo to nie słabnie, lecz się wzmaga, jest nadzieja, że zwycięży.

Wszędzie wobec wyższej cywilizacyi bledną tradycye, zanikają obrzędy, pieśni i zabobony, strój i zabudowania tracą w części charakter miejscowy; tak też jest na Śląsku. Jednakże z tego, co dziś jeszcze się tam spotyka i co zapisano ostatnimi czasy, widać, że wierzenia i utwory ludowe wspólne tam były z całą Polską i że, jak w każdej innej prowincyi, przechowały się tam pewne odrębne zabytki.

Ponieważ cywilizacya na ogół znacznie postąpiła na całym Śląsku, więc też i w zabudowaniach widoczna jest różnica od innych, więcej zacofanych dzielnic. Tylko w górach, na południu i na zachodzie Śląska, przechowują się jeszcze chałupy dawnego pokroju, czasami słomą kryte; na

równinach, w powiatach bogatszych, wsie są przeważnie murowane, chociaż zachowują dawny układ zabudowań, mianowicie, że chaty stoją szczytami do drogi i mają podwórze przed sobą, ostawione budowlami gospodarskiemi.

Dawna, dzisiaj niknąca już chałupa drewniana Śląska, należy do najpospolitszego w Polsce typu: składa się z sieni, idącej na przestrzał, i dwóch po obu jej stronach połaci; lewą dzieli ścianka na tak zwaną »wielką izbę« i wązką »kómorę«; prawą przegradza również ścianka na większą »izbeczkę« i mniejsze »chlewki«; dach pokryty »daszkami« (snopkami słomy). Stodoła składa się z dwóch przedziałów, zwanych »sąsiekami«, z trzeciego, zwanego »gumno« i czwartego »chlewka«.

Ubiory są nader rozmaite w różnych okolicach; na ogół to zauważyć można, iż po miastach, miasteczkach, oraz w osadach fabrycznych i przemysłowych strój ludowy zanika i przechodzi w powszechny miejsko-europejski. Górale południowi zbliżają się ubiorem do Podhalan; na Śląsku cieszyńskim mężczyźni w znacznej mierze porzucili już strój odrębny, tylko kobiety ubierają się malowniczo i dostatnio: na głowie miewają czepeczki białe, a na nich chustki jedwabne (»szatki«) jasnej barwy; noszą białą koszulę zwierzchnią niby o bardzo bufiastych, ale krótkich rękawach, zwaną »kabatek«; na niej »żywotek«, t. j. gorsecik amarantowy, często aksamitny, naszywany złotem (szychem); bardzo krótka, mocno fałdowana kolorowa spodnica dopełnia stroju; w porze zimnej okrywają się ciepłemi »hackami« (chustkami), albo też noszą »szpencery« lub »jakle« watowane.

Mężczyźni na Śląsku pruskim ubierają się rozmaicie; we wszystkich jednakże okolicach to jest wspólne, że się w stroju przebija ślad żupana i kontusza, oraz barwa tła granatowa i naszyć amarantowa; żupan bywa krótszy lub dłuższy, zwykle mnóstwem drobnych guziczków bronzowych naszywany, nazywa się »westa«; kontusz, również granatowy, nosi nazwę »kamuzoli«, a w innych okolicach »kapudroka«; spodnie, zwane »galoty«, najczęściej wpuszczają się do butów. Kapelusz, czyli »kłobuk«, bywa czarny, szary, przeważnie nizki, o szerokich kresach.

Kobiety pod Opolem np. noszą czepce, zwane tu »ka-

pla[illegible], a na nich chustki barwne, często czerwone: gorsecik zwą »opleckiem«; bywa on zwykle zielony, przyszyty do »mazelonki« (spodnicy), pospolicie czerwonej, dość krótkiej.

Jan Karłowicz.

36. Na fujarce.

— A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?
A kto twoje fujareczki czarował?...
— Wychował ci mnie mój rodzic,
Ciemny las,
Kędy stoję w chłodnej rosie
Aż po pas.
Wykarmiła mnie ta ziemia, jak matka;
Płakiwała ze mną brzoza, sąsiadka...
Czarna rola podawała
Chleb i sól...
Wykołysał wiatr szumiący
Z łąk i pól.
Latał ci on miesięcznemi nockami
Nad sennemi wioski naszej chatami...
W srebrnej strudze maczał skrzydła,
Jako ptak...
I roztulał dzikie głogi,
Polny mak.
Z starych mogił zbierał skargi i żale...
I otrząsał po kalinach korale...
I uderzał grzmiącą piersią
W czarny bór,
Aż się ozwał siwych dębów
Głośny chór!
Tęskność, smutek, łzy sieroce, jak biały
Tuman z łąki, za nim w ślady leciały...
Wiatr gałązki moje gibkie
Całował...
Na fujarki je urzekał,
Czarował.

Marya Konopnicka.

37. Talizman.

(Legenda).

Było to na dwa tysiące lat przed naszą erą. W Afryce wówczas, nad brzegiem Nilu, wznosiły się mury olbrzymiego

miasta, zwanego Teby, które wspaniałością, bogactwem i przepychem olśniewało współczesnych. Ruiny tej stolicy starożytnego Egiptu do dziś dnia sterczą wśród piasków pustyni i w podziw wprawiają ogromem murów, kolumn i figur, zwanych sfinksami.

Dziś wydaje się, że takie budowle, które pół km. niekiedy miały długości, mogły wznosić chyba olbrzymy, gdyż zwykły człowiek nie podołałby temu. A jednak ludzie je wznosili, wznosiły ręce biednych niewolników, przypędzonych tu z odległych krain Azyi i Europy.

Faraonowie, potężni władcy Egiptu, zwyciężywszy jakiś kraj, zabierali najsilniejszych jego mieszkańców w niewolę i na całe życie zaprzęgali do robót ciężkich i niebezpiecznych. Z Biblii wiadomo, jak gnębili Hebrajczyków, gdy ci przypadkowo zmuszeni byli szukać w głębi ich państwa przytułku. Tuż za Tebami leżał olbrzymi plac, otoczony dokoła murem i strażami. Na placu tym dzień i noc wrzało życie, zgiełk i hałas. Co dzień żołnierze królewscy przypędzali tu tłumy skrępowanych niewolników, których ziemię spustoszyli ogniem i mieczem. Szli więc z pochylonemi głowami ci nieszczęśliwi, bez nadziei ratunku, z jękiem na ustach, z rozpaczą w sercu. Byli pomiędzy nimi i o białych obliczach Europejczycy, mieszkańcy szczęśliwych wysp greckiego Archipelagu, i murzyni o czarnej cerze z głębin niezbadanej Afryki i Arabowie z piaszczystych równin Azyi, o twarzy śniadej i oczach ognistych. Wszyscy oni z kolei przystawali przed wielkorządcą królewskim i w milczeniu słuchali jego wyroku. Ten siedząc na wzniesieniu, otoczony zbrojną świtą, naznaczał pracę każdemu oddziałowi z osobna.

— Wy, murzyni — rzekł do stojących przed nim ludzi o cerze czarnej, których straż czujna otaczała dokoła — wy będziecie znosili i ciosali kamienie na nowe piramidy, któreby przewyższyły wszystkie, jakie dotąd istnieją w krainie wielkiego Faraona. Jeśli po upływie roku zbudujecie ich pięć i władca nasz uzna je za godne siebie i za życia poleci nam, abyśmy po śmierci ciało jego zabalsamowane w nich złożyli, wtedy wolni będziecie. Skończyłem, odejdźcie.

Stłumione przekleństwa i zgrzyt zębów był odpowiedzią na ten rozkaz.

— To znaczy, że całe życie wśród trudów niesłychanych spędzić tu mamy, bo czyż za rok można będzie wznieść takie olbrzymie budowle? — Nigdy!

— Spróbujmy — rzekł stary murzyn — weźmy się jednomyślnie do pracy, a kto wie, czy pracując dniem i nocą, nie podołamy zadaniu.

— Przekleństwo ci — rzekł inny — chcesz, abyśmy z wysiłku pomarli? Czyż są gdzie takie siły, któreby ten rozkaz wykonały?

— To śmierć pewna — dodał inny — podstęp, aby przyśpieszyć nasz koniec.

— Nie będę pracował, chyba zmuszony — odgrażał się jakiś młody murzyn o szerokich, herkulesowych ramionach.

— Ale ja będę — zawołał jego młody towarzysz — kto wie? może przy wspólnej pracy podołamy zadaniu?

— To pracuj. Co do mnie, nie głupim!

— Ani ja!

— I ja też nie!

Westchnął stary murzyn i smutnie głowę na piersi zwiesił.

— Biada nam — szeptał, gdy ich straż zbrojna odprowadzała na miejsce, przeznaczone do trudów.

Przed wielkorządcą stanął tłum niewolników w białych zawojach, o twarzy śniadej. Byli to Persowie.

— Wy, mieszkańcy Azyi — rzekł do nich dostojnik — wolni będziecie za rok, jeśli przekopiecie kanał od miasta do Nilu tak szeroki i głęboki, ażeby w nim nigdy wody nie zabrakło. Ni piaski pustyni, ni wichry gorące, ni dzikie zwierzęta wstrzymać was w tem nie powinny.

Słysząc to Persowie i Arabowie, kłócić się między sobą z rozpaczy poczęli, gdyż część ich tylko do dzieła zabrać się była gotowa, inni stracili nadzieję i postanowili tyle tylko robić, ile dozorcy na nich wymogą.

— Niepodobieństwo to — mówili — przekopać kanał przez piaski pustyni. Wieków czasu na to, a nie jednego roku potrzeba.

— A jednak spróbować nie zawadzi — radzili starsi — wziąwszy się zgodnie do dzieła, kto wie, czy kanału nie przekopiemy?

— Na nic to — odrzekli z powątpiewaniem młodzi.

— Próżne marzenia — dodali inni.

Straż odwiodła ich na miejsce przeznaczenia.

Z kolei stanęli przed wielkorządcą Europejczycy.

Blade ich oblicza, pełne rozpaczy oczy i omdlewające ruchy budziły litość w sercu najzatwardzialszem. Wieleż to cierpień ci biedacy przeszli, wiele katuszy znieśli?

Spojrzał na nich dostojnik starożytnego Egiptu i rzekł:

— Dla was, ludzie o bladej twarzy, najmozolniejsze zadanie wypadło. Oto kupcy feniccy zmieszali sto wozów ziarn pszenicy z tyluż wozami ziarn żyta. Stało się to przez omyłkę, gdyż ludzie nasi w ciemnościach nocy sądzili, że na wozach pszenica tylko się znajduje. Otóż wy przez rok niewoli oddzielicie napowrót ziarna żyta od ziarn pszenicy, a jeśli jak w jednem, tak w drugiem zbożu nie znajdziemy ani jednego obcego ziarnka, jeśli po jednej stronie będzie czysta pszenica, a po drugiej żyto, możecie dziękować swojemu Bogu, gdyż dni niedoli waszej będą skończone.

Szmer niezadowolenia przebiegł wśród zbitej masy Europejczyków. Kiedyż oni pracę taką skończą? Ależ to wieki całe trwać może!

— Zguba nad nami zawisła pewna, nieunikniona — jęczeli młodsi.

— To wyrok śmierci — wołali inni.

— Daj nam inną pracę — krzyczeli śmielsi, zwracając oczy, gdzie siedział nieruchomie wielkorządca.

W miejsce odpowiedzi żołnierze wyprowadzili ten tłum zrozpaczony na miejsce przeznaczone.

Gdy szli wyrzekając, siwowłosy starzec rzekł głosem donośnym:

— Uciszcie się, nieopatrzni.

Cisza zapanowała nagle, wszyscy znali i szanowali mądrego starca.

— Ja wam radę dam, a że zbawienną, za to ręczę; lecz czy wypełnicie ją zgodnie, bez waśni?

— O, tak, wypełnimy; mów tylko, mów!

— Mam talizman, cudowny środek — odrzekł starzec — Jeśli mnie bez oporu najmniejszego przez rok słuchać będziecie, z pomocą tego cudownego talizmanu dokonamy

dzieła, które przedsięwziąć nam kazano. Czy przyrzekacie posłuszeństwo?

— Przyrzekamy i przysięgamy. Uwolnij nas tylko z rąk Egipcyan — wołali.

— A więc — rzekł starzec — umowa między nami zawarta. Talizman działać zaczyna.

I starzec bez najmniejszej straty czasu sam jął się pracy, a za nim wszyscy, jak jeden mąż, z gorliwością wielką poczęli oddzielać ziarnka pszenicy od ziarnek żyta.

Wschodziło i zachodziło słońce, zmieniały się gwiazdy na niebie, złoty księżyc odmieniał co miesiąc kształt swej tarczy okrągłej, a Europejczycy pracowali zgodnie, wytrwale, z zapałem. Nareszcie, gdy trzysta sześćdziesiąt pięć razy nad strudzonemi głowami pracowników weszło i zaszło słońce, wielkorządca, otoczony świtą, przybył dotrzymać tego, co był przed rokiem przyrzekł.

Najpierw murzynów odwiedził; lecz krótko tam bawił, gdyż kłócili się oni i wyrzekali, mało dbając o rozpoczęte dzieło. Piramidy nawet do połowy nie były wykończone.

— Zostaniecie tu na całe życie — rzekł do nich dostojnik i udał się do Persów i Arabów.

Ci również, jak murzyni, narzekali i kłócili się; kanał zaś zaledwie w trzeciej części był wykończony!

Taki też wyrok spotkał ich, jak poprzednich.

Nareszcie wielkorządca zbliżył się do Europejczyków.

Ci stali ze spokojnemi obliczami przy dwóch olbrzymich kopcach zboża, mając na czele siwowłosego starca.

— Skończyliście swą pracę? — zapytał dostojnik.

— Tak, panie — odrzekł starzec. — Oto na jednej stronie czyste żyto, a na drugiej pszenica.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy Egipcyanina.

— Jesteście wolni — wyrzekł, sprawdziwszy, że praca wykonana była dokładnie.

Okrzyk radości był odpowiedzią na te słowa. Niewymowna radość opanowała strudzonych pracowników.

— Niech żyje starzec — krzyczeli. — Niech żyje posiadacz cudownego talizmanu. Takich, jak on, mało na świecie!

— Mylicie się — odrzekł starzec - talizman, o którym wspominacie, nie tylko ja, ale i każdy z was posiadać może.

Zdziwieni ziomkowie zamilkli i z niedowierzaniem spoglądali po sobie.

— Jakiż to? — pytali.

— Zgodna, rozumna i wytrwała praca.

38 Gdańsk.

W Gdańsku ciekawych rzeczy, budynków, zabytków, zbiorów jest pełno, a ze wszystkiego najciekawsze miasto samo, jego ulice i domy, jego kanały i śpichlerze, jego osobna świecka i kościelna architektura i jego dziwna, oryginalna fizyognomia. Przyjeżdżającemu od Polski nie ukazuje się w całej swojej świetności; najpiękniej temu, ktoby jechał od morza Wisłą i Motławą; ale z wielkim także efektem temu, co przyjeżdża drogą pomorską, od Sobot.

Z daleka już zapowiada się znaczne, wielkie miasto. Rzeki w głębokich brzegach nie widać, ale tysiące masztów, kominów i flag zdają się z ziemi wyrastać na płaszczyźnie od miasta do morza. Pod wzgórzami znów i pod lasami willa za willą, ogród za ogrodem, a wszystkie noszą jeszcze wyraźne piętno dawnych czasów: w ogrodach strzyżone szpalery, na domach wielkie czerwone dachy z tej wypukłej dachówki, która niegdyś jako gdańska taką miała sławę w Polsce, że ją w najdalsze strony sprowadzano; wielkie okna z małemi szybami, gzymsów i różnych floresów pełno na murach, na drzwiach, na szczytach; najczęściej dwa skrzydła wysuwają się naprzód z głównego korpusu domu. Przedmieście, a zarazem pierwsza stacya, *Langfuhr*, wygląda jak spore i ładne miasteczko, a pyszna aleja z lip, w cztery rzędy sadzonych, łączy je z miastem. Z nad potrójnego pasa wysokich wałów, z nad bastyonów i redut wystają do połowy wieże, blizkie siebie, gęsto nasadzone, z czerwonej cegły wszystkie: jedna kwadratowa, wysoka bardzo, ale gruba, zakończona dachem, jak dom, a koło niej, jak odrostki koło starego drzewa, wychodzi ośm czy dziesięć cienkich, smukłych, ośmiokątnych wieżyczek — to wieże Panny Maryi; obok druga wysoka, cienka, strzelista, jak najpiękniejsza sosna, ukoronowana jakiemś blaszanem pokryciem fantastycznem

i strzelającem w górę — to wieża ratuszowa; na boku inna jeszcze, czworograniasta, ciężka, barczysta, dźwiga na sobie jakąś dziwną, ale piękną mieszaninę blaszanych wieżyczek, filarów, kopuł, chorągiewek, kwiatów — to święta Katarzyna; gdzie indziej znowu wieża, jak bardzo wyrośnięty dom, nie kwadratowa, ale o dwóch dłuższych a dwóch krótszych bokach — to św. Paweł; albo znowu szpiczaste szczyty, czego? trzech, czy czterech, czy sześciu kamienic połączonych, z wielkiemi gotyckiemi oknami i koronkowemi prawdziwie ozdobami z palonej cegły — to dawny kościół i klasztor franciszkański. A któż je wszystkie zliczy, wieże, wieżyczki, bramy, szczyty, frontony, zbite, ściśnięte, wspinające się jedne na drugie, jak gdyby świat zobaczyć lub światu pokazać się chciały? Ale zasłania je wszystkie razem wydrążenie kolejowego toru: pociąg idzie głębokim rowem i wreszcie staje przy *Hohes Thor*.

Kierujesz się ku miastu. Po lewej ręce wały, bastyony, fosy ze stojącą wodą i jakieś spacery, po prawej rząd porządnych, nowszych domów i droga, prowadząca ponad schowany w głębi *Bischofsberg* (stał tam niegdyś pałac biskupów kujawskich). Stajesz wreszcie przed »Wysoką« bramą i co cię wita na samym wstępie do Gdańska? Orzeł, prawdziwy polski orzeł, wykuty w kamieniu kiedyś za Zygmunta III. jeszcze. Wysoka brama nie jest wysoka wcale, owszem nizka, ma trzy przejazdy równej wysokości, postawiona jest z piaskowca, nosi datę 1588. r. i w napisach dwie maksymy, między któremi naturalnie *Iustitia Fundamentum Regnorum* (sprawiedliwość podwaliną królestw) i trzy herby: po lewej stronie orzeł pruski z koroną na szyi i z ręką uzbrojoną mieczem, po prawej dwa (jeden nad drugim) krzyże gdańskie, pośrodku orzeł królewski. Za tą bramą bezpośrednio druga, dawna miejska brama, później przerobiona na więzienie, wieża gruba, osiadła, ceglana, i znowu nie kwadratowa, tylko równoległoboczna, zamurowana od dawna a obstawiona małymi domkami, które się do niej przylepiły; kto ją obszedł, ten po drugiej stronie znalazł się znowu przed trzecią bramą. Jest plac nieregularny, długi, dość wązki, po jednej stronie wał miejski, a naprzeciw wału domy. Ale jakie! Naprzód facyata jakaś, jakby

czterech domów razem złączonych, o czterech szczytach; szczyty te zakończone jakimiś bukietami z żelaznych kwiatów i kulami; budowa z cegły, obramowanie i gzymsy, ozdoby i figury z kamienia: to dawny arsenał miejski i to tylko brzydsza, skromniejsza facyata arsenału. W sąsiedztwie arsenału, tuż naprost bramy, jakiś mały trzęsący się od starości budynek o ostrych łukach, dziś odwach, a dawniej nie wiem co. Z nim znowu styka się coś dziwnego, co nosi na sobie cechy późniejszego odrodzenia: dużo złoceń, dużo wypukłych figur, girland, kwiatów i znowu sentencyonalnych napisów, dołem przejazd, brama, nad bramą jakby dom z mieszkaniami — to *Langgassen Thor*, a zaraz za nim *Lange Gasse*, główna, najświetniejsza ulica: jest się w środku Gdańska.

Ulica, jakiej doprawdy można, wiele świata objechawszy, nie zobaczyć. Nie bardzo długa, wązka — dawne miasto; ściśnięte murami, musiało budować się wązko, a zato wysoko — zabudowana jest domami, jakich się nigdzie nie widzi. Czy dawniej, w wiekach średnich lub w wieku XVI., wszystkie domy i miasta na północy były do niego podobne? Zapewne, tylko kiedy wszystkie inne miasta chciały się stósować do mody, Gdańsk został, jakim był, i dlatego jest dziś jednem z najpiękniejszych miast w północnej Europie. Domy wszystkie bardzo wązkie, po dwa, najwięcej po trzy okna od ulicy; jeżeli więcej, to albo dom nowy albo gmach publiczny. Ta wązkość frontów nagradza się głębokością domów i ich wysokością; wszystkie pokoje długie a wązkie, za pokojami dziedzińce i *widermachy* i znowu dziedzińce tak, że dom nierzadko drugą facyatą stoi na drugiej ulicy. A wysokość? trzy, cztery piętra i pięć pięter i jeszcze nad niemi szczyt, w którym okna stosują się do formy dachu, ustawiają się w piramidę, na samym wierzchu zawsze jedno tylko. A jakie te szczyty ozdobne! Nie żałowali sobie bogaci Gdańszczanie, a mając małą przestrzeń facyaty, zdobili ją suto i szumnie. Rzadki dom bez kamiennych odrzwi i futryn, gzymsów, arabesek, złoceń, wypukłych i płaskich rzeźb, które często bardzo dobrze robione, zawsze nadają tym domom osobne i szczególne piętno. Na samym szpicu szczytu stoi coś, bogini albo zwierzę, święty albo bohater, wielka kamienna lub z żelaza lana figura, może znak domu,

może tylko konieczne zakończenie szczytu, który szpiczasty, coraz węższy, potrzebuje zaostrzyć się w coś zupełnie cienkiego i lekkiego. Na jednym więc domu wyciąga łabędź długą szyję, na drugim modli się święty zakonnik, na innym tańcuje nimfa, nieraz i orzeł Jagielloński podnosi skrzydła do lotu, fantastyczny smok lub krokodyl sąsiaduje z Matką Boską, a słoń kłania się poważnie stojącemu na drugim domu królowi. Ale więcej, niż szczyty, znaczą w tych domach wejścia. Wjazdowej bramy niema nigdzie. Wązkie drzwi prowadzą do wązkiej sieni, tylko między drzwiami a ulicą każdy dom ma, przynajmniej każdy miał przed laty, rodzaj terasy, czy wystawy, czy odkrytego ganku, który tu nazywają *Beischlag*. Terasa ta wzniesiona jest nad poziom ulicy o kilka schodów. Na tych *Beischlagach* dawny Gdańszczanin bawił się z rodziną przez letnie wieczory, przyjmował przyjaciół lub klientów, jadał; życie domowe, zazwyczaj zamknięte zazdrośnie przed okiem świata, tu odbywało się na ulicy, wobec wszystkich.

Na rogu ulicy *Lange Gasse* i placu *Langmarkt*, który gdzie indziej byłby także co najwięcej szeroką ulicą, stoi ratusz. Nie wielki, powiedzmy otwarcie, mały, ceglany, ratusz gdański od strony ulicy ma dwa piętra, od strony placu facyatę nie szerszą, ale nierównie wyższą. Pięter w niej cztery i dwa pierwsze o zwykłych czworokątnych oknach. Nad temi dopiero wznoszą się wysokie, ostre framugi w murze, jakby przeznaczone na gotyckie okna, a potem zamurowane lub na co innego przeznaczone, i w tych framugach znowu dwa rzędy okien takich, jak na niższych piętrach. Nad tem wszystkiem dopiero wieża kształtna, zgrabna, najpiękniejsza może na świecie wieża ceglana. Stoi na niej dach wysoki, suty, zawiły, a przecież niezmiernie lekki, co jedzie w górę śmiało i lotnie, a na samym wierzchołku dźwiga wielką, złoconą figurę. Ta figura — to król Zygmunt August, w zbroi i w koronie, w jednej ręce trzyma miecz czy berło, w drugiej chorągiew.

Przed ratuszem studnia z takim dobrym Neptunem, jak na północy rzadko można zobaczyć, i ze śliczną żelazną kratą. Przy studni, po lewej stronie placu, budynek z ciosu suto złocony, szerszy, ale zaledwo wyższy od otaczających

kamienic, wielkie, szerokie okna przez całą jego wysokość prawie: to jedna z chwał miasta, *Artus-Hof*, dziś giełda, niegdyś miejsce zborne wielkich dawnych korporacyi kupieckich. Idźmy dalej placem. Tu znowu nie można napatrzeć się domom, drzwiom, szczytom i wystawom, ale między wszystkimi króluje dom, stawiany przez burmistrza Speymanna w r. 1609. Zdaje się, że w całej facyacie niema nic, tylko okna (trzy w rzędzie) i ich futryny; gołego muru, ścian niema wcale. A te oprawy okien (z ciosowego kamienia) tak wyrzeźbione całe, że niema jednego cala, któryby nie był ornamentem. Dom to nie tutaj robiony, a historya jego daje miarę dawnej zamożności i wykwintności miasta. Bogaty patrycyusz kazał sobie dom z kamienia wyrzeźbić we Florencyi i jak belki na drewnianą chałupę z lasu, tak kamienne części domu wiozły się z nad Arnu nad Wisłę. Nieszczęście chciało, że okręt, na którym załadowana była główna, ozdobniejsza facyata, utonął, i dojechała do Gdańska tylko skromniejsza, którą właściciel przeznaczył na tylny front domu. W braku wspanialszej użył tej na jej miejscu i obrócił ją do placu, a ta skromniejsza jeszcze zadziwia szalonym przepychem. Zapisana różnemi sentencyami, zgodnie ze smakiem wieku także pyszni się popiersiami różnych sławnych mężów, starożytnych i nowszych; pod każdym podpisane nazwisko. Kogo tam niema! Solon i Judasz Machabeusz, Kato i Skanderberg, Temistokles i Sokrates, a między nimi królowie polscy, Jagiełło i Zygmunt III.

I znowu plac, zamknięty bramą, i znowu brama jest przejazdem na dole, a domem na górze, i to domem, któremu pokłonić się trzeba. Król nie miał nigdy swego pałacu w Gdańsku i miasto, nieraz naglone o przyzwoitą dla królów kwaterę, ofiarowało im na ten użytek piętro Zielonej Bramy.

Zaraz za Zieloną Bramą odmienny, dziwny, a bardzo piękny widok. Dotąd były zasobne mieszkania gdańskich kupców: tu jest podstawa ich bogactwa, tu ich pozadomowe zatrudnienia i spekulacye. Nad Motławą, niezbyt szeroką, ale głęboką tak, że nosi wielkie statki, a tak spokojnie i leniwo płynącą, że wygląda jak kanał, stoją dwa rzędy domów ogromnych, o niezliczonych piętrach i maleńkich okienkach:

to śpichlerze, to centrum gdańskiego handlu; tu z całej Polski przypływała pszenica, tu czekała dobrych cen i jechała Motławą do Wisły, a z Wisły na cały świat. I dziś, jeżeli nie tak samo, to podobnie. I dziś na drewnianych wybrzeżach ruch i ścisk ogromny; i dziś tłoczą się na Motławie statki wielkie i małe, żaglowe i parowe. Tu też kupców, faktorów, majtków, kramarzy bez liku, i tu także najłatwiej i nie rzadko spotkać naszych flisów.

Na Motławie most — Zielony Most — a za mostem ulice ze śpichrzów i znowu jakiś most na kanale czy na odnodze Motławy. Gdyby chcieć wyliczać wszystkie ładne ulice, zaułki i kąty, trzebaby napisać o Gdańsku książkę. Tu średnie wieki zdają się jeszcze panować na ulicy, zakończonej z jednej strony bramą, z drugiej poważnym portalem kościoła; tam znowu jakiś kanał czy rzeczka; z wody wychodzą małe domki o szpiczastych dachach i okrągłych szybkach; gdzie indziej kawał obronnych murów krzyżackich; albo ze środka placu czy ulicy sterczy, nie wiedzieć, skąd i poco, dziwaczna jakaś wieża i ogląda się za kościołem, który runął i ją samą zostawił. Na każdym kroku coś niezwykłego, odwiecznego, a choć jedno sięga XV., czasem XIV. albo XIII. wieku, drugie ma wszystkie cechy XV., a trzecie przypomina naszych Sasów, to wszystko godzi się z sobą szczęśliwie i harmonijnie i składa charakter miasta jeden z najwybitniejszych i najciekawszych, jakie na północy widzieć można. Gdańsk jest cały szlachetny, a tem szlachetniejszy właśnie, że nie szlachecki bynajmniej, że rycerskiego, arystokratycznego i monarchicznego niema w nim nic, że jest czysto i na wskróś mieszczański i kupiecki. Pałacu n. p. niema w nim ani jednego, są tylko małe domy, które skrzętny kupiec zamieszkiwał ze swoją rodziną; niema dworu, niema rezydencyi, a najcelniejszym budynkiem świeckim jest miejski ratusz. Republikańska ta cecha rozciąga się i na kościoły: niema katedry, niebyło jej nigdy, były tylko fary i klasztory. Ale to miasto samo swojemi siłami wznosiło kościoły wspaniałe i sypało wały, murowało forty i śpichlerze, dbało o malarstwo i rzeźbę; jego rzemieślnicy byli artystami: gdański stolarz nierzadko snycerzem, a ślusarz i mosiężnik robili rzeczy, którym się dość napatrzeć nie można.

A teraz może zapyta czytelnik o to, czy ten oryginalny charakter miasta jest polskim choć trochę? Na to odpowiada historya sama, że takim nigdy być nie mógł, że jakimkolwiek był Gdańsk za czasów najdawniejszych, pomorskich, to za polskich ludność jego była niemiecką, mówiła po niemiecku zawsze i do ostatka i że — jakkolwiek miasto, czasem oporne, w ogóle było królowi i Rzeczypospolitej wierne — to jego język, zwyczaje, urządzenia były niemieckie. *Stanisław Tarnowski* (Z Prus królewskich).

39. Nowy rok.

Witaj zdrowy, roku nowy,
Nowej pracy dniu!
Choć nie zdejmiesz troski z głowy,
Nie przysporzysz snu,
Choć nie będzie lżej bić młotem,
Ani ciągnąć pił,
Chociaż musi krwawym potem
Spotnieć, aby żył:
Przecież sercu jego miło
Witać nowy rok,
I w świat Boży z nową siłą
Podnieść jasny wzrok.
Bo jest w piersiach u człowieka
Taka dziwna moc,
Że z nadzieją słońca czeka,
Choć na ziemi noc...

Choć się człowiek nie dopyta
W nowe gody te,
Czy mu na chleb starczy żyta,
Czy go minie złe;
Bo w nim żyje siła taka,
Taki pęd w nim tkwi,
Że się zrywa lotem ptaka
Do jutrzejszych dni.
Hej! niech życzy, kto życzliwy!
Uściśnijmy dłoń...
Jedność bratnia, skarb prawdziwy,
Tego skarbu broń!
Jak się kupa po gromadzie
Spojrzy w ciężki czas,
To na sercu rękę kładzie:
Jeszczeć kupa nas!

Marya Konopnicka.

40. Zima w Jakucku.

Kiedy ogromna ziemia jakucka zamrze w żelaznym uścisku najsurowszej na świecie zimy, mrozy wielkie, niezmierzone urągają światu i światłu, człowiekowi i słońcu. Zimno, dla oznaczenia którego nasz język wyrazu nie ma, owiewa ziemię takiem tchnieniem lodowatem, takim mrozem przejmującym, że zdaje się, jakoby życie wszelakie zamarło na ziemi tej nieszczęśliwej.

Zima jakucka, gdy się rozwinie należycie, nie szaleje już, jak to u nas nieraz bywa, ale z majestatyczną powagą siły, nie znającej oporu, mrozi i zabija spokojnie. Nie stawi jej oporu ni słońce, pokazujące się zaledwie na kilka godzin nad horyzontem, ni ziemia na setki stóp zamarzła i nawet latem nie rozmarzająca głębiej nad 2 stopy. Stopniowo i bezustannie wzrastające mrozy zgęszczają coraz bardziej powietrze, które nareszcie słupem nieruchomym staje nad krainą nadleńską, zdaje się, gniecie i dusi ją swym ciężarem. Zgęszczonej masy powietrznej nie poruszają już chociażby najsilniejsze, zawsze jednak lżejsze prądy powietrzne ani z morza Lodowatego, ani z oceanu Spokojnego, ani z wielkich przestworów kontynentalnych, na zachodzie i południu leżących. Nieruchomy, groźny ciężar odbija od swego, miryadami iglic śnieżnych błyszczącego cielska najwścieklejsze zapędy wichrów morskich i lądowych, ujarzmia je, ostudza i włącza do wielkiego zbiornika chłodu, który starczyć ma później na całoroczne oziębianie Syberyi.

I mijają dni i nocy, mijają tygodnie i miesiące, a mróz nigdy nie słabnie, nigdy się nie zmniejsza. Człowiek, przyzwyczajony do zmiennej i pobłażliwej zimy zachodu, męczyć się zaczyna tą ciągłą, nieskończoną walką z nigdy nie słabnącym, zawsze czujnym wrogiem. Siły ciągle naprężone wyczerpują się powoli. Człowiek widzi, że pozostawiony sam sobie, nie wytrwa w zapasach nierównych. I słońca i ciepła i dnia i światła pragnie wtedy dusza stęskniona, jak tylko pragnąć może konający... Nie państwa, nie mienia, życiabyś oddał połowę, krwibyś utoczył za to słońce; ale słońce daleko i coraz dalej, coraz to prędzej ucieka na zachód, a mróz coraz większy...

Mrozy te wyciskają z powietrza wszelką wilgoć, która w postaci delikatnego pyłu śnieżnego tworzy gęste śnieżne mgławice, tumanami zwane. Księżyc zjawia się, okolony wielkim srebrnym pierścieniem. Słońce, jak gdyby do pomocy w borykaniu się z wrogiem potężnym, wyprowadza ze sobą jakieś nowe światła niebieskie, a mieszkańcy powtarzają: »Wszystko to na mróz, na mróz jeszcze większy!«

A gdy jeszcze wystrzelą z lodów biegunowych ogniste słupy zorzy północnej, to mleczne i srebrzyste, a nikłe, jak

słabe promienie fosforyczne, to krwawo-czerwone i straszne, jak gdyby ręką Boga niewidzialnego z bezdennej niebios przepaści miotane, wtedy mrozy dochodzą zenitu. Wytrwałe psy jakuckie, czyto czując instynktowo zbliżające się zimna jeszcze większe, czyto przerażone wielkiem zjawiskiem przyrody, wyją przeraźliwie. Z ostatnimi blaskami słupów ognistych, zwalających się w poczerniałą otchłań niebieską, milkną i te jedyne, a tak posępne głosy żywe i noc czarna, cisza grobowa zalegają nad obumarłą ziemią.

Cisza to jednak pozorna.

Czułe na najlżejsze drgnienia powietrze rozbrzmiewa powoli szczególnymi dźwięki. Śnieg nie chrzęści i nie skrzypi już, lecz dźwięczy jakoś przeraźliwie; wydychane powietrze z sykiem wydziela z siebie wilgoć, krzepnącą w mikroskopijne śnieżne kryształy. Wśród ciszy powszechnej rozlega się coraz głośniej okropna muzyka mrozu. Ucho ludzkie, przywykłe do dziękczynnego gwaru stworzenia, z osłupieniem przysłuchuje się suchym i ostrym dźwiękom śmierci i zniszczenia, zwycięskiej i ponurej pieśni nocy i zimna. I człowiek wtedy, od życia i ruchu odcięty, pragnie życia, ruchu i głosu żywego i wsłuchuje się ucho w tę ciszę grobową i w pozgrzyty mrozu nielitościwe, ale nic oprócz tej ciszy, nic oprócz tych pozgrzytów nie słyszy...

I zwierzęta i człowiek przyzwyczajają się jednak powoli do wielkiego zimna: zwierzęta porastają długą i gęstą sierścią, człowiek w zimnie samem szuka ratunku i obrony. Jakutka swe dziecię nowonarodzone pociera śniegiem; domy i jurty obrzucają śniegiem suchym, obmazują mokrym; w okna stawiają wielkie tafle lodu: i życie, choć wyparte z przestworów szerokich, choć zamknięte, jak we więzieniach, tętni jeszcze uparcie pod zaspami śniegu, poza oknami z lodu.

Biada jednak człowiekowi, biada wszelkiemu stworzeniu Bożemu, gdy się p o r u s z y groźna, bo okropnie oziębiona masa powietrza, przesuwając się najczęściej ku południowi. Wszelki taki ruch wysoce oziębionego powietrza, choćby nawet tak lekki, że i wiatrem go nazwać nie można, zowie się po jakucku »chijus«. Ciepło zwierzęce, ciepło sztucznie podtrzymywane, promieniuje wtedy z niesłychaną szybkością przez

najgęstszą sierść, przez najgrubsze bierwiona, śniegiem i lodem opancerzone. W najcieplejszych mieszkaniach zimno wtedy. Mróz smali i piecze, opalając, jak ogniem, wysunięte z ukrycia ciało. Zahartowany koń jakucki, odszukujący sobie i w zimie pod śniegiem nędzne pożywienie, ucieka pod opiekę człowieka; pies już nie wyje, lecz skomli żałośnie, zagrzebując się w siano zupełnie. Myśl ludzka już nie pracuje swobodnie, lecz zwraca się ku jednemu wyłącznie: ku ciepłu, ku ogniowi. Hardy pan stworzenia dzwoni zębami i jak ów pies łańcuchowy, uciekający haniebnie ze swego posterunku do budy, napełnionej sianem, tak i on tuli się do ognia, okrywa skórą i sierścią zwierzęcą. Myśl, spędzana z wyżyn nadziemskich, coraz niżej i niżej schodzi na ziemskie niziny i widzi przerażona, że jest niczem w porównaniu z potęgą przyrody; czuje, że jeden, dwa podmuchy — i rzekomy władca świata zamarznie, jak stoi, jak zamarzły na ziemi tejże świadki życia prastarego — olbrzymie mamuty.

Gdy w czasie mrozów silnych wionie »chijus« zabójczy, w mieście i okolicy znajdują zawsze kilka zamarzłych trupów.

Adam Szymański (Szkice).

41. Z życia bohatera.

We wspaniale urządzonej sali Wersalu, najpyszniejszego królewskiego pałacu we Francyi, siedział przy biurze Ludwik XIV., ów mąż, co przychodząc na świat, miał już trzy zęby. Na jego palcu błyskał najkosztowniejszy soliter, na biurze zaś leżał spis najznakomitszych poetów i uczonych zagranicznych. Pozłocistym ołówkiem podkreślał król imiona niektórych w celu przesłania im podarunków, aby go wierszem i prozą jako pierwszego monarchę na ziemi sławili.

Ukończywszy swoje zatrudnienie, powstał z krzesła. Obok w krześle poręczowem siedział silnie zbudowany, ponury mężczyzna z orlim nosem i dumnem wejrzeniem; był to minister wojny, Louvois (Luwoa). Właśnie co przeczytał podaną do króla prośbę, położył ją na bok obojętnie i również powstał.

— Przeczytałżeś Pan to podanie? — zapytał Ludwik — Cóż sądzisz?

— Najjaśniejszy Panie — odrzecze Louvois — bardzo mnie rozśmiesza. Człowieczek, figurka do zabawy, mały i wątły, co pierwszemu cukiernikowi może służyć do ubrania tortu, a żąda patentu na pułkownika dragonii!

— Czyż niemasz w mojej armii — zapytał Ludwik — podobnych księciu Eugeniuszowi nizkich i słabo zbudowanych oficerów? Zda mi się, żem niedawno takiego widział.

— Będzie to zapewne kapitan hrabia de Valois — odrzekł minister wojny. — Nie wyższy od Eugeniusza, to prawda, ale silniej zbudowany. Jednak, że w porównaniu z drugimi oficerami najmniej ma okazałości, jest nieustannym celem ich dowcipów, nie ma daru dodania sobie powagi, a na tej nigdy komendantowi zbywać nie powinno. Książę Eugeniusz mógłby dostać spazmów, gdyby powąchał prochu.

Ludwik na to:

— Eugeniusz, zdaje mi się, przyłączył do prośby dosyć znacznej objętości rękopis o strategii. Dałem ci go do przepatrzenia. Jakież twoje zdanie, Louvois?

Minister, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Książę Eugeniusz rozwija jakieś urojone teorye, okazujące zupełną niewiadomość szkoły praktycznej, jak to zwykle młode głowy czynią. Siedząc przy stoliku, piórem wygrywają najzaciętsze bitwy, a nareszcie wmawiają w siebie, że udoskonalili taktykę. Szkoda czasu na czytanie takich marzeń.

— Jeżeli tak — rzekł Ludwik — to nie mogę temu człowiekowi dać pomyślnej odpowiedzi.

— Racz mu chyba Wasza Królewska Mość poradzić — dodał Louvois — aby został księdzem. Niech powącha mirry zamiast prochu.

Ledwie te słowa wymówił, aż tu królowi zapowiadają ową figurkę, która według zdania ministra Louvois przydałaby się cukiernikowi do ubrania tortu.

— Wybornie! — odezwał się Ludwik — przychodzi, jak na zawołanie. — To rzekłszy, wszedł do przybocznej sali.

Zabawnie było patrzeć na te dwie osoby, naprzeciwko siebie stojące. Różnica była rażąca. Ludwik — postać

wysokiego wzrostu, postawa okazała, w każdem poruszeniu godność i powaga, rysy śmiałe, królewskie, brwi w pięknych łukach, organ melodyjny, w sztuce błyszczenia pierwszy mistrz we Francyi. — Eugeniusz z postaci nizki, szczupły i niepozorny, czarne bystre oko, twarz młodzieńcza, blada, włos czarny, mowa wolna, a zatem niezwykła Francuzom. Postawa nie okazywała bynajmniej bohatera; cechowała ją raczej jakaś skromność i niepewność i widocznie wiedział o tem, że natura, darząc go ciałem, była dlań macochą.

— Jakież twoje żądanie, kochany książę? — zapytał go monarcha.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Eugeniusz — niech sobie Wasza Królewska Mość łaskawie przypomnieć raczy, żem podał prośbę.

— Wiem — odrzekł Ludwik, jakby się namyślając — żeś mi podał jakąś prośbę. Wierzaj mi, że ją czytałem, ale nie dziw, iż sobie zaraz nie przypominam jej treści, będąc zarzucony tysiącami próśb z całego państwa. Jeżeli się nie mylę, prosiłeś o godność opata? Czy nie tak?

— Starałem się — rzekł Eugeniusz — w krótkich słowach przedłożyć Waszej Królewskiej Mości moją chęć służenia wojskowo; przyłączyłem oraz rękopis, owoc długoletnich mozolnych prac strategicznych, a nareszcie prosiłem o przydzielenie mi pułku dragońskiego.

— Ach, prawda — przerwie mu Ludwik — prosiłeś o pułk dragoński. Przypominam sobie dobrze. Powiedz mi, mój książę, czego wymagasz po żołnierzu w ogólności?

Eugeniusz spieszno odpowiedział:

— Odwagi, męstwa, lekceważenia życia, subordynacyi, wierności ku monarsze i ojczyźnie.

— Bardzo dobrze — zawołał Ludwik. — A czego w szczególności po oficerze dowodzącym?

— Aby umiał być posłusznym, miał przytomność umysłu, prędkie rozpatrzenie się w okolicznościach, gdzie ze stratą jednej chwili niebezpieczeństwo rośnie; aby przy energii i wytrwałości oszczędzał krwi ludzkiej, był ścisłym w służbie, surowym dla siebie samego a wiernym domowi panującemu.

— Dobrze — odrzecze król — bardzo dobrze. Wiele po-

wiedziałeś; opuściłeś jednakże rzecz główną: jest to postawa okazała, zniewalająca do czci i posłuszeństwa.

— To jest rzeczą ducha — odpowie Eugeniusz — gdy jest świadom swej godności.

— Daruj, że zaprzeczę — przerwał Ludwik. — To, o czem ja myślę, jest po części darem natury, po części też skutkiem wychowania, a dla komendanta wojskowego do utrzymania swojej powagi nieodzownem. To jest coś innego, aniżeli świadomość własnej zdolności i ufność w siebie. Jestto sztuka uczynić coś z siebie, gdyby się nawet niczem nie było, rozumie się, nie bez pomocy swej natury. Zgadzasz się ze mną?

— Niezupełnie — odparł Eugeniusz. — Cóż udzieliło sił Hannibalowi do wiekopomnego pochodu przez śnieżne Alpy? Może postawa jego? — O przenigdy! Cóż tchnęło ową, ożywiającą odwagę w skostniałe członki jego utrudzonych i rozpaczających wojowników na wysokich, śniegiem i lodem pokrytych puszczach alpejskich? — Nie był to zapewne ton jego mowy! Gdy się Hannibal i Scypio po raz pierwszy spotkali i w czystem polu, w czasie spokojnego wieczora, naprzeciw siebie stanęli, czemuż obaj wodzowie w tak długiem, wiele znaczącem milczeniu na siebie patrzyli? Nie była temu przyczyną twarz Scypiona, jako uroczy obraz kwitnącej piękności, ani żelazna tablica oblicza Hannibala z głęboko wyrytymi wyrazami uznojonego życia i ponurej osowiałości wodza. Skąd miało oko Cezara ową potęgę królewskiego spojrzenia? Cóż go natchnęło owemi słowami, któremi śród burzliwych bałwanów na trwożliwego sternika zawołał: »Steruj śmiało! Wieziesz Cezara i szczęście jego! Zdaje mi się, że to był majestat ducha.

Ludwik, cokolwiek dotknięty, uśmiechnął się i rzekł:

— Rozprawiania twego można przyjemnie słuchać. Jednakże jestem tego zdania, iżbyś walcząc na polu bitwy, wśród gradu kul, inaczej zupełnie sądził i przekonał się, że inna jest woń róż a prochu, muzyka dział a tańca, krew ciekąca z zadraśniętego palca a upływająca z piekących ran dziesięciu tysięcy wojowników. Tak, mój książę, okropna rzeczywistość inaczej nas myśleć uczy; nie przy stoliku to z rozgorzałą imaginacyą pisać o poprawie strategii.

— Jeżeli Waszą Królewską Mość zrozumiałem — odrzekł książę — chcesz mi dać poznać, iż mnie nie sądzisz zdolnym do służby wojennej, bo mi natura dała niepozorną postać.

— Przyznaję ci się, kochany książę, tylko nie gniewaj się na mnie: twoja prośba o pułk dragoński rozśmieszyła mię trochę. Dałbym ci szczerą, przyjacielską radę. Ręka, nie zdolna do szpady, może wodzić trybularzem; węch, za drażliwy na proch, zniesie łatwo kadzidło; uszy, które razi morderczy grzmot dział, niech słuchają nabożnego głosu organów: weź swój zamiar za pomyłkę, wybierz zawód sobie odpowiedni — zostań księdzem.

Zwykła bladość księcia pokryła się rumieńcem, a usta jego zadrżały boleśnie; jednakże, chociaż nie rzekł ani słowa, szyderczo uśmiechającemu się Ludwikowi dotrzymał śmiało oka.

Monarcha zapytał go dalej:

— Masz co jeszcze do powiedzenia?

— Nic więcej, Najjaśniejszy Panie — odparł zimno Eugeniusz. — Dozwól mi tylko Wasza Król. Mość prosić o dymisyę.

— Nie zatrzymuję cię ani chwili — odpowiedział Ludwik. — Udaj się, kędy sądzisz znaleźć szczęście dla siebie; serdeczne życzenie moje wszędzie ci towarzyszyć będzie. Masz dymisyę.

Eugeniusz skłonił się. Słońce południowe zajrzało przez okno pysznej sali posłuchalnej, a soliter ciskał iskrzące połyski.

Chcąc się nauczyć sztuki zapomnienia, książę oddał się dnia tego naprzód zabawom towarzyskim, a potem samotności. Spokojność duszy jego była na zawsze zburzona. Dzikie myśli poruszały nim, jak gniazdo rozburzonych szerszeni. Stanął przed swojem pod strop sięgającem źwierciadłem, z ponurą przykrością, z szyderczym uśmiechem poglądał na swoją osobę i zawołał: »Czemuż nie jestem o dwie głowy wyższym! Naturo, tyś nie z macierzyńską miłością postąpiła sobie ze mną!«

W kilka dni potem otrzymał brat jego w Austryi list następujący:

»Byłem u Ludwika XIV. Prosiłem o patent na pułkownika dragonii. Niepokaźną postawę moją obrał sobie za cel swego niekrólewskiego szyderstwa i radził mi zostać księdzem. Żądałem dymisyi, dał mi ją w sposób pogardliwy.

»Czułem się nieszczęśliwym i narzekałem na przyrodę, że mi poskąpiła okazałego wzrostu i silnej budowy ciała. Ale później nabyłem przekonania, że przyroda jest niczem innem, jak zbiorem sił, działających według stałych, nieodmiennych praw, których dawcą jest Bóg, mądrość najwyższa.

»Dzisiaj jestem już spokojny, a ukojenie znalazłem w myśli, że duch powinien być mistrzem ciała. Jeżeli się pojawi w doskonałym ustroju ciała, niemasz w tem nic dziwnego. Ale jeżeli majestatycznie wystąpi z nieokazałej obsłony i jak słońce z obłoku potężnie zaświeci — o! wtedy jest to widok godny Boga. Wszelką myśl skierowałem ku spełnieniu tego zadania, godnego prawdziwego męża.

»Cały czas poświęcam nauce taktyki i historyi. Trzy godziny śpię tylko.

»Na przyszły miesiąc opuszczam Paryż i wstępuję w służbę austryacką. Zacznę od szeregowca; nie mam spokoju, muszę wydrzeć się z pomrocznej obsłony i własną siłą ducha stanąć z czasem, jak swobodne słońce na niebie!«

Brat przysłał mu następującą odpowiedź z Austryi:

»List twój czytał cesarz Leopold I. i wzywa cię do służby austryackiej. Zamiar twój służenia od szeregowca podoba mi się. Cesarz zajął się tobą, a tak od ciebie tylko zawisło dopiąć swego celu.«

* * *

Przy odsieczy Wiednia jeden olbrzymi, w bitwach posiwiały dragon, spoglądając z dobrodusznym uśmiechem na małego ochotnika, rzekł do swego towarzysza: »Hej, bracie, mnie się zdaje, iż ten kapucynek niewielu Turków brody pozbawi.« — Eugeniusz to posłyszał i zatlał cały gniewem. Dawna rana rozdarła się znowu, a ta myśl: »Duch powi-

nien swą rodzimą potęgą wzbić się nad ułomne ciało — tak go na wskróś przejęła i tak silnie owładła, iż nadludzkiem prawie męstwem spłonąwszy, dnia tego tyle dał dowodów talentu i waleczności swojej, że go lwem bitwy nazwano.

Leopold I., uznając w lichej czarze szlachetne wino, mianował młodego bohatera pułkownikiem i dał mu pułk dragonii.

Wkrótce potem rzekł Ludwik XIV. do ministra wojny: — W tym człowieku dyabeł siedzi! Louvois, źleś mi poradził. Niech kosztuje, co chce, musimy go zwabić do siebie. — Poseł francuski, pełen ułudnych słówek, stanął przed Eugeniuszem: »Namiestnictwo Szampanii, godność marszałka Francyi i 2.000 luidorów rocznego dochodu!« — Eugeniusz odrzekł: »Kapłan pozdrawia króla Francuzów, ale woli jego zadość uczynić nie może, gdyż już został cesarskim feldmarszałkiem, co tyle znaczy, ile marszałek króla francuskiego. Co do pieniędzy, daje mi cesarz więcej, niż potrzebuję; a nakoniec powiedz twemu władcy, żem się nie spodziewał, aby Ludwik XIV., którego świat wielkim zowie, mierzył człowieka łokciem«.

Nieraz jeszcze przyszło Ludwikowi XIV. żałować tego, że złudzony pozorem i niepokaźną postacią, wzgardził geniuszem. Eugeniusz był bowiem długie lata puklerzem Austryi. Zostawszy w 34. roku życia naczelnym wodzem wojsk cesarskich, zadał Turkom najkrwawszą ze wszystkich klęskę pod Zentą, wskutek której musieli zawrzeć pokój w Karłowicach, po wybuchu zaś wojny o sukcesyę hiszpańską odniósł kilka zwycięstw nad armią francuską.

42. Z daleka.

O poranku szumią drzewa:
Gdzie jest twoja wioska, [gdzie?
Jaki teraz ptak tam śpiewa,
Jaki kwiat swe wonie tchnie?
Jaka bieda w oczy kole,
Jaką troskę przyniósł czas?
Czy już koszą nasze pole,
Czy po drzewo jadą w las?...
Jak się dymy z chaty wiją,
Jak w ognisku trzeszczą [skry?
Jak tam ludzie czują, żyją;
Czy już oschły rosy, łzy?
O poranku szumią drzewa:
— Hej! dalekoż do tych żniw,

Co to o nich piosnka śpiewa
Na tęsknotę i na dziw!
Do tych żniw błogiego lata,
Kiedy słońce wzejdzie nam,
Kiedy razem dwór i chata
Na zagonie staną tam...
Hej! dalekoż mi, daleko!
Kto wyśpiewa taki dzień?
Jasne rosy z nieba cieką,
Krzyż przydrożny rzuca [cień...
O poranku szumią drzewa:
— Kmieciu boży, kędyś ty?
Oto żniwo już dojrzewa,
Naostrzona kosa lśni,
A Piastowy duch pustkowiem
Po zagonach chodzi wzdłuż
I zarzyna srebrnym nowiem
Pierwsze garście nowych [zbóż...
Hej, do żniwa tam! do żniwa
Niech wylegnie cała wieś,
Niechaj stare pieśni śpiewa!
Nieś je tutaj, wietrze, nieś!
O poranku szumią drzewa:
Gdzie jest moja wioska, [gdzie?...
Echo w dali się rozwiewa,
Toną mary w srebrnej mgle.

Marya Konopnicka.

43. Z listów misyonarza*.

I.

Schronisko.

w lutym, 1899.

...Teraz opiszę moje schronisko, ostateczny cel mojej podróży (i to mnie zatrzymało, bo musiałem pierwej obejrzeć, a dopiero opisać). Otóż tak się rzecz ma: całe schronisko składa się z czterech ogromnych baraków, kościółka i mego mieszkania. Kościółek w środku, tuż obok mój domek, a baraki po obydwóch stronach, 2 z jednej, 2 z drugiej strony; kościółek na razie wystarczający do pomieszczenia chorych, których mam 150. Ale wewnątrz, to trudno opisać, jakie ubóstwo. Jeden ołtarz prostszy, niż w najuboższej parafii, zakrystyi niema wcale, do Mszy św. ubierać się

* Autor tych listów, O. Jan Beyzym, rodem z Wołynia, od pierwszej młodości miał sposobność hartować swą duszę. Gdy po r. 1863. majątek jego rodziców uległ konfiskacie (na szczęście czasowej), a liczna rodzina została naraz bez dachu i środków utrzymania, przyszły misyonarz, jako najstarszy z rodzeństwa, zaprzągł się do robót nad siły i sam nieletni, utrzymywał braci w szkołach kijowskich. Po ukończeniu gimnazyum w Kijowie, gdy widział, że wskutek pomyślnej zmiany stosunków, dla rodziny nie jest już koniecznie potrzebny, wstąpił do zakonu T. J., a w r. 1898. postanowił życie swoje poświęcić najnędzniejszym wśród nędznych — trędowatym na Madagaskarze.

trzeba za ołtarzem; przed ołtarzem balaski, do których przybite dwie kraty, stanowią konfesyonały; za balaskami na ziemi rozesłanych kilka rogóżek (podłogi wcale niema), na których stoją, siedzą lub klęczą (jak kto może) trędowaci. Sufitu wcale niema, tylko ściany i dach z dachówki, przez który deszcz przecieka.

Baraki podzielone na osobne izby nieprzechodnie; ale te izby (właściwie nory) okien ani podłogi nie mają. Światła tylko tyle, ile przez otwarte drzwi wchodzi. Całe umeblowanie takiej izby stanowi rogóżka, rozesłana na ziemi, na której chorzy śpią; w jednym z kątów rozkładają ogień dla gotowania sobie jedzenia; o kominach mowy niema. W takiej jednej izbie mieści się jedna rodzina z całym swym majątkiem, jaki tylko posiada. Odziewają się ci nieszczęśliwi, w co kto ma; znajdzie gdzie jaki stary worek lub coś w tym rodzaju, i już odziany. Pożywienie ich stanowi ryż przeważnie, którego trochę dostają co tydzień z misyi. Oprócz ryżu misya im dać więcej nie może, bo żyjemy z jałmużny. Rząd dał dla trędowatych kawał gruntu (ziemia licha, potrzebująca wiele uprawy, żeby co poczciwego wydała), ale nic oprócz tego. Ci z pomiędzy chorych, co jeszcze mogą pracować, grzebią trochę tę ziemię i sadzą, co mogą dostać, np. maniok, pataty (rodzaj kartofli), fasolę, kukurudzę itp. Jednem słowem, nędza straszna, chodzą biedacy i świecą ranami, bo owinąć niema czem. Niema przy nich nikogo: ani doktora, ani zakonnic, ani infirmarza, słowem zgoła nikogo. Ja tu jestem wszystkiem: kapelanem, zakrystyanem, ogrodnikiem, infirmarzem, gospodarzem, i t. d. O aptece mowy jeszcze niema. Mój pałac tuż przy kościele; składa się on z dwóch pokoi (bez podłogi naturalnie) i małej stajenki na jednego konia (często dają nam konia, bo trzeba jedną Mszę św. odprawić u siebie, a drugą tegoż samego dnia o parę mil dalej, więc piechotą nie możnaby zdążyć) na dole, a na górze jeden pokój (moja sypialnia, gabinet, salon, refektarz), a naprzeciw kuchnia (pieca niema wcale, tylko podpala się ogień, a na trójnogu żelaznym stawia się to, co się chce gotować). No i cóż więcej? No nic, cały dom już opisany z najdrobniejszymi szczegółami. Schody z parteru na piętro

mają poręcz (właściwie to drabina, ale jakże takiego słowa można użyć, opisując pałac?).

II.

Życie w schronisku.

Niedostatek. *14. września, 1899.*

Do chorych chodzę rzadko, bo mi to bardzo przykro. Gdy pójdę do nich, oni mnie obstąpią, każdy się żali na swe dolegliwości, a zwłaszcza na pożerające ich rany, a ja pomódz im w niczem nie mogę, bo nic a nic jeszcze nie mam. Skoro który tak się rozchoruje, że wstać nie może, to się z nim dzielę swoją porcyą. Wprawdzie on się tem nie obje, ale zawsze coś weźmie do ust, widzi przynajmniej współczucie, a więcej na razie nic nie mogę zrobić. Czasami i tego zrobić nie mogę, bo gdy takich chorych mam nie jednego, ale kilku lub kilkunastu, to nie zanoszę im swej porcyi, bo nie byłoby czem obdzielić; dać zaś jednemu, a drugim nie, to jakoś nie idzie. Na obiad ma się tu trochę ryżu, albo parę jaj (jeżeli można dostać), albo kawałek chleba, który możnaby zjeść na śniadanie w W. Piątek, wcale nie naruszając postu, szklankę herbaty z takimże kawałkiem chleba; to są zwyczajne nasze obiady, tylko nie wszystko na jeden obiad lub wieczerzę... Mam u siebie czarnego kuchmistrza, który potrafi ryż zgotować i sfabrykować rodzaj zupy z tutejszych ziół; więc się razem żywimy, czem Pan Bóg pozwala. Fundament jednak za łaską Bożą jest, t. j., mam herbatę, a gdy ta jest, to Tatarowi* mało co więcej potrzeba. Mnie głównie chodzi o moich biednych chorych, a nie o siebie.

Święta Bożego Narodzenia. *28. grudnia, 1899.*

Pierwsze to święta, które spędziłem z moimi trędowatymi, bo w przeszłym, t. j., 1898. r. świętowałem w drodze do Tananariwy. Żeby te święta były wesołe, to trochę trudno powiedzieć, przeciwnie bardzo mnie smuciły, a to ze względu na moich chorych. W pierwszy dzień odprawiłem im trzy

* Rodzina Beyzymów ma być pochodzenia tatarskiego.

Msze św., ale gdzie? Nie potrzebowałem wcale stawiać szopki, jak to robią po naszych kościołach, bo mój kościół bodaj czy nie w gorszym stanie obecnie, jak betlejemska stajenka. Ściany zbrukane od deszczów i popękane rozchodzą się na wszystkie strony — chorzy muszą wybierać miejsca, gdzieby mogli rozesłać rogóżki, na których siedzą, bo w kościele błoto (teraz właśnie pora deszczowa). Ołtarz z gliny zrobiony tak, jak i ściany, tylko parę kawałków deski położono zamiast mensy i stopnia; ozdobiłem go, jak mogłem, zielenią (kwiatów jeszcze nie mogę dostać), ot i cała parada. Matka Boska Częstochowska w rzeźbionej ramie i ten ołtarz, niby cośkolwiek ozdobiony, wyglądają w tym kościele zupełnie, jak piękny bukiet przy dobrze zasmolonym kożuchu. Moi chorzy wystroili się, jak kto mógł, mimo to jednak wyglądali, jak czeladź murarska w powszedni dzień. Zapach w całym kościele wcale nie przypominał kadzidła; ale trudna rada, inaczej być nie może, bo ci nieszczęśliwi gniją żywcem. Po 3-ciej Mszy św. ci, co jako tako mogą chodzić, rozeszli się na żebry, a reszta została w swoich barłogach. Ot, i już po świętach!

Pogrzeb. *28. lutego, 1900.*

Jest na cmentarzu trędowatych, jak już, zdaje mi się, kiedyś pisałem, kilka grobów familijnych. Niedawno chowałem zmarłego do jednego z takich grobów. Nie potrafię opisać tego widoku, po dziś dzień zapomnieć go nie mogę, żywo stoi mi przed oczyma. Napatrzałem się już niemało na szkaradne i obrzydliwe rany, widziałem już niejednego bardzo zepsutego trupa, ale coś tak straszliwie brzydkiego, jak tych kilka trupów wtłoczonych do wspólnego grobu, rozumie się bez trumien (bo tu zmarłych chowają, owinąwszy ich tylko w płótno) jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Odkąd jestem w zakonie, jeszcze w żadnych rekolekcyach, w żadnem rozmyślaniu, w żadnej egzorcie nigdy się mi tak jasno, jakby namacalnie nie przedstawiło, co to za lichota, co to za nikczemny proch cały ten człowiek i jaki przytem człowiek głupi, że całe życie pyszni się, uważając się zawsze za coś wielkiego, jak wtedy, kiedym patrzał w ten grób. Nie wiem, czyby Skarga, gdyby mógł zmartwychwstać, tyle

zrobił swojem najognistszem kazaniem, co zrobiłoby jedno spojrzenie w ten grób. Mimo to jednak przywiązanie do życia jest w każdym człowieku. Oto n. p. moi chorzy w nędzy są ostatniej, bo ani pożywienia ani mieszkania ani posłania ani odzienia uczciwego nie mają, jedzą co pod rękę wpadnie, cierpią od ran i prócz tego inne choroby często im dokuczają, pomimo to jednak każdy z nich chciałby żyć. Kiedy którego dobrze przyciśnie choroba i czuje, że już z nim krucho, wtedy z największym spokojem oczekuje śmierci; nie skarży się, nie jęczy, nie narzeka, ale czeka końca tak, jakby był zupełnie obojętny na wszystko. Kiedy się jednak zdarzy, że choroba się przełamie i chory powraca do zdrowia (t. j. rozumiejąc nie po waszemu, ale po naszemu, po trędowatemu, do zdrowia), znaczy, że żyje i chory tylko na sam trąd lub z jakim dodatkiem innej choroby, ale żyje, wtedy się cieszy.

Burza. *28. marca, 1900.*

Dnia 3. marca popołudniu zaczęło się chmurzyć i było bardzo parno; wiatru wcale nie było, cisza najzupełniejsza, chmury nadchodziły coraz to bardziej, tak, że około godz. 4. było ciemno, jak o szarej godzinie, jak to mówią. Zaczęło błyskać, grzmieć, deszcz zaczął padać, ale nie zwracaliśmy na to uwagi, bo to pora deszczowa — chmury bardzo ciemne, no, może będzie gradu trochę i po sprawie. Ale naraz około godz. 5. ni stąd ni zowąd zerwał się ogromny wicher, pioruny sypały, jak z worka, i deszcz zamienił się w ulewę, formalna zrobiła się nawałnica. Co się działo po za chatą, nie wiem, bo nie można było nic ani widzieć ani słyszeć, było ciemno i grzmoty zagłuszały wszystko, chata moja drżała od wichru i huku. Widok tej burzy śliczny; prawdziwie przyjemnie było patrzeć i słuchać, jak waliły pioruny, coś tak, jak na bębnie, niby grochem posypie drrrrr — po chwili palnie jeden piorun, potem drugi, trzeci, potem znowu posypie i t. d. Widok śliczny, to prawda, pomyślałem sobie, ale i to łatwo być może, że to ostatnia przygrywka dla ciebie; może pod takt tego marszu na tamten świat wymaszerujesz, bo albo piorun gwizdnie, albo chata się zawali, nim zdołasz z niej wybiedz. Ukląkłem więc przed obrazem

Matki Boskiej, wzbudziłem żal za grzechy, poleciłem moich chorych i moją grzeszną duszę łaskawej opiece Najśw. Matki i gotów — niech się dzieje, co ma się dziać. Zaziera m po chwili do kuchni, co się tam dzieje. Mój czarny kuchmistrz gotuje ryż na wieczerzę i koronkę przytem odmawia; wszystko w porządku, powiedziałem mu tylko, żeby zaraz rzucił wszystko, gdyby chata mocniej zadrżała, i zbiegł coprędzej na podwórze, żeby nie być zgniecionym przez walącą się chałupę. Zająć się czemś trudno było, bo dach lichy i bez tego, uszkodzony nawałnicą mało chronił, więc trzeba było zabezpieczyć się od wody, gdyż w chacie także ulewa, tylko nie taka, rozumie się, mocna, jak na dworze; trwało to z półtorej godziny. Kiedy ustała nawałnica, a deszcz tylko padał, zapaliłem latarkę i poszedłem zobaczyć, co się u moich chorych dzieje. Ledwom się pokazał, powstał ogólny krzyk i hałas, każdy woła, żeby do niego zajść i zobaczyć, co woda narobiła: »Mój Ojciec niech idzie do mnie, gdzie mam spać, powie mi« — woła jeden. »Mój Ojciec, mój Ojciec, tutaj niech idzie, tutaj, jak tu nocować? Miałem trochę ryżu, woda zabrała głodny jestem, zimno mi« — wrzeszczy drugi i t. d. Chodziłem od drzwi do drzwi, pocieszałem, nadrabiałem miną, żartowałem, że będzie nam miękko spać, bo woda to nie kamień, ale to wszystko *pro forma*, jak to mówi przysłowie: »hop na ulicy, choć bieda w kamienicy«, bo w duszy zupełnie co innego się działo. Niby się śmiałem, żeby tym biedakom dodać odwagi, ale łzy przy tym śmiechu przemocą się cisnęły; połykałem je tylko, jak mogłem. Jakże obojętnie patrzeć na to? W izbie woda, z góry kapie, ciemno zupełnie, bo skąd taki biedak ma wziąć świecę? Chory, głodny, pokryty ranami, okryty mokrą szmatą, siedzi w błocie i trzęsie się od zimna, a ja biegam od drzwi do drzwi i nic a nic pomódz nie mogę. Chodziłem tylko dlatego, żeby wiedzieli, że o nich pamiętam i że najchętniejbym im pomógł, gdybym tylko mógł.

Dola trędowatych. *28. kwietnia, 1900.*

Dotychczas nie umiem sobie wytłómaczyć usposobienia moich chorych. Wielu z nich przyszło na świat z trądem, wielu zaraziło się nim, ale oddawna, tak, że już nawet nie

wiedzą, co to znaczy być zupełnie zdrowym, to prawda; ale czy oni tak już się oswoili ze swoją niedolą, czy wskutek takiego nieszczęścia na wszystko są już obojętni, czy co innego powodem tego, wcale odgadnąć nie mogę. Już choćby nie co innego, jak samo pogardzanie i pomiatanie, którego wciąż doznają, tak dalece, że często kamieniami ich napędzają, jak psy; jeżeli kto litościwy daje jałmużnę, to nie daje jej jak człowiekowi, ale z daleka mu ją rzuca, żeby sobie podjął, zupełnie jakby jakiemu zwierzęciu rzucał — samo to, mówię, pogardzanie dotkliwie każdy odczuje, a ci biedacy mimo to wszystko weseli, rozmawiają, śmieją się, a nawet który może, to zatańczy i zaśpiewa. Do tego stopnia przyzwyczaili się być strasznymi dla wszystkich, że ich to dziwi, kiedy widzą coś innego. Kiedy pierwszy raz dostałem kawałek płótna i wziąłem się do opatrywania ran jednemu z nich, to otoczyli mnie i przypatrywali się, jakby jakiemu widowisku, a jeden z nich głośno powiedział drugiemu: »Patrzaj, patrzaj, on rany dotyka i nie boi się«.

28. lipca, 1901.

Gdyby nas kto zobaczyć mógł obecnie, toby z pewnością pomyślał, że nam nic nie braknie, ptasiego mleka chybaby tylko trzeba; kłopotów mamy naokoło pełno i większych i mniejszych, a mimo to, tak się jakoś jakby przemocą dobry humor i wesołość wciska do nas. Moje czarne pisklęta gwarzą, śmieją się i często śpiewają; mnie boli bardzo niedola moich chorych i dotkliwiej daje się mi czuć teraz, niż przedtem, to prawda; ale co do siebie samego osobiście, tak się czuję szczęśliwym, że każdy magnat, opływający we wszystko, z pewnością pozazdrościłby mi tego usposobienia.

28. listopada, 1901.

Teraz opowiem mały jeden szczegół z naszego domowego życia. W pakach, przysłanych mi przez solidacyę św. Piotra Klawera, było trochę pierników i cukierków. Po ukończeniu przepakowywania poszedłem do Ambahiwuraku* po-

* Nazwa miejscowości ze schroniskiem trędowatych, które O. Beyzym miał niebawem opuścić.

żegnać moich chorych i zaniosłem im te słodycze. Moje czarne pisklęta pierwszy raz w życiu zobaczyły te rzeczy. Kiedy pokazałem wielki lukrowany piernik, ubrany cukrowymi kwiatkami, krzyknęli natychmiast »adre!« (wymawia się *adrê*). Jest to wykrzyknik ustawicznie używany przez Malgaszów i oznaczający radość, smutek, podziw i t. p., a znaczy *oj*, *aj*, lub coś w tym rodzaju. Potem powiedziałem im, że to się je, bo to słodki chleb (innej nazwy dla ciastek Malgasze nie mają), oraz wręczyłem im te pierniki i cukierki, dodając przytem, że to się również je. Jednemu z chorych, który mi pomaga we wszystkiem, poleciłem zająć się podziałem. Dzięki Bogu, podział szczęśliwie się odbył, z czego byłem bardzo zadowolony. Nie ubliżając nawet moim pacyentom, powiem otwarcie, że nieraz w podobnych razach musiałem ich zburczeć, bo nie zawsze uda się im zachować zimną krew. Póki spokój, to się nie mieszam, ale jak się tylko zaczną nieco gorączkować i Rafał nie może sobie dać rady, wtedy śpieszę zaraz na pomoc, żeby czasem który z nich nie wyraził namacalnie swego niezadowolenia, fotografując swoją rękę na twarzy tego, z którym się posprzeczał, jak się to już raz, rok temu, zdarzyło. W Europie między cywilizowanymi białymi takie wypadki wcale nie rzadkie, cóż więc dziwnego, że czarny, na pół dziki jeszcze Malgasz da w papę drugiemu, kiedy się rozgniewa. Po skończonym podziale można było doskonale ubawić się patrząc, jak stare dzieci cieszyły się i zachwycały słodyczami, które dla nich przysłano z »tego dalekiego kraju, co leży za tem wielkiem morzem«. Ile tam było podziwiania umiejętności *wazaha*, (t. j. Europejczyków) którzy potrafią takie dobre rzeczy robić, ile obwąchiwania, lizania, mlaskania językiem, opatrywania na wszystkie strony i t. p., to i opisać trudno. O malcach to już i mówić niema co. Szkoda tylko, że to tak daleko i że te dzieci polskie, co przysłały słodycze, nie mogły same patrzeć na rozkoszujących się czarnych gastronomów, bo miałyby niezłą rozrywkę. Małym dzieciom rozdałem sukienki i kapelusze przysłane. Łatwo mogłaby się była wkraść zazdrość, bo te sukienki były rozmaitych kolorów, a niektóre pozszywane z różnych jaskrawych kawałków, co najbardziej przypadało do gustu moim czarnym elegantom, jak

starym, tak dzieciom; kazałem im zatem wyciągać numera, jak w loteryi: co który wyciągnął, to dostał. Było na co patrzeć, jak się to bractwo wystroiło. Czy sukienka była za wielka, czy za mała, czy ją właściciel włożył jak trzeba, czy zupełnie odwrotnie, na to nikt nie zwracał wcale uwagi. Każdy chodził i pysznił się strojem, jak paw ogonem. Już oddawna nie śmiałem się tak, jak wtedy, kiedym patrzał na uciechę tych wyelegantowanych dzieciaków. Niektórzy tak komicznie wyglądali, że chyba trudno więcej.

Przy tej sposobności przekonałem się, że dzięki Bogu ze mną nie jest tak źle, jak myślałem. Ciągle mi się zdawało, że nie dość kocham moich biednych chorych, t. j., że nie kocham ich tak, jak Bóg przykazał kochać bliźniego, a zwłaszcza tak nieszczęśliwego. Kiedy rozdałem wszystko, com przyniósł i poszedłem pożegnać się z nimi, nie wiedząc naturalnie, że do nich wrócę, bo miałem rozkaz udania się do Fianarantsoa *, tak mi zrobiło się smutno i przykro, że nie prędko mogłem przyjść do siebie. Wiedziałem przecie dobrze, że ich opuszczam dla nichże samych, boć przecie nowe schronisko budować trzeba, że wicki razem nie będziemy i t. d. i t. d., a mimo to tak mi jakoś ciężko było na duszy, tak tęskno za tymi biedakami, że nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Zacząłem myśleć o przyszłem schronisku, żeby się rozerwać, ale nic z tego; przeniosłem się myślą do kraju, ale i to nie pomogło, chodziłem, jak struty.

Michał Rabary. *13. sierpnia, 1900.*

Niedawno ciężko zachorował jeden z trędowatych, Michał Rabary. Prawdziwie zbudowałem się bardzo z tego człowieka i bardzobym pragnął sam mieć tyle miłości bliźniego, co on. Jak tylko się położył, poszedłem zobaczyć, co mu jest. Skarżył się na piersi, mówił, że go tam wciąż kłuje. Taki doktor, jakim ja jestem, nie może poradzić choremu, ale w każdym razie jakoś ratować trzeba. Widzę, że gorączka się wzmaga; miałem chininę, więc dałem mu zażyć, zgotowałem lekkiej herbaty — i po ordynacyi; resztę oddałem w ręce Matki Najśw.,

* Miejscowość o 400 klm. odległa, gdzie miał O. Beyzym zbudować nowe schronisko.

bo choćbym i poznał co to za choroba, i wiedział, co trzeba dać, tobym i tak nic nie dał, bo nic nie mam. Miałem już odejść, a Michał mówi (było to rano około godz. 10.): »Przyjdź Ojciec do mnie około drugiej«. Przychodzę o drugiej i pytam, czego sobie życzy; on mówi: »Ze mną źle, Ojcze, wkrótce umrę; staraj się, żeby zawsze był ryż dla tych dwunastu nieszczęśliwych, co nic nie mają; jak ja umrę, to niech ten ryż rozdaje (i powiedział mi nazwisko tego, komu ten ryż miałem powierzyć); to dobry człowiek on będzie dbał o biednych. Pamiętaj o mojej żonie; staraj się, żeby wszystkim chorym było lepiej« i t. d. i t. d., o niczem innem nie mówił, tylko o swoich towarzyszach niedoli. Potem spytałem go, czy w samej rzeczy czuje się coraz gorzej i czyby nie zechciał, żebym go zaopatrzył? — »Czuję, że ze mną źle« — powiedział — »daj mi Ojciec Ostatnie Namaszczenie, bo wkrótce umrę«. Zaopatrzyłem go zaraz, potem odniósłszy Oleje św., wróciłem znowu do niego. Nieco się uspokoił, ale potem znowu ciągle mi polecał, żebym o chorych nie zapominał. W nocy około 2. godz. przysłał po mnie znowu. Gdym przyszedł, był w silnej gorączce, ale przytomny, wcale nie majaczył; kazał sobie podać święconą wodę, przeżegnał się, napił się jej trochę, potem znowu o niczem nie mówił, tylko wciąż mi wyliczał, na co mam zważać i o co się starać, żeby chorym było znośniej. We wigilię św. O. Ignacego przychodzę do Michała i mówię mu: »Zdaje mi się, że ci trochę lepiej«. — »Nie chciałbyś, Ojcze, żebym poszedł do Pana Boga?« mówi on »ale zdaje się, że nic z tego, umrę wkrótce, pamiętaj tylko o chorych«. Powiedziałem mu, że jeszcze nie pora mu umierać, jeszcze musi tu popracować (on jeszcze nie ma 30 lat, może ma jakie 22 albo 23). On odpowiada: »Wprawdzie trochę mi teraz lepiej, ale to mniejsza, pamiętaj tylko o chorych«. Zbudowałem się bardzo z tego człowieka i zadziwiła mnie zarazem tak wielka miłość bliźniego w Malgaszu, niewielkie mającym wyobrażenie o Bogu. Sam chory, cały okryty ranami, biedny, jak i inni, a mimo to wcale o sobie nie myśli, tylko o drugich — prawdziwie jest to przykład do naśladowania. Dziękuję Panu Bogu, że mam takiego chorego, przez którego zasługi z pewnością spływa błogosławieństwo Boże na całe schronisko; bardzo on mnie za-

razem zawstydza: on świecki, jeszcze prawie napół dziki, tak małe ma pojęcie o Bogu, a ja od tak dawna ksiądz i do tego zakonnik, a tak mi jeszcze daleko do tego, żeby choć w części być podobnym do tego Michała. Obecnie lepiej mu nieco; ale kto wie, czy wyzdrowieje, bo bardzo słaby: bardzobym żałował, gdyby on umarł, bo wiele dobrego robi ten człowiek między chorymi. Drugi podobny temu wzór poczciwości, to żona Michała — opiekuje się uboższymi, rozdziela im ryż i t. d., a męża pielęgnowała z prawdziwie wzorową cierpliwością, chociaż, obsługując tak ciężko chorego dzień i noc, wcale nie trudno o niecierpliwość.

Nie długo trwało polepszenie u Michała; w kilka dni potem, znacznie się pogorszyło, a 5. b. m., w święto Matki Boskiej Śnieżnej po Mszy św. skonał.

III.

Rozstanie.

28. listopada, 1901.

Przesiedziałem przeszło miesiąc w Tananariwie, robiąc w różne strony wycieczki dla znalezienia miejsca dogodnego pod nowe schronisko, ale wszystko na próżno. W pobliżu Tananariwy nic znaleźć nie mogłem. Otwarcie mówię, że nie mam wcale na sumieniu, żebym się był przez ten czas choć na chwilę nie zgadzał jak najzupełniej i najpokorniej z wolą Bożą, ale mimo to łatwo sobie wyobrazić, co się we mnie działo. Razem wziąwszy wszystko, przeszło dwa miesiące nie widziałem moich drogich chorych. Byłem w Tananariwie, a dusza w Ambahiwuraku. Co poniedziałek idą tragarze z ryżem dla moich chorych. Wracają i przynoszą mi list od moich biedaków prawie zawsze takiej mniej więcej treści: »Modlimy się ustawicznie za ciebie; nie opuściłeś Tananariwy, a widzieć się z tobą nie możemy. Tęskno nam za tobą; co dzień zbieramy się w naszym kościele i prosimy Boga, żeby się tobą opiekował; niech cię Matka Najświętsza wspiera, nie zapominaj o swoich pisklętach, wracaj do nas prędzej« i t. d. Cieszyły mnie te listy i odpisywałem na nie, ale zarazem mocno odczuwałem nasze rozłączenie

12. grudnia, 1902.

Mam się udać do Fianarantsoa i tam na gruncie należącym do misyi, na którym już jest nie wielkie schronisko (na pięćdziesięciu kilku chorych), budować to, co zamierzam, jeżeli znajdę tam wszystko, co mi potrzeba, t. j., wodę, drzewo i t. d. Zaraz wróciłem do siebie, żeby wszystko przygotować do drogi i módz jak najprędzej wyruszyć. Przez te korowody z rządem, straciłem rok czasu, bo przed rokiem miałem już być we Fianarantsoa i zaczynać budować; więc łatwo się domyślić, że nie w najlepszym byłem humorze i gdybym się nie bał obrazić Pana Boga, tobym był i naklął.

Zaledwie wróciłem do siebie, zbiegli się chorzy i pytają: »Po co ciebie, Ojcze, zawezwał tak nagle X. biskup i tak prędko wróciłeś; pewno już można zaczynać robotę?« Nie było po co ukrywać przed nimi, więc powiedziałem wszystko, oraz dodałem, że musimy się modlić, bo nic zgoła nie wiem, co i jak z nimi będzie. Pospuszczali biedacy nosy na kwintę i naturalnie zaczęły się zaraz najrozmaitsze przypuszczenia i domysły. Tak w niepewności przeszło całe dwa dni. Na trzeci dzień rano, przysłał X. superyor z Tananariwy jednego z Ojców z rozkazem dla mnie, udania się niezwłocznie do Fianarantsoa, a moim chorym powiedział ten Ojciec w imieniu X. superyora, że misya utrzymywać ich nadal nie może, więc mają iść do rządowego schroniska o 6 godzin drogi od Ambahiwuraku, gdzie dla nich miejsce już wyrobione. Usłyszawszy to, zachmurzyły się moje pisklęta nie na żart, i nie czekając, aż ten Ojciec skończy mówić, pytają go, czy i ja z nimi idę. Kiedy się dowiedzieli, że nie, że muszę iść do Fianarantsoa, zaczął się ogólny płacz. Ten Ojciec pożegnał ich i wrócił do Tananariwy, odprowadziłem go do furtki; a kiedy wróciłem, obstąpili mnie moi chorzy i znowu zaczęli płakać, całować po rękach, żegnać się, słowem taki był hałas, że trudno było mówić. Ja sam też nie połykałem już łez, ale płakałem na dobre, bo mnie ich szczerze żal było; nie mogąc dłużej mówić, powiedziałem tylko kilku tuż przy mnie będącym, że potem pomówimy i umknąłem do chaty. Tak mi żywo stanęło przed oczyma niebezpieczeństwo moralne, na które będą, dzieci zwłaszcza,

narażone w rządowem schronisku wśród otoczenia, do którego się dostaną, że nic robić przez chwilę nie mogłem; oddałem wszystkich nas razem i każdego z osobna opiece Matki Najśw. i płakałem, jak mały dzieciak, ale zaradzić złemu nie mogłem w żaden sposób. Około godz. 11. poszedłem do chorych i zastałem ich siedzących bezczynnie i prawdopodobnie naradzających się nad obecnem położeniem. Kiedym się do nich zbliżył, przestali mówić i pytają mnie: »A teraz jak robić?« Powiedziałem, że bezczynnie siedzieć nie można, bo jutro przecie musimy wyruszyć; układaj każdy, co kto ma, żeby to dziś było gotowe (nie było tam wprawdzie tak wiele do układania, ale zawsze coś) i starajcie się sprzedać tę trochę posadzonego, co macie, t. j., maniok, pataty i t. p. Nie smućcie się i nie płaczcie, bo to Pan Bóg widocznie próbuje, czy jesteśmy dobrymi katolikami, czy nie, t. j., czy chętnie wypełniamy Jego wolę, czy tylko ustnie mówimy codzień »Bądź wola Twoja«. »Prawda przy tobie, Ojcze — odpowiedzieli mi — ale byliśmy razem kilka lat, a teraz ty na południe, a my na północ pójdziemy, więc jak się nie smucić«? — »Rozejdziemy się co prawda, ale Matka Najśw. nie przestaje przez to opiekować się nami, więc jakoś to będzie; a może Ona pozwoli, że znowu będziemy razem« — powiedziałem. — »Łzy nie pomogą, dalej do roboty!« I zacząłem pomagać w układaniu jednemu z nich, co nie wiedział, jak sobie poradzić. Pod wieczór znowu poszedłem do chorych i gwarzyliśmy nieco; nadrabiałem miną, jak mogłem, ale niekoniecznie mi się to udawało, bo mię bardzo zasmucała niebezpieczna przyszłość nieszczęśliwych dzieciaków, o której ciągle myślałem. Na drugi dzień rano po Mszy św., podczas której gorąco poleciłem opiece Matki Najśw. moich biedaków, poszedłem pożegnać się z nimi. Krótko się załatwiłem, bo mi było bardzo markotno; prosiłem i poleciłem im, żeby pamiętali zawsze, że są katolikami i dziećmi Maryi, i stosownie do tego, żeby starali się zachowywać; potem zaraz puściłem się w drogę do Tananariwy. Gnali za mną aż do miedzy granicznej, chwytali za ręce, żegnali i potem jeszcze, dopóki nie znikłem im z oczu, słyszałem lament i nawoływania. Co się we mnie działo, tego opisać nie potrafię; to tylko mogę powiedzieć, że po tem rozsta-

niu się z moimi dzikusami długo nie mogłem przyjść do siebie*.

44. Laska proroka.

Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizego, by wskrzesił jej syna;
Lecz prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu,
Mówiąc: »Opasz twe biodra i pójdź do Sunemu:
Dotknij ciała tą laską — a jeśliś szczęśliwy,
Jeśli czujesz i wierzysz, syn jej wstanie żywy«.

Wnet Gehazy z radością w drogę się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wsławił;
A gdy mu lud zabiega i ciekawie bada:
»Zmarłego idę wskrzesić« — dumnie odpowiada.
Więc z miast i włości za nim lud ciśnie się w tłoku,
Wołając: »Będziem widzieć cud w nowym proroku«.

Nowy prorok w tryumfie do Sunemu dąży;
A ujrzawszy zmarłego, w koło go okrąży,
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało...
Lecz dziecię ni tchu ani głosu nie wydało.
Dalej przykłada laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewo, w prawo, od góry do dołu:
Dziecię zimne i martwe. — I tak zamiast cudu,
Stanął zawstydzon wpośród szydzącego ludu.

Wkrótce prorok Elizej przybył do Sunemu
I z miejsca kazał odejść ludowi wszystkiemu
I modlił się zamknięty. Wziął dziecię na dłonie
I w gorącem objęciu tulił przy swem łonie;
Usta do ust i piersi do piersi przyłożył
I póty tchem swym krzepił, aż w zmarłem duch ożył.

Niczem sama chęć sławy, nauki i wzory,
Gdzie wewnątrz niema czucia i ducha pokory:
Bez nich wiary ni cnoty ni sztuki nie będzie!
Naprożno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś, jak on, cuda działał, jeśli ogniem świętym,
Jako on, z woli nieba nie jesteś natchniętym.

Kazimierz Brodziński.

* Obecnie nowe schronisko w Fianarantsoa, budowane przeważnie za grosz składkowy polski, niemal gotowe i gromadki »czarnych piskląt«, nie zważając na trudy 400 kilometrowej podróży, ściągają powoli z Ambahiwuraku do Fianarantsoa, żeby się połączyć z swoim dawnym ojcem i opiekunem.

45. Z życia cesarza Józefa II.

Józef II., który przeważną część swego panowania poświęcił na zmiany czyli tak zwane reformy życia publicznego w różnych kierunkach, zwrócił także uwagę na dolę nieszczęśliwych i cierpiących, a chcąc im przynieść pomoc i ulgę, zajął się utworzeniem odpowiednich zakładów dobroczynnych. Do dzieł, świadczących o tkliwem dla nieszczęśliwych i cierpiących sercu tego monarchy, zaliczyć należy najpierw założenie zakładu dla głuchoniemych w Wiedniu. W roku 1777. cesarz odbył podróż do Francyi. Żywy i wrażliwy duch monarchy zwracał baczną uwagę na wszystko, co Paryżowi zjednało sławę ogniska wyższej cywilizacyi. Słyszał on tam o księdzu de l'Epée, który pierwszy wynalazł sposób uczenia głuchoniemych i pierwszy zajął się ich nauczaniem. Był to zaprawdę kapłan chrześcijański w całem znaczeniu tego słowa, pełen miłości bliźniego, i dlatego na osobną, chociaż krótką, zasługuje tu wzmiankę.

Karol Michał de l'Epée, syn zamożnych rodziców, uczył się najpierw teologii, potem prawa i został adwokatem. Ale niezadowolony z obranego zawodu, do teologii powróciwszy, stanowi duchownemu się poświęcił. Kapłanem będąc, pierwszy w Europie zwrócił uwagę na upośledzenie głuchoniemych i stał się dobroczyńcą tych nieszczęśliwych i rodu ludzkiego wogóle. Własnym kosztem — bo po rodzicach oddziedziczył majątek — założył de l'Epée w roku 1760. w Paryżu dla głuchoniemych zakład i cały swój roczny dochód w kwocie 12.000 franków obracał na ich utrzymanie. Sam poprzestawał na życiu jak najskromniejszem do tego stopnia, że będąc już w podeszłym wieku, podczas ostrej zimy w roku 1778. nie chciał opalać swego mieszkania, aby nie robić uszczerbku swym wychowankom; a gdy przyjaciele zmusili go do opalania izby, później nieraz sobie wyrzucał, że o kilkaset franków skrzywdził biednych.

Tego to kapłana zapragnął poznać i cesarz Józef, bawiący w Paryżu. Jakoż zwiedzając jego zakład, głęboką czcią przejął się dla niego, a z wielkiem zajęciem i rozrze-

wnieniem przypatrywał się osobliwszej sztuce, z jaką niezmordowany nauczyciel oświecał umysły uczniów, od natury tak dotkliwie upośledzonych. Józef, który, ile razy serce mu było doradcą, bez wahania się i zwłoki szedł za jego popędem, stając w rzędzie najszlachetniejszych rodu ludzkiego dobroczyńców, pojął odrazu ważność wynalazku i zapragnął spożytkować go na rzecz nieszczęśliwych w swem państwie. W tym celu chciał nawet dla Austryi pozyskać księdza de l'Epée, ofiarując mu opactwo. Ale skromny kapłan, lubo tem uznaniem głęboko wzruszony, podziękował za zaszczyt i zaufanie, wiekiem się tłómacząc. »Gdy Wasza Cesarska Mość — rzekł de l'Epée — masz czułe dla istot od natury upośledzonych serce, zlej łaskę swą monarszą na nie, a nie na mnie, który już jedną nogą jestem w grobie«. Cesarz przyrzekł wysłać do Paryża kilku zdolnych ludzi, aby, obznajomiwszy się ze sposobem uczenia głuchoniemych, mogli go rozpowszechnić w Austryi.

W roku 1779. wrócił z Paryża do Wiednia ksiądz Jan Stork, jeden z Austryaków, wysłanych do ks. de l'Epée na naukę. Cesarz rozkazał urządzić zakład dla głuchoniemych; ks. Stork został ich nauczycielem. Tak więc z woli monarszej stanął w stolicy państwa pierwszy tego rodzaju zakład i posłużył za wzór, wedle którego z czasem tworzono podobne i w krajach koronnych. Od tego też czasu tysiące ludzi, od natury tak srodze upośledzonych, pobiera w tych zakładach stosowne wykształcenie. Uczą się bowiem w nich głuchoniemi poznawać Boga i rozumieć dzieła jego, uczą się zasad wiary i pobierają naukę zwykłą; a nadto wyobrażenia nabyte, myśli swe i życzenia umieją zrozumiale wyrazić i drugim udzielić bądź znakami, bądź nawet mową ustną, bądź wreszcie zapomocą pisma.

Drugim wspaniałym pomnikiem litościwego dla cierpiących serca monarchy jest wiedeński szpital powszechny *(allgemeines Krankenhaus)*, którego pomysł także z Paryża wywiózł Józef II. Widział on tam wielki szpital »Hôtel Dieu«, zwiedzał go często i całe urządzenie w najdrobniejszych nawet szczegółach badał jak najstaranniej, aby podobny dla chorych przytułek założyć u siebie. Jakoż w samej rzeczy stanął później wiedeński szpital powsze-

chny. Zakład ten rozległy, urządzony na 2000 chorych, a wedle głównych rodzajów chorób, na pięć oddziałów podzielony, zajmuje w części miasta, zwanej dawniej »*Alservorstadt*«, przestrzeń zabudowaną gmachami, na której wygodnie pomieściłoby się miasteczko. Chorzy mieli w nim bądź bezpłatnie, bądź za pomierną cenę pomieszczenie, pielęgnowanie i opiekę lekarską. Opiekę tę nad nimi objęli profesorowie wydziału lekarskiego; szpital ten był bowiem nie tylko zakładem dobroczynnym, lecz i do naukowych służyć miał celów. W nim uczniowie wydziału lekarskiego pod przewodnictwem biegłych nauczycieli mieli się uczyć wykonywania sztuki lekarskiej. W tym też szpitalu wykształciła się wiedeńska szkoła lekarska, która zasłynęła jako pierwsza w Europie, wydając pierwszorzędnych i w nauce i w praktyce lekarskiej mistrzów. Hyrtl, Skoda, Rokitansky — że inne pominiemy — to nazwiska w Europie głośne, powagi pierwszorzędne, po wsze czasy w dziejach nauki wydatnemi zapisane głoskami.

A iluż to ta sama szkoła wydała profesorów, zajmujących poważne stanowisko w nauce i na katedrach uniwersytetów, nie tylko austryackich, lecz i zagranicznych? Z niej także wyszedł zmarły w roku 1878. nieodżałowanej pamięci lekarz i obywatel a ziomek nasz, Dr. Józef Dietl, niegdyś dyrektor jednego ze znaczniejszych szpitali miejskich w Wiedniu, następnie profesor praktyki lekarskiej w uniwersytecie Jagiellońskim. Dietl w dziejach wydziału lekarskiego tegoż uniwersytetu nowy zwrot zaznaczył, potem jako poseł na sejm i do Rady państwa publiczne pełnił usługi, w końcu jako prezydent sprawami miasta Krakowa kierował. Za zasługi około nauki od panującego nam monarchy odznaczony, wreszcie także z woli monarszej jako dożywotni członek w Izbie panów zasiadał.

Znaczniejszą bez porównania ilość lekarzy, niż profesorów, wydała ta wiedeńska szkoła lekarska; wyszło z niej wielu lekarzy znakomitych, będących na usługach cierpiącej ludzkości. Wielu z nich nabyło rozgłosu i wziętości z umiejętnego i skutecznego sztuki swej wykonywania, nie tylko w monarchii, więc i w kraju naszym, lecz i w krajach obcych, mianowicie na półwyspie Bałkańskim, ba nawet

w Azyi i Ameryce czynili i czynią zaszczyt szkole, która ich do tego zawodu należycie przysposobiła. A sztuki swej uczyli się oni wszyscy w wiedeńskim szpitalu powszechnym; w nim bowiem, już stopnie naukowe uzyskawszy, pod okiem mistrzów odbywali tak zwaną praktykę lekarską, nim się jęli jej wykonywania na własną odpowiedzialność.

Zakłady te, o których tu krótką uczyniliśmy wzmiankę, tudzież uczynki rozliczne, którymi monarcha spłacał dług szlachetnemu sercu, niosąc pomoc biednym i cierpiącym, opromieniły światłem łagodnem i uroczem postać Józefa II. i zjednały mu zaszczytny przydomek »miłosiernego na tronie Samarytanina«.

46. Misya katolicka w Bagamoyo.

Ogrody misyi są to poprostu obszerne lasy, wszystko zaś zostało zasadzone ręką ludzką. Budowle, których jest kilkanaście, wzniesione po największej części z koralowej rafy, obejmują wielki dom mieszkalny dla księży, szkołę, warsztaty, kościół, mogący pomieścić kilkaset osób, kaplicę, dom dla Sióstr Miłosierdzia, zajmujących się wychowaniem czarnych dziewczynek, szkołę dla nich, dalej kuchnię, składy i t. d. I pomyśleć, że wszystko to zostało zbudowane bez fachowych rzemieślników, własnemi rękoma księży, w takim klimacie, w którym biały człowiek pod grozą śmierci nie może fizycznie pracować i w którym Niemcy muszą trzymać żołnierzy Zulusów i Sudańczyków, bo i karabin jest już za ciężkiem brzemieniem dla białego! Jakim sposobem jedni tylko misyonarze pracują fizycznie a nie umierają? — trudno na to odpowiedzieć. Może to się tłómaczy do pewnego stopnia ich surowem życiem, ale niezawodnie bardziej jeszcze tym nastrojem duchowym, czy, jeśli ktoś woli, tą odpornością, jaką dają nerwy owładnięte i wiedzione przez głębokie, wyegzaltowane poczucie obowiązku i wiarę w posłannictwo. Ci ludzie pracują w owych śmiertelnych krainach nietylko jako przewodnicy duchowi, ale poprostu, jak chłopi, to jest tak, jak nie przywykli pracować nawet w naszych klimatach. Rozszerzają nie tylko chrześcijaństwo,

ale zmieniają postać kraju; nie tylko murzynów chrzczą, ale uczą ich karmić się, mieszkać i odziewać się po ludzku — słowem, z dziczy zupełnej tworzą ucywilizowane społeczeństwo.

A że najtęższe siły fizyczne muszą się kiedyś zużyć, więc w nagrodę za takie życie mają tylko śmierć — na obczyźnie.

Ale pod tym względem życia ich ni tej ilości szczęścia, która na każdego z nich przypada, nie można mierzyć naszą zwyczajną miarą. Nie mówiąc już o nagrodach pośmiertnych, nie widziałem — ja, którym wiele jeździł, ludzi podobnie zadowolonych, nawet i ze swej doczesnej doli. Uderzało mnie to i w Zanzibarze i Bagamoyo i w położonej głębiej Manderze. Po naszemu możnaby to znów wytłómaczyć chyba tem, że owe życiowe troski, owe gorączkowe zabiegi, owa walka o byt, bogactwo, wygody, o zapewnienie sobie przyszłości — kończy się wszędzie u bram misyi.. Ci ludzie zdołali sobie wytworzyć na świecie to, co na pierwszy rzut oka wydaje się niedościgłem, zupełną pewność przyszłości — i zupełne jej bezpieczeństwo. Każdy z nich wie doskonale, co go czeka, to jest, że czeka go praca i śmierć, ale obie otoczone spokojem niezwruszonym, którego żadne zmiany losu zamącić nie zdołają.

To też pobożność nie ma tu twarzy surowej, ascetyzm nie tylko nie jest ponury, ale poprostu wesoły. Tęż samą ewangeliczną sielankę, która uderzyła mój zmysł artystyczny w Zanzibarze, odnalazłem i w Bagamoyo — dalsza zaś obserwacya nauczyła mnie, że to jest stały nastrój misyi. Prostota tu tak wielka, jak i praca. Wśród tej bajecznej roślinności, w cieniu tych palm, bambusów, pod girlandami lianów spostrzegasz pogodne twarze księży, pogodne twarze murzynów i uśmiechy dzieci. Maleńkie, żółtoczarne remizy zawieszają tuż przed drzwiami tysiące gniazd na drzewach, jakby i one wiedziały, że najspokojniej przy misyi; inne różnobarwne ptactwo nawołuje się łagodnie w gąszczach; do wtóru rozlegają się głosy dziecinne, mruczą warsztaty, czasem odezwie się dzwonek, a czasem w głębi ogrodu rozlegnie się głos organów, który, porwany przez

powiew morski, leci nad dziką krainą, póki się nie rozprószy i nie zcichnie wśród puszczy.

Tak wyglądają misye, gdy się chce patrzeć na nie okiem artysty. Ale po za tem i po za działalnością swą czysto religijną mają one i inne znaczenie. Naprzód walczą z niewolnictwem i wspierają europejski humanitarny ruch przeciwniewolniczy potężniej, niż wszelkie środki, potężniej nawet, niż pancerniki i działa. Powtóre walczą z islamem tą największą plagą Afryki, która czyni murzyna murzynowi wilkiem i z której płynie wszystko złe, bo i samo niewolnictwo i krwawe razzye i chaos stosunków i zaguba całych narodów. Słyszałem zdanie, że ponieważ praca w Afryce wspiera się na niewolnictwie, przeto podciąwszy niewolnictwo, burzy się odrazu wszelkie stosunki społeczne i wprowadza się w nie zamęt. Jest to obawa płonna. Ochrzczony i wolny murzyn będzie zawsze pracował, raz dlatego, że mu misyonarz wskazuje pracę, jako drogę, wiodącą do zbawienia, powtóre dlatego, by miał co jeść wraz z rodziną. Ale murzyn mahometanin przy pierwszej lepszej sposobności rad porzuca łopatę dla strzelby i, dobrawszy towarzyszów, idzie w głąb kraju, by tam napadać na wioski rolnicze lub pasterskie, wycinać ludność męską, uprowadzać w niewolę kobiety i dzieci lub zagarniać stada. Wobec tego, przy niepewności o jutro, nikt nie chce pracować i kraj zmienia się w dziką i krwawą pustkę. Islam znaczy tyle, co niewolnictwo — niewolnictwo zaś, to wojna, dzikie napady, zaniechanie pracy, morze krwi, morze łez, zastój i bezład.

Gdzie jest misya, tam kraj wygląda inaczej; chaty są obszerniejsze, murzyn karmi się lepiej, odziewa lepiej, kultura jest wyższa, produkcya znaczniejsza. W okolicach, odległych od misyi, rozmaite szczepy prowadzą życie płonne, z dnia na dzień, niemal jak żerujące zwierzęta. Kobiety drapią ziemię, byle zasadzić trochę manioku, lecz gdy zdarzy się rok, że maniok nie urodzi, ludzie przymierają głodem.

Misye więc są po za swą działalnością duchową potężnym czynnikiem cywilizacyjnym, podnoszącym wytwórczość kraju. Co do duchowego wpływu ich na czarnych, powiem tylko to, że murzyna-zwierzę zmieniają w murzyna-

człowieka, posiadającego czasem bardzo wysokie przymioty społeczne.

Naprzód, ochrzciwszy się, poczuwa się on tem samem do pewnej godności ludzkiej. Jestto natura pierwotna, prawie dziecinna, wrażliwa niesłychanie. Gdy się do czarnych mówi, każde słowo odbija się na ich ruchliwych twarzach, jak w zwierciadle. Jeśli się śmiejesz, biorą się za boki — jeśli się zmarszczysz, ogarnia ich przerażenie — jeśli ich zawstydzisz, nie wiedzą, gdzie się pochować. Nietrudno odgadnąć, że taki człowiek, przyjąwszy chrześcijaństwo, przyjmie je gorąco i bez zastrzeżeń; że zaś misyonarz nakazuje mu kochać ludzi, a zakazuje pastwić się nad nimi, kraść, upijać się, że prócz tego poleca mu pracę jako źródło cnót, więc takie wielkie czarne dziecko stosuje się do tych przepisów, o ile potrafi. Oczywiście trzeba zawsze coś odliczyć na słabość natury ludzkiej, na grube instynkta i popędy, których nie przeorały wieki cywilizacyi, ale bądź co bądź ogół murzynów-chrześcijan stoi nieskończenie wyżej od mahometan lub fetyszystów, często zaś można spotkać osobniki, żyjące w sposób tak zgodny z ewangelią, jak stary »wuj Tom« ze starej powieści.

W żadnym razie nauka chrześcijańska nie staje się dla murzyna martwą literą, szeregiem zwyczajów i obrzędów, gdyż wkłada on w nią swoje naiwne a gorące serce — i wierzy bez cienia wątpliwości w to, co mu misyonarz mówi. Ta ufność i wiara jest tak wielka i powszechna, że mają ją w równym stopniu nawet ci, którzy nie przyjmują chrześcijaństwa. Murzyn fetyszysta, zamieszkały w pobliżu misyi, który dla jakichkolwiek przyczyn, najczęściej z powodu wielożeństwa, nie ochrzcił się, posyła jednak swe dzieci do misyi, sam zaś, biedaczysko, nie ma najmniejszej wątpliwości, że pójdzie do piekła. Czasem też w swojej dzikiej, naiwnej głowie, szuka na to rady i pragnie wykręcić się sianem. Przychodzi wówczas do misyonarza i mówi mu:

— Panie wielki! Ja nie mogę się ochrzcić, bo cóż!... nie mogę przecież wypędzić żon, które kupiłem i które sadzą kassawę na mojem polu; ale ponieważ nie chcę także pójść

do piekła, więc zrób tak: jak będę umierał, to ci dam znać, a ty przyjdź prędko i ochrzcij mnie.....

Tu uśmiecha się bardzo chytrze, rad, że swoim czarnym rozumem wymyślił taką podrywkę na Pana Boga. Co do księży w Bagamoyo i innych misyi, zauważyłem, że ci nie tylko chrzczą i uczą murzynów, ale ich także kochają.

Henryk Sienkiewicz (Listy z Afryki).

47. Pacierze.

O! jak jest piękny widok jeziora
W letnią pogodę i ciszę,
Kiedy je z lekka powiew wieczora
Jak do snu, zda się, kołysze!

O! jak się wdzięcznie głuchy szum fali
W uchu patrzących rozlega,
Gdy błękitniejąc w mglistej oddali,
Powoli mdleje u brzega!

Taką się niebo śmiało pogodą,
Taki tchnął urok wieczora,
Gdy raz sędziwy kapłan nad wodą
Cichego jechał jeziora.

Ostatni brzeżek dziennej pochodni
Już się za szczyty gór schował,
I blady tylko odblask zachodni
Spokojne wody malował.

Wzniósłszy wzrok w niebo, kapłan pobożny
Świętemi zważał myślami:
Jak ten być musi dobry, wielmożny,
Kto niebo zasiał gwiazdami!

Kto wiedzie słońca ogniste biegi,
I blady księżyc koleją;
Kto nalał morza w głębokie brzegi,
Z których się wyprzeć nie śmieją!

Czyją się sprawą ziemia zieleni,
Dzień świeci, czernieją noce;
Kto kwiaty wiośnie, kto dał jesieni
Ziarna i słodkie owoce!

Za czyjem »stań się« wszystko się stało,
Kto wolą swoją świat stworzył!...
Tak dumał kapłan i myśl zdumiałą
Przed Wszechmogącym ukorzył.

A gdy znów oczy zwracał na wodę,
Nagle nad brzegiem, w uboczy
Widzi wieśniaka — a ten przez kłodę
To skoczy, to znów przeskoczy.

»To tobie, Boże!« — za każdym skokiem —
»A to mnie, Boże!« — wyrzecze.
Zdziwiony kapłan takim widokiem:
»Co czynisz — spyta — człowiecze?« —

— »Modlę się«. — »Jak to?« — kapłan zawoła,
»To ty nie umiesz pacierza?
»Alboż to u was niema kościoła,
»Alboż to niema pasterza?«

— »Nie wiem; z dzieciństwa śród tego lasu
»Sam jeden żyję, a w drogę
»Nigdzie nie chodzę, bo nie mam czasu,
»A chwalę Boga, jak mogę.

»Wiem, że On wszystko widzi tam w niebie,
»Wszystkiem na ziemi kieruje;
»Więc Go o wszystko proszę dla siebie,
»Jemu za wszystko dziękuję«.

Zdziwiony kapłan takiej prostocie,
Uczuł powinność sumienia,
Pogrążonemu w myśli ciemnocie
Rozjaśnić drogę zbawienia.

I najgorliwiej, jak mógł w pośpiechu,
Jął mu wykładać pacierze:
Uczył »Ojcze nasz«, »Zdrowaś« i »Wierzę«,
Mówił o cnocie i grzechu.

A gdy już mniemał, naukę świętą
Że mu w pamięci zostawił,
Powtórzył jeszcze, pobłogsławił,
I kończył drogę zaczętą.

I w samym sobie z żalem i trwogą
Dumał o losie dusz, które

Tęskniąc ku Bogu i rwąc się w górę,
Drogi doń poznać nie mogą.

Wtem nagle słyszy wołanie w dali:
Patrzy — i oczom nie wierzy:
W poprzek zatoki, po wierzchu fali,
Wieśniak ku niemu wprost bieży!

»Poczekaj, ojcze! poczekaj!« — woła —
»Powtórz mi swoje pacierze:
»Słów ich spamiętać nie mogę zgoła,
»A chciałbym umieć je szczerze«.

Lecz kapłan, widząc jawne dowody,
Jak go w swej łasce Bóg chowa,
Rzecze mu: »Synu! módl się jak wprzódy,
»Serce Bóg ceni, nie słowa«.

I kiedy wieśniak wstecz po jeziorze
Bieży znów jakby po suchu,
On wielbił Pana, widząc, co może
Wiara w prostocie a w duchu.

Antoni Edward Odyniec.

48. Wagi Ofira.

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemie jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru. Miał 2000 niewolników, nad nimi 100 ekonomów i włodarzy i wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Słońce, które z orszakiem planet uchodzi około sześćdziesięciu milionów mil rocznie, biegnąc wciąż naprzód, nie zdążyło jeszcze wyjść za obrąb przestrzeni pierwotnej. Nie widzieli już ludzie ówcześni tego miejsca, skąd przylatują i dokąd odlatują dusze, i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie Jehowę, siedzącego na tronie złotym z jaspisowemi kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikały. Gdy się kto rodził, wagi jego

zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały skarby doczesne, i ten, na którym były skarby wieczne — stał w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Ponieważ jednak życie wiekuiste stracono z oczu, a życie doczesne w owych czasach było piękne, więc każdy modlił się o skarby znikome i tem więcej był rad, im bardziej szala jego na stronę doczesną przeważała. Tylko ubodzy, którzy ani jednej palmy nie posiadali na własność, i niewolnicy, których bito, widzieli na niebie wielką obfitość skarbów wiecznych i — płakali nad sobą.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Jednego dnia (miał Ofir już lat 120 i chodząc opierać się musiał na prawnukach), ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki ostatnich zbiorów.

Było 20.000 owiec, 10.000 bydła, 4.000 wielbłądów, 3.000 niewolników, 500 osłów, 100.000 miar ryżu, 10.000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i sierść zwierząt, zeznali pod przysięgą, że takiego, jak on, bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na dwu prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników, jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunął makaty, bogacz widział z daleka ognie zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A jeżeli który ustał, albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgimi batami od stóp do głowy. I całą noc słychać było w tamtej stronie turkot młynów, szczęk łańcuchów, chlustanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było zna-

kiem, że jaki niewolnik wyzionął ducha, a wtedy jego wagi zdejmowano z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunął makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał się na wierzch, a wtedy klęli go i potrącali inni, że im spać nie daje. Czasem spadał który w obrzydłą wilgoć i — topiąc się, ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci, siedząc, rozmawiali o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś, co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie siedział wielki Jehowa z obliczem spokojnem i patrzał daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

»Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?«

Wtedy zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: »Wagi Ofira«. Jeden ich talerz, ze »skarbami wiecznymi«, był tak lekki, że unosił się w górę aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz ze »skarbami doczesnymi« zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy który niewolnik jęknął, albo bat chlustnął, albo kobieta zapłakała, — tyle razy talerz »skarbów doczesnych« pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potrącą Przedwiecznego...

Bogacz struchlał i uczuł straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie, i wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wzejść nad ziemię z obawy, aby nie zobaczyć, jak Pana potrącą wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykąpani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą...

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej żołędzi jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą i bić was przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni, czy ich pan nie zwaryował. Ale gdy poczęto rozdawać im mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz »skarbów wiecznych«, choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do blizkiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwytał batożek, inny świstawkę gliniana, inny papierowego kozaka, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz

niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt rozlegały się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary i bogacz stał się jak dziecię, które przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci, zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony, spojrzał na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecię, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Przygoda Ofira stała się sławną na cały świat i przez długi czas panowała po nim na ziemi bojaźń Boska.

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

49. Urzędy w Polsce.

W ciągu wieków powstawały w Polsce różne urzędy, zmieniając niejednokrotnie swój zakres działania. Największa zmiana dokonała się za Olbrachta i Aleksandra głównie przez konstytucyę sejmową z r. 1504. Organizacyę urzędów, wówczas przeprowadzoną, zastósowano następnie przy unii lubelskiej z r. 1569. do ziem litewskich i ruskich, a utrzymano ją aż do Stanisława Augusta, za którego uległa stanowczym reformom w duchu nowożytnym, chociaż nazwy urzędów pozostawiono.

Główne rodzaje urzędów w czasie od r. 1504. — 1764. były następujące:

I. Urzędnicy wielcy i nadworni tworzyli rząd i sprawowali władzę bezpośrednio przy królu i w jego imieniu tak, jak dziś ministrowie. Pierwsi zajmowali się sprawami państwa, drudzy specyalnie sprawami dworu królewskiego. Takimi byli:

1) Marszałek wielki (oznaka: laska) sprawował rządy całego dworu i miał pod swymi rozkazami także zaciężne hufce zbrojne, tworzące gwardyę królewską. Było obowiązkiem marszałka czuwać nad bezpieczeństwem osoby królewskiej i dlatego miał najwyższą władzę policyjną i sądowniczą w miejscu pobytu króla i w trzechmilowym okręgu. Poprzedzał króla z podniesioną laską, przyjmował gości, posłów zagranicznych itp. i miał o nich staranie. Marszałek nadworny zastępował wielkiego i zwykle mu towarzyszył.

2) Kanclerz wielki (oznaka: pieczęć) i podkanclerzy prowadzili zarząd spraw wewnętrznych i zagranicznych, przemawiali w imieniu króla tak na sejmie, jak i do posłów zagranicznych i przykładali pieczęć do aktów, podpisywanych przez króla. Podlegała im kancelarya królewska, która sporządzała przywileje, edykty, mandaty, noty dyplomatyczne i t. p. i w której pracowała liczna drużyna sekretarzy. Jeden z tych sekretarzy zwał się »większym«; zastępował w pewnych sprawach kanclerza i podkanclerzego. Kanclerz sprawował nadto sądy królewskie z pomocą referendarzy. Dokumenta większej wagi, wychodzące z kancelaryi królewskiej, zapisywano w osobnych księgach, w tak zw. metrykach, koronnej i litewskiej. Po sejmie drukowane konstytucye rozsyłano do akt grodzkich po województwach. Między kanclerzem a podkanclerzym była tylko taka różnica, jaką tworzy starszeństwo między dwoma urzędnikami jednego stopnia; zwykle jeden bywał duchowny, drugi świecki; jednemu z nich poruczał król zwykle sprawy wewnętrzne, drugiemu zagraniczne.

3) Podskarbi wielki był stróżem skarbu królewskiego i rzeczypospolitej, miał staranie o monecie, zawiadywał dochodami i wydatkami rzeczypospolitej i zdawał ze swych czynności sprawę przed sejmem. Podskarbi nadworny rozporządzał wydatkami osobistymi króla i jego dworu.

4) Hetman wielki (oznaka: buława) sprawował władzę nad wojskiem i dowodził niem na wojnie. Hetman polny zastępował go w dowództwie, zwłaszcza, jeżeli wojsko na dwóch polach oddzielnie walczyć miało. W braku hetmanów

ustanawiał król dowódcę sił zbrojnych, który się zwał regimentarzem. Hetmanom wielkim stanowisko ministrów przyznano jednak dopiero w XVIII. wieku.

Ponieważ unia lubelska zastrzegła odrębny rząd Litwie, istnieli więc, jak w Koronie, tak samo na Litwie osobny marszałek wielki i nadworny, kanclerz i podkanclerzy, podskarbi wielki i nadworny, hetman wielki i polny. Polscy zwali się »koronnymi«, litewscy »litewskimi«.

Oprócz nich istniały na dworze królewskim liczne dostojeństwa tytularne bez żadnej władzy, jak chorąży, miecznik, koniuszy, stolnik, podczaszy, podstoli, cześnik, łowczy i t. p.

II. Wojewodowie i kasztelani (w ogólnej liczbie 129), składający wraz z biskupami właściwy senat, byli raczej dygnitarzami, niż urzędnikami; pierwsi byli początkowo dowódcami w boju i rządcami pewnych obwodów kraju, drudzy strażnikami grodów (castellum) i sędziami w ich obrębie. Później jednak pozostało wojewodom tylko dowództwo nad pospolitem ruszeniem swego województwa, sądownictwo nad żydami, oznaczenie cen targowych i dozór nad miarami i wagami; kasztelanowie zaś więksi zastępowali w dowództwie wojewodów, mniejsi natomiast, powiatowi (zwani drążkowymi) nie mieli żadnego zakresu działania. Jedni i drudzy pozostali zawsze pierwszymi dygnitarzami w województwie i mieli wszędzie pierwszeństwo, na sejmie zasiadali w senacie obok biskupów; pierwszym senatorem świeckim w Polsce był wyjątkowo nie wojewoda, lecz »pan (tj. kasztelan) krakowski«. Kasztelanów bowiem zwano zwykle »panami« z dodatkiem przymiotnika, utworzonego od miejsca siedziby urzędu.

III. Urzędy ziemskie powstały z urzędów nadwornych i w takim po sobie następowały (w Koronie) porządku: 1) Podkomorzy. 2) Chorąży. 3) Sędzia ziemski. 4) Stolnik. 5) Podczaszy. 6) Podsędek. 7) Podstoli. 8) Cześnik. 9) Łowczy. 10) Wojski większy. 11) Pisarz ziemski. 12) Miecznik. 13) Wojski mniejszy. 14) Skarbnik.

Urzędy te rozdawał król, z wyjątkiem podkomorstwa, sęstwa, podsęstwa i pisarstwa (na Litwie także marszałkowstwa i chorąstwa), na które szlachta przedstawiała 4 kandy-

datów, a król jednego zatwierdzał. Mała tylko część tych urzędników miała pewne obowiązki, prawem określone, mianowicie podkomorzy, który załatwiał spory graniczne. Chorążowie urzędowali tylko w czasie pospolitego ruszenia, koronacyi lub pogrzebu królów, niosąc wtedy chorągiew swego województwa. Sędzia, podsędek i pisarz ziemski składali sąd ziemski czyli ziemstwo, do którego należały sprawy szlacheckie cywilne, to jest spory o własność pomiędzy szlachtą. Czas tych sądów czyli kadencyę sądową zwano roczkami; odbywały się zaś te roki w każdej ziemi co cztery miesiące czyli trzy razy do roku. Wojscy więksi i mniejsi byli czynni tylko w czasach pospolitego ruszenia. Kiedy wszystka szlachta wyruszyła w pole, zostawali oni w swoich województwach dla przestrzegania bezpieczeństwa i porządku.

Większa część urzędników ziemskich, nosząca też same tytuły, co i urzędnicy nadworni, jak: stolnicy, cześnicy, miecznicy, itp., byli tylko tytularnymi urzędnikami bez osobnych obowiązków i prerogatyw, okrom pierwszeństwa na sejmikach i zjazdach.

IV. Urzędy grodzkie. Największą władzę w powiecie miał starosta. Ze starostwem łączyło się użytkowanie dożywotnie dóbr królewskich, stanowiących uposażenie starostwa, a pojęcia »starosta« i »dożywotni posiadacz królewszczyzny« tak ściśle się z sobą wiązały, że nazywano starostami dzierżawców dóbr koronnych, nie mających żadnej władzy. Starostów urzędników nazywano grodowymi, zwykłych zaś dzierżawców niegrodowymi. Do starostw grodowych należało sądownictwo kryminalne, tj., za rozboje, podpalenie, najazdy, kradzieże itp., wogóle utrzymanie porządku w powiecie i wykonywanie wszystkich wyroków sądowych. Każdy starosta grodowy miał sobie oddany warowny gród i utrzymywał na nim straż zbrojną t. zw. pachołków starościńskich.

Dodać wypada, że starostowie kilku powiatów lub nawet całego województwa podlegają niekiedy staroście, który się nazywa jenerał-starostą, czyli jenerałem np. jenerał wielkopolski, jenerał ziem podolskich.

Żaden urząd w Polsce nie był dziedziczny i każdy

urzędnik odpowiadał za czynności swoje przed królem lub sejmem. Dochody urzędników płynęły bądź z dóbr przywiązanych do urzędu, bądź z opłat za czynności urzędowe, bądź z pensyi, którą im ze skarbu publicznego wyznaczano.

Władza urzędników polskich była nierównie rozleglejsza, niż tegoczesnych; urzędnika takiego nie można było przenieść z miejsca na miejsce, był on dożywotni i organizował sobie swój urząd sam, dobierając sobie podwładnych, przez co stawał się samowładnym panem w swym urzędzie; tak np. starosta grodowy, nie mogąc lub nie chcąc sam osobiście spełniać obowiązków, połączonych z jego urzędem, dobierał sobie zastępców, którymi byli podstarości i sędzia grodzki (zwykle w jednej osobie i pisarz grodzki); wojewoda ustanawiał podwojewodziego i t. d.

50. Do sosny.

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,
Domowy mój prostaku, witaj, moja sosno!
Od matek i sióstr twoich oderwana rodu,
Stoisz, sierota, pośród obcego ogrodu!
Jakże tu miłym gościem memu jesteś oku!
Oboje doświadczamy jednego wyroku:
I mną także rzuciła pielgrzymka daleka,
I mnie na obcej ziemi czas życia ucieka.
Czemuż, choć cię starania cudze otoczyły,
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciłaś siły?
Masz tu wcześniej i słońce i rosy wiośniane,
Przecież gałązki twoje żółkną poschylane.
Więdniesz, usychasz smutna wśród świetnej płaszczyzny,
Niema dla ciebie życia, gdzie niema ojczyzny.
Drzewo moje, nie zniesiesz wygnańca tęsknoty;
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty,
A padniesz martwe, obca cię ziemia pogrzebie! —
Drzewo moje, czyż będę szczęśliwszym od ciebie?

Stefan Witwicki.

51. Lizus.

Nie lubiliśmy go wszyscy, jak nas było trzydziestu kilku...

I nie była temu winna jego ryża głowa, zawsze roz-

czochrana, ani wrodzona lękliwość, ani wreszcie kraciaste pantalony, w których zimą i latem chodził od pierwszej klasy i które tak się z nim zrosły, iż bez tych »kratek« nikt Robakiewicza wyobrazić sobie nie umiał.

Ubogi, zaniedbany, nie miał większych zdolności; nad wszystkiem musiał zawsze długo ślęczeć, ale też i wszystkiego się wyuczał, a do szkoły zawsze przychodził pierwszy, zrana i popołudniu. Jużci ktoś pierwszym przyjść musi, na to niema rady. Ale też nie zdarzyło się nigdy, aby Robak nie siedział już w ławce, gdy się nasza »trójka« zjawiała, lub nie czekał u drzwi na otwarcie sali wraz z kilkoma innymi »kujonami«...

Żadnemu z nas w owym czasie, zwłaszcza, żeśmy to już trzecią klasę z sobą przechodzili, nie brakowało jakiegoś przezwiska. Są bowiem lata, w których epidemicznie przezwiska grasują wśród gimnazyalistów, nie oszczędzając nikogo: paniczyka zarówno, jak biedaka. Ale on, Robak, miał ich cały szereg.

— Ryży... Kratka... Rumianek... (rumienił się bowiem, gdy ktośkolwiek do niego zagadał) Ananas... i nakoniec — jedno ohydne: Lizus!

A do rozpaczy doprowadzało nas to właśnie, że o żadne nigdy się nie obrażał — nawet o to ostatnie. Uśmiechał się tylko, jakby chciał powiedzieć: »I to zniosę«...

Ja, com rwał się do bicia za »Poetę«, prymus Ciernicki, który pienił się za przyczepionego mu, nie wiem już w jaki sposób: »Kominkiewicza« — i trzeci z naszej ściślejszej kompanii, Poletyłło, którego o spazmy przyprawiało przezwisko »Potupajły« — nie mogliśmy zrozumieć, iż on, »Lizus«, znosi to wszystko z taką obojętnością.

Ten »Lizus« bowiem nie powstał bez przyczyny. Już w drugiej klasie zauważyliśmy, że Robakiewicz często prowadzi po kątach i korytarzach jakieś konszachty z profesorem łaciny, najostrzejszym z nauczycieli, małym, suchym, a złośliwym, jak jędza...

Dobrali się obaj, jak nie można lepiej... »Robak« w tych swoich odwiecznych »kratkach« i połatanej czapce, »Ciceron« zaś, (tak nazywaliśmy łacinnika) w zatłuszczonym i zielonka-

wym od starości paltocie, obaj przytem rudawi i chudzi, jakby nigdy nic nie jadali, stanowili rzadką istotnie parę.

Bywało też, że »Ciceron«, który nas starał się wyrywać najniespodzianiej, odzywał się często na swej lekcyi:

— Robakiewicz! przygotowałeś się?

— Przygotowałem, proszę pana profesora...

— Umiesz wszystko?

— Wszystko...

— No, to siadaj, kochanku, a na pytanie odpowie mi zapewne... (groźna pauza)... Zakrzewski.

Były to szczególne względy i nie mogły ujść naszej uwagi.

Co jednak ich zbliżyło i czem Robak zdołał ugłaskać srogiego Cicerona, nikt z nas nie mógł odgadnąć. Widzieliśmy tylko — to trzeba przyznać — że nie Robakiewicz narzucał się dotąd łacinnikowi, ale ten zawsze go umiał wypatrzeć i nawet podczas pauzy zbliżał się często do niego i wyszukiwał go w tłumie.

— Cóż, Robakiewicz, zdrowyś?

— Zdrowym.

— No, to *bene!* — i łacinnik głaskał go po głowie i klepał po ramieniu.

Podpatrzywszy pewnego razu te konszachty, zapytałem Robaka:

— Co ty masz z tym Ciceronem?

— Nic! Cóżby?... — odparł, rumieniąc się, jak zresztą zawsze, gdy się do niego zagadało.

— A o cóż on cię wypytuje?

— Wczoraj?... Wczoraj pytał mnie, gdzie mieszkam. A ja mu na to: »Na Grzegórzkach... u węglarzy«.

— A on?

— On? Ciceron? Ciceron zapytał jeszcze: — »Kopią węgle? górnicy?« A ja znowu na to: »Nie, proszę pana profesora... Gdzieby kopali... Noszą... noszą po domach, w koszu«. I... i na tem my wczoraj skończyli.

Tyle było szczerej naiwności w tych słowach Robaka, że tego samego wieczora — pamiętam, jak dziś — począłem go bronić przed moimi kompanami: Ciernickim, Poletyłłą i Sztummerem, który właśnie był u nas w gościnie.

— Być może, że on poczciwy! — zawołał Ciernicki. — A jednak ja go nie lubię... On mi kiedyś jeszcze biedy narobi... Zobaczycie!

I niby narobił w samej rzeczy... ale...

Ale to cała historya!...

Trzeba bowiem wiedzieć, że Ciernicki mimo, że był pierwszym w klasie uczniem, miał jedną słabość: ślizgawkę. Gdy przychodziła zima i sadzawki ścinały się lodem, tracił poprostu głowę. Nie dbał już o nic, nie pomagały żadne perswazye; żył tylko ślizgawką i na ślizgawce.

Zwłaszcza zaś pierwsze dni mroźne wprawiały go zawsze w szał jakiś... Bodaj przez kwadransik przed pójściem do szkoły i znów przez kwadransik w południe, podczas obiadowych godzin, musiał jednak łyżwować się codzień. Potem zazwyczaj uspakajał się, przesycał nawet tą uciechą, ale te pierwsze dni były zawsze dlań niebezpieczne. Gotów był wtedy zmalować jak największe głupstwo.

Pamiętam też to zbliżanie się zimy w owym roku. Już w listopadzie, zobaczywszy szron na drzewach i dachach domów, Ciernicki odezwał się do nas:

— Rany Boskie! może już na jutro mróz chwyci!

Ale przyszedł i pierwszy grudnia, a o ślizgawce marzyć nie można było.

Naraz, w świętą Barbarę, pod wieczór mróz zaczął brać na dobre.

— Chłopcy! — zawołał Ciernicki, wbiegając z podwórza. — Jeśliby na jutro wyszykowała się ślizgawka, nie wytrzymam!... Nie pójdę w takim razie do szkoły... zachoruję!

Poczęliśmy go uspokajać.

— Będzie pojutrze rekreacya, to się dość naślizgasz! — perswadował Poletyłło.

— Eh, pojutrze!... Mówię wam, nie wytrzymam!

— To puść!

— Puszczę, ale szkołę...

Na to znów Poletyłło:

— Nie fiksuj, Mundek! Jutro »Grek« ma właśnie zacząć z nami coś nowego... Szkoda tej godziny.

Ciernicki pomyślał chwilkę. Widocznem było, że i jemu

żal się zrobiło wykładu ulubionego »gospodarza klasy«, którego »Grekiem« nazywaliśmy.

— No, to Grek odłoży ten wykład!

— Jak to? — zawołaliśmy razem.

— Eh! — machnął ręką — mówię wam, nie wytrzymam!

Rano, jakby pod zapis, siedem stopni mrozu.

Budzimy się i patrzymy, że Ciernicki już ubrany. Wstał wcześniej, ale jakby zapomniał o swem wczorajszem przyrzeczeniu, bo zabiera książki i wychodzi.

— Do widzenia!

— Gdzie idziesz? Mundek! Zaczekaj! Jeszcze nie czas. Stój! Co tobie? — wołaliśmy.

Napróżno... pobiegł...

Podążyliśmy za nim niebawem, ale już go dopędzić nie było można.

Zaopatrzyliśmy się po drodze w jabłka »na pauzę« — i punkt o ósmej przybywamy.

Co to? Czego się tam wszyscy tak tłoczą?

Spojrzeliśmy po sobie z Poletyłłą.

— Widzisz?

— Widzę...

W sali chmury gryzącego dymu i swąd nie do wytrzymania. Widocznie ktoś nasypał siarki na piec.

Stoimy wszyscy w korytarzu.

Ciernicki zjawia się także, ale wbrew swemu zwyczajowi jakiś milczący. Jest i Robakiewicz, który najdłużej w sali siedział, aż i jego swąd nakoniec wypędził.

Sprawa staje się głośną. Gospodarz klasy bada już woźnego, który rozkłada rękami, jakby chciał powiedzieć, że nie wie o niczem.

— Co to będzie? — pytają wszyscy.

— Cóż?... Puszczą nas! — wyrywa się Ciernicki, unikając jednak wzroku mego i Poletyłły.

Robak stoi w kącie i rozgrzewa sobie nogi tupaniem, jakby go to wszystko zgoła nie obchodziło...

Zjawia się nakoniec sam dyrektor wraz z Grekiem i cofa się czemprędzej, kaszląc i kichając.

— Amfiteatr opalony? — pyta woźnego.

— Nie jeszcze... nie wiedziałem... kto mógł przewidzieć... — tłómaczy się woźny.

— Niech marzną! -- mówi dyrektor.

Ma jednak jakieś skrupuły, bo znowu się zatrzymuje przed nami.

— Do domu! Smarkacze! — woła.

Potem nakazuje woźnemu poroztwierać wszystkie okna, a wypadłszy za nami na korytarz, dodaje: A po południu stawić mi się do śledztwa co do jednego! Rozumiecie?...

Umykamy co prędzej, ale to śledztwo, z góry zapowiedziane, zatruwa wszystkim całą rozkosz nieoczekiwanej swobody.

Spoglądamy na Ciernickiego z mimowolnym wyrzutem.

— Aj, Mundek! — szepce z cicha Poletyłło.

Ciernicki macha ręką.

— Eh!

Zamiast pośpieszać, stajemy w gromadkach na ulicy, przed gmachem, nie wiedząc, co z sobą począć. Obok naszej kupki znajduje się niebawem i Robakiewicz w swoich »kratkach«.

Jesteśmy pomartwieni, a więc przystępni i łaskawi.

— Cóż? idziesz z nami na »szlajfę«? — pyta Ciernicki.

— Ja? Zkądże ja? Nie mam łyżew!

— Pożyczę ci! — mówi Poletyłło.

— Ja nie umiem się ślizgać na dwóch łyżwach — tłómaczy się »Ryży«. — Ja kontent, że do domu idę... Mam właśnie... — I zawahał się.

— Co masz? — pyta Sztummer, który na to nadszedł.

— E! nic! Do widzenia!

I przytrzymując ręką swoje »kratki« na biodrze, pomknął czemprędzej.

Na rogu natknął się na śpieszącego do gimnazyum profesora łaciny. Ciceron zaraz go zatrzymał. Poczęli o czemś rozmawiać, przyczem Robak stał przed nim z odkrytą głową, trzymając czapkę na lewem biodrze, jak poprzednio rękę. —

— Oho! Cicero już wie o wszystkiem! — mówi Poletyłło.

— Dowiedziałby się tak, czy tak! — odezwałem się.

— Zejdźmy im z oczu! — szepnął Ciernicki. — Wiecie

co? — dodał. — Mam przeczucie, że się to wszystko wyda... Paskudna rzecz!... Odechciało mi się już ślizgawki.

Poczęliśmy go pocieszać.

— Głupstwo! Co się ma wydać...

— Ale — odparł. — Robak był już w klasie, gdym przyszedł. Zdziwił się, gdy mnie tak w czas zobaczył... A choć pisał coś zawzięcie, mógł widzieć... Teraz spotkał się z Ciceronem... Może być bieda!

Był markotny i dał za wygraną ślizgawce.

Po południu zamiast księdza profesora, który miał mieć godzinę, zastaliśmy już gospodarza klasy.

Ciernicki na jego widok zawahał się we drzwiach, jak gdyby chciał się cofnąć.

Tracił pewność siebie coraz więcej. Mogło być źle.

Ukłoniwszy się przed katedrą, zasiedliśmy na miejscach w cichości.

Grek pisał coś, nie zwracając uwagi na zbierających się uczniów. Ciernickiemu tylko odpowiedział na ukłon słowami: »Jak się masz« — i pisał dalej.

Zadzwoniono nareszcie na znak rozpoczęcia lekcyi. Jeszcze dzwonek nie przebrzmiał, gdy drzwi się roztwarły i wbrew zwyczajowi wszedł Cicero. Zbliżył się wprost do katedry i począł coś szeptać z gospodarzem klasy, przy czem dosłyszeliśmy słowo: »Pan Dyrektor«. Zdawało mi się, że przechodząc obok »Robaka«, który siedział niedaleko od brzegu, Ciceron uśmiechnął się znacząco. Nareszcie wyszedł.

Grek powstał wśród uroczystej ciszy i szepnął: »Modlitwa«.

Nikt się nie ruszył.

— Kto dziś ma mówić modlitwę? — spytał profesor.

— Robakiewicz! — wyrwał się skwapliwie jeden z kolegów.

Robak porwał się z miejsca, szepcąc: »Prawda!«...

Rozpoczął »Ojcze nasz« cichym głosem.

... »I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«...

— Siadać! — zawołał Grek.

Sam jednak nie usiadł, lecz począł uroczystą przemowę, wyrażając żal, że klasa, którą miał zaszczyt prowadzić,

sprawiła mu wielkie zmartwienie. Lepiej, żeby to zostało utajone, bo z bólem serca przyjdzie mu się dowiedzieć o nazwisku sprawcy. Ale sprawiedliwości musi się stać zadość. Przed upływem godziny wszystko musi się wyjaśnić — i on będzie wiedział, kto sprawcą tego występnego figla i jaki był cel jego.

Usiadł i począł rozkładać notatnik.

— Ciernicki! — zawołał.

Ciernicki powstał, blednąc.

Grek nie zaczynał od Apfelbauma, a więc nie czytał katalogu.

— Może Ciernicki — mówił Grek — da mi słowo, że nie wie, kto spełnił dzisiejsze przestępstwo?

— Nie wiem! — odparł Ciernicki, prędzej nawet cokolwiek, niżby należało.

— Proszę usiąść! — odparł Grek.

A po chwili, odwracając kartkę notatnika, zawołał znowu: — Zakrzewski!

Pytał więc według stopni, według ostatniej klasyfikacyi. Nie miał Ciernickiego w podejrzeniu.

Odetchnęliśmy.

— Nie wiem — brzmiała szczera odpowiedź Zakrzewskiego.

— Kreutzer! — Nie wiem!

I tak dalej i dalej. A choć ciągle odpowiedź była jednakowa, Grek nie tracił zimnej krwi i pewności siebie.

— Czyżewicz... Poletyłło... Apfelbaum... Domaradzki... — wywoływał.

A zawsze: »Nie wiem!«

— Wybornie! — pomyślałem. — Przeczyta katalog do końca i nie dowie się niczego.

Ucieszony tą myślą, spojrzałem na Ciernickiego i przeląkłem się o niego. Drżał cały, jak w febrze, a blady był, jak płótno. Męki widocznie znosił.

Trąciłem go z lekka. Nie czuł.

— Sztummer! — wywoływał tymczasem Grek.

— Nie wiem!

— Robakiewicz!

Robak wstał z flegmą.

— Tego nie mogę powiedzieć — szepnął słabym głosem, ale zawsze takim odpowiadał.

Wtedy stało się coś dziwnego.

Ciernicki, który (jak mi to sam później wyjaśnił) nie dosłyszał odpowiedzi Robakiewicza, zerwał się z miejsca i wrzasnął nagle, podnosząc rękę ku katedrze:

— To ja! panie profesorze!... To ja nasypałem siarki na piec... Ja... — powtórzył jeszcze mocniej, jakby pragnął koniecznie, aby mu uwierzono.

Szmer powszechnego zdziwienia i długa chwila ciszy.

Grek spuścił wzrok na katedrę i począł przewracać kartki katalogu.

— A jakże się ty nazywasz? — spytał, jakby nie znał swego pierwszego ucznia w klasie.

— Ciernicki! — brzmiała odpowiedź.

Profesor odwrócił jeszcze jedną kartkę.

— Siadaj! — rzekł spokojnie. — Ja ciebie już pytałem... Tyś dał przed chwilą słowo, że nie wiesz o niczem.

Nowe zdumienie.

Ciernicki jednak ani myślał usiąść.

— To ja! to ja! — wołał, spazmatycznie łkając. — Ja to zrobiłem... Chcieliśmy iść na ślizgawkę... Kupiłem siarki... Za pięć centów... Zaparłem się przedtem, ale teraz mówię prawdę... To ja!... Zresztą, toby się i tak wydać musiało... Robakiewicz tu był już w klasie i musiał widzieć... Niech zaprzeczy!... Niech on zaprzeczy, ten lizus!...

A rzucając się na ławkę, począł szlochać, jak małe dziecko.

Przez całą salę przeszedł szmer: »Lizus! Lizus« — i wszystkie oczy zwróciły się ku Robakowi.

Pod gradem tych spojrzeń powstał oskarżony przez Ciernickiego kolega i wyszeptał z płaczem najnaiwniej:

— Ja nic nie powiedziałem!

Znowu ten sam szmer: »Lizus!«

— Cicho! — krzyknął Grek, zapobiegając tym sposobem kłótni, któraby się była może wywiązała.

Następnie powstał z za katedry i począł chodzić wzdłuż ławek swoim zwyczajem, bardziej tylko tym razem zamyślony i zakłopotany.

Uroczystą ciszę przerywało tłumione łkanie Ciernickiego.

Wreszcie Grek zatrzymał się przed pierwszą ławką, nawprost szlochającego winowajcy i zaczął od zwykłych swoich słów: »Moje kochane chłopcy!«

Był to znak, że już się nie gniewa. Odetchnęliśmy znów pełną piersią. Wielkie »aaa« przeleciało po sali.

Grek tymczasem mówił, żeśmy go zasmucili bardzo... że klasa ta była dotąd wzorową... że stawiano nas za przykład innym, a myśmy to wszystko popsuli... Mówił, że on nie wie, kto jest winowajcą, bo przecie Ciernickiemu wierzyć już nie może... Nigdy nie wierzy takiemu, kto raz skłamał. Nie wierzyłby w takim razie nawet sobie samemu... Więc nic nie wie, no, i nie chce wiedzieć... bo zresztą i my sami nic nie wiemy... Jak na to wszystko będzie się zapatrywał pan dyrektor, to inna rzecz, ale może się to jakoś załagodzi... choć plama zawsze już na nas zostanie...

Zmiarkowaliśmy natychmiast dobroć zacnego Greka i rzuciliśmy się tłumnie ku niemu na środek sali.

— Niech pan profesor nikogo nie wydaje!

— Na miejsca! — krzyknął i zasiadłszy najspokojniej na swem krześle, począł wykładać o drugiej wojnie punickiej.

. . . . . .

Sprawa się zatarła, ale Robakiewicz pozostał ze swojem przezwiskiem Lizusa, a konszachtów z Ciceronem nie przerywał. Stroniliśmy od niego, o ile możności, a i on, mając żal, wcale się do nas nie garnął.

Pewnego dnia — ku wiośnie już się miało — Robak nie zjawił się w szkole. Nazajutrz także go nie było.

Wtedy to Grek powiedział pod koniec ostatniej godziny popołudniowej:

— Kto tam blizko Robakiewicza mieszka? Trzebaby się dowiedzieć, co mu jest?

Nikt się nie odezwał.

— Bo to on sierota... nie ma rodziców... sam jeden na świecie — mówił dalej Grek. — A mieszka u ludzi biednych... głupich... Mógłby umrzeć, a nie daliby znać i nicbyśmy o tem nie wiedzieli...

Wtedy powstało kilku naraz kolegów, ale wszystkich wyprzedził Ciernicki.

— Ja się dowiem, panie profesorze!

— I ja! — zawołał Poletyłło.

— I ja! I ja! — wołali inni.

— No, no... Zadużo ma naraz przyjaciół — zauważył Grek cierpko. — Ty, Ciernicki, pójdziesz!... Tobie to powierzam... Jutro mi zdasz sprawę...

Po za bramą gmachu gimnazyalnego Poletyłło, Sztummer i ja nie chcieliśmy opuścić Ciernickiego.

— Pójdziemy z tobą!

— No, to chodźcie...

Na zakręcie ulicy przyłączył się i Domaradzki.

— Ja też idę!

Ruszyliśmy więc w pięciu ku Grzegórzkom, nad Starą Wisłę, gdzie mieszkał Robakiewicz u swoich węglarzy.

Zbliżając się do małego, parterowego, w ziemi osiadłego domku drewnianego, zatrzymaliśmy się naraz wszyscy.

— Psst! Ciceron! — szepnął pierwszy Sztummer.

Przed nami, w zapadającym mroku, zamajaczyła mała figurka Cicerona. Szedł ku temu samemu domkowi, dźwigając pod pachą jakieś zawiniątko.

— Stójcie! — zakomenderował Ciernicki.

Stanęliśmy i czekali na skręcie, póki Cicero nie zniknął w nizkiej sieni.

Wtedy, bez zmowy i bez komendy, podbiegliśmy wszyscy cichaczem ku niziutkiemu a oświetlonemu już małą lampką naftową oknu.

Izba mała, ciasna, wązka. Plącze się po niej troje drobnych dzieci. W kącie spoczywa, gryząc chleb, stary, spracowany węglarz. Kobieta krząta się około komina.

Cicero był tu widocznie nie po raz pierwszy, bo wszyscy go znali — starzy i dzieci.

Gdyśmy zajrzeli, Robak stał już na środku i całował w rękę łacinnika.

Uciszyło się i zabrzmiał ostry głos Cicerona, który na stole, przy świetle lampki, rozwinął swoje zawiniątko:

— Obiecywałem ci i obiecywałem, mój Robaku, a nie mogłem się wybrać... Ty zaś sam nie przyszedłeś... Wiem, ko-

rona-by ci z głowy spadła!... A masz ją, o! masz!... cierniową!... Aż i przyszła katastrofa!... Pewnie zleciały z ciebie te kratki?

— Zleciały... prawie zleciały... Zaszywałem, ale już jedenaście dziur na nich...

— Jedenaście?... Patrzajże... Prawda... Ciało ci przegląda... Ale to nic!... Te całe... No, cicho! Nie płacz!... Stań-no tu do światła... Weźmiemy miarę, jak należy...

I wyjąwszy z kieszeni kawałek sznurka, począł mierzyć długość nóg Robaka.

— Zaraz będzie! Nie wielem większy od ciebie. Takżem się nie uchował... No, stój prosto!

I ująwszy w dłoń nożyce, począł obcinać podług miary nogawki na stole.

— Tak!... Twarde i mocne jeszcze... Znowu trzy lata pochodzisz!... Tak... Teraz założymy tyle na wyrost... Taaak!... No, dawaj igłę!

— Jaki pan profesor! jaki pan profesor! — szeptał Robak, płacząc ciągle.

Węglarka zajrzała od komina.

— Ale panu to zręcznie idzie! — rzekła, patrząc na szyjącego gościa.

Cicero uśmiechnął się gorzko:

— Bo ja, moja pani, całe życie coś zawsze zeszywam.

Przez chwilę robota szła w milczeniu. Robak wpatrywał się, ocierał łzy i milczał.

— No, to już jutro przyjdziesz do klasy?

— O! przyjdę...

— Ale, ale!... Bo znowubym zapomniał — przerwał sobie Ciceron. — Masz tu trzy szóstki! Ale oszczędzaj!

I położył na stole trzy maleńkie monety.

Nie mogliśmy znieść dłużej tego widoku, bo bylibyśmy wkrótce wyli z żałości.

— Chodźmy! — szepnął Poletyłło.

Wśród zmroku powlekliśmy się ku domowi w milczeniu.

Na Siennej Sztummer nas pożegnał; przy Floryańskiej odczepił się Domaradzki.

Kolacyę pozostawiliśmy prawie nietkniętą, a nazajutrz rano, o siódmej, pędziliśmy we trzech znów ku Grzegórzkom.

Na plantacyach spotkaliśmy Sztummera, z książkami i zawiniątkiem.

— Wy do niego? Do Robaka? I ja! — wrzasnął z tryumfem, potrząsając sporym pakietem.

Na Starowiślnej — bęc! Kto taki? Domaradzki!

— Alfons! i ty? — poczęliśmy wołać.

— I ja! — odparł, macając się dla pewności po kieszeni na widok naszych pakunków.

. . . . . .

Robak był już ubrany w nowe »kratki« i pił mleko, parząc sobie usta, gdyśmy stanęli w progu.

Zgłupiał zupełnie.

W dwóch słowach wyjaśniliśmy wszystko i poczęliśmy składać nasze dary.

Poletyłło ofiarował mu trzy koszule... Domaradzki pięć guldenów. Ciernicki dwie pary »kratek». Sztummer nowiusieńkie kamaszki.

On wśród tych skarbów płakał, a myśmy mu płakać pomagali.

Niechby odtąd kto śmiał przezwać go Iizusem, albo zakrzywić palec na Cicerona!... No!...

Julian Łętowski (»Robakiewicz«).

52. Arcy-serwis.

Jest podanie, że książę Radziwiłł Sierota
Kazał ten sprzęt na urząd w Wenecyi zrobić
I wedle własnych planów po polsku ozdobić.
Serwis potem, zabrany czasu wojny szwedzkiej,
Przeszedł, nie wiedzieć jaką drogą, w dom szlachecki;
Dziś, ze skarbca dobyty, zajął środek stoła
Ogromnym kręgiem nakształt karetnego koła.

Serwis ten był nalany ode dna po brzegi
Piankami i cukrami białymi, jak śniegi,
Udawał przewybornie krajobraz zimowy:
W środku czerniał ogromny bór konfiturowy,
Stronami domy, niby wioski i zaścianki,
Okryte zamiast szronu cukrowemi pianki;

Na krawędziach naczynia stoją dla ozdoby
Niewielkie z porcelany wydęte osoby
W polskich strojach, jakoby aktory na scenie,
Zdawały się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie, zresztą gdyby żywe.

Cóż przedstawiają? — goście pytali ciekawi.
Zaczem Wojski podnosi laskę i tak prawi:
(Tymczasem podawano wódkę przed jedzeniem) —
»Za mych wielce Mościwych Panów pozwoleniem:
Te persony, których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają polskiego historyą sejmiku,
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie;
Sam tę scenę odgadłem i państwu objaśnię.
Oto na prawo widać liczne szlachty grono:
Pewnie ich przed sejmikiem na ucztę sproszono.
Czeka nakryty stolik; nikt gości nie sadza,
Stoją kupkami, każda kupka się naradza.
Patrzcie, iż w każdej kupce stoi w środku człowiek,
Z którego ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk niespokojnych widać — mowca, coś tłumaczy,
I palcem eksplikuje i na dłoni znaczy.
Ci mowcy zalecają swoich kandydatów
Z różnym skutkiem, jak widać z miny szlachty bratów.
Wprawdzie tam, w drugiej kupie, szlachta pilnie słucha,
Ten ręce za pas zatknął i przyłożył ucha,
Ów dłoń przy uchu trzyma i milczkiem wąs kręci,
— Zapewne słowa zbiera i niże w pamięci;
Cieszy się mowca, widząc, że są nawróceni,
Gładzi kieszeń, bo kreski ich już ma w kieszeni.

»Lecz za to w trzeciem gronie dzieje się inaczej:
Tu mowca musi łowić za pasy słuchaczy.
Patrzcie, wyrywają się i cofają uszy;
Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy!
Wzniósł ręce, grozi mowcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika.
Ten drugi, pochyliwszy czoło nakształt byka,
Powiedziałbyś, że mowcę pochwyci na rogi;
Ci biorą się do szabel, tamci poszli w nogi.

»Jeden między kupkami szlachcic cichy stoi,
Widać, że człek bezstronny; waha się i boi,
Za kim dać kreskę, nie wie, i sam z sobą w walce,
Pyta losu, wzniósł ręce, wytknął wielkie palce,

Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy:
Widać, że kreskę swoją kabale powierzy;
Jeśli palce trafią się, da afirmatywę,
A jeżeli się chybią, rzuci negatywę.

»Na lewej druga scena: refektarz klasztoru,
Obrócony na salę szlacheckiego zboru.
Starsi rzędem na ławach siedzą, młodsi stają
I ciekawi przez głowy w środek zaglądają;
W środku marszałek stoi, wazon w ręku trzyma,
Liczy gałki, szlachta je pożera oczyma.
Właśnie wstrząsnął ostatnią; woźni ręce wznoszą
I imię obranego urzędnika głoszą.

»Jeden szlachcic na zgodę powszechną nie zważa.
Patrz, wytknął głowę oknem z kuchni refektarza,
Patrz, jak oczy wytrzeszczył, jak pogląda śmiało,
Usta otworzył, jakby chciał zjeść izbę całą;
Łatwo zgadnąć, że szlachcic ten zawołał: Veto!...
Patrzcie, jak za tą nagłą do kłótni podnietą,
Tłoczy się do drzwi ciżba, pewnie idą w kuchnię;
Dostali szable, pewnie krwawy bój wybuchnie.

»Lecz tam na korytarzu, Państwo uważacie
Tego starego księdza, co idzie w ornacie;
To przeor, Sanctissimum z ołtarza wynosi,
A chłopiec w komży dzwoni i na ustęp prosi.
Szlachta wnet szable chowa, żegna się i klęka,
A ksiądz tam się obraca, gdzie jeszcze broń szczęka;
Skoro przyjdzie, wnet wszystkich uciszy i zgodzi.

»Ach! wy nie pamiętacie tego, Państwo młodzi!
Jak śród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej:
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkiem sława!
W innych krajach, jak słyszę, trzyma urząd drabów,
Policyantów różnych, żandarmów, konstabów;
Ale jeśli miecz tylko bezpieczeństwa strzeże,
Żeby w tych krajach była wolność — nie uwierzę«.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

53. Nauczyciel mego ojca.

(Ustęp z »Pamiętnika chłopca«).

Przedwczoraj przy obiedzie, czytając gazetę, mój ojciec wydał naraz okrzyk zdziwienia. Potem rzekł:

— A ja myślałem, że już od lat dwudziestu niema go na świecie! Wiecież, iż żyje jeszcze mój najpierwszy nauczyciel ze szkoły elementarnej, Wincenty Crozetti, który dziś ma ośmdziesiąt cztery lat? Właśnie tu pisze, że ministeryum oświaty dało mu medal zasługi za sześćdziesiąt lat nauczycielskiej pracy. Sześćdziesiąt lat, słyszycie? — I dodał: Henryku, pojedziemy do niego.

Nie pozna mnie z pewnością. To nic, za to ja go poznam. Czterdzieści cztery lat; tak, tak! Henryku, jutro pojedziemy do niego w odwiedziny.

I wczorajszego rana o dziewiątej byliśmy na stacyi kolei żelaznej. Był to piękny dzionek wiosenny. Pociąg biegł wśród pól i łąk zielonych, pomiędzy żywopłotami, okrytymi kwieciem; w powietrzu rozchodziła się woń rozkoszna. Mój ojciec był wesół i kiedy niekiedy otaczał mi szyję ramieniem, rozmawiając ze mną jak z przyjacielem i patrząc na okolicę.

Zaledwieśmy wysiedli w miasteczku, zaraz poszliśmy szukać naszej dawnej ogrodniczki, która ma sklepik w małej uliczce. Zastaliśmy ją z dziećmi; bardzo się ucieszyła, widząc nas, opowiadała nam o mężu, który ma niezadługo powrócić z Grecyi, gdzie już od trzech lat pracuje, i o swojej córce, która jest w zakładzie głuchoniemych w Turynie. Potem pokazała nam, którędy mamy iść, aby znaleźć mieszkanie nauczyciela, którego wszyscy tu znają. Wyszliśmy z miasteczka i wstąpiliśmy na drożynę, która wiodła pod górę, opasana kwitnącymi żywopłotami.

Mój ojciec nic już teraz nie mówił, wydawał się cały pogrążony w myślach o dawnych czasach, co chwila uśmiechał się i potrząsał głową. Naraz stanął i rzekł:

— To on. Założyłbym się, że to on.

Drogą zstępował z góry i zbliżał się ku nam staruszek mały, z białą brodą, w kapeluszu o szerokich brzegach; opierając się na kiju, suwał nogami i ręce mu się trzęsły.

— To on! — powtórzył ojciec, przyśpieszając kroku.

Kiedyśmy byli już w małej odległości od niego, przystanęliśmy obaj. Staruszek również się zatrzymał i popatrzył na mego ojca. Twarz miał jeszcze czerstwą, oczy jasne i żywe.

— Czy to pan, szanowny panie — spytał mój ojciec, zdejmując kapelusz — jesteś nauczycielem Wincentym Crozettim?

Staruszek zdjął również kapelusz i odrzekł głosem nieco drżącym lecz pełnym:

— Tak, ja nim jestem.

— A więc — odpowiedział mój ojciec, biorąc go za rękę — niech pan pozwoli, by dawny uczeń dłoń panu uścisnął i zapytał, jak się pan miewa. Przyjechałem z Turynu, aby się z panem widzieć.

Staruszek popatrzył na mego ojca ze zdziwieniem. Potem rzekł:

— Za wiele łaski... nie pamiętam... Kiedy, moim uczniem? Niech mi pan wybaczy. Nazwisko pańskie?

Mój ojciec powiedział swoje imię i nazwisko — rok, w którym był w jego klasie, oraz wymienił miejscowość, w której się wówczas szkoła znajdowała i dodał:

— Pan mnie sobie nie przypomina, nic dziwnego. Ale ja odrazu pana poznałem!

Nauczyciel pochylił głowę i popatrzył w ziemię w zadumaniu; powtórzył kilka razy imię mego ojca, który tymczasem oczu zeń nie spuszczał i uśmiechał się wesoło.

Naraz staruszek podniósł głowę, jasne swe oczy zwrócił na mego ojca i rzekł powoli:

— Albert Bottini? syn inżyniera Bottiniego, tego, co to mieszkał na placu konsulatu?

— Tak, tak, ten sam! — odrzekł ojciec, wyciągając rękę.

— Skoro tak... — powiedział staruszek — pozwólże mi, drogi panie, pozwól...

I zbliżywszy się, uścisnął mego ojca; jego biała głowa zaledwie mu do ramienia sięgała. Ojciec mój przycisnął policzek do jego czoła.

— Bądź pan łaskaw, wstąp do mnie — powiedział nauczyciel.

I nie czekając na odpowiedź, zawrócił się i w milczeniu poszedł ku swemu domowi. Za małą chwilkę znaleźliśmy się na jakimś dziedzińcu, przed małym domkiem.

Nauczyciel otworzył kluczem drzwi i zaprowadził nas do swego mieszkania. Był to pokój o czterech białych ścianach; w jednym rogu łóżko składane, pokryte kołdrą w białe

i niebieskie kratki, w drugim stolik, a na nim kilkanaście książek, cztery krzesła i stara mapa geograficzna, zawieszona na ścianie; miły zapach jabłek napełniał powietrze.

Usiedliśmy wszyscy trzej. Mój ojciec i nauczyciel patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

— Bottini! — zawołał nauczyciel, przyglądając się pilnie ceglanej podłodze, na którą słońce, wpadając przez okno, kładło się jasnym promieniem. — O! pamiętam doskonale. Pańska matka, to była taka zacna, dobra pani! Pan, pierwszego roku, siedziałeś przez czas jakiś w pierwszej ławce na lewo, koło okna. A widzisz pan, jak pamiętam?! Widzę jeszcze tę pana główkę całą w kędziorach.

Potem milczał chwilę zamyślony.

— Z pana to był dopiero żywy chłopak, jak ogień! prawda? — rzekł z uśmiechem. - Drugiego roku chorowałeś pan na dławiec. Pamiętam, gdyś pan taki chudy, blady powrócił do szkoły, owinięty w szal mamy. Czterdzieści lat minęło, wszak tak? Pan taki dobry, żeś sobie starego biedaka przypomniał...

— Ach, kochany panie — odrzekł żywo mój ojciec -- ja przecie pamiętam ten dzień, kiedy moja biedna matka pierwszy raz mnie zaprowadziła do szkoły. Było to po raz pierwszy w życiu, iż musiała rozstać się ze mną na dwie godziny i pozostawić mnie za domem, w rękach osoby obcej, nieznanej. Dla tej zacnej kobiety moje wstąpienie do szkoły było jakby wejście w świat; było to rozłączenie pierwsze z całego dalszego pasma rozłączeń bolesnych, lecz nieuniknionych; społeczeństwo po raz pierwszy zabierało jej syna, aby go już nigdy całkowicie nie oddać. Była wzruszona, ja również. Poleciła mnie panu głosem drżącym, a potem wychodząc, jeszcze przez drzwi uchylone mnie przeżegnała z oczami łez pełnemi. I właśnie w tej chwili skinął pan ręką, patrząc na moją matkę, a drugą rękę do piersi sobie przycisnął, jakby chciał powiedzieć: »Niech pani będzie spokojną, proszę mi zaufać«. Otóż tego pańskiego ruchu, tego spojrzenia, z którego poznałem, żeś pan odgadł wszystkie uczucia, wszystkie myśli mojej matki, tego spojrzenia, które mówiło: »Odwagi!«, które zarazem było szlachetnem przyrzeczeniem opieki, miłości, pobłażania, ja nie zapomniałem nigdy,

na zawsze pozostało mi w sercu; i te to wspomnienia przywiodły mnie tu do pana z Turynu. I po latach czterdziestu przybywam, aby powiedzieć: »Dziękuję, drogi panie!«

Nauczyciel nie odrzekł nic; głaskał mnie po włosach jedną ręką, a ta biedna ręka drżała, trzęsła się, przeskakiwała od wierzchu głowy na moje czoło, od czoła na plecy.

Tymczasem mój ojciec patrzył na te nagie ściany, na to ubogie łóżko, na kawał chleba i flaszeczkę oliwy, które były na oknie i zdawało się, że chce powiedzieć: »Biedny nauczyciel! po sześćdziesięciu latach pracy toż cała jego nagroda!? Ale poczciwy staruszek był zadowolony i znów zaczął mówić z ożywieniem o naszej rodzinie, o innych nauczycielach z lat owych, o towarzyszach szkolnych mego ojca, który jednych z nich przypomniał sobie, o innych zapomniał i obaj nawzajem udzielali sobie wiadomości to o tym, to o owym. Wreszcie ojciec przerwał tę rozmowę, prosząc nauczyciela, aby zechciał wraz z nami pójść do miasteczka na śniadanie do jakiej gospody. On odpowiedział wprawdzie z całą serdecznością: »Dziękuję, dziękuję«, ale zdawał się wahać.

Mój ojciec ujął obie jego ręce i prośbę ponowił.

— Ale jakże jeść będę? — powiedział wówczas nauczyciel — sam pan widzisz... z temi rękami, co tak okropnie skaczą... Wszak to i dla innych nie miło!

— My panu pomożemy, to nic! — rzekł mój ojciec.

I wówczas staruszek przystał, kiwając głową z uśmiechem.

— Śliczny to dziś dzień — powiedział, już wyszedłszy i drzwi zamykając na klucz — śliczny dzień, kochany panie Bottini. Zapewniam pana, iż do śmierci będę o nim pamiętał.

Mój ojciec podał ramię nauczycielowi, nauczyciel wziął mnie za rękę i zaczęliśmy w dół schodzić drożyną ku miasteczku.

W kilka minut przybyliśmy do gospody, zasiedliśmy przy dużym stole, umieściwszy pomiędzy sobą nauczyciela i zaraz kazaliśmy sobie podać śniadanie. Gospoda była cicha, jak klasztor. Nauczyciel był bardzo wesół, a wzruszenie powiększało drżenie w rękach; prawie jeść nie mógł. Ojciec krajał mu mięso, łamał chleb, sypał sól na talerz. Aby módz pić, musiał oburącz trzymać szklankę;

jeszcze mu o nią zęby dzwoniły. Lecz mówił szybko i z zapałem i opowiadał o tem wszystkiem z twarzą pogodną, nieco zaczerwieniony, głosem wesołym, ze śmiechem niemal młodzieńczym.

Nauczyciel wylał sobie trochę wina na piersi; mój ojciec wstał i wytarł mu ubranie serwetą.

— Ależ nie, nie; ależ, mój drogi panie, ja na to nie pozwolę! — powiedział nauczyciel i śmiał się.

Rozmowę przeplatał też łacińskimi wyrazami. A na ostatku podniósł szklankę, która mu się w ręku trzęsła i powiedział z powagą:

— A więc, kochany panie inżynierze, zdrowie pana, pańskich dziatek, oraz na uczczenie pamięci zacnej matki pańskiej.

— Zdrowie pana, mój dobry, kochany nauczycielu! — odrzekł mój ojciec, ściskając mu rękę.

A w głębi izby stał gospodarz i kilku innych ludzi, którzy patrzyli i uśmiechali się tak jakoś dobrodusznie, przyjacielsko, jakby im miłą była ta skromna uczta, wyprawiona na cześć ich nauczyciela.

Po drugiej wyszliśmy z gospody i nauczyciel oświadczył, że chce nam koniecznie towarzyszyć na stacyę. Mój ojciec znów podał mu ramię, a on znowu wziął mnie za rękę; ja niosłem jego laskę. Ludzie przystawali na ulicy, patrząc na nas, gdyż tam wszyscy go znają; niektórzy mu się kłaniali.

Byliśmy już na stacyi, pociąg miał odejść za chwilę.

— Bądź zdrów, drogi nauczycielu! — powiedział mój ojciec, całując go w oba policzki.

— Żegnam pana; dziękuję, bardzo dziękuję! — odrzekł nauczyciel, biorąc w swoje drżące dłonie rękę mojego ojca i przycisnął ją sobie do serca.

Potem ja go ucałowałem i uczułem, że twarz ma od łez wilgotną. Mój ojciec popchnął mnie z lekka do wagonu, a w chwili, gdy sam już miał wsiadać, odebrał nauczycielowi jego prosty kij, na którym się opierał i natomiast włożył mu w ręce swoją piękną laskę ze srebrną gałką i wyrzniętemi na niej pierwszemi głoskami swego imienia i nazwiska, mówiąc:

— Zachowaj ją pan na pamiątkę ode mnie.

Staruszek usiłował zrazu ją oddać, a swój kij sękaty odebrać; ale mój ojciec już był w wagonie i zamknął drzwiczki za sobą.

— Bądź zdrów, mój dobry nauczycielu!

— Bywaj zdrów, synu! — odrzekł nauczyciel, podczas gdy pociąg już zwolna ruszał z miejsca — i niech cię Bóg błogosławi za tę pociechę, którąś sprawił biednemu starcowi.

— Do widzenia! — zawołał jeszcze mój ojciec głosem wzruszonym.

Lecz nauczyciel pokiwał głową przecząco, jakby chciał powiedzieć: »Już się nie zobaczymy!«

— Tak, tak; do widzenia, do widzenia! — powtórzył mój ojciec.

A on wznosząc drżącą rękę ku niebu, odpowiedział: Tam!

I znikł nam tak z oczu, z tą ręką podniesioną do góry.

Edmund de Amicis (Pamiętnik chłopca).

54. Trzeci maja 1791. r.

Zajaśniał nareszcie dzień trzeci maja. Zaledwie pierwszy brzask dzienny padać zaczął, powstaje niezwyczajny ruch i gwar po wszystkich dzielnicach Warszawy. Liczne oddziały wojska rozmaitej broni, piechoty, konnicy i artyleryi, występują zbrojno z koszar swych, ciągną wszystkie na Krakowskie Przedmieście i rozwijają się tam szeregami wzdłuż ulicy. Na tarasach zamku królewskiego zatoczono kilkadziesiąt dział. Widok ten wywołuje z domów mieszkańców stolicy, którzy gęstymi tłumami przepełniają Krakowskie Przedmieście i zmierzają ku zamkowi, gdzie znajdowała się sala posiedzeń sejmowych. Lud prosty, nie pojmując znaczenia i celu ruchu tego, wpada na najdziwaczniejsze domysły i powtarza wieści o śmierci króla, o rozruchu, rewolucyi, i t. p. Trwożliwsi zaczynają zamykać sklepy i zatarasowywać bramy. Pośród tłumów, które z każdą chwilą coraz większą ciżbą przepełniają ulice, kroczą w poważnych szeregach radni miasta, w świąteczne przybrani szaty, pod przewodnictwem swego prezydenta. Za nimi snują się roz-

liczne cechy i bractwa, poprzedzane chorągwiami i godłami swemi. Śród głośnych okrzyków: »Niech żyje konstytucya!« zbierają się tłumy ludu przed zamkiem królewskim i zajmują wszystkie prowadzące do niego przystępy.

Już od samego wschodu słońca zgromadziła się w sali obrad sejmowych ciekawa publiczność, której część nierównie znaczniejsza, znalazłszy wszystkie już miejsca w sali zajęte, przepełniła zamkowe dziedzińce, kurytarze, sienie, wschody, przysionki, a nawet bliżej zamkowi przyległe ulice. Licznie z prowincyi przybyli ziemianie, wojskowi, mieszczanie, kobiety, któremi przepełnione były balkony i galerye sali sejmowej, śród głębokiej ciszy i w ścisłej ze sobą harmonii oczekują ważnego dnia tego zdarzenia.

Rychlej, niż zwykle, schodzą się nakoniec posłowie. Pod okiem publiczności zajmują znani zwolennicy złotej wolności wspólnie z szermierzami Moskwy miejsca, przez przywódców sobie naznaczone, i kupią się w nielicznym wprawdzie, lecz ściśle zwartym zastępie. Na widok ten porozumiewają się ze sobą szybko patryoci, rozchodzą się po sali, otaczają nieprzyjazne sobie grona i przedzielają je zręcznie przez ludzi zaufanych, ażeby przez rozłączenie przeciwników pozbawić ich możności wywołania gwałtownego lub gorszącego zajścia, jakie w połączeniu widocznie wzniecić zamierzali. Środek ten ostrożności nie okazał się bynajmniej zbytecznym. Niemcewicz, który jako poseł znajdował się wówczas w sali sejmowej, opowiada bowiem, że siedząc z tyłu w pobliżu Branickiego, którego otaczało kilku płatnych jego rębaczów, słyszał, jak jeden z najpoufalszych jego przyjaciół, zbliżywszy się doń rzekł mu do ucha: »A cóż, panie Ksawery, machniemy?« Branicki, pomieszany widokiem nader nieznacznej liczby zwolenników swoich, otoczonych nadto i pilnie uważanych przez patryotów, odpowiedział mu tylko również półgłosem: »Wara!« Odtąd wszelki opór gwałtowny stał się niepodobnym.

W takim nastroju umysłów wszyscy zgromadzeni w sali sejmowej, przejęci naprzemian, jedni obawą, drudzy nadzieją, z wewnętrznym niepokojem oczekują rozwiązania nadzwyczajnego wypadku. Cisza poważna panowała w izbie. Na obliczach obecnych widoczne było to głębokie skupie-

nie wszystkich sił ducha, które stanowcze życia chwile poprzedzać zwykło. Widok licznego zgromadzenia tego był niewymownie uroczysty.

O godzinie 11-tej król Stanisław August, przybrany w mundur ustanowionego przez siebie korpusu kadetów, otoczony podług zwyczaju licznym orszakiem senatorów i urzędników koronnych i poprzedzany przez świetny dwór i czterech marszałków, wielkich i nadwornych, niosących laski hebanowe, w złoto oprawne i herbami królestwa i w. księstwa litewskiego zdobne, wchodzi poważnie do sali sejmowej. Piękny, wspaniały i poważny był to widok. Powitany ponownie radosnym okrzykiem publiczności i sejmujących, siada król na tronie, a marszałkowie pokłoniwszy mu się głęboko, odchodzą na miejsca swoje, na koniec krzeseł senatorskich przy drugim końcu sali. Marszałek wielki koronny uderza natenczas trzykrotnie laską o ziemię i udziela głosu marszałkowi sejmowemu, który zagaił posiedzenie pośród ciszy powszechnej i wezwał naprzód deputacyę spraw zagranicznych, ażeby przystąpiła do zdania sprawy z położenia kraju i przedstawiła obraz stosunków jego do obcych mocarstw. Na to wstał Matuszewicz, wymowny poseł brzesko-litewski, i odczytał imieniem tejże deputacyi najświeższe depesze posłów Rzeczypospolitej przy dworach zagranicznych. Były to same wieści hiobowe; to też gdy następnie król Stanisław August zabrawszy głos zapowiedział wniesienie nowej konstytucyi jako ostatniego środka ratunku, wtedy cała izba razem z publicznością zawołała z jednomyślnym niemal zapałem: »Prosimy o projekt!« Zaledwie sekretarz sejmowy odczytał projekt nowej ustawy rządowej, składający się z 11 artykułów, kiedy jednostajny okrzyk zgody, powtarzany po tysiąc razy, rozległ się w izbie i po ożywionych galeryach. Nadaremnie garść zwolenników »złotej wolności« wysilała się na rozmaite zarzuty i wybiegi, byle tylko nie dopuścić do przyjęcia zamierzonej reformy, nadaremnie Suchorzewski, poseł kaliski, przez cały ciąg posiedzenia wyprawiał gorszące widowiska, rzucaniem się na ziemię przedrzeźniając cnotliwego Rejtana: na każde zapytanie marszałka o zgodę na przyjęcie nowej ustawy

rządowej odpowiedział po tysiąc razy powtórzony głos powszechnego nieomal przyzwolenia.

Wówczas król, uniesiony zapałem otaczających go stanów sejmujących i widzów, którzy nie przestawali błagać go jednomyślnie o niezwłoczne wykonanie przysięgi, wstąpił na krzesło tronowe i skinął na znak, że mówić pragnie. Na ten znak ogólna izbę zaległa cisza. Śród natężonej wszystkich uwagi rzekł Stanisław August:

»Gdy widzę stałą i wyraźną sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na konstytucyę narodową, wzywam zatem ciebie, pierwszy kapłanie tu przytomny, mości księże biskupie krakowski, ażebyś mi przeczytać raczył rotę przysięgi dla wykonania jej przeze mnie«.

Na słowa te powstał Turski, książę biskup krakowski, mąż używający dla cnót i zasług swych powszechnego w narodzie poszanowania, i z ewangelią w ręku zbliżył się do tronu. Pośród głębokiej ciszy i uroczystego milczenia czytał on głośno rotę przysięgi. Król położywszy rękę na świętej księdze, którą unosił Gorzeński, biskup smoleński, powtarzał słowa przysięgi z poważnem namaszczeniem.

Król wykonawszy przysięgę, odezwał się głosem podniesionym i uroczystym w te słowa:

»*Iuravi Domino, non me paenitebit.* Przysiągłem Bogu, żałować tego nie będę. Wzywam teraz kochających ojczyznę, niech idą ze mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dopełnić dzieła«.

Rzekłszy to król, opuścił salę obrad, owiany rozgłosem radosnych okrzyków, udając się przez kurytarz zamkowy do świątyni.

Za królem ruszyli przez główne wejście sali biskupi, ministrowie, senatorowie, posłowie i widzowie, krocząc powoli przez ulice przepełnione niezliczonym ludem, który pośród jednomyślnych okrzyków: »*Vivat* król, *vivat* sejm, *vivat* konstytucya rządowa!« podniósł marszałków sejmowych i unosił na ramionach swych środkiem radosnego tłumu. Z 354 wysłanników narodu, z których składała się izba poselska, usunęło się od tej uroczystości dwudziestu zaledwie posłów, którzy pozostali w sali obrad.

Przecudny dzień wiosenny zbliżał się już ku schyłkowi, kiedy ożywiony, różnorodny ten orszak przestępował progi kościoła św. Jana. Zachodzące słońce, przebijając się przez górne okna starożytnej świątyni, rzucało ostatnie, bladawe promienie na zczerniałe jej sklepienia, osłaniając mglistym zmierzchem grobowce rycerzy, poległych w ciągu wieków w obronie ojczyzny, i pozawieszane u sklepień i ołtarzy chorągwie i sztandary, które na wrogach jej długi szereg mężnych zdobywał pokoleń. Władze miejskie i wszystkie cechy i bractwa warszawskie, ustawione w głębi świątyni, przywitały wchodzących powiewem rozwiniętych znaków, godeł i chorągwi. Wszystkich oblicza promienną jaśniały radością; wszystkie uczucia, podniesione świętością miejsca, zlewały się razem w jeden wielki, niczem niezmącony dźwięk jasnej harmonii, jakiej nie tylko w dziejach naszych, lecz i w dziejach innych narodów nader nieliczne znachodzimy pojawy.

Kiedy król przybył do świątyni i stanął u stopni wielkiego ołtarza, powitały go ponowione okrzyki dziękczynnej radości. Przyniesieni na rękach ludu marszałkowie, sejmowy i konfederacyi litewskiej, zbliżyli się do niego i otoczyli go wspólnie z świetnem gronem świeckich i duchownych dostojników.

Zaczem książę biskup krakowski przystąpił do odczytania przysięgi. Obaj marszałkowie konfederacyi, biskupi, senatorowie i ministrowie, wspólnie z przytomną publicznością, trzymając ręce wzniesione do góry, z niewymownym zapałem powtarzali uroczyste wyrazy przysięgi na zachowanie i obronę zasadniczej ustawy rządowej. Po dokonaniu tego aktu Gorzeński, biskup smoleński, wzniósł dziękczynny hymn ambrozyański: »Ciebie Boże chwalimy.« Wszyscy przytomni w świątyni z tysiącami ludu, przepełniającego przysionki i przyboczne ulice, śpiewali pieśń świętą, której towarzyszył uroczysty głos organu i huk dział, grzmiących z zamkowego tarasu. W końcu radosne okrzyki, błogosławiące króla, marszałków i stany sejmujące, okrzyki przeciągające się w nieskończoność, odbijały się o sklepienia świątyni. Dopiero po kilkakrotnem ode-

zwaniu się dzwonka zakrystyi nastąpiła cisza, pośród której Stanisław August dobitnym przemówił głosem:

»Wykonawszy to, cośmy Bogu winni byli, powrócimy teraz do izby sejmowej dokończyć dzieła naszego«.

Poczem, przy zapadłym już mroku wieczornym, opuścili sejmujący świątynię Pańską i w tymże samym porządku, śród nieustających okrzyków rozradowanego ludu powrócili do sali obrad.

55. Koncert Jankiela.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drążki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni;
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska
I, dygając: »Jankielu«, mówi, »jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?«
Jankiel niezmiernie Zosię lubił: kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło; usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą, jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany;
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.
Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją nanowo struny i, próbując, brzęczą;
Jankiel z przymrużonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.
Spuścił je. Z razu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.
Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,

Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze. Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:
Brzmi polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
Wiwat sejm! wiwat naród! wiwat wszystkie stany!
Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dreszczem
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: »Znam! znam głos ten: to jest Targowica!«
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów,
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów:
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści:
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.
Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów z razu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki:

O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem;
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.
Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia: coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
»Marsz, Dąbrowski, do Polski!« I wszyscy klasnęli
I wszyscy »Marsz, Dąbrowski« chórem okrzyknęli.
Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił:
»Jenerale — rzekł — ciebie długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak my żydzi Mesyasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o, ty nasz!«... Mówiąc, ciągle szlochał:
Żyd poczciwy ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

56. Ostatnia nobilitacya.

Było to w kwietniu 1794. r., w śliczny dzień wiosenny. Rozświegotały się skowronki, a trawa rozzieleniała pod pro-

mieniami słońca w szmaragdową barwę, białe chmurki pędziły stadami po niebie na przywitanie białych rycerzy Kościuszki.

Chociaż to był przecudny czas do roboty w Rzędowicach, żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą, narodową niedzielą dla Rzędowiczan.

Jakoż ruch niezwykły panował we wsi: kobiety pomagały serdecznie starościnie gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławki i stoły, ba, nawet pacholęta i dziewczątka wiejskie stawiały z gorączkowym pośpiechem tryumfalną bramę z świeżo rozpękłych wiklin i wiecznie zielonej choiny, opartą z jednej strony o chałupę Bartłomieja Głowackiego, a z drugiej starego Mateusza skrzypka, który pomimo podeszłych lat poszedł, jak powiadał, rzępolić Moskali.

Ten łuk tryumfalny niezawodnie milszym był bohaterowi Racławic od murowanego łuku, jaki stawiano imperatorom rzymskim, wracającym z podboju ludów, bo na świeżych konarach wonnej jedliny ważył się na nim anioł, najpiękniejszy z aniołów niebios — anioł wolności.

Przez tę to tryumfalną bramę przeciągnęła tęgim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział śpiesznie kontusz i żupan swego województwa (zwykle nosił się po francusku), przypiął karabelę i podając rękę starościnie, ubranej w grodeturową suknię po babce, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pośpieszyło ku bramie.

Z kościoła parafialnego ozwały się dzwony, uderzone zamaszystą ręką organisty.

Starosta, ujrzawszy gromadę rzędowicką, zawołał:

— Chodźcie! chodźcie! Chodźmy wszyscy razem powitać naszych zwycięzców.

Na czele kosynierów, w białe sukmany odzianych, je-

chał na siwej klaczy pan Tadeusz Kościuszko, w stroju tychże kosynierów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafią.

Potrójne: »Niech żyje!« ozwało się po obu stronach bramy, deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjąwszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól. Był to moment milczenia, moment nieopisanego uroku.

Starosta ujął Kościuszkę w długi, serdeczny uścisk, płakał, jak bóbr.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypiec i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego wiejskiego muzyka.

Oddzwoniwszy powitanie, pośpieszył zadyrygować mazurkiem »trzeciego maja«, którego wdzięczne tony weselnie drgały nad łąką różnobarwnych głów, niby śpiew skowronka nad urodzajną glebą. A maków było co niemiara na tej łące, między którymi szafirowy kołpak starosty unosił się, jak bławat, a siwe magierki starców wydały się kłosami zboża.

Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu. Jak bohaterem pierwszego koła był Kościuszko, tak w drugiem rej wodził Głowacki. Był on już oficerem i nosił pałasz przy boku, pałasz ofiarowany mu przez samego wodza, ale mimo zaprosin starosty nie mógł się namyślić, aby siąść między nowymi swymi kolegami. Przez zapomnienie skłonił się chłop-oficer do nóg pana starosty i rzekł z pokorą, pod którą przecież tkwił rodzaj dumy osobistej:

— Jaśnie Wielmożny Starosto, nie mieszać się tam chłopu między panów. A chciałbym się też nagadać ze swoimi.

Podczas gdy Bartosz używał miru między swymi, którym lud nasz tak chętnie zasłużonych obdarza, przy stole biesiadnym we dworze toczyły się wielkie kwestye narodowe. Kościuszko nad zwyczaj swój był rozmownym, a nawet wymownym, spokojna twarz jego błyszczała rumieńcem zapału, a natchnienie w oczach świeciło.

Wreszcie wstano od stołu, a Kościuszko podając rękę starościnie, szepnął adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patryotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi przez Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Bartłomieja Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego.

Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka.

W środku powiewał sztandar z orłem białym i godłem: »Za wolność, całość i niepodległość«.

Obok bagnetów pułku Wodzickiego iskrzyły się wokoło godła kosy Krakusów i czerwieniały rogate ich czapki.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartłomieja Głowackiego.

Oficer kosynierski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę przychylnie na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście:

— Mój kochany Bartłomieju, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze dobrym poddanym i pracowitym a poczciwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski podniósł cię nad stan, w którym się urodziłeś, ten czyn każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmieca rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi, mój Bartłomieju!

Bartosz w niemej radości skłonił się do stóp starostwa. Ale starosta podniósł go, uściskał i rzekł:

— Nie tobie już czołobitność, Bartłomieju. Jesteś wolnym człowiekiem, a i na tem nie koniec. Ale teraz kolej na pana Naczelnika.

Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartłomieja Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającym potomkom obowiązek podobnej służby. Stósując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce dziś piastujący, czynię cię, Bartłomieju, wraz z potomkami twymi szlachcicem, i nadaję ci herb mój własny, herb Korczak. Niech żyje nowy szlachcic polski, dzielny mój porucznik: Bartłomiej Głowacki, herbu Korczak.

Głośne: »Niech żyje!« rozległo się w powietrzu.

— A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego, wiedzcie, że powołani do oswobodzenia ojczyzny, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi. Górą wolność, całość i niepodległość Polski!

Kosynierowie z krzykiem pogarnęli się ku Kościuszce, całując jego ręce i szaty. Bartłomiej, ocierając oczy sukmaną, chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszko ujął go i uściskał. Stary wójt gromady odezwał się do wodza:

— Jaśnie Wielmożny Naczelniku! Niech wam Bóg wynagrodzi, żeście nas oto uczcili w Bartoszu Głowackim. Żałujemyć, żeśmy stracili najtęższego chłopa ze wsi, aleć się wszyscy cieszymy, że on z naszej wsi i chudoby wyszedł na szlachcica.

— O ba! panie wójcie, albo myślicie, że zhardzieję! Niechże Bóg broni, żeby mnie taki dyabeł opętał. Oj! nie zaprę się ja nigdy mojej chłopskiej doli, tak niech mi Pan Jezus dopomoże!...

Wieczór Bartłomiej Głowacki siedział z żoną wśród

gości dystyngowanych. Trudnoć go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— A co! mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartłomiej zaczerwienił się, jak dziewczyna.

— Stąd, mój Bartłomieju — dodał Kościuszko — żeś był szlachcicem pierwej, nimeś nim został. *Józef Szujski.*

57. Praca strumieni i rzek.

Gdy rzeka w górach płynie spokojnie w swojem kamienistem korycie, pozostawiając po bokach ławice żwiru i kałuże wodne, pomiędzy któremi wije się czysty jej prąd, zdaje się, że nie spełnia żadnej czynności, tylko leniwo odnosi nadmiar wody z lądu do morza. Są to jednak mylne pozory: właśnie wówczas pracuje ona usilnie.

Bo zważmy, skąd pochodzi woda tej rzeki? Wiemy, że znaczna część wody rzecznej wypływa ze źródeł i że każda woda źródlana zawiera w sobie pewną ilość rozpuszczonych materyi mineralnych, zabranych ze skał. Każda zatem rzeka niesie do morza nie tylko wodę, ale i dużo materyi mineralnej. Tak na przykład obliczono, że Ren przynosi corocznie do morza Północnego tyle wapna, ile go potrzeba do utworzenia trzystu trzydziestu miliardów muszli ostrygowych. Materyał ten, rozpuszczony chemicznie, nie jest widzialny dla oka i bynajmniej nie wpływa na barwę wody. Przez cały rok, o ile tylko płynie woda w rzece, odbywa się to niewidzialne przenoszenie materyałów, pochodzących ze skał.

A teraz przypuśćmy, że mamy przed sobą rzekę wezbraną, której woda nie jest już jasna i czysta, ale ciemna i brudna. Wiemy, że to jej zabarwienie pochodzi od zamieszanego w niej mułu i piasku. Całemi godzinami wzdęty i zmącony potok toczy swoje gęste fale, które w ciągu tego czasu unoszą ze sobą tysiące klg. piasku i mułu. Tak więc oprócz materyi mineralnej rzeka niesie z sobą jeszcze mnóstwo innych, widzialnych materyałów. Czasem można nawet słyszeć łoskot uderzających o siebie na dnie kamieni, które woda porywa i unosi. Widoczną zatem jest rzeczą, że

wielka część pracy, wykonywanej przez rzeki, polega na przenoszeniu rozkruszonych części lądu, które się do niej dostają już to w wodzie źródlanej, już to przychodzą z lądu, spłókane przez deszcze.

Oprócz tego rzeki przykładają się do ogólnego niszczenia powierzchni lądu. Możemy się o tem łatwo przekonać, patrząc podczas nizkiego stanu wody na łożysko jakiej rzeki i na jej brzegi. Gdzie prąd przepływa po twardej skale, tam skała ta ma na sobie ślady starcia i wygładzenia, a kamienie leżące w korycie są zaokrąglone i wypolerowane. Te kamienie, oderwane od urwisk skalnych działaniem mrozu lub z innej przyczyny, były chropowate i ostrokanciaste, podobnie jak te, które leżą u podnóża każdej kruszącej się skały. Lecz kiedy wpadły wprost lub zostały spławione do rzeki, woda zaczęła je poruszać i unosić, skutkiem czego, trąc się o dno i same o siebie, obcierały się, traciły ostre swoje krawędzie i wkońcu wygładziły się i zaokrągliły. Takie zaokrąglone kamienie, jeśli są większe, zowią się otokami, jeśli drobne, żwirem.

Ścierając się i obrabiając na swojej powierzchni, kamienie te jednocześnie ścierają i obrabiają skaliste dno rzeki i oba boki jej koryta. W tych miejscach, gdzie w rzece są wiry, to jest, gdzie woda kręci się w kółko, tam kamienie, porwane tym ruchem wirowym, kręcą się także po dnie i wyżłabiają w niem okrągłe, mniej albo więcej głębokie jamy, czyli tak zwane garnki.

Kiedy woda w lecie po długiej suszy opadnie, niektóre z tych jam wynurzają się z niej i wtedy można widzieć, jak dobrze są wypolerowane.

Teraz będzie to już dla nas rzeczą widoczną, że ustawiczne obcieranie się i wzajemne mielenie skał i kamieni w korycie rzeki musi sprowadzać dwa skutki. Najprzód musi tworzyć się wielka ilość mułu i piasku, następnie koryto rzeki musi się ścierać i przez to stawać coraz głębszem i szerszem. Piaski i muły dołączają się do innych podobnych materyałów, spławianych do rzek przez deszcze, pogłębianie zaś i rozszerzanie się koryt rzecznych daje początek malowniczym wąwozom i przepaściom, które rzeki wydrążyły w twardych skałach na wielu miejscach powierzchni ziemskiej.

Zbadajmy teraz, co się dzieje z tym wszystkim mułem, piaskiem, żwirem i kamieniami, które rzeki ustawicznie przenoszą. W tym celu popatrzmy znowu w lecie na łożysko rzeki. W jednem miejscu leżą na niem płachty żwiru, w innem ławice piasku, a tu i owdzie sterczy z nich jakiś głaz skalny. Zwróćmy baczną uwagę na pewną część tego luźnego materyału, a zobaczymy, że on nieustannie się zmienia. Gromadka żwiru przy powolnym biegu wody może się nam wyda nieruchomą; ale na piasku zobaczymy, że przynajmniej wierzchnie jego ziarna w miarę, jak je woda zalewa i porusza, posuwają się dalej. W samej rzeczy cały ten sypki materyał, po którym rzeka przepływa, jest nieco podobny do samej rzeki. Jeśli przyjdziemy tu znowu po wielu latach, to zawsze znajdziemy tę samą rzekę, a na niej takie same zmarszczki i wiry i usłyszymy to samo ciche mruczenie jej fal. Lecz chociaż rzeka przez cały ten czas była tu ciągle ta sama, to woda jej zmieniała się co chwila, jak i teraz zmienia się w naszych oczach. Tak samo, chociaż w łożysku rzecznem zawsze taki sam sypki materyał, ale nie jest to zawsze ten sam materyał. Bo piaski, muły, żwiry, popychane przez wodę, posuwają się coraz dalej z jej biegiem w dół rzeki, a na ich miejsce rzeka sprowadza inne z wyżej położonych części koryta.

Więc nie na dnie rzeki materyał odkruszony od powierzchni lądu może znaleźć swój ostateczny spoczynek. A jednak rzeki w ciągu swojego biegu pozbywają się znacznej części tego materyału, który ze sobą unoszą. Możeście kiedy zauważyli, że wzdłuż brzegu rzeki ciągnie się często pas nizkiej równiny zaledwie kilka stóp wzniesionej nad poziom wody. Prawie wszystkie nasze rzeki mają takie brzegi, gdyż każda z nich wije się tu i owdzie po długiej i gładkiej równinie. Otóż równina ta utworzona jest z tego mułu, piasku i żwiru, które rzeka niesie ze sobą. Podczas powodzi każda rzeka wezbrana i mętna występuje z brzegów i rozlewa się z obu stron po nizinie. Woda, która wyszła z koryta, porusza się po tej równinie daleko wolniej, niż w korycie, i z powodu zwolnionego biegu nie może już unieść ze sobą całej ilości zamieszanego mułu i piasku, ale pozwala tym materyałom opadać i osiadać na dnie. Tym

sposobem zalane przestrzenie okrywają się nową warstwą ziemi, osadzonej na nich przez rzekę, a kiedy woda opadnie i ustąpi, nowa warstwa podwyższa trochę nadbrzeżną równinę. To samo powtarza się rok za rokiem, aż wreszcie równina podniesie się do takiej wysokości, że rzeka, która tymczasem ciągle pogłębiała swoje koryto i przez to stopniowo obniżała swój poziom, nie będzie mogła jej zalać nawet przy największem wezbraniu. Z biegiem czasu nurt rzeki, wijącej się środkiem doliny rzecznej od jednej strony ku drugiej, wyrzyna sobie w tej nowo utworzonej równinie nowe, węższe łożysko, a potem zaczyna znowu usypywać po obu stronach nowe ławice.

Tym sposobem tworzy się z czasem cały szereg płaskich tarasów, które się wznoszą stopniowo nad rzeką po obu jej brzegach.

Wszakże osadzanie przez rzekę piasków i mułów w postaci tarasów nadbrzeżnych zapewnia w każdym razie tym materyałom tylko czasowe pomieszczenie. Podlegają one wciąż jeszcze dalszemu przenoszeniu, i w samej rzeczy, rzeka nieustannie rwie i niszczy swoje brzegi i unosi w dół porwany z nich materyał.

Gdzie prąd rzeki przy jej wpadaniu do morza lub jeziora zostaje powstrzymany i zwalnia swój bieg, tam skutkiem zmniejszonej jego prędkości osiada na dnie piasek i muł zamieszany w wodzie. Skutkiem tego niektóre części dna stopniowo zostają zasypane, wynurzają się nad powierzchnię wody i tworzą płaskie i bagniste przestrzenie po obu stronach głównego prądu. Podczas powodzi mętna woda pokrywa te przestrzenie, podobnie jak opisane równiny w dolinie rzecznej, i osadza na nich świeżą powłokę mułu i piasku. Tym sposobem te odsypiska, powstające przy ujściu, wznoszą się coraz wyżej nad zwyczajny poziom rzeki, która skutkiem tego rozdziela się, rozgałęzia bez końca, wije pomiędzy niemi i uchodzi do morza nie jednem, ale wieloma ujściami. Po niejakim czasie na tych błotnistych odsypiskach ukazuje się roślinność i zwierzęta znajdują na nich dla siebie schronienie. Tym sposobem wytwarza rzeka nowe cząstki lądu.

Te przestrzenie lądowe, wytwarzane w ujściach swoich

przez rzeki, nazywają się deltami z powodu, że jedna z nich, najlepiej znana w starożytności, mianowicie delta Nilu ma postać greckiej litery Δ.

Każda przestrzeń, złożona z odnóg i ujść rozgałęzionej rzeki i rozdzielających je odsypisk, przedstawia podobną postać, to jest, każda delta zwęża się w stronę lądu, a rozszerza ku morzu. Niektóre dochodzą ogromnych rozmiarów, tak np. delta połączonych rzek Gangesu i Bramaputry zalega przestrzeń prawie tak wielką, jak Anglia razem z Walią.

I nasza Wisła utworzyła sobie deltę. Pomiędzy miastami Gniewem a Tczewem dzieli się ona na dwie odnogi, z których prawa, zwana Nogatem, prowadzi do Piławy i Królewca, a lewa czyli właściwa Wisła do Gdańska. Żyzna nizina, rozłożona w widłach pomiędzy temi ramionami rzeki, nosi nazwę żuław Malborskich. Nogat oblewa Malborg, przechodzi o milę od Elbląga i wpada do zatoki Fryskiej, która przy Piławie łączy się z morzem. Wisła zaś właściwa dzieli się znowu na dwa ramiona, z których wschodnie, zwane Szkarpawą albo Karpówką, uchodzi do tej samej zatoki, co Nogat, a zachodnie, zwane Leniwką, płynie pod Gdańsk i wpada do morza Bałtyckiego pod twierdzą Mindą. Są to trzy główne i dawniejsze ujścia Wisły. Czwarte wywarły sobie jej wody dopiero w roku 1840. podczas gwałtownego przyboru pomiędzy wsią Neufähr i twierdzą Mindą, wyżłobiwszy sobie nowe obszerne i głębokie koryto w nizinie Gdańskiej.

Tak więc każda delta składa się z materyałów, odkruszonych z powierzchni lądu i spławionych na dół przez rzekę. Choć jednak niektóre delty są bardzo wielkie, nie zatrzymują one w sobie wszystkiego w ten sposób przyniesionego materyału. Wielką jego część woda rzeki unosi dalej i osadza na dnie morza, które jest wielkim zbiornikiem, pochłaniającym nieprzerwanie materyał oderwany z powierzchni lądu.

58. Arcymistrz.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął, jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,

Jednę pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie poznał jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali:
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednej myśli tworzyciela.

Jest mistrz wymowy, co Bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłómaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat nim gardzi — poznawszy w nim brata

Sztukmistrzu ziemski, czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, Boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu.

Adam Mickiewicz.

59. Gość wśród burzy.

W kantonie bazylejskim, wśród dolin, ciągnących się w łańcuchu gór Jura, na których tu i owdzie wznoszą się chaty mieszkańców, krąży do dziś dnia wspomnienie dobroczynnego starca, który lat temu już kilkadziesiąt rozsiewał wśród ubogiej tamtejszej ludności hojną dłonią jałmużnę. Niemal codziennie, zaledwie pierwsze dnia brzaski rozprószyły cienie nocy, widziano tam na koniu jadącego mężczyznę, z siwym włosem, z twarzą pooraną brózdami. Przez ramię przewieszoną miał torbę dobrze wyładowaną, na głowie czworograniastą czapeczkę; jechał zwykle krokiem wolnym, rozglądając się uważnie wokoło. Za jego ukazaniem się w górach robiło się gwarno, dzieci, kobiety i mężczyźni wybiegali z chat naprzeciw jadącego, aby go powitać z serdeczną uprzejmością. Starzec przyjaznem skinieniem głowy odpowiadał na powitanie, potem dopytywał, co słychać w do-

linie, czy zdrowi wszyscy, czy kto nie doznał jakiego zmartwienia; a gdy mu powiedziano, że choroba nawiedziła którą z chatek, wtedy mimo wieku zeskakiwał żwawo z konia i przestępował próg, poza którym słychać było jęki, następnie roztwierał torbę, dobywał zioła, wino, co było w chacie potrzebne, lub słał do poblizkiego miasta po lekarza, jeśli groziła cięższa choroba. Gdy zaś gdzie nędzę napotkał, to znowu datkiem pieniężnym złemu zaradzić się starał.

Pewnego ranku mieszkańcy gór Jura zbudzeni zostali przez burzę, jaka się zerwała w dolinie. Wicher jęczał złowrogo, czarne chmury wyrzucały strumienie deszczu, potoki wezbrawszy, szumiały po drożynach, przerażeni wieśniacy nie śmieli się nawet wychylić za progi swych domów.

Wtem zatętniało na drodze, którą zwykle przybywał starzec. Kilku śmielszych i ciekawszych wybiegło na dwór, aby się przekonać, skąd tentent pochodzi? Ale jakież było ich zdumienie, gdy się przekonali, że to zwykły ich gość i dobroczyńca, nie uląkłszy się burzy, zawitał, jak zawsze, do doliny.

— Ach! Ojcze, jakże mieliście odwagę — zawołało kilka głosów — w tak straszliwą niepogodę puszczać się w podróż!

— Obiecałem Wilhelminie — odparł przybyły — iż przywiozę wina dla jej chorego dziecka; musiałem słowa dotrzymać, bo dziecko bardzo osłabione.

To mówiąc, zeskoczył z konia i skierował się do maleńkiej chaty.

Średnich lat kobieta wybiegła z niej, witając go radosnym okrzykiem.

Starzec uśmiechnął się, podał butelkę z winem i rzekł:

— Mam nadzieję, iż syn twój, Wilhelmino, zdrów będzie zupełnie, gdy tę butelkę pomału wysączy.

— Szlachetny panie! — zawołała kobieta — niktby chyba nie zrobił tego, co wy dzisiaj: taka słota na dworze!

Smutny uśmiech okrążył usta starca, położył dłoń na ramieniu Wilhelminy i rzekł poważnym głosem:

— Wierzaj mi, kobieto, że to, co uczyniłem dzisiaj, i to, co czynię zwykle dla was, stokrotnie jest mi zapłacone: godzi mię bowiem z życiem. Nie wiem, co cię czeka w przyszłości; lecz jeśli kiedy dotkną cię bolesne zawody, jeśli los

srogim dla ciebie się okaże i szczęścia ziemskiego ci odmówi, staraj się wówczas innych uszczęśliwiać, a czyniąc dobrze, znajdziesz niezawodnie ciche, ale trwałe zadowolenie, które ci życie umili.

To powiedziawszy, opuścił chatę, dosiadł konia i daleł podążył w dolinę.

Tym zacnym starcem był Tadeusz Kościuszko, który ostatnie lata życia swego spędził w Szwajcaryi.

60. Przepowiednie pogody.

Szczególne znaczenie dla ogółu przedstawiają przepowiednie meteorologiczne, stan bowiem pogody wiąże się z najżywotniejszemi sprawami naszemi. Człowiek jest istotą wątłą; zimno go gnębi, dręczą go upały, nadmiar deszczów lub zbytnia susza sprowadza nieurodzaj, głód wzmaga ilość chorób. Wszyscy pragniemy wiedzieć, jaka pogoda będzie jutro, za dni kilka, czy nadchodzące lato będzie suche, czy następna zima będzie mroźna.

Na te pytania wszakże, które nas tak blizko dotyczą, meteorologia dotychczas odpowiedzieć nie może. Gdybyśmy znali dokładnie prawa ruchów atmosfery, to, biorąc za punkt wyjścia stan jej w pewnej chwili, moglibyśmy też obliczyć stan jej w chwili następnej lub poprzedniej, a tem samem mielibyśmy możność przewidywania pogody według ścisłych metod astronomii dzisiejszej; ale praw tych nie posiadamy. Gdybyśmy choć w następstwie objawów meteorologicznych wyczytać mogli peryodyczność, dozwoliłoby to nam stan pogody przewidywać na wzór astronomii pierwotnej; napróżno jednak silono się wiązać okresy siedmioletnie, jedenastoletnie lub jakiekolwiek inne: żadnej zgoła peryodyczności w objawach pogody nie dostrzeżono. Metody więc ogólne tu nam swych usług odmawiają.

Od najdawniejszych wszakże czasów silono się wykryć reguły, według których możnaby przyszły stan pogody odgadywać. Reguły te miały charakter przeważnie astrometeorologiczny, a ślad ich pozostał w rozpowszechnionem dotąd mniemaniu o wpływie odmian księżyca na objawy

pogody ziemskiej. Powoływano się też na świadectwo zwierząt: żab, pająków; śledzono przelot ptaków, rozpatrywano nawet budowę ich kości; przypisywano wybitne znaczenie pewnym dniom szczególnym lub pewnym porom roku: dzień Siedmiu Braci śpiących, Boże Narodzenie po wodzie — Wielkanoc po lodzie. Przepowiednie pogody były najważniejszym działem kalendarzy, które wydawcy układali z ostrożnością dawnej Pytyi według zasady na »dwoje babka wróży«: miejscami deszcz, miejscami pogoda; mimo to kalendarze z proroctwami pogody utrzymywały się za naszej jeszcze pamięci.

Wynalazek barometru dał pewną podstawę naukową przewidywaniom pogody, choć na najbliższą tylko przyszłość, a przy pomocy tego nowego przyrządu już w roku 1660. przepowiedział burzę sławny burmistrz magdeburski, Otto Guericke. Związek barometru ze stanem pogody na tem w ogólności polega, że powietrze wilgotne lżejsze jest, aniżeli suche, wywiera ciśnienie słabsze i powoduje spadek barometru. Barometr wszakże nie jest prorokiem rzetelnym i często zawodzi, a wypływa to stąd po prostu, że deszcz, który u nas pada, nie u nas się tworzy — sprowadzają go nam wiatry z oceanów. Aby więc przewidzieć, czy deszcz jutro spadnie, wiedzieć należy, w jakim kierunku jutro prąd powietrza wiać będzie. Wiatr zaś płynie zawsze z miejsc, gdzie panuje większe ciśnienie atmosferyczne, gdzie barometr zatem stoi wyżej, do miejsc o ciśnieniu mniejszem, o niższym stanie barometru. Barometr jest więc prorokiem mylnym, gdy go odczytujemy w jednem tylko miejscu, ale pewność jego przepowiedni wzmogłaby się znacznie, gdybyśmy go obserwować mogli współcześnie na całej ziemi, lub przynajmniej na znacznej jej części; możność zaś takiej współczesnej obserwacyi barometru w miejscach bardzo nawet między sobą odległych daje nam telegraf, a na jego właśnie pomocy opierają się dzisiejsze przepowiednie, czyli, jak się teraz mówić zwykło, prognoza pogody.

Tego rodzaju służba meteorologiczna, zaprowadzona w wielu już krajach, obejmuje znaczną liczbę stacyi czyli obserwatoryów meteorologicznych, zostających pod kierunkiem stacyi centralnej. Codziennie więc w godzinach ran-

nych otrzymuje stacya centralna telegramy, w których podane jest ciśnienie atmosferyczne, temperatura, kierunek i siła wiatrów, zachmurzenie lub opad i inne jeszcze szczegóły, dostrzeżone w różnych okolicach o godzinie 8. wieczorem dnia poprzedzającego i o godzinie 8. rano dnia bieżącego. Treść tych telegramów zaznacza się na przygotowanych mapach geograficznych, zestawienie tedy takich »map synoptycznych pogody« dozwala rozejrzeć zmiany, jakie na znacznym obszarze ziemi zaszły od poprzedniego wieczora aż do rana w ciśnieniu atmosferycznem i innych elementach meteorologicznych, a na podstawie tych wskazówek wyprowadza się prognozę pogody na dzień następny. Tak ułożony biuletyn pogody z mapami, przeglądem ogólnym i prognozą, litografuje się, o ile można, szybko i ogłasza przez wywieszenie publiczne i przez rozsyłanie pocztą; biuletyny pogody drukuje się też w gazetach, a niektóre z nich podają i mapy. Treść nadto biuletynu takiego rozsyła się telegraficznie do lokalnych obserwatoryów meteorologicznych, które ją w połączeniu ze wskazówkami miejscowemi zużywają do prognozy pogody dla okolicy sąsiedniej.

Taka obsługa meteorologiczna istnieje już od szóstego dziesiątka lat bieżącego wieku i zawdzięcza początek swój wskazówkom Buys-Ballota i inicyatywie Leverriera; obecnie posiadają ją prawie wszystkie kraje europejskie, najlepiej jednak rozwinięta jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pierwotnie miała ona na celu jedynie sygnalizacyę burz czyli rozsyłanie dla potrzeb żeglugi ostrzeżeń, że stan atmosfery grozi niebezpieczeństwem; następnie dopiero okazało się, że na tej podstawie podawać też można na dzień następny lub nawet na dwie następne doby prognozy pogody, które się sprawdzają w przeważnej liczbie przypadków (około 85 odsetek).

Tak więc naukowe proroctwa o pogodzie obejmują obecnie zaledwie najbliższą przyszłość, jeden lub dwa dni co najwyżej, a moc meteorologii dzisiejszej dalej nie sięga; teraźniejszy stan tej nauki nie daje nam żadnych zgoła wskazówek, któreby dozwalały przewidywać z góry, czy

następna pora będzie gorąca, czy też zimna, sucha czy dżdżysta.

61. Sodalis Marianus.

(Opowiadanie kaprala).

Więc mnie się zdarzyło
W Hiszpanii, lat temu — o, to dawno było...
Więc byłem w legionach, najprzód pod Dąbrowskim,
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego.
Więc z rozkazem jechałem w miasteczko Lamego —
Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska:
Ten gra w kości, ten w karty, ten butelkę ściska:
Nuż beczeć — każdy Francuz, jak podpije, beczy —
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wąsale, takie pieśni tłuste,
Aż był wstyd mnie młodemu! Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych. Otóż z większych w większe
Grzechy lazą, nuż bluźnić na Pannę Najświętszę —
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa
I z powinności bronię Maryi imienia —
Więc ja im perswadować: »Stulcie pysk do biesa!«
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia.

Ale no pan posłuchaj, co się stąd wyświęci!
Po zwadzie, poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci:
Aż w nocy trąbią na koń, zaczną obóz trwożyć;
Francuzi nuż do czapek — i nie mogą włożyć:
Bo nie było na co wdziać, bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem, jak makówka.
Szelma gospodarz porznął, jak kury w folwarku.
Patrzę: więc moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
»Vivat Polonus, unus defensor Mariae«.

Adam Mickiewicz.

62. Somo-Sierra.

Pomyślność musi mieć w sobie coś upajającego, bo wszyscy wielcy wojownicy grzeszyli brakiem wstrzemięźliwości i nie kładli końca zaborczym celom swoim. I Napoleon popadł w ten błąd: Europę całą uważał za dziedzinę swoją, to też obsadzał opróżnione trony plemiennikami swymi.

Holandya, Westfalia, Neapol miały królów z rodu

jego, jeden jeszcze pozostał do wyposażenia i dla tego zapragnął półwyspu Iberyjskiego.

I szły ogromne zastępy francuskie, a obok nich i pułki polskie wywalczyć koronę dla króla Józefa.

W tej wojnie, jak w każdej, gdzie losami bitew kierował potężny geniusz Napoleona, szczęście szło w ślady za orłami jego. Nie pomogła ani odwaga wojska ani opór sfanatyzowanej ludności w gieryle zebranej: kroczyła w głąb kraju zwycięska armia. Już tylko wyżyny Somo-Sierra dzieliły ją od Madrytu — ale tam niespodziany opór znaleźli Francuzi. Stromo pnący się wąwóz, poprzecinany przekopami, na których piętrzyły się działa, to była jedyna droga, do Hiszpanii wiodąca. Napoleon, co nie zwykł był cofać się przed żadną zawadą, co mało cenił życie ludzkie, pierwszym pułkom, które miał pod ręką, kazał uderzyć na ten działami najeżony wąwóz. Śmiałe było natarcie, ale niemniej wytrwała obrona, bo w krótkim czasie począł się cofać zdziesiątkowany oddział francuski; drugi, co go zastąpił, tenże sam los spotkał; trzeci nie był szczęśliwszy od dwóch pierwszych... Wtedy zamyślił się cesarz, a potem patrząc chwilę na pułk ułanów polskich, *szwoleżerami* zwanych, i wskazując ręką na wąwóz, »Naprzód!« zawołał. Bez namysłu ruszył dzielny ten zastęp. Naczelny szwadron prowadził Kozietulski, drugi Henryk Kamieński, trzeci Pac, czwarty Tomasz Łubieński. Wązka droga wąwozu nie dozwoliła rozwinąć frontu, czwórkami też postępował pułk cały. Straszny a zarazem świetny to był widok tego boju: na piętrzących się bateryach błyszczały działa, koło nich uwijali się żołnierze w jaskrawych mundurach, gierylasy w fantastycznych ubiorach, w wysokich kapeluszach z piórami, między nimi mnichy z różnych zakonów, uzbrojeni w pałasze i sztylety, zachęcali walczących i słowem i czynem. Na każdej bateryi był krzyż zatknięty, a rozwiane różnobarwne chorągwie, kościelnemi malowidłami ozdobione, przedstawiały widok jakiegoś religijno-wojskowego obchodu.

Naraz zagrzmiały działa i dym niezmierny ukrył przed oczyma patrzących ten świetny przed chwilą obraz. Ale nacierający już dochodzą wąwozu, dowódzcy wznieśli szable w górę, ogromny okrzyk: »Vive l'Empereur!« odbiły

skaliste góry, a potem pochyleni jeźdźcy na rozbieganych koniach, jak uragan, pędzili wąwozem... Coraz wyżej i wyżej wznoszą się rumaki, coraz wyżej, jak skrzydła jaskółcze, powiewają chorągiewki, coraz wyżej bujają białe kity przy czerwonych czapkach i nikną pomału wpośród kłębu dymu... coraz bardziej w oddali okrzyki natarcia, coraz słabszy jęk skonu i rżenie koni, nareszcie silniejszy, jak poprzednio, rozległ się okrzyk i potem — cisza zastąpiła gwar bitwy.

Całe wojsko z obawą patrzało na ten czyn niesłychany; nie wiedzieli, czy zwyciężył, czy zginął ten odważny zastęp... Z wąwozu, jak z paszczy krateru, dym wolno podnosił się w górę, a kiedy usunął się ostatni rąbek tej gęstej zasłony, jakiż widok uderzył oczy patrzących!... Na samym szczycie góry na białym rumaku stał dzielny Kozietulski; nad głową jego wiatr rozwiewał chorągiew pułkową, na niej, jak gwiazda, świecił biały orzeł na czerwonem polu, poniżej, jak piedestał do tego posągu, jeżył się las proporców, jeźdźców i koni. Na dolinie zabrzmiały kotły i trąby, okrzyk wojenny przywitał zwycięzców; na górze dwa razy schyliła się chorągiew na cześć dla cesarza, potem wolno nikneli i jeźdźcy i konie, bo dzielny zastęp szedł w pogoń za nieprzyjacielem. *K. Bodzantowicz* (Boje polskie).

63. Epoka lodowa.

I.

W jeziorach i wodospadach tatrzańskich, w poszczerbionych górnych graniach niebotycznych grzbietów wystąpił bardzo żywo obraz potężnego niegdyś zlodowacenia najwyższej strażnicy górskiej polskich granic. W Tatrach powstały jeziora przeważnie pod wpływem żłobienia siłą lodowców nakształt kociołkowatych zagłębień w skalistej podstawie, na Pojezierzu bałtyckiem są one następstwem nieregularnego ułożenia się starej masy skalnej, którą hen z daleka pchał lodowiec na swem dnie. Niebotyczne szczyty gór i zapadłe niże polskie były niegdyś pogrzebane pod płaszczem wiecznych lodów. Przyczyny epoki lodowej, która równo-

cześnie ogromne dzielnice wszystkich lądów ziemi dotknęła, są do dziś dnia okryte tajemnicą, tem bardziej zagadkową, że ten okres mrozów i lodów poprzedziły epoki klimatu nie tylko łagodnego, lecz ciepłego, tem bardziej zbliżonego do klimatu okolic równikowych, im dalej sięgamy w przeszłość historyi ziemi.

W jednej z najdawniejszych epok historyi ziemi, w epoce tak zwanej węglowej, panował na całej ziemi bardzo wilgotny, ale też i bardzo gorący klimat podzwrotnikowy. Potężne złoża węgla, spoczywające w pokładach tej epoki, pochodzą z rozległych mokrych puszcz paproci i skrzypów drzewiastych, wśród których uderzały wielkimi rozmiarami i dziwnymi kształtami drzewa łuskowe i grubopienne drzewa pieczątkowe. Takie puszcze pokrywały okolice polskiego zagłębia węglowego, ślady takiejże samej flory pogrzebane są w pokładach węgla całej ziemi od równika do bieguna. Gdy przeskoczymy cały szereg długowiecznych okresów historyi ziemi, od czasu węglowego do czasu jurajskiego, w którym osadziły się wapienie wyżyny Małopolskiej i północnych stoków Tatr, spostrzeżemy, że w obszarze ziem polskich panował jeszcze ciągle klimat gorący. Pomijając bowiem, że w lasach palm paprociowych i sagowców gnieździły się potwory niesłychanych rozmiarów i dziwacznych kształtów, na brzegach ówczesnych mórz polskich budowały rafowe koralowce skaliste wysepki i groble, które tak malowniczo występują dziś w krajobrazie wyżyn małopolskich i podkarpackich okolic. Dziś rozwijają się bujnie koralowce rafowe tylko w morzach, których temperatura wody nie jest nigdy niższą od 20°. Po epoce jurajskiej minęły znowu długie wieki do czasu, w którym powstały w Sambii złoża bursztynu, lub nieco młodsze od bursztynu, lecz po całej polskiej ziemi rozrzucone pokłady węgla brunatnego, a gniazda soli na Podkarpaciu. W bursztynie przechowały się szczególnie pięknie i dokładnie ślady owoczesnych roślinnych formacyi. Bursztyn jest przetworem żywicy, pochodzącej z borów i puszcz sosnowych. Sosny bursztynowe różniły się wybitnie od wszystkich innych, teraz znanych gatunków sosen na obszarze całej ziemi. Poza obrębem puszcz sosnowych miały lasy epoki bursztyn-

nowej dziwną postać. Obok palm najróżnorodniejszych, w sąsiedztwie cyprysów, wawrzynów i kasztanów, rosnących w krajach śródziemnomorskich, przy japońskich dziś magnoliach, lub australijskich eukaliptach rosły drzewa i rośliny nasze, lub bardzo do naszych podobne, bo dęby, buki, jałowce i liczne inne. Ciepła kraina bursztynowych lasów ma więc już pewne znamiona zwolna ochładzającego się klimatu. Wszakże nie tylko flora, lecz także i świat zwierzęcy świadczy o prawie podzwrotnikowym klimacie, który w owej epoce panował także i w obrębie ziem polskich. Fakt, że obok mnóstwa wymarłych już form żyły w podzwrotnikowych puszczach i bagnach, stepach i pustyniach dzisiejszej Polski nosorożce i hipopotamy, słonie i im pokrewne, lecz jeszcze potężniejsze mastodonty, gazele, antylopy i hyeny, wyklucza wszelkie wątpliwości co do podzwrotnikowego klimatu, który panował na naszych ziemiach w okresie lasów bursztynowych, a nawet i nieco później. Po wymarciu lasów bursztynowych kroczyło gwałtownym krokiem oziębianie się klimatu tej strefy ziemi, w której są położone polskie krainy. W węglu krainy nadbałtyckiej, starszym od jakiegokolwiek innego polskiego węgla brunatnego, niema już co prawda śladów palm, ale są liczne dowody, że w ówczesnych lasach rosły jeszcze wawrzyny, figi, eukalipty i inne rośliny, dziś tylko krajom ciepłego południa właściwe. W pokładach siarki w Swoszowicach koło Krakowa, powstałych w tym czasie, gdy w pobliskich słonych jeziorach krystalizowały się gniazda wielickiej soli, znaleziono pełno śladów drzew cynamonowych i wawrzynów, natomiast młodsze nieco pokłady węgla brunatnego w okolicy Kołomyi okazują już zupełnie inną postać flory leśnej, która choć jest odmienną od współczesnej miejscowej, przecież dowodzi, że temperatura, w której owe lasy rosły, była już tylko nieznacznie wyższą od dzisiejszej. Wśród lasów wyłącznie liściastych przeważały klony, platany i wiązy, nie brakło też dębów, wierzb i brzóz, a jedynie obecność kasztanów jadalnych i nielicznych innych roślin stwierdza pewną nadwyżkę ciepłoty ówczesnego klimatu nad współczesnym. Tylko krótki odstęp czasu oddziela okres powstania węgla kamiennego w Kołomyi od chwili,

w której na całym obszarze środkowej i północnej Europy, a przeto i w Polsce bądź się rozwinęła, bądź też z okolic dalszej północy zawitała ta sama roślinność, która dziś nadaje wyraz naszym lasom, łąkom, błotom i piaszczyskom. Drzewa leśne, dla roślinności najbardziej charakterystyczne, były już wtedy te same. I zdawaćby się mogło, że obecna szata roślinna jest tylko dalszym ciągiem rozwoju tej flory, którą poznano na dnie torfowisk. A przecież tak nie jest. Tymczasem dokonała się w Europie i w innych lądach świata straszna rewolucya klimatyczna, zawitała na spory przeciąg czasu — mierząc czasem ludzkim — bo zapewne na przeciąg kilkuset tysięcy lat epoka lodowa.

II.

Od półwyspu Skandynawskiego i od Finlandyi, niejako środowisk zlodowacenia, zsuwały się potężne lodowce na wszystkie strony. W czasie największego rozpostarcia lodowca przebiegała jego południowa granica w obrębie ziem polskich w sposób następujący. Na zachodzie wspierał się lodowiec o Sudety, wspinając się w głąb dolin sudeckich do znacznej wysokości 400—500 m. Dalej ku wschodowi nie sięgał lodowiec ani tak daleko na południe, ani też piętrzył się tak wysoko. W każdym razie wspierał się o podnóża Beskidu Zachodniego i Nizkiego, a południową jego granicę stanowiły mniej więcej następujące dzisiejsze osady: Skawina, Bochnia, Tuchów, Strzyżów, Dynów i Dobromil. Granica lodowca dosięgała na tej linii wysokości 300—400 m. Od dzisiejszego Dobromila skręcała granica lodowca nagle na północny wschód i przez Sądową Wisznię, Janów, na północny zachód od Lwowa, i Żółkiew popod Włodzimierz Wołyński docierała aż do Kowla. Tu skręcał znowu lodowiec wprost na wschód, docierając do Żytomierza nad Teterewem. Stąd skręca wreszcie granica ku południowemu wschodowi, świadcząc, że w dolinę Dniepru wciskało się wówczas potężne ramię lodowca; owa gałęź lodowca sięgała aż powyżej ujścia Worskli do Dniepru. Od tego punktu skręca poza Dnieprem znowu lodowcowa granica przeszło 500 km. ku północy, stwierdzając, że wynioślejsza płyta środkowej Rosyi stanowiła poważną tamę

w pochodzie lodowca ku południowi. Fakt natomiast niewątpliwy, że lodowce minionej epoki dotarły tak daleko ku południowi i spiętrzyły się tak wysoko do góry, dowodzi, że lodowiec ów miał stały spadek od Skandynawii aż do Karpat, musiał być przeto w Skandynawii i Finlandyi co najmniej około 2000 m. gruby, a jeszcze w północnej części polskiego niżu musiała jego grubość, skromnie ceniąc, co najmniej 1000 m. wynosić. Dalej ku południowi malała jego grubość znacznie, zawsze jednak piętrzył się na południowej granicy 100—150 m. gruby mur lodowy, z którego tu i ówdzie wyższe wzniesienia wysterczały jakoby lądowe wyspy ponad lodowe morze czy pustynię. Największą taką wyspą było pasmo gór Kielecko-Sandomierskich.

Ciśnienie tej ogromnej masy i transport startych i zheblowanych mas lądowych w północnych dzielnicach Europy na dnie i wewnątrz lodowca dokonał tego, że na bałtyckiej płycie osady lodowcowego pochodzenia są od 50—200 m. grube i stanowią zarówno powierzchnię, jak też i materyał budowlany całego tego malowniczego a »garbatego« kraju. Na całym wszakże obszarze ziem polskich, objętym przez południową granicę lodowca, tworzą powierzchnię przyniesione przez lodowiec i przez niego ukształcone, zgniecione, często sfałdowane, zawsze jednak bezładnie ułożone utwory lodowcowe. Utwory te są na niżu mazowieckim koło Warszawy jeszcze około 50 m. grube, a nawet w części granicznej, bo na niżach podkarpackich, osięgają 10 aż do 30 m. grubości. Utwory te lodowcowe mają najróżnorodniejszą postać, zawsze jednak niewątpliwym dowodem ich lodowego pochodzenia są martwe głazy, skały skądinąd naniesione. Wśród nich najbardziej jednak uderzającem zjawiskiem są starokrystaliczne finlandzkie lub skandynawskie granity, gnejsy, przeróżne zieleńce i łupki różnobarwne wśród szarych glin i piasków. W tym samym czasie, gdy niż był pokryty płaszczem lodu potężnej grubości, pokryły się też i góry polskie szatą wiecznego śniegu i lodowców. Gdzieindziej w Sudetach, a zwłaszcza w Wysokim Beskidzie, były lodowce znacznie mniejszych rozmiarów.

Epoka lodowa trwała wiele tysięcy, prawdopodobnie wiele setek tysięcy lat. Aby ocenić słusznie długotrwałość

tej epoki, należy uwzględnić, że wszystkie przyczyny, które wywołały ten przewrót, nie tylko działały wolno, ale też nie zawsze działały w tym samym kierunku. Naprzód wolne oziębienie spowodowało powolny wzrost lodowców skandynawskich i równie powolny ich pochód na wszystkie strony. Pochód ten nie tylko nie był jednostajny, ale zarówno z powodu przeszkód ruchu w kształtach terenu, jak też i z powodu zmian klimatycznych doznawał przerw, a nieraz i wstecznych zawrotów. Często więc przystawał lodowiec na dłuższy czas i znowu ruszał naprzód, niszcząc i pustosząc wszystko, siejąc zniszczenie światu roślinnemu i zwierzęcemu, a przeobrażając formy powierzchni w bezładne ruiny. Dotarł nareszcie lodowiec do swej najdalszej granicy. Tu tajał, i szeroka, spieniona rzeka, łącząc się z wodami Karpat, Sudetów i innych gór, płynęła za ogólnym spadkiem ku zachodowi do morza Niemieckiego. Tymczasem klimat doznawał znowu powolnego ogrzania; tajanie lodowca przeważyło jego przybytek, spowodowany ruchem z północy, cofał się tedy lodowiec napowrót a wraz z nim cofała się potężna rzeka wód lodowcowych coraz bardziej na północ. Dopływy od południa przybywające niszczyły pierwotną »wielką dolinę«, a tam gdzie się lodowiec w swym odwrocie dłużej zatrzymał, powstała wzdłuż jego krawędzi druga i trzecia i czwarta »wielka dolina«. Na Bałtyckiej płycie zapewne najdłużej utrzymał się cofający się lodowiec, póki i tam ciepło go nie przemogło. Znikły lody, a prócz osadów lodowcowych pamiątką po nich pozostały ślady zniszczonej flory i fauny, złożone w utworach lodowcowych. Z pochodem lodów na południe w miarę, jak wymierał dawny świat roślinny i zwierzęcy, wędrowały też zwolna rośliny podbiegunowe. W obszarach dzisiejszej południowej Polski i w krajach Czarnomorskich zaległa wówczas tundra polarna. Był to step zamarzły z ubogą, w walce z zimnem znędzniałą roślinnością, pełen rozlicznych mchów i porostów, wśród których bujały kępy kwaśnych traw: turzyc i wełnianek, lub kwiecistszą florą wód i moczarów, nad którymi rozkładały swe gałęzie podbiegunowe, karłowate brzozy lub wierzby. Zmienił się też i świat zwierzęcy. Z dawnych mieszkańców jedynie słoń i nosorożec zdołali utrzymać się na miejscu

w miarę rosnącej mroźności klimatu; przyroda odziała ich tylko w bujną, gęstą i powłóczystą sierść, zahartowała ich i przystosowała do walki w zmienionych warunkach życia. Ów słoń lodowcowy — to mamut. Prócz tych pozostałości dawnego świata zwierzęcego wtargnęły do krajów, położonych na krawędzi dawnego lodowca, dzisiejsze zwierzęta krajów polarnych i gór, lub inne bądź wymarłe, bądź zamieszkujące dzisiejsze lasy i błota, przystosowane do ponownie zmienionych warunków klimatycznych. Więc obok mamutów i nosorożców pasły się na tundrze i olbrzymich rozmiarów jelenie z rogami do 4 m. rozpiętości i renifery, kozice, żubry i jeszcze inni dzicy przodkowie naszego bydła rogatego, dzikie konie, mnóstwo gryzoniów, a przedewszystkiem lemingi i myszy. Dziedziny bliższe lodowca zamieszkiwali mieszkańcy dzisiejszej skrajnej północy, jak lis polarny, biały zając, sobole, kuny i inne. W lasach i moczarach, znaczniej od lodowca odległych, gnieździły się bobry i wydry, łosie i daniele, na które czatował potężny drapieżnik: niedźwiedź jaskiniowy, lub przystosowana do chłodniejszego klimatu hyena.

Dr E. Romer.

64. Krajobraz marcowy.

(Z niewydanego poematu.)

Właśnie pora przebudzeń — wiosna przychodziła,
Po tęgich zimach zawsze Polakowi miła,
A już gdzie najweselsza, to w ziemi Krakowskiej,
Na którą patrząc, człowiek zapomina troski.
Niepróżno Bóg ją ubrał wdziękami tak wielu:
Chciał mieć ogród królewski pod oknem Wawelu.

Grunt jej utoczył z dolin i wzgórz, na przemianę;
Po stokach biegną pólka, skośnie pokrajane
W szachownicę, gdzie barwa od barw się odrzyna.
Tu, jak suta karazja, płonie koniczyna,
W blaskach rosy świecąca wieczorem i rankiem,
Obłożona tatarką, jak czapka barankiem.
Tam grochy pstro się wiją; tak niech pól tych córka
Pójdzie w tan, a włos buja i wstążkami furka.

Dalej kapią pod słońcem rzęsiste owieski;
Czasem, jak oko dziecka, mignie len niebieski.
A na tych tłach pszenica, w setny kłos bogata,
Krzyżuje się i błyska, jakby złota krata.

Przy wzgórzach urodzajnych są i skalne złomy,
W pól obrzeźbione dłutem ręki niewiadomej;
Są i groty, grające dziejowemi echy,
Lecz wszystko to nieduże, tylko dla uciechy.

Są i lasy, lecz wdzięczne. Kto ujrzy w podróży,
Te modrzewie, podszyte bladawym krzem róży,
Te pawiaste jawory i ciemne dąbrowy,
Bramowane sznurkami wierzby purpurowej,
Przysiągłby, że mistrz jaki sadził je uczenie
I wedle ksiąg dobierał ich światła i cienie.

Środkiem ogrodu Wisła, jak młoda królewna,
Idzie zwolna, białymi żaglami powiewna;
Płaszcz za nią modro-złoty bez końca się toczy,
A kwiaty jej po brzegach zaglądają w oczy.
Kwiatów mnóstwo.

Nie tylko tych, co rosną wszędy,
Goździków i barwinku, dzwonków i lawendy,
Lecz są i takie, których, na dziw księdza Kluka
Po innych województwach nikt się nie doszuka,
Choćby zjechał pół kraju, od Gopła do Wilji.
Takim jest ów zimowit, co ma postać lilji,
Takim jest i rozchodnik prądnickiego pola,
Co ma miękkość jedwabiu, a połysk sobola,
I ta »brzózka ojcowska«, tak rzewna, gdy przetka
Liść krwawemi plamkami — może z łez Łokietka
Powstałemi, gdy płakał nad kraju zatratą?

Niechże więc tylko chuchnie ciepło-uste lato,
A już, kraśno czy biało, żółto czy błękitnie,
Cała ziemia Krakowska jak wirydarz kwitnie.

Lecz teraz jeszcze niema ni kwiatów ni zboża
Ni traw. Rzeki niedawno ruszyły do morza,
Uwożąc dolinami wiosenne roztopy.
Wzgórza w żywych strumieniach opłókują stopy,
W marcowem słońcu suszą brunatne ramiona.
Gaj o bezlistnych różdżkach, jak sieć rozwieszona,
Drga na wietrze. Mgła cięży nad wypełzłym smugiem.
Czasem pilny gospodarz już wyjdzie za pługiem.

Ziemia czarna (w Krakowskiem wyborna jest gleba),
Jak rozłamany bochen razowego chleba,
Opada po dwóch stronach lemieszowej blachy
I jak chleb, kwaskowate wydaje zapachy.

Za pługiem wrony, wlokąc ogon rozłożysty,
Idą i z brózd łapczywie wyławiają glisty.
Rad, że mu rolę czyszczą, chłop czasem za siebie
Spojrzy, lecz jeszcze chętniej wodzi wzrok po niebie.
Bo jeśli ziemia dotąd naga i żałosna,
Tam w powietrzu już wszystko wyśpiewuje: »Wiosna!«

Już od niedziel dwóch czajka przyciąga za czajką,
Przybrane po błazeńsku pstrokatą kitajką,
Skrzeczą, skrzydłem grzechocą i łamiąc lot szparki,
Przewracają koziołki powietrzne kuglarki.

Już po nocach wieś cała mało snem się bawi,
Budzona okrzykami przejezdnych żórawi;
Dosiadły chmur i klinem, gdzie rotmistrz im każe,
Pędzą na srebrnych skrzydłach podniebne husarze.

Aż zjawił się, najmilszy znak wiosennych przemian,
Kum bocian, prorok szczęścia, ulubieniec ziemian;
Usiadł na starem gnieździe emigrant znużony,
Tęsknem okiem ojczyste rozpatruje strony,
Klekotem opowiada swą wyprawę sławną
Za Nil. Czasem, jak piosnka zapomniana dawno,
Z pod skrzydeł mu się dźwięczny skowronek wywinie:
Słucha ich obu wieśniak orzący w dolinie.

Deotyma.

65. Pokusa.

Opisując rysy charakteru księcia Józefa Poniatowskiego jako wodza i zwycięzcy, nie opuszczę tego, com z ust Marcina Badeniego, znanego w całej Polsce z rzadkiego rozsądku i nieposzlakowanej prawości, usłyszał. Wypiszę tu jego własne słowa.

— Po rozwiązaniu centralnego rządu — mówił mi — udałem się do Krakowa dla złożenia uszanowania księciu Poniatowskiemu i powinszowania mu zwycięstw. Zastałem go zasmuconego.

— Panie Marcinie — rzekł do mnie — w wielkim jestem

kłopocie. Stoję tu na czele trzydziestu tysięcy wojska, a nie mam grosza w kasie. Tutejsze kasy puste, Księstwo Warszawskie nic mi nie nadsyła; wojsko zaczyna szemrać, może się w nim rozprządz karność i rozprzężona uczynić je uciążliwem krajowi: zlituj się i zaradź temu.

Zastanowiwszy się, rzekłem:

— Niema innego sposobu w tej nagłości, jak użyć znacznych depozytów sądowych, które do dwóch milionów w kasach foralnych wynoszą; książę możesz ten rozkaz wydać, a potem wezwać skarb Księstwa Warszawskiego, aby je zwrócił.

— Jakiegoż to są rodzaju sumy? — zapytał książę.

— Są to po większej części sumy wdów i sierót.

Na to moje wyjawienie (słowa są własne Badeniego) rumieniec dziewiczego wstydu wystąpił na całą twarz księcia, zapłonił się, jak panna, załamał ręce i rzekł do mnie:

— Panie Marcinie, przebóg, przyjaciel mój jesteś, a na co mnie namawiasz! Ja, człowiek honoru, miałbym się tykać grosza wdów i sierót? Choćby z głodu umrzeć, ja tego nie uczynię.

Na te słowa jego, z żywością wyrzeczone, taki mnie razem wstyd samego siebie i ku niemu cześć i uwielbienie ogarnęły, że gotów byłem do nóg mu upaść. Uchwyciłem go za rękę, chciałem ucałować, wyrwał ją.

— Otóż — rzekłem — będą i pieniądze i książę nie tkniesz się funduszów wdów i sierót.

— A to jakim sposobem? — zapytał.

Odrzekłem:

— Ja, książę Henryk Lubomirski, prefekt, panowie Wodziccy i jeszcze znajdą się tacy, co na swoje dobra weźmiemy te depozytowe sumy, przecież będą miały bezpieczeństwo; pożyczymy Księstwu i w jednym roku oddamy kasom.

Uściskał mnie książę i rzekł:

— Kiedy tak, to się nie gniewam i przyjmę, ale z rąk waszych.

Kajetan Koźmian (Pamiętniki).

66. Klimat ziem polskich.

Chcąc należycie zrozumieć klimat ziem polskich, trzeba przedewszystkiem uprzytomnić sobie położenie tych ziem i rozpatrzeć się w ogólnych klimatycznych stosunkach Europy. Granice naturalne ziem dawnej Polski stanowią: z północy morze Bałtyckie, z południa Czarne i łańcuch gór Karpat; granicę zachodnią wyznacza niewyraźnie rzeka Odra, wschodnią rzeka Dźwina i Dniepr. Rzeki, jako przez przyrodę wskazane najłatwiejsze linie dróg, nie powinny być właściwie uważane za granice naturalne, owszem każdy naród rozsiada się wzdłuż rzeki; z drugiej jednak strony przedstawiają rzeki tamę w pochodzie poprzecznym. Te więc dwie właściwości rzek Polski sprawiały, że w czasie świetności Polska granice Dźwiny, Dniepru lub Odry przekraczała na zewnątrz, w czasie słabości cofała się poza nie, jako poza linie obronne.

Europa ma z pośród wszystkich części świata najłagodniejszy i dla człowieka najkorzystniejszy klimat; zawdzięcza to działaniu Oceanu Atlantyckiego i jego prądu (t. zw. Zatokowego), który pędzi najcieplejsze wody oceaniczne wzdłuż zachodnich brzegów Europy. Wpływ prądu Zatokowego sięga daleko, ale słabnie ku wschodowi.

Polska, położona w połowie drogi między »wiecznie zieloną« Irlandyą a spalonymi w lecie, skostniałymi w zimie stokami gór Uralskich, ma klimat pośredni między temi ostatecznościami. Wpływ łagodzący Atlantyku słabnie jednak jednostajnie ku wschodowi, na nieznacznych wyniosłościach lądu łamie się on nieraz silnie, poczem znowu na większych przestrzeniach pozostaje bez większych zmian. Tem się tłómaczy, że odrębna, dolinami powiązana, kraina Polski ma swój odrębny, swoisty polski klimat. Występuje to szczególniej w średniej temperaturze stycznia, jako też w rocznych wahaniach* temperatury. W obszarach nad Wi-

* Przez roczne wahanie temperatury (ciepłoty) rozumiemy różnicę między temperaturą stycznia a lipca. Ciepłotę oznaczamy przy pomocy stopni i tak 1° znaczy 1 stopień ciepła, -1° znaczy jeden stopień mrozu, 0° oznacza linię graniczną między ciepłem a mrozem.

słą wynosi temperatura stycznia najwyżej —1°, a najniżej —6°; tuż jednak poza Odrą na zachód wznosi się temperatura stycznia powyżej 0°, a poza Dnieprem nie znajdzie w tym pasie ziemi miejsca, w którem styczeń miałby wyższą temperaturę od 10° mrozu. Wahania zaś temperatury w tym obszarze Polski wynoszą 20—25°, poza Odrą zniżają się niżej 18°, a w dorzeczu Donu i Wołgi nie schodzą niżej 30°.

Prócz wielkich praw, kierujących klimatem Europy wogóle, powodują wyrobienie się klimatu polskiego niektóre wpływy miejscowe. Karpaty, które nie dopuszczają do Polski ciepłych wiatrów z krain południowych, wywierają wpływ ujemny, morze Bałtyckie zaś, jak każda wielka płaszczyzna wodna, działa dodatnio, bo łagodzi ostrość zim, a chłodzi gorąco lata.

Najcieplejsze są obszary między Odrą a Wisłą, bo są najbliższe wpływom Atlantyku; podobnie ciepłe (t. j. 8—9°) są okolice pobrzeża czarnomorskiego z powodu znacznie więcej południowego ich położenia; ku wschodowi i ku północy obniża się temperatura roczna: na północnym skraju Polski, w Rydze, wynosi już tylko 6°. Taki jest ogólny rys rozmieszczenia rocznej ciepłoty w Polsce, miejscowe wpływy powodują jednak liczne różnice. Wyjątkowo ciepłe są wszystkie miejscowości, chronione od wiatrów północnych, a miejscowości położone w jarach, zamkniętych zewsząd, a otwartych tylko ku południowi, jak np. Kamieniec na Podolu lub Kiszeniew w Besarabii, mają roczną temperaturę około 10°, jaką dopiero na węgierskim niżu, poza Karpatami spotykamy. Zimniejsza jest natomiast Warszawa, położona w krzyżowaniu się wielkich dolin i dróg, więc też i chłodnych wiatrów od północy i wschodu. Chłodniejsze są wszystkie miejscowości, położone na Pojezierzu, t. j., w krainie bogatej w jeziora, opasującej Bałtyk. Przyczyna tego jest podwójna; raz wznosi się Pojezierze 100—200 m. ponad niże okoliczne, powtóre pełno tam mokrych łąk i jezior, marznących łatwo, a tających trudno, a to kosztem ciepła sąsiedniego powietrza. Z powodu znacznego wzniesienia są też znacznie zimniejsze okolice podkarpackie, mimo że okolice te zalegają południowe dziedziny Polski. Temperatura obniża

się bowiem ku górze wcale szybko, to też Zakopane jest zimniejsze od Rygi, a na szczytach Tatr zimno, jak na Szpicbergach.

Pór roku jest w Polsce właściwie sześć i zna je każdy dobrze, choć o czterech porach roku mówi. Mroźna zima trwa w Polsce przeszło 3 miesiące (około 110 dni), na ostrzejszej klimatycznie Litwie trwa przeszło 4 miesiące, natomiast na czarnomorskiem pobrzeżu i w jarach 2 miesiące, a na pełnym zachodzie, przy ujściu Odry skraca Bałtyk i silniejszy powiew Atlantyku zimę do 2 miesięcy. Po mroźnej zimie nastaje druga pora roku, t. j., przykry czas przejściowy między zimą a wiosną — nazwijmy go szarugą wiosenną. Ta szaruga trwa w całej Polsce okrągło 45—50 dni, a tylko przy ujściu Odry przewleka się aż do $2^1/_2$ miesiąca. Wiosna trwa krótko, jeden miesiąc maj; w krainie czarnomorskiej wita pełna wiosna już prędzej, w kwietniu, ale trwa tylko 20 dni. Lato jest tam natomiast długie, pali $4—4^1/_2$ miesiąca, podczas gdy w reszcie Polski trwa wszędzie lato tylko 3 miesiące. Jesień, podobnie jak wiosna, nie jest długa, a kończy się z początkiem lub w połowie października, poczem przychodzi szósta pora roku, szaruga jesienna, trwająca również 45—50 dni, przy ujściu Odry 75 dni — tu i tam dość długo, by nadejścia pełnej zimy radośnie nie witano.

Oprócz oceanicznego zakątka na północnym zachodzie Polski, który znamionuje 5 miesięcy szarugi, i lądowego pasu w krainie czarnomorskiej, który prócz trzechmiesięcznych szarug ma tylko długie, gorące lato i długą, srogą zimę, panuje w całej Polsce dość jednostajny klimat, w którym na szarugi z wiosną i jesienią wypada po $2^1/_2$ miesiąca, na lato i zimę po $3^1/_2$ miesiąca. Szczególny wyjątek stanowi kraina górska, karpacka. Jej stosunki klimatyczne przedstawia najlepiej Zakopane, najwyżej u stóp Tatr położona, stale zamieszkała miejscowość polska. Zima mroźna i pogodna trwa tam $4^1/_2$ miesiąca, od połowy listopada do końca marca, po niej następuje długa, prawie dwumiesięczna wiosenna szaruga, a poprzedza ją nieco krótsza szaruga jesienna; w pośrodku tych przykrych szarug rozwija się jedna pora roku, długa, czteromiesięczna wiosna, trwająca mniej więcej

od 20. maja do 20. września; letnich dni przypada w czasie owej górskiej wiosny zaledwie 11.

Przedstawione powyżej polskie pory roku dają ich obraz średni, od którego z roku na rok niezwykle zmienna pogoda nieraz bardzo daleko odbiega.

Temperatura (ciepłota) bardzo ważną odgrywa rolę w klimacie nie tylko dlatego, że od niej zależą wiatr, wilgoć i opady*, ale i dlatego, że wilgotność lub przewiewność powietrza mile lub przykro odczuwamy, stósownie do wysokości temperatury.

Mimo to musimy obok temperatury uwzględnić równą miarą stosunki rozmieszczenia opadów. Wszak opady wpływają na krajobraz, stanowiąc główny warunek życia świata roślinnego, od nich wreszcie zależy rozwój i charakter sieci wód płynących.

Ogółem biorąc, jest opad atmosferyczny na wielkich obszarach Polski rozmieszczony jednostajnie. Na ziemiach Polski mierzy się opad w kilkuset miejscowościach. Biorąc przeciętne tych pomiarów, otrzymujemy następujące wysokości opadu dla dorzeczy rzek polskich.

Dorzecze:	Odry	Wisły	Prypeci	Niemna	Dźwiny	Dniestru	Dniepru	Bohu
Wysokość opadu:	60	61	55	52	51	53	50	47 cm.

Różnice opadu nie są więc znaczne, ale niemniej jest widoczne pomniejszanie się opadów w miarę oddalania się od głównego dla Europy zbiornika wilgoci, od Atlantyku; wzrost suszy najwyraźniejszy jest w kierunku południowowschodnim.

Większe różnice opadu znamionują przeciwieństwa nizin i gór. Podobnie bowiem jak w zimnej wodzie mniej rozpuści się soli, niż w ciepłej, tak też i zimne powietrze może zawierać mniej pary wodnej, aniżeli powietrze ciepłe. Dlatego to powietrze grzane wiatrami, gdy napotka w dro-

---

* Mierzy się wysokość opadu w mm. lub cm. w osobnych, do tego celu sporządzonych zbiornikach, zwanych ombrometrami. N. p. Kraków ma 64 cm. rocznego opadu; oznacza to warstwę wody, pochodzącą z opadu, którąby pokryła okolice Krakowa, gdyby nie odpłynęła ani parowała.

dze góry, nie tylko wznosząc się doznaje oziębienia, ale oziębione wydziela parę wodną w postaci opadu.

To też góry są krainami obfitych deszczów. Obliczając średnie ilości dla rozmaitych poziomów, otrzymamy obraz wzrostu opadu z rosnącą wysokością polskich gór granicznych, Karpat i Sudetów.

Wysokość nad poziom morza:

	100—200 m.	200—300	300—400	400—500	500—700	700—1000	nad 1000
Średnia wysok. opadów:	64	73	85	86	88	110	124 cm.

Widoczne z tego zestawienia, że u stóp pada dwa razy mniej opadów, niż na grzbietach gór. Wzrost opadów ku górze nie jest jednak stały, w pewnej wysokości wzrost ten słabnie, wreszcie zupełnie niknie, a ilość opadu jeszcze wyżej w górze nawet maleje. Mamy wskazówki, że główny poziom chmur i najobfitszych deszczów znajduje się właśnie w wysokości około 1000 m., a już między wzniesieniem 1200, a 1500 m. są góry znowu suchsze i to nam wraz z chłodnością tych dziedzin tłómaczy, że w tych poziomach niknie las, a jego miejsce zajmują suchsze górskie pastwiska.

Mimo to, że rozmieszczeniem opadów kierują pewne prawa ogólne, zawisło ono w szczegółach od stosunków miejscowych. Te wpływy miejscowe polegają na geograficznem położeniu miejscowości. Wszystkie okolice, leżące w zagłębiach, mają bez względu na wysokość położenia mało opadów, miejscowości, położone na wypukłościach powierzchni ziemi, mają zawsze wiele opadów.

Dlatego to wszystkie doliny: Odry, Wisły, Dniestru, Dniepru, Sanu, nie wyłączając części górnej okolicy mają znacznie mniej opadu, niż poblizkie, choćby tylko niewiele metrów wzniesione płaszczyzny. Wszystkie kotliny mają również mało opadu, tak nie tylko Polesie, ale nawet bardzo wysoko położone Podhale u stóp Tatr. Na stokach gór położone miejscowości mogą mieć natomiast bardzo mało, albo bardzo dużo opadów, stósownie do tego, w którą stronę stok gór jest zwrócony. Zważywszy, że główne deszcze przynosi w Polsce od mórz wiatr południowo-zachodni, zachodni, północno-zachodni i północny, są stoki gór w tę stronę

zwrócone silnie zraszane, zwrócone w stronę przeciwną muszą być bez względu na wysokość i wzniesienia bardzo suche. To też Andrychów w Galicyi zachodniej, choć nizko położony (333 m.), ale wystawiony na wiatry północno-zachodnie, ma 111 cm. opadu, a wysoko położony Kiezmark na Śpiżu (631 m.), ale wystawiony u stóp Tatr na wiatry południowo-wschodnie, ma tylko 59 cm., natomiast Chocim, położony na suchszym wschodzie Polski i nieznacznie wzniesiony (154 m.), a skryty w jarze Dniestru ma tylko 29 cm. opadu; poblizkie jednak miejscowości, położone na otwartej wyżynie, mają 45—50 cm. opadu.

Mimo znacznych różnic opadów między wklęsłemi a wypukłemi miejscami powierzchni Polski jest wpływ opadu na roślinność wszędzie dosyć jednakowy. Większym opadom na otwartych równiach i wyżynach odpowiada bowiem silniejszy podmuch wiatru, przy którym wilgoć silniej paruje, niż w więcej zamkniętych dolinach i kotlinach; z okolic położonych wyżej, a zwłaszcza z pochylonych stoków gór, woda deszczowa, choć obficiej spada, szybciej też spływa w okolice położone niżej, tak, że te, choć mniej mają deszczu, mają więcej wilgoci gruntu.

Biorąc wszakże pod uwagę całą Polskę, nie jest skutek opadów na wszystkich jej ziemiach jednakowy. Zwłaszcza w dziedzinie południowo-wschodniej, w której temperatura lata tak silnie się podnosi, a przez to parowanie się potęguje, ilość zaś opadów nawet się pomniejsza, następuje względny brak deszczów, występuje często susza, a w następstwie tego mają te dziedziny Polski charakter stepów. Przyczynia się też do tego częstość opadów. Roślinność wymaga bowiem nie obfitych, lecz częstych, a choćby drobnych opadów. Pod tym względem panują na całych ziemiach Polski stosunki jednakie, tylko kraina czarnomorska wyróżnia się niekorzystnie. Kilka dobranych przykładów najlepiej to wyjaśni. Ilość dni z deszczem w okresie rozwoju roślinności, t. j., od kwietnia do września, Kraków ma 80, Warszawa 79, Gdańsk 79, Wilno 76, a Odessa tylko 41 dni z opadem. Oto przyczyny czarnomorskich stepów.

Dr E. Romer.

67. Wiosna r. 1812. na Litwie.

Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.
Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy,
Ryczało albo żuło swój pokarm zimowy.
I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek; pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim, krzykliwymi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem
I znużone na popas spadają z hałasem;
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żórawie.
Słysząc to, nocni stróże pytają w obawie:
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania?
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania?

Aż oto nowe stada: jakby gilów, siewek
I szpaków — stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska:
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że wonczas z wyraju
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.
Konie, ludzie, armaty, orły dniem i nocą
Płyną; na niebie górą tu i owdzie łuny;
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny...

Wojna! wojna!... Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnemi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz współleśników,
Teraz widzi: na niebie dziwna łuna pała...
W puszczy łoskot: — to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

68. Pod Możajskiem.

Olbrzymia wyprawa 1812. roku zastała dobrze uorganizowaną armię polską, 70.000 ludzi wynoszącą; nie działała ona tym razem osobno, ale część jej większa stanowiła jeden z korpusów wielkiej armii pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, reszta zaś była przydzielona do innych korpusów. Zlana w ten sposób z półmilionową armią francuską, walczyła dzielnie we wszystkich bitwach tej pamiętnej kampanii, ale będąc częścią tej niezmiernej całości, samoistnie działać nie mogła. Tylko w bitwie Możajskiej okazała się wybitnie dzielność kawaleryi polskiej.

Kluczem pozycyi rosyjskiej, osią, do której stósował obroty swoje Kutuzow, była kolista baterya, wielką redutą przez Napoleona a później przez historyków nazwana. Zdobycie jej stanowiło o losie bitwy, której pomyślny skutek otwierał drogę do Moskwy. Z tem genialnem zapatrywaniem się na położenie nieprzyjaciela pojął cesarz korzyści, jakie wzięcie tej bateryi przedstawiało; to też słał pułk za pułkiem na zdobycie jej, ale każdy zdziesiątkowany musiał zaniechać ataku. Kawaleryą tedy postanowił wziąć ją Na-

poleon. Korpus jenerała Latourmobourg składało dwanaście pułków kirasyerów, a w ich liczbie prócz francuskich były pułki bawarskie, saskie, westfalskie i jeden polski, który od pierwotnego dowódzcy kirasyerami Małachowskiego zwano, a że ten postąpił na jenerała, dowodził tedy pułkiem major Dziekoński. Imponujący postawą żołnierze byli ci kirasyerzy: wszyscy wysokiego wzrostu, siedzieli na ogromnych koniach, na piersiach i plecach mieli pancerze czarno szmelcowane, na hełmie, ozdobnie wyrabianym, z przodu była kitka ponsowa, z grzebienia zaś szyszaka spadał ogon czarny koński, który do pasa jeźdźca dochodził; uzbrojeni w ogromne, szerokie rapiry, mieli na sobie białe koliste płaszcze, ponsowem suknem podszyte.

Na czele takiego zastępu stał Latourmobourg, z okiem wlepionem w czerniącą się wśród kłębów dymu wielką redutę, kiedy przypadł do niego adjutant cesarski i przyniósł rozkaz, żeby kirasyerami uderzył na bateryę; i zaraz bez namysłu, bez wahania, Latourmobourg wydał rozkazy, z którymi rozbiegli się adjutanci, a po chwili z okrzykiem: »*Vive l'Empereur!*« postępowali kirasyerzy. Szli stępo, dopóki byli daleko od strzałów, ale kiedy zaczęły dochodzić ich kule, wyciągniętym ruszyli galopem. — Wspaniały to był widok tego strasznego natarcia: ziemia drżała pod ciężarem dwunastu tysięcy rozbieganych koni, podniesione powiewem wiatru koliste płaszcze dwoiły postacie jeźdźców, a bujające w powietrzu czarne ogony hełmów zdały się być skrzydłami, na których wznosili się i ludzie i konie. Przodował wszystkim w tem strasznem natarciu pułk polski — wśród gradu pocisków, które miotało ośmdziesiąt dział reduty; obiegli ją dokoła nacierający i dopadli do miejsca, rogatką zamkniętego. Pierwszy przesadził ją trębacz i otworzył zawadę i zaraz Dziekoński i adjutant pułkowy Wiktor Ossoliński wpadli do bateryi, za nimi tłoczyli się kirasyerzy i rąbali, co tylko w niej zastali.

Umilkły działa, a zaraz pełen radości Latourmobourg wjechał do reduty; słuszne pochwały oddawał dzielnym kirasyerom, a potem odwracając się do otaczających go, przywołał młodego oficera z artyleryi konnej.

— Jedź pan do cesarza — zawołał — i donieś, że reduta

zdobyta! — A ten uradowany tem zleceniem, zwrócił konia i opuścił bateryę.

Ten wysłany oficer był to Polak, Antoni Rostworowski, już kilka razy chlubnie odznaczony. W zleceniu danem mu widział on szczególny wzgląd jenerała dla siebie, bo zwiastun tak pomyślnej wieści, jak zdobycie wielkiej reduty, mógł niewątpliwie spodziewać się odznaki honorowej; to też pełen otuchy pędził wzdłuż placu boju, który orały kule rosyjskie. — Na przestrzeni więcej, jak mili, wrzał bój zacięty, może najkrwawszy z bojów, jakie stoczył Napoleon; prawie na środku tej przestrzeni, na niedużym mamelonie, na prędce usypanym, stał cesarz, za nim sztab, dalej w ściśniętych kolumnach gwardya tak konna, jak piesza: do tego punktu widnego z daleka dążył Rostworowski.

Był jeszcze o jakie tysiąc kroków od owego wzniesienia, na którem stał cesarz, kiedy kula armatnia urwała mu lewą rękę; pomimo tej strasznej rany porwał on w prawą cugle i pędził dalej, a kiedy stanął przed cesarzem, ten widząc go skrwawionego:

— *Que veut cet officier?* (Czego chce ten oficer) — zawołał.

— *Je demande être pancé* (Proszę, aby mię opatrzono) — odrzekł młodzieniec.

— *Larrey!* — zawołał cesarz — *qu'on pance cet officier* (opatrzyć tego oficera). — I zaraz wezwany zbliżył się do rannego, ale ten zwrócił się do cesarza:

— *Sire! vos generaux aides-de-camps Manbrun et Caulaincourt sont tués* (N. Panie! generałowie-adjutanci M. i C. zabici).

— *Manbrun! Caulaincourt!* — wykrzyknął Napoleon, cofając konia, — *et la grande redoute?* (a wielka reduta) — zapytał skwapliwie.

— *Elle est prise, Sire!* (Wzięta, N. Panie!) — odrzekł Rostworowski, a Napoleon odpiął krzyż legii honorowej, i odwracając się do sztabu:

— Wąsowicz! — zawołał — *donnez lui la croix!* (daj mu ten krzyż). — A kiedy ten przypinał mu go, młodzieniec, nękany boleścią, upadł z konia zemdlony. — Odniesiono go za front, Larrey zajął się ucięciem ręki, a jenerałowie ze

sztabu cesarza obstąpili go i wypytywali o szczegóły zdobycia wielkiej reduty, które im opowiadał.

K. Bodzantowicz (Boje polskie).

69. Wyprawa na Moskwę.

Było to w roku 1813. W małej izdebce na trzeciem piętrze, w domu Greblowej w Krakowie, siedział mężczyzna, zatopiony nad jakąś starą kroniką, z której robił wyciągi, zapewne do jakiegoś dzieła. Z oczu mu patrzyła ciekawość i zamiłowanie pracy, bo nawet dopalająca świeca nie przerwała jego poszukiwań. Wtem dało się słyszeć na schodach stąpanie i brzęk pałasza; uczony nie słyszał go; dopiero gdy się drzwi otwarły i oficer w mundurze artyleryjskim stanął na środku izby i zawołał: »Ambroży! czy mnie nie poznajesz?« — dopiero ocknął się, zerwał z miejsca, a obejmując nowoprzybyłego w ramiona, wykrzyknął: »Brodziński! ty żyjesz?!«

— »Jak mnie widzisz?« — »A jam cię już opłakał! Z twojem wątłem zdrowiem jakżeś zwyciężył to wszystko, te trudy, ten głód, mrozy, mordercze bitwy?!«

— »Widać, że mnie Opatrzność zachowała jeszcze — odparł z westchnieniem — najpewniej, abym opłakał najdroższych przyjaciół, na których żałosny koniec patrzyłem«.

— »Siadajże, rozgość się, ogrzej — mówił gospodarz, robiąc mu wygodne miejsce — i opowiadaj«.

— »Smutne to wspomnienia!« — zawołał Kazimierz, żałośnie wstrząsając głową. — Straty, same straty! Sięgałem po wieniec laurowy, zdobyłem cyprysowy, z żałobnych wspomnień uwity. O, nie uwierzysz, przyjacielu, ile ten rok kosztował mnie łez! Śmiejesz się z płaczącego żołnierza; ale darmo: takie mam głupie serce, że się do wszystkiego przywiązuje i krwawi za każdą stratą«. — Tu umilkł i oczy dłonią zasłonił; a po chwili rzekł: »Znałeś ich wszystkich: i mego brata Andrzeja i Reklewskiego i Krzesimowskiego i Kocha i Mieleckiego — z całego tego grona, które niegdyś tak ożywionemi rozmowami napełniało tę samę izdebkę, ja jeden zostałem!«

— »Uspokój się, przyjacielu!« — rzekł Ambroży Grabowski; — »cóż robić? na wojnie ludzie się nie rodzą«.

— »Prawda! — ale po tylu świetnych nadziejach — tak głęboki upadek! Gdybyś był widział tę armię półmilionową z tym bogiem wojny na czele, kiedy parła się tryumfalnym pochodem na północ, kiedy na jej widok topniały wojska, padały twierdze i miasta, byłbyś przysiągł, że się oprze aż o biegun lodowaty i stopi go tym ogniem, jaki w piersiach swych z gorętszych krain przyniosła. Nito fale Czerwonego morza, ustępujące przed narodem wybranym, przed nami ustępowało wszystko«.

»Nie zdołam ci wypowiedzieć tego entuzyazmu, tej fanatycznej wiary, jaką mnie napełniało wszystko, na com patrzał, mimo bezowocnych bitew pod murami Smoleńska i zwycięstw krwawych pod Borodynem, gdzie został kwiat armii, gdzie tylu straciłem przyjaciół; mimo, żem czuł słabnące nasze siły, a rosnące niebezpieczeństwa i przeciwności, im głębiej darliśmy się w serce Rosyi, nie traciłem nadziei... Aż nadszedł czas bolesnego rozczarowania!«

»Pamiętam, czternastego września jeden z pierwszych wszedłem do Moskwy; byliśmy bowiem w awangardzie. Widok tego miasta — tej złocistej oazy na pustyni śniegowej, napełnił mnie radością, ożywił wszystkie nadzieje; najsłodziej byłbym dał życie pod jego murami, jak krzyżowiec pod Jerozolimą. Ale nikt nie zastąpił od muru — trupa zostawiono nam w ręku, duch narodu uleciał... Przebiegłszy kilka ulic bezludnych, ujrzawszy tu i ówdzie wymykający się dym i płomień z pod dachów, zrozumiałem wielką tajemnicę! Co na to bohater mój powie?... Widziałem nieraz jego twarz marmurową, jak w stanowczych chwilach, gdy się ważyły losy armii, gdy najwaleczniejszych marszałków i generałów wynoszono na płaszczach z pola bitwy, nigdy nie drgnęła nawet wzruszeniem, nie zabiegła krwią, pokazując się zawsze jednaką, niedocieczoną, niezdziwioną niczem... Widok Moskwy jakież zrobi na nim wrażenie?«

»Puściłem konia cwałem ku górze Pokłonnej... Niebawem ujrzałem go na koniu, otoczonego sztabem głównym... Wjechawszy na sam szczyt, skąd szeroki otwierał się widok na ten gród azyatycki, lśniący złotem tysiąca kopuł, zatrzy-

mał konia... »Otóż nakoniec cel naszej drogi!« zawołał... »Wątpiliście w moją gwiazdę — teraz wierzcie!«... Jakie myśli musiały grać w jego głowie w tej przelotnej chwili tryumfu, tego nie wyda język ludzki; w oczach tylko, ogarniających przestrzeń, wylatujących prawie za krańce świata rzeczywistego, mogłeś wyczytać: teraz Moskwa, potem Petersburg, nakoniec świat cały... Ale w tym momencie przypadł adjutant od Murata: »Najjaśniejszy Panie, Moskwa opuszczona!« Na tę wieść — a nie spuszczałem go z oka — marmurowa głowa przybrała barwę ołowiu... blask bijący z jego czoła przygasł... bo i gwiazda szczęścia zagasła!«

»Cóż więcej mam mówić? Odtąd, jak pierwej pięliśmy się po stopniach zwycięstw, tak teraz zlatywaliśmy na dół po stopniach klęsk...«

Brodziński zwiesił głowę i zamilkł...

— »A jakimże cudem — przerwał Ambroży — wyszedłeś cało z tej okropnej przeprawy przez Berezynę?«

— »Prawda, że cudem. Kiedyśmy się cofali z Moskwy, otoczeni chmarą nieprzyjaciół, którzy nam chwili wypoczynku nie dawali; kiedy ścisnęły okropne mrozy, przerzedzające gorzej nasze szeregi, niż grad kul; kiedy głód i wszystkie rodzaje nieszczęść zwaliły się na tę niegdyś najpotężniejszą armię, że przedstawiała raczej obóz cyganów, niż porządnych szyków: gwiazda Napoleońska, ta gasnąca gwiazda, przywiodła nas nad brzeg Berezyny. Widok tej błotnistej i szeroko rozlanej rzeki, której brzeg przeciwny zajmowali Rosyanie, czynił przeprawę prawie niepodobną, zwłaszcza z takim tłumem maroderów i niezmiernych bagaży. Ale chłop jakiś litewski przebrodził rzekę na koniu mimo idącej kry, i zaraz powzięto myśl rzucać mosty, jeden dla piechoty, drugi dla artyleryi i bagaży. Niedobitki nasze, naciskane zewsząd przez wojska nieprzyjacielskie, pchały się ku mostom, które nie mogąc wytrzymać ciężaru ludzi i wozów, załamały się po kilkakroć. Wtenczas to utonęła moja powózka, pełna najpiękniejszych edycyi dzieł francuskich, które mi żołnierze naznosili w Moskwie. To była cała moja zdobycz: straciłem ją — ale czemże ta strata obok najdotkliwszej! Mój brat Andrzej nie dzielił z nami wyprawy na Moskwę; przybył do pułku swego na trzy dni przed katastrofą berezyńską.

Nie mogłem się nim nacieszyć, bo jakoś duch wstąpił we mnie, kiedym go widział blizkim siebie; po stracie Reklewskiego, który umarł w drodze do Moskwy, kiedyśmy go rannego pod Smoleńskiem wzięli do szpitala, po stracie tylu innych kolegów, uczułem się samotnym i blizkim rozpaczy. Było to, jak pamiętam, 28. listopada. Przeciw ogromnym siłom Czyczagowa garstka walecznych pod dowództwem Oudinota i Dąbrowskiego broniła przystępu do mostu. Andrzej znajdował się wtedy przy Dąbrowskim. Właśnie miałem się przeprawiać na drugą stronę, gdy mi któryś z rannych powiedział, że Andrzej raniony... Nie myślę już o własnem ocaleniu, ale pędzę ku miejscu, gdzie trwał bój... Znalazłem go, leżał pod drzewem w rękach felczera, który mu skostniałą od zimna ręką usiłował wyjąć kulę z piersi. Widząc, jak nieszczęśliwy się męczy, wyrwałem felczerowi instrument i zapuściwszy go w ranę, wyjąłem ją lekko. Andrzej westchnął głęboko, zawrócił ku mnie oczy, w których malowała się cała jego miłość braterska, i cichym głosem przemówił: »Dziękuję ci, Kaziu; ale pomoc twoja już późna; czuję zbliżający się koniec... Znajdziesz tu w pularesie moje bazgraniny; pamiętaj o nich: niech choć tyle pamiątki zostanie po mnie«.— To rzekłszy, ścisnął mi rękę, a przeżegnawszy się, zaczął mówić pacierz i nim jeszcze doszedł do *amen*, już nie żył«.

Łza stanęła w oku opowiadającego; otarł ją i dodał po chwili: »Jakim sposobem przeprawiłem się na drugą stronę, nie wiem; zapewne tłum porwał mię i uniósł... Potem koło Wilna odbiłem się w nocy od mego korpusu, tułałem się długo o głodzie i zimnie; dopiero za Niemnem spotkałem znajomego podoficera, który mię nakarmił, przyodział i jeszcze wziął na sanki i zawiózł do Warszawy«.

Lucyan Siemieński (Żywot K. Brodzińskiego).

70. Dwór w zaścianku.

Jak Maciej nad zaściankiem, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać, rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota:
Bo brama sterczy bez wrót, ogrody bez płota,
Nie zasiane; na grzędach już porosły brzózki.

Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał z cegły.
Obok lamus, spichrz, gumno, obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie,
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe. Domu dachy
Świeciły się, jak gdyby od zielonej blachy,
Od mchu i trawy, która buja, jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.
Gniazda ptactwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze; u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanej darni;
Słowem dwór nakształt klatki albo królikarni.
A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka leżała kula żelazna działowa,
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę, jak o głaz, oparte.
Na dziedzińcu z pomiędzy piołunu i chwastu
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu
Na ziemi nieświęconej: znak, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał z blizka lamus, spichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate,
Niby rojem owadów czarnych: w każdej plamie
Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie.
U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki
Albo ucięte albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu próbowano hartu Zygmuntówek,
Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby;
Lecz armaturę — serów zasłoniły półki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.
Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych; dziś Wenery ptaki,
Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.
W stajni kolczuga wielka, nad żłobem rozpięta,
I pierścieniasty pancerz służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;

Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna...
Słowem, wygnała Marsa Ceres gospodarna
I panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

71. Wierność Polaków.

W korpusie Marmonta było kilka pułków polskich, a między nimi jeden Krakusów, 3.000 koni liczący, którym dowodziło dwóch pułkowników: Józef Dwernicki i Kazimierz Oborski. Zajmowali oni wyżyny Montmartre, z których widać było gęste szeregi koalicyi.

Ogień był ustał, bo już poddanie się Marmonta dopełnione zostało, a wojsko, nieświadome tego, wyczekiwało hasła do boju.

Chwilę tak stali, kiedy na skrzydle korpusu ukazał się Marmont i w krótkiej przemowie oznajmił żołnierzom, że cesarz abdykuje na rzecz syna w Fontainebleau; nic więc im nie pozostaje, jak zgodzić się z losem i zaniechać bezowocnego boju. Jadąc wzdłuż szeregów, powtarzał tę wieść złowrogą, lecz ponure milczenie, a często i objawy największej boleści towarzyszyły temu pochodowi jego. Kiedy stanął przed frontem Krakusów, przynosząc tę niespodziewaną wiadomość, Dwernicki powtórzył ją żołnierzom i niezmierny okrzyk: »Zginiemy raczej, a nie poddamy się!« wydał pułk cały. Słysząc ten objaw poświęcenia, tak zgodny z własnem jego usposobieniem, zwrócił się on do Marmonta.

— Książę! — zawołał — słuchać twoich rozkazów, jak wydasz hasło do boju, jest naszym obowiązkiem, ale do złożenia broni tylko wola cesarza skłonić nas może. Oświadczam więc, że idę z pułkiem do Fontainebleau.

— Jak to? — zawołał zdziwiony Marmont, — chcesz się przebić przez te masy? — i wskazał ręką na dolinę.

— Tak Mości Książę! — odrzekł stanowczo Dwernicki — przebiję się, albo zginę! — A na te wyrazy Krakusy, którym oficerowie tłómaczyli rozmowę ich dowódzcy z marszałkiem:

— Do Fontainebleau! do Fontainebleau! prowadź nas, pułkowniku! — krzyknęli.

Zdziwiony, a może i zawstydzony tą wiernością Polaków Marmont, słowa nie wyrzekłszy, odjechał od nich i zaraz na rozkaz Dwernickiego sformował się pułk cały, zabrzmiały trąby i zaczęli spuszczać się na dolinę.

Ten ruch zaczepny, tak różny od spokojnej postawy reszty korpusu Marmonta, zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela; to też zaraz przybiegł jenerał jakiś od cesarza Alexandra i pytał Dwernickiego o przyczynę tego pochodu.

— Powiedz pan cesarzowi — odrzekł on — że to Polacy idą do Fontainebleau, żeby z ust cesarza Napoleona odebrać rozkazy!

W mgnieniu oka odniósł tę odpowiedź wysłany i zaraz adjutanci rozbiegli się w różnych kierunkach; a kiedy Dwernicki miał już uderzyć na stojących na przedzie Prusaków, z wielkiem jego podziwieniem rozstąpiły się szeregi sprzymierzonych i tym szpalerem wyciągniętym kłusem szli dzielni Krakusy do Fontainebleau.

Stanęli przed zamkiem w chwili, gdy Napoleon przemawiał do uszykowanej w dziedzińcu gwardyi, a potem żegnając tych starych towarzyszów broni, uścisnął w objęciu dowódcę ich, jenerała Petit. – Ukazanie się Dwernickiego zwróciło uwagę cesarza, a kiedy ten opowiedział powód przybycia swego i ułatwienie, jakiego doznał w przyjściu z rozkazu cesarza rosyjskiego, natenczas Napoleon w kilku serdecznych wyrazach wypowiedział, jak miły mu jest ten objaw wierności, a w końcu dodał: »Idź, pułkowniku, do cesarza Alexandra, on cię ocenić będzie umiał!« Potem wsiadł do powozu i wśród największych oznak żalu, wśród płaczu nawet starych wiarusów swoich opuścił Fontainebleau.

Czyn Dwernickiego silne zrobił wrażenie na umyśle cesarza Alexandra, to też przyjął go uprzejmie i polecił względom Wielkiego księcia Konstantego, którego potem wodzem naczelnym armii polskiej mianował. Wierny temu zleceniu Konstanty dał mu pułk 2. ułanów, a choć znany był z surowości względem swoich podwładnych, jednak dla Dwernickiego zawsze miał szczere względy i prawdziwą życzliwość. *K. Bodzantowicz* (Boje polskie).

72. Wiosna w Jakucku.

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin zaledwie, przypieka nawet wcale dobrze; dopóki jednak wielka Lena nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki nie stopnieją śniegi, w tajgach dziewiczych leżące, wiosny tu niema jeszcze. Śniegi, nie podgrzewane ciepłem wewnętrznem ziemi, na kilkaset stóp przemarzłej, i lód grubości sążniowej uporczywie walczą z potęgą promieni życiodajnych i po długiej dopiero, nie słabnącej pracy słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej i królowę wód tutejszych, babcię Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek po raz pierwszy w Jakucku zauważy tu dość ciekawe, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk jakoś dziwnie działa na ludzi, znajdujących się na ulicy; i dzieci i starsi, i kobiety i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie i zwracając się ku wschodowi, w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętemi, w skupieniu głębokiem przysłuchują się czemuś przez chwilę.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywymi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie; ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarzać się zaczyna i wzmaga się i rośnie, napełniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci, przed chwilą tak spokojni, ożywiają się niezwykle, krzyki radosne: »Lód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie?« rozlegają się zewsząd i hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom, w domach pozostałym, zwiastować nowinę pożądaną. Ale i do znajomych a nawet mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązkowo jednak zastuka, rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: »Lena ruszyła!« Po chwili słowa owe, powtarzane

i modulowane najrozmaiciej, brzmią po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynącej w siedmiowiorstowem korycie, piętrzą się w domy, góry całe, łamią się, trzeszczą, huczą i osypując się tysiącami, milionami igieł lodowych, grają na słońcu cudownymi blaski.

Ale dłużej trochę pobyć tu potrzeba, przynajmniej jedną zimę przemieszkać należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałem i mrozami nieludzkimi wyczerpali już swe siły, którzy z utęsknieniem i niecierpliwością od dawna już oczekują ciepła błogiego, biegną tu teraz, aby ujrzeć ostateczny tryumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznośnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna błyszczy na żółtych twarzach jakuckich: usta szerokie, śmiejąc się dobrodusznie, jeszcze szerszemi się wydają, oczka czarne świecą, jak węgle. Tłum cały, jak pijany, zatacza się z radości: »Chwała Bogu, chwała Bogu!« krzyczą ludzie do siebie i zwracając się ku ogromnym górom lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają klęską wroga nieubłaganego, który teraz, naciskany falami rozhukanemi, kruszy się, miażdży i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie ziemia już prędko odmarza i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

Wielka dolina, w której leży Jakuck, wygląda wtedy czarująco: żyzna, gdzie niegdzie już uprawna, gajami brzozowymi, mnóstwem jezior, zarośli i łąk bujnych na przemian pokryta, z okalających ją wzgórzy stromych i dość wysokich przedstawia się jak olbrzymi park, srebrną wstęgą szerokiej Leny przewity. A piękność naturalną doliny, jej

powaby przyrodzone zwiększa jeszcze tajga ponura, zewsząd ją otaczająca: wśród ogromnych obszarów kraju dzikiego, niedostępnego dolina ta podobną jest do oazy, wśród pustyni rzuconej.

Ale i plemię jakuckie, z pomiędzy wielu innych plemion syberyjskich pod wszelkimi względami dzielniejsze, umie cenić dary słońca życiodajnego i pełną piersią z nich korzysta; wypuszczone z ciasnych i smrodliwych jurt zimowych, napełnia ono swą ziemię surową ruchem i życiem, które bije tętnem zdwojonem, pulsuje głośno i silnie. Po święcie ogólnem, »ysechu« wiosennem, świąteczny i radosny nastrój ludności nie zmniejsza się wcale. Trawa rośnie, jak na drożdżach, krowy i kobyły dają mleka coraz więcej i ambrozya bogów jakuckich, »kumys mocodajny«, nie wysycha w »czaronach«. *Adam Szymański* (Szkice).

73. O, witajże nam, wiosenko...

O, witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O, witajże nam, wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.

Jasne, jak kryształ, potoki
Zsyłasz na ziemię,
Jasne, jak kryształ, potoki
Świat poją:
Przebudź z zadumy głębokiej
I ludzkie plemię,
Przebudź z zadumy głębokiej
Brać moją.

Grudzień rozsypał swe szrony
Na senne skronie,
Grudzień rozsypał swe szrony
Na serce,
I duch, tym lodem zmrożony,
Siłą nie płonie,
I duch, tym lodem zmrożony,
W rozterce.

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniótł nas żywot skazańców
I my znużeni,
Ach! zgniótł nas żywot skazańców
Bez bytu!

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam bledną,
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy;
Lecz spuść rzeźwiącą krynicę
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynicę
Co prędzej!

O, witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O, witajże nam, wiosenko
Gorąca —
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca!

Jan Kasprowicz.

74. Życie rybackie na Helu.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?

Znasz ty Kaszubów? Wprawdzie nasz piewca wysławiając niegdyś Litwinów, Mazurów, Rusinów i inne szczepy, mieszkające na obszarze dawnej Rzeczypospolitej, o Kaszubach przepomniał, ale dzisiaj — każdy Polak zna ich i ceni. Ale nie każdy, co wie o Kaszubach, tem samem już zna rybaków.

A cóż to za kraj, co za ludność te rybaki? Przyjrzyj się Kaszubom na mapie; tam u góry, gdzie kraj do Bałtyku dochodzi, wysuwa się, jakby z ramienia, ręka 6 mil długa, kładzie się na morze, jakoby tę część dla Kaszub w posiadanie biorąc, powiedziała: I to morze jeszcze do Kaszub należy. Ta ręka piaszczysta, to półwysep helski, który zamieszkuje pokrewne plemię Kaszubów.

A skądże tedy półwyspowi dostała się nazwa »Rybaki?« Oto dlatego, że na nim sami tylko rybacy mieszkają. Żaden mieszkaniec półwyspu nie wspomni o swoim kraju inaczej, jak tylko, że mieszka na »Rybakach«; mówi, że to lub owo jest obyczaj »rybacki«, że tak się »rzecze« po »rybacku«. A i mieszkańcy blizkiego stałego lądu, który rybacy tylko »krajem« nazywają, nigdy nie mówią o Helu lub półwyspie, tylko o »Rybakach«: jadę na Rybaki, nasi na Rybakach łowią, rybacki śpiew i t. d. I ksiądz, jedyny na Rybakach, nie nazywa się u »krajowych« ksiądz z Jastarni, lecz tylko ksiądz »rybacki«.

Te Rybaki — to owo wązkie, piaszczyste pasmo ziemi, wchodzące w Bałtyk. Rozpoczynają się przy wiosce »krajowej« Wielkiej Wsi, a kończą przy niemieckiej wiosce Helu, która założona i zależna od Gdańska od dawien dawna język obcy i, co często za nim idzie, wiarę przyjęła. Inne cztery osady rybackie, t. j., Cejnowa, w języku rybackim »Chałupy« przezwana, Kusfeld, Jastarnia (Putziger-Heisternest) i Bór (Danziger-Heisternest) są czysto katolickie i kaszubskie. Oprócz piasku napotkać można też niezłe łączki (pażyce albo pężyce) mianowicie około Chałup i Jastarni,

bo spód prawie pod całą wyspą jest torfowy, ale piaski, które morze bez przestanku wyrzuca, a którymi potem wiatr dowoli zamiata, ścieśniają i niszczą te łąki coraz więcej. Wprawdzie starano się ze strony rządu już przed 60 laty piaski te ustalić zasadzeniem charszczu (Strandhafer) i założeniem lasku, ale że to wązkiem tylko pasmem i tylko od strony »Wielkiego« morza uczyniono, a nie wszędzie, gdziekolwiek ławy piaszczyste się znajdowały, więc niejedna łączka albo piaskiem zawiana, albo przez »Małe« morze spłókana. Rybacy bowiem Bałtyk nazywają »Wielkiem« morzem, a zatokę pucką w linii od wioski »krajowej« Rewy do Kusfeldu na zachód — Wikiem, a od tej linii na na wschód — »Małem« morzem. Lud na Rybakach (rebocy) skazany jest na rzemiosło tylko rybackie. Cała też nieomal dwutysięczna ludność rybacka żyje z rybołostwa. Każdy mieszkaniec — wyjąwszy księdza, kilku nauczycieli i leśnych — jest rybakiem, a żyje z tego, co mu się uda z Wielkiego lub Małego morza ułowić. Główne połowy są na łososie, stornie (w »kraju« przezwane z niemiecka flundry) i węgorze. Poboczne połowy są na breitlingi, okonie, szczupaki i zielinty.

A naprzód: jak się odbywa połów łososi? W celu połowu łososi i węgorzy dzieli się cały półwysep na związk rybackie, tak zwane maszoperye. Słowo to pochodzi z holenderskiego matschapij (związek). Takich związków w Chałupach jest 4, w Kusfeldzie, Boru i w Helu po 8, a w Jastarni 6. Na czele takiej maszoperyi stoi szyper, dawniej, kiedy tonie mniej więcej były dziedziczne, ważna figura, dzisiaj, kiedy z woli rządu na toniach się rok rocznie zmieniają, dosyć podrzędna. Członkowie maszoperyi, a jest ich zwykle 12—15, nazywają się maszopi. Ci maszopi zgromadzają się zwykle w trzecie święto Bożego Narodzenia do szypra na maszopstwo, gdzie obmawiają sposób łowienia i jak wielkie każdy ma dać części do niewodu. Rozstrzyga też maszopstwo, kogo z młodszych lub z innych do maszoperyi się zgłaszających przyjąć. Jest to maszopstwo tedy wesołą gawędą przy obfitych »stateczkach« bajerszu i kilku halwach (półkwartach) »wina«. W ciągu lutego schodzą się znowu maszopi, ażeby zestawić i zeszyć (stalać)

niewód, a kiedy na początku lub końcu marca powietrze jest przydatne, wynoszą niewód na brzeg (robią wykład), przy czem znowu bez kilku »stateczków« się nie obywa. A »stateczki« te idą na rachunek Opatrzności Boskiej, bo z zarobku przyszłego mają być zapłacone.

Każda maszoperya ma na brzegu Wielkiego i Małego morza pewne swoje miejsce, gdzie tylko ona może niewody zapuszczać lub saki stawiać, a takie miejsce nazywa się toń. Niewód na łososie składa się ze średniej głównej części, macicy, z dwóch skrzydeł i dwóch czasem 100—200 łokci długich lin. Z tym niewodem wyjeżdżają w wielkim bacie na Wielkie morze; zostawując naturalnie koniec jednej liny na kraju, wypuszczają na morzu w stósownej odległości po kolei linę, jedno skrzydło, macicę i drugie skrzydło, poczem powracają do kraju z drugim końcem liny. Teraz rozpoczyna się zapomocą obu lin wyciąganie niewodu, a ciągną nie tylko maszopi, ale też ich żony i dzieci, chłopcy i dziewczęta od dziesiątego roku począwszy. Podczas łowienia łososi szkoły tutejsze mają ferye. Ciągną zaś zapomocą tak zwanych szelek, idąc wstecz jeden za drugim. Nim taki niewód się wyciągnie, mija czasem godzina. Wielkie wyczekiwanie, czy też się co ułowi, a wielka radość, kiedy miarkują, że w macicy coś się rzuca i szamoce. Ułowione łososie wyrzuca się na piasek, gdzie sękatymi kijami (karkulicami) dostają po karku, bo inaczej rzucałyby się a gubiąc łuski stałyby się mniej pokaźne i stąd mniej pokupne. Nieraz się zdarza, że na jeden raz jedną i dwie kopy łososi wyciągają; szczególniejszy to widok, kiedy piętnasto- i dwudziesto-funtowe ryby, jakby wieprzki, w takiej ilości się rzucają. Zapuściwszy tak aż do 6 razy na dzień niewód w morze, jeszcze wieczorem albo nazajutrz z tym połowem jadą do Gdańska, który najkorzystniejszem jest miejscem do sprzedaży ryb. Puck prawie w żadną nie wchodzi rachubę.

Szczególniejszy teraz jest rozkład dochodu całkowitego na wszystkich członków maszoperyi. Chłop każdy dostaje cały »part« albo 4 »mandele«, wdowa dostawiająca sieci pół »partu« czyli 2 »mandele«, dorosłe dziewczęta i mniejsi chłopcy jeden »mandel«, a dzieci mniejsze pół

»mandela«. Ponieważ i ksiądz i nauczyciele mają dochód z łososi, więc i ksiądz odbiera jeden »mandel«, a każdy nauczyciel pół »mandela«. Często też i na potrzeby kościelne »mandel« za rozporządzeniem zarządu kościelnego odkładają. Takie rozrachowanie nazywa się »rachunek«, gdzie znowu rzadko obejdzie się bez »stateczka« piwa. Wogóle do »stateczków« mają rybacy wielką słabość, tem więcej, że to ich rzekomo nic nie kosztuje, a niejeden, co przez cały rok z własnej kieszeni ani grosza nie wydaje na piwo, wtenczas pozwoli sobie cokolwiek więcej i zapomina o bractwie trzeźwości.

Tak się dzieje, kiedy połów obfity. Ale nieraz niewody zapuszczają jeden za drugim, a w macicy nic; albo sąsiedzi są szczęśliwsi! Wtenczas smutne są twarze, ochoty ubywa i »stateczki« rzadsze albo zupełnie znikają.

Uwagi godne i to, że i wdowy i chorzy mają cząstkę w zarobku, choć n. p. wcale osobistego udziału nie biorą w rybołostwie. Tem się dzieje, iż zupełnie ubogich na półwyspie niema. Niema bogaczów, ale też niema żebraków.

Połów łososi jest bardzo niepewny i niestały, zanadto zależy od wiatrów i prądów morza. Skutkiem tego podczas trzech miesięcy, kiedy łososi spodziewać się można, rybacy nie więcej nad 15 dni idą na brzeg, a w tych 15 dniach może tylko 5 dni łowią.

Od Zielonych Świątek aż do końca lipca odbywa się drugi główny połów na stornie. Tak nazywają się flundry, kiedy są wielkie; kiedy są małe, nazywają się bańtki. Połów ten odbywa się tak zwaną cezą, t. j., małym niewodem z macicą po gruncie chodzącą. Do każdej cezy należy 3 chłopów. Ten połów należy do najuciążliwszych. Rybacy bowiem zwykle już przed zachodem słońca wyjeżdżają, a przepracowawszy całą noc, dopiero nazajutrz na obiad wracają, poczem przespawszy się, a sieci naprawiwszy, wieczorem znowu odjeżdżają. Podczas cezy jest na Rybakach czas najspokojniejszy, bo wszyscy bardzo spracowani, a jeżeli może przez dwa tygodnie tak się umęczyli, to już sami P. Boga proszą o burzę, ażeby mogli oprócz niedzieli choć dzień jeden jeszcze sobie odpocząć. Stornie te namoczywszy w słodkiej wodzie (bo w słonej niedłu-

goby się nieżywe trzymały) wożą dziewczęta do Gdańska. Dziewczęta te, z niemieckiego kokorkami (Höckerinn) zwane, można widzieć tam na Rybim targu czyli »Fischmarku«, jak stojąc w bacie, łamaną niemczyzną stornie swoje zachwalają, wołając: *Gute Fische, frische Fische, kaufe Sie, Madamke.*

Połów węgorzy odbywa się od połowy września aż do Wszystkich Świętych zapomocą saków (po niem. Aalsack), t. j., niby dwu sieciowych spiczastych miechów, jednego w drugi zetkniętych. Każdy sak utwierdzony bywa czterema kijami (palami), a każda maszoperya ma takich saków z 120—150. W tym czasie cała snadka część Małego morza (a ciągnie się snadzizna ta wzdłuż całego półwyspu nieraz do pół mili w morze) napełniona jest długimi rzędami palów, u których spodu przymocowane są saki. Węgorze tedy co noc z głębin morskich, gdzie się przez dzień zatrzymują, przychodzą dla żeru na te snadkie miejsca i tam dostają się do saków, skąd im prawie niepodobna się wydobyć. Dziwna rzecz, że tylko podczas ciemnych nocy węgorze się łowią; podczas jasnych, księżycowych żaden węgorz na owe snadkie miejsca nie zabłądzi.

Połów na węgorze jest dla rybaków najmniej mozolny; potrzeba tylko rano do saków zajrzeć i połów wybrać, saki z brudów wyczyścić, a cała praca zrobiona, chyba że czasem wichry pale obluźnią. Niejednego dnia jedna maszoperya już dziesięć kóp węgorzy ułowiła. Używanie w tym czasie idzie w najlepsze. Przy każdej sprzedaży jeden lub dwa »stateczki« się wypije, a i węgorzy się uwarzy, a zje się do nich wspólnie kilka bochenków chleba. Nie dziw, iż i tu, gdzie cała zabawa idzie z ogólnej kasy, niejeden zawiele sobie pozwoli. Gorzałki nie używają, ale cóż, kiedy bawarem miarę przebierają. Jest to jedno wielkie złe na Rybakach, mianowicie w Jastarni, a po części też w Kusfeldzie, gdzie najwięcej węgorzy łowią.

Oprócz tych głównych połowów odbywają się czasami połowy na breitlingi. Są to małe rybki, które w sosie zaprawione, w handlu nazywają się anszowy — w occie, ruskie sardynki, a wędzone uchodzą za sielawy (Kieler Sproten). Jest to rybka bardzo ważna dla rybaków, bo

zasolona najulubieńszą jest przez całą zimę potrawą. Soli sobie też każdy dom ze dwie beczki, a zajadają je na obiad i na wieczerzę.

Łowi się też w Helu śledzie, których kopa w Gdańsku 50—75 fen. kosztuje. Są mniejsze, aniżeli holenderskie, i przydają się najlepiej do wędzenia i zaprawienia.

W czerwcu łowią Borowianie w Małem morzu brzony (Ostseeschnaepel), smaczną rybę, na podobę krajowych leszczy, których w morzu niema. Wędzona jest w Gdańsku bardzo pokupna.

A zimową porą co robią rybacy? Najprzód sprowadzają sobie opał albo z kraju albo z helskiego lasu, potem robią swoje przeróżne niewody, ku czemu len i konopie z Gdańska sprowadzają, albo też robią sieci na sprzedaż do Gdańska, gdzie je znowu zakupują nasi bracia Kaszubi z pod Chmielna i innych kaszubskich jezior. Ponieważ teraz i sieci równo dobre i taniej się fabrycznie wyrabia, więc wziątek z »więzienia« sieci bardzo się uszczuplił.

Chałupianie i Kusfeldczanie zimową porą, kiedy właściwy Wik się dostatecznie już pokrył lodem, łowią okonie, płotki i szczupaki nieraz w wielkiej ilości. Ale jest to zarobek bardzo uciążliwy i niejeden już sobie nabył przy tem przez zaziębienie choróbska i rychłej śmierci.

Kiedy zimową porą w Małem morzu bywają breitlingi, wtenczas nie brak też morskich cieląt, tutaj zielintami zwanych (z niem. Seehund), które gromadami za breitlingami, żerem swoim, płyną. Połów na zielinty jest szczególniejszy. Lubią one wychodzić na krawędzie lodu i tam wylegiwać. Ale są bardzo czujne i lękliwe, więc niech gdzie jaki łoskot powstanie, to buch! we wodę. Tuż tedy przy tym lodzie rybacy za dnia wstawiają do wody długie sieciowe ściany z mocnemi sidłami. Zielinty przestraszone uciekają ślepo z lodu i nie zważając na sieci, w nich się plątają; nie mogąc potem wyjść na wierzch wody dla nabrania świeżego powietrza, w sieciach się duszą, poczem nazajutrz rybacy do domu je zabierają. Skóra wygarbowana piękną ozdobą jest pokoiku, a wątroba specyałem, nawet mięso jego, choć tranem trąci, rybacy chętnie zajadają. Mięso zielintowe, jako też kaczki morskie, podług ogólnego zwyczaju

uważa się za potrawę postną. Tłuszcz zaś zielintowy wytapiają i roznoszą jako tran po dworach, plebaniach i zagrodach »krajowych«.

Pomyśli sobie niejeden, że kiedy z tylu źródeł płynie zarobek rybacki, to przy tak oszczędnem życiu muszą być bogaci. Niestety, bogaci nie są, chociaż też nie mają biedy. Wogóle na całym świecie rzeczywiści rybacy nigdy bogaci nie są, bo zarobek jest zanadto niestały. A za te pieniądze rybne muszą sobie kupować w »kraju« setki beczek kartofli i setki cetnarów siana, a z Gdańska sprowadzać setki cetnarów mąki i innej żywności, bo zamało tu łąk i ziemi. Możnaby powiedzieć, że rybak jej tyle tylko ma, żeby na niej postawić domek. Jego pola i włóki leżą het tam na szerokiem morzu. A nasz Bałtyk jest morzem wcale nie obfitującem w ryby, nieraz zaś dla burz, przeciwnych prądów i wiatrów rybacy prawie cały rok mało co ułowią. Wtenczas zagląda do domów biedka, którą trzeba znosić, aż P. Bóg znowu pocieszy. Tylko małe potrzeby i skromne życie umożebniają tu życie rybakom a ponieważ potrzeb bogatym miastom właściwych albo nie znają albo znać nie chcą, więc szukając całej pociechy w Bogu, są prawdziwie szczęśliwi. Niektórzy też podczas szału amerykańskiego do Ameryki się udali, ale wielu z nich powróciło, a ci, którzy zostali, zostali dlatego, że i tam na jeziorze Michigan rzemiosło swoje tutejsze, rybołostwo, dalej prowadzić mogą.

75. Przykładna kara.

I.

— A żeby on milion fur beczek zjadł! Popamięta mnie teraz! Czy to nie istne skaranie boskie z tym człowiekiem. Mówił major, że to potulne, stare, dobre. Ślicznie potulne: całe miasto chce do góry nogami przewrócić! No! już ja mu się dam we znaki!

— Ale zreflektujże się, mój mężu, nie furbeczkuj tak głośno; wiesz przecie, że ja tych wyrażeń znieść nie mogę — ozwała się krzątająca po izbie kobieta.

— E! co tam asani wtrącasz się w nieswoje rzeczy. Ciągle mi kładziesz w uszy: a daj mi pokój, to stare graty,

a nie męcz ich, nie mustruj, niech sobie i wypoczną. Otóż masz owoce tych wypoczynków: ciągle się kłócą i biją z mieszczanami, a mnie tu u drzwi piszczą pokrzywdzeni: »Panie kapitanie! Kownacki brewerye dokazuje, wąsy mieszczanom chce golić; a tu Gawlik w karczmie z parobkami się pobił«. Tfu! do kroć dyasków, a ja sobie z nimi rady dać nie mogę, jakbym jaką dywizyą dowodził! Dziesięciu ludzi, i to zbieranina z różnych stron świata, ciury istne, i tyle kłopotów, jakich nigdy w życiu nie doświadczałem! Dwa lata, jak jestem tym malowanym komendantem, a już mi to kością w gardle stoi. Nie chciałem, Bóg widzi, nie chciałem tego przyjąć; lecz major dowodzi: To dla ciebie na stare lata odpoczynek: będziesz sobie siedział, jak u Pana Boga za piecem, bez kłopotów, bez tych prezentacyi«. — I byłoby może spokojnie, ale ni stąd ni zowąd dyabli tu nanieśli tego Kownackiego. Dziad stary, jak trzop, a ciągle awantury wyprawia... Hm! co mu się zachciewa: — wąsy mieszczanom golić! Jaki mi balwierz! Oj, poczekaj, Kownasiu, odpłacę ci to sowicie!«

Tak wykrzykiwał stary porucznik, którego tytułowano kapitanem, obecnie komendant inwalidów, a mój ojciec, chodząc szybko po pokoju. Siwe oczy, choć bez blasku, sypały iskrami gniewu; na czoło występowały zmarszczki i przebiegały po niem, jak chmury po niebie, grożącem burzą. Ja z siostrą przytuliwszy się do siebie, nie śmiejąc i słowa przemówić, siedzieliśmy spokojnie w kąciku; nie widzieliśmy bowiem nigdy podobnego gniewu ojca.

Tymczasem przyszedł Duszak, stary żołnierz, nizki, zgarbiony, lecz krzepki jeszcze. Ubrany był w tak obszerny płaszcz, że w każdy rękaw jego mógłbym się podówczas swobodnie schować, a w garbie na plecach wydętym pomieściłyby się ze trzy bochenki chleba; przynajmniej takie sobie wtedy dziecięca wyobraźnia robiła porównanie. Był to jeden z najpilniejszych w obowiązkach służby i zarazem najtrzeźwiejszy, więc też i faworyt ojca, który go perłą komendy nazywał. Może też i to przyczyniało mu względów ojca, że mi zawsze drewniane szabelki strugał, matce w rozmaitych gospodarskich zajęciach pomagał, najlepiej cybuchy czyścił i fiksatuar na wąsy przyrządzał.

Zaledwo stary próg przestąpił i swojem zwyczajnem wyrażeniem: »Jestem na rozkazy, panie kapitanie«, oznajmił się, już ojciec wydał rozkaz pójścia na strych i zdjęcia dwóch karabinów, oddawna tam leżących, z zaleceniem pośpiechu i z zwykłem zakończeniem: »Rozumiesz!«

— Rozumiem, panie kapitanie — odrzekł niespokojny żołnierz; że zaś nie rozumiał, widocznem było z całej jego postawy, bo chciał z jakiemś »ale« wystąpić i już usta otwierał, gdy ojciec powtórzył rozkaz i starowina rad nierad potoczył się do sieni.

W kwadrans może powrócił, niosąc z wielką trudnością dwa karabiny zakurzone, w części zardzewiałe. Postawił je przy murze i znowu »Czekam rozkazów pana kapitana« wymówił.

Ojciec spojrzał na karabiny, gorzko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć »To mi porządek« i wyrzekł prędko:

— »Weźmiesz z sobą Włodarczyka, pałasze przypasać i z tymi oto karabinami pójdziecie i przyprowadzicie natychmiast tego opoja Kownackiego, żywego lub umarłego, i wsadzicie go do aresztu«. — I znowu na wspomnienie Kownackiego czoło zmarszczył i potarł czuprynę.

— Stanie się według rozkazu, panie kapitanie — bąknął Duszak, ale z miejsca się nie ruszył; snadź nie był mu po myśli ten tajemniczy rozkaz. Lecz gest ojca i wyrazy: »Na lewo w tył, marsz!« wywołały go z osłupienia; podjął więc karabiny i wyszedł, potrząsając głową.

II.

Nazajutrz, ledwo świtać poczęło, byłem już na nogach. Uwijania się żołnierzy, rozmowy półgłosem prowadzone i wreszcie ta posępność ich oblicza w mojem dziecięcem wyobrażeniu przybierały jakąś barwę niezwykłą, tajemniczą i uroczystą.

Ósma wybiła na domowym zegarze, a ojciec się nie pokazywał. W tem oczekiwaniu każda godzina dniem mi się wydawała. Zniecierpliwiony, tom podchodził pode drzwi ojca, słuchając, czy nie wstał, tom do okna zaglądał, nie zważając na przestrogi matki, krzątającej się około gospodarstwa.

Nareszcie około dziewiątej, ubrany w paradny mundur, wyszedł ojciec z pokoju i skierował się wprost do izby odwachowej. Przywitał uprzejmie zgromadzonych i kazał przywołać Kownackiego.

Na jego widok żal ścisnął mi serce: chciałem już rzucić się na szyję ojcu i błagać przebaczenia, lecz marsowata twarz porucznika i nastrzępione od gniewu wąsy wstrzymywały zapał dziecięcej litości. Bo proszę wystawić sobie zgarbionego staruszka, ze śladami na twarzy wczorajszej uczty, wchodzącego wolnym krokiem i z pochyloną głową, przygnębionego wstydem pośród zgromadzonych na odwachu kolegów! Cały ubiór w nieładzie dodawał jeszcze więcej okropności temu obrazowi, a zarazem wzbudzał w przytomnych litość i zjednywał prawdziwe współczucie.

Ojciec z wyrazem największej spokojności, a może i żalu spojrzał na niego i szyderczo się uśmiechnął; potem odwracając się do zgromadzonych podwładnych, krótkim, lecz dobrotliwym głosem przemówił:

— Oto wasz kolega Kownacki, wstyd i zakała komendy; mimo tylokrotnych napominań, próśb nawet, nie może porzucić obrzydliwego nałogu pijaństwa. Miarka się przebrała, już dalej łagodnością nic wskórać nie mogę, już wreszcie uszy mnie bolą słuchać ciągłych na niego zażaleń, więc raz skończyć trzeba. Włodarczyk! pal mu dwadzieścia!

Te ostatnie wyrazy tak mówił głośno i z takim gniewem, że wszyscy żołnierze zadrżeli, a żaden z nich ruszyć się nie śmiał, aby wykonać wyrok.

— Czy słyszałeś? — powtórzył ojciec, targnąwszy Włodarczyka za ramię — pal mu dwadzieścia!

Rad nierad Włodarczyk, z komicznie wykrzywioną twarzą zbliżył się do delinkwenta. Ten nie rzekł ani słowa na swoje usprawiedliwienie, nie prosił, nie płakał, nie podniósł nawet oczu, ale z pochyloną głową i przygnębioną uległością zdjął mundur, obnażył plecy i pod uderzenia je nadstawił.

Wszystko to odbyło się w największem milczeniu. Spojrzałem na ojca; twarz jego dotąd chmurna, przybrała właściwej łagodności wyraz: oko łzą zabiegło, widocznie więc litość obudziła się w sercu.

Żołnierze kolejno spoglądali to na delinkwenta, to na ojca; lecz żaden nie śmiał i słowa przemówić. Rozdrażnienie umysłów doszło do najwyższego stopnia rzewności.

Wiedziałem, że gdyby który z nich odezwał się, nastąpiłoby przebaczenie. Ja, jako tam wcale nie potrzebny spostrzegacz, nie mogłem się odważyć prosić, a żołnierze jako znający karność; tymczasem ojciec, nie mogąc nagle spaść z tonu rozkazującego, z jakim wykrzyknął »Pal mu dwadzieścia«, do przebaczenia, płakał doskonale i również mając wlepione oczy na obnażone plecy Kownackiego, stał milczący.

Nareszcie widząc zapewne, że już nikt z prośbami się nie odezwie, a nie chcąc tracić na swojej powadze komendanta, szepnął do najbliżej stojącego Duszaka, ale tak głośno, żem mógł dosłyszeć: »A proścież mnie, gamonie, za nim!« — Ledwie domówił tych słów, aż ruszą się wszyscy ku ojcu z jaśniejącym wzrokiem i pomieszanymi wyrazami; nuż prosić, nuż całować po rękach: »Daruj, przebacz, kapitanie!« Tu i jam sobie już pozwolił, ojca uściskał i prośbę ponowił.

Ojciec przez chwilę niby się wahał, niby namyślał; nareszcie udobruchawszy się zupełnie, przemówił:

— No, przybliż się, pijanico, i wstydź się, żeś niegodzien tak poczciwych kolegów. Widzisz, oni płaczą, jak dzieci, te wiarusy z pod Kairu, Marengo i Berezyny, a tyś powodem ich płaczu! Pamiętaj, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego wczorajszej awanturze zrobisz, daję ci najświętsze słowo, że sam pojadę do majora i tyle dołożę starań, żeby cię, jako kąkol niegodny z pszenicy, z naszej komendy oddalono.

— Kapitanie! kapitanie! — zawołał, uklęknąwszy przed ojcem Kownacki, zakładając palec na palec — kapitanie! przysięgam na wszystko, na Boga jedynego w niebie, już nigdy a nigdy wódki do ust nie wezmę, a tylko daruj raz ostatni i przyjm do swojej łaski!

— Daruję, daruję — wymówił drżący od wzruszenia ojciec i podniósł klęczącego — Bóg widzi, że was jak braci kocham i chciałbym wam nieba przychylić. Wy, stare graty, i ja z wami: kochajmyż się więc wspólnie, wypełniajmy do ostatnich chwil życia rozkazy władz naszych, a Bóg nas nie

opuści w tem życiu, da spokojność i to błogie przekonanie, żeśmy Jego wolę świętą spełnili!

Tu dopiero nastąpił gwar nie do opisania, ściskania, łzy, urywane słowa: »Poczciwy, dobry kapitan, niech mu Bóg błogosławi« zlały się razem w jedno uczucie miłości, wdzięczności i rozrzewnienia. Weszła na to matka, a widząc tak pomyślnie zakończoną katastrofę, uściskała męża, pogroziła łagodnie Kownackiemu i wszyscy, uszczęśliwieni tą sceną, wróciliśmy do siebie.

Albert Wilczyński (Kłopoty starego komendanta).

76. Muzyka wieczoru.

Po wieczerzy gospodarz i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach, wysłanych murawą.
Całe grono z posępną i cichą postawą
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać;
Aż oboje, skrywszy się pod zasłonę ciemną,
Wszczęli ze sobą cichą rozmowę tajemną,
Tłómacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu.
Szepnęły wiotkiem skrzydłem nietoperze: lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżej zaś, nietoperzów siostrzyczki, ćmy rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając, jako harmoniki sfera;
Ucho ludzkie rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki;
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją
I bekając raz poraz, jak bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy,

Jako zaklęte w górach kaukaskich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią wydał jęk cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistem i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach żab piały niezliczone hordy.
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy:
Ten *fortissimo* zabrzmiał, tamten nuci z cicha,
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha.
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie harfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach błyskały wilcze oczy, jako świeczki;
A dalej u ścieśnionych widnokręgu brzegów
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

77. Chałat.

Miałem lat piętnaście i tytuł szóstoklasisty.

Dopiero od kwartału uczyłem się w Warszawie i te święta były pierwsze, na które z pomiędzy obcych śpieszyłem do swoich. Śpieszyłem najszybciej jak mogłem i właśnie dla tego pośpiechu, który mnie o gorączkę przyprawiał, uprzedziłem o całą dobę termin wyjazdu, przez rodziców wskazany.

Myśl, że za kilkanaście godzin swój dom i swoje miasto zobaczę, przyprawiała mnie o gorączkę — grzała mnie poprostu — i to była właściwie moja jedyna ochrona przed zimnem, któremu nader słabą zaporę stawiały: lekki, »wiatrem podszyty« szynel, szalik włóczkowy i gumowe na zwykłych »kamaszkach« kalosze.

Gdybym miał cierpliwość czekać do dnia następnego, przysłanoby mi z domu futro, koc na nogi i berlacze. Prócz tego pojechałbym zamkniętą karetą pocztową, w towarzystwie najdobrańszych »pasażerów«, przy raźnych dźwiękach trąbki, budzącej echa leśne.

Niestety! odkładać na dwadzieścia cztery godzin rozkosz, przez cały kwartał marzoną, przechodziło moje siły. Rzecz to znana, że w epoce, gdy człowiek ma przed sobą życie całe bywa najniecierpliwszy i najtrudniejszą dlań rzeczą czekać.

Ta niecierpliwość sprawiła, że zamiast we środę na Przedmieściu Krakowskiem przed »Starą Pocztą«, znalazłem się we wtorek na ulicy Wałowej *vel* Wołowej, wśród obszernego dziedzińca zajazdu »pod Jeleniem«.

Tam znajdowała się główna stacya omnibusów, bryk krytych i otwartych, które przedsiębiorcy żydowscy wysyłali na wszystkie trakty, współzawodnicząc zwycięsko z pocztą i kolejami żelaznemi. Tam jedno z miejsc naczelnych zajmował Josek, utrzymujący stałą komunikacyę osobowo-towarową pomiędzy Warszawą a miastem P., do którego mi właśnie droga wypadała.

Z tym więc Joskiem jechałem — na wielkiej, odkrytej, trzęsącej się, brzęczącej bryce.

Dowlekliśmy się do Serocka.

Dopiero przy wysiadaniu poczułem, że mam jedną nogę skostniałą od mrozu. Długom rozcierać ją musiał, zanim wróciła mi w niej władza.

W Serocku czekał na »gości« znany dobrze pokoleniom podróżnych właściciel zajazdu z »numerami«, mąż niezłomnych przekonań, który latem i zimą, w piątek i świątek, o południu i o północy, na zapytanie: »Co jest do jedzenia?« — odpowiadał twardo:

— Jest pieczeń z kapustą.

Mówiono, że ogromny zapas tej pieczeni z kapustą nabył wraz z zajazdem od swego poprzednika i przez lat kilkanaście częściowo go wysprzedawał.

Dość lubiłem ten zajazd i jego właściciela. Gdyby mię jednak spytano, co mi się tam najbardziej podobało, odrzekłbym bez namysłu, że... rycina wisząca wprost środkowego okna, obok drzwi. Był to kolorowy, poczerniały przez czas sztych angielski, wykonany podług rysunku Orłowskiego; przedstawiał cesarza Pawła, odwiedzającego Kościuszkę w więzieniu.

Za każdą bytnością w zajeździe długie chwile przed

starym sztychem wystawałem. Tym razem jednak nieszczęsny bohater i nieszczęsny monarcha napróżno dawali mi znaki porozumienia... Nie śpieszyłem z przywitaniem. Niestety! zbyt jasno oświetlała ich lampa wisząca — ja zaś rozmyślnie w cień się chowałem. Pocóż gospodarz, dobrze znający mnie i moją rodzinę, miał wiedzieć, że tę podróż odbywałem z brodatym i pejsatym Joskiem!

Zająwszy miejsce przy stoliku, najbardziej od ogniska światła oddalonym, zażądałem herbaty i pieczeni — »bo głód był jeszcze sroższy od żałości«. Ale choć kołnierz podniosłem i głos zmieniłem, poznano mię.

— Cóż to, bez mamy?... — usłyszałem inkwizycyjne zapytanie gospodarza, stawiającego przedemną swą najdoskonalszą, bo jedyną potrawę.

— Phi! — odparłem, piersi wyprężając. — Czy to ja dziecko, żebym bez matki ruszyć się nie mógł?

Wyglądałem zaś nad podziw dziecinnie.

— Mrozik mamy petersburski — ciągnął tamten, szczoteczki dobywając.

Przy tych słowach prześwidrował mię na wylot doświadczonym wzrokiem byłego krawca — tym wzrokiem ostrowidzowym, który w tej chwili dostrzega i ocenia nietylko krój, materyał i robotę ubrania zwierzchniego, ale i jego podszycie, oraz wszystko, co znajduje się pod niem — do kamizelki, koszuli i wełnianego kaftanika włącznie.

— Czy nie za lekko? — spytał, sumując dopełnione spostrzeżenia i wniosek z nich wyciągając.

Namyślał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz tylko wąsy szczoteczką podrapał i odszedł w milczeniu do innego stolika.

Josek nie zjawiał się; postanowił widocznie urządzić tu dłuższy postój. Po wielkiem zimnie, ciepło izby gościnnej oddziałało na mnie w sposób zwykły: osłabiło i rozmarzyło. Zdjąłem szynel, wyciągnąłem się na dwóch stołkach — zasnąłem.

Spałem długo; sny miałem przyjemne. Zbudziło mię silne kołatanie w okienicę, któremu towarzyszył chrapliwy, niewyraźny bełkot. Rozróżniłem z trudnością słowa: »Siadacz...« »jechacz...«

W tejże chwili drzwi skrzypnęły, do izby wtoczył się Josek, wzywając głosem chrapliwym »na brykie«.

Zrobiło mi się niewymownie smutno. Więc znów wychodzić mam na mróz i noc, kostnieć od zimna, znosić niewygodę, cierpieć towarzystwo wstrętnego chałaciarza, cuchnącego cebulą i tytoniem ordynarnym? Gdybyż to chociaż było niedaleko — ale do P. jeszcze trzy mile, trzy okropne mile, najdłuższe ze wszystkich, jakie mi kiedykolwiek w życiu przebywać wypadło!

Rozżaliłem się nad samym sobą, o małom się nie rozpłakał, jak dziecko. Była chwila, gdym chciał dać za wygraną wszystkiemu i do Joska, do dzierżawcy, do właściciela zajazdu, do świata całego powiedzieć stanowczo:

— Róbcie ze mną, co chcecie; zabierzcie wszystko, co mam przy sobie: popsuty zegarek srebrny, portmonetkę z dziesięcioma złotymi, walizkę z brudną bielizną, ale — spać mi dajcie i nie budźcie mnie, aż na sąd ostateczny!

Ten protest nerwów znużonych instynktu zachowawczego objawił się na zewnątrz tylko długiem, jękliwem ziewnięciem.

W kilka minut później siedziałem już na bryce Joskowej. Na koźle, prócz woźnicy, nie było nikogo.

Mróz wzmógł się. Poznałem to zaraz po wyjściu z zajazdu po wielkiej trudności oddychania. Atmosfera wydała mi się nalana płynem szklistym, który z wielkim jedynie wysiłkiem można było wciągać w płuca.

Była godzina trzecia lub czwarta po północy. Gwiazdy straciły poprzednią jaskrawość, ciemny granat nieba rozjaśnił się, jakby spłowiał — zbliżała się chwila wschodu księżyca.

Josek ani fajki nie palił ani majufesów nie nucił ani do koni nie przemawiał. Skulony w milczeniu na swym twardym, sieczką wypchanym worku, wydawał się bryłą martwą, bezkształtną, tchnącą wyrazem bezgranicznej apatyi.

Po raz pierwszy od chwili wyjazdu doznałem uczucia strachu; po raz pierwszy tknęła mię myśl, że ta wyprawa skończyć się może — nieszczęściem.

Mróz kłuł mię tysiącami igieł, zaczynając od palców u nóg, potem obejmując całe stopy i w górę się posuwa-

jąc. Pod działaniem tego kłucia stopy a następnie i nogi do kolan traciły stopniowo czucie i stawały się podobne szczudłom drewnianym. Aby je bronić od zupełnego zdrętwienia, uderzałem stopami w dno bryki, słomą wysłane. Słoma kruszyła się i rozstępowała; z pod słomy wychylały się twarde, zimne deski, oraz źle przymocowane i podskakujące pakunki.

Jednocześnie mróz nacierał na mnie od góry i uderzał w twarz, niedostatecznie osłonioną. Ból, sprawiany przezeń uszom, nosowi, brodzie, policzkom, już nie dawał się przyrównywać do kłucia drobnemi ostrzami. Doświadczałem poprostu wrażenia, jakby w moje ciało zatapiały się raz po razu ostre zęby.

Trwoga moja wzrastała i zaczynała przybierać rozmiary tragiczne. Niedawno właśnie czytałem opowiadanie Andersena o »Dziewczynce z zapałkami«. Stanęła mi ona teraz przed oczami, jak żywa. Widziałem ją skuloną za węgłem kamienicy, siną od mrozu, nędzną i — uśmiechniętą. Srebrne gwiazdki śniegu iskrzyły się na jej jasnych, rozplecionych włosach; oczy wielkie, błyszczące, patrzały z natężeniem w niebo; twarz całą opromieniał wyraz wielkiej, nadziemskiej szczęśliwości. Przy niej, na śniegu, dopalało się pudełko zapałek, a dym wznosił się wysoko i zwijał w kłęby fantastyczne. Z kłębów wynurzyły się główki aniołków oraz miłośnie wyciągnione ramiona przyzywającej ją do siebie babki.

— I ja zmarznę — pomyślałem z goryczą — ale śmierć moja nie utworzy tak poetycznego obrazka...

Ta uwaga do żalu dodała gniew. Roiłem zawsze o śmierci pięknej, którą możnaby opiewać dźwięcznymi wierszami. Gniew jest bodźcem, dodającym energii. Zawziąwszy się na wroga, postanowiłem nie dać mu się. Jąłem żwawo poruszać nogami, rękami, głową, całym tułowiem. Rzucałem się na bryce, jak opętany.

Rozgrzało mię to cokolwiek, ale zmęczyło. Uczułem osłabienie, a wraz z niem senność. Gwiazdy, w które wpatrywałem się nieustannie, również mrużyły oczy, zasypiając i mnie nęcąc do spoczynku. Zdawało mi się, że wszystko dokoła do snu się układa...

Opierałem się z wysiłkiem temu pociągowi, wiedząc, jak jest zdradziecki. Strzegłem się zwłaszcza zamykać oczu. Aby myśl utrzymać w natężeniu, skandowałem głośno wiersze z »Eneidy«. Wybijałem średniówkę tak dobitnie, że mój dobry nauczyciel Gomolewski dałby mi za nią piątkę i jeszcze w nagrodę obrzucił z ponad okularów swem bystrem, życzliwem i jakby ciepłem spojrzeniem.

Jednak w mózgu zaczynało mi się zwolna mącić. Rzeczywistość i urojenie zespalały się chwilami tak silnie, że już ich rozróżniać nie mogłem. Myśli moje zataczały kręgi, to znów biegły po liniach spiralnych — stawały się barwami, światłami, dźwiękami...

Wschodził księżyc. Srebrna poświata ukazywała się na niebie i ziemi. Wytężyłem wzrok i myśl, aby wszystko widzieć i ze wszystkiego zdawać sobie sprawę dokładną.

Josek jeszcze bardziej skulił się i był tak nieruchomy, jak wór, na którym siedział. Starą szmatą owiązał głowę, a ten dziwny strój czerniał na niebie liniami ostro łamiącemi się, jak kaptur mnicha. Wydawał mi się teraz postacią prawie fantastyczną, obcą i straszną.

Co pewien czas dobiegało mię ciche, drżące, przeciągłe jęczenie. Czy to bryka ten głos żałośny wydawała? — czy nadbiegał on z lasów, spływał z powietrza lub też dobywał się z piersi Joskowej?

Nie byłem w stanie rozwiązać tego pytania.

Oto Łubienica. Długie, prostolinijne, murowane budynki stoją na zwykłych miejscach. Nie ludzie w nich mieszkają, lecz barany. Ciepło im być musi pod dachem, wśród grubych murów, przy wrotach szczelnie zamkniętych...

Oto kapliczka na wysokiem wzgórzu, tuż nad drogą. W świetle wschodzącego księżyca wydaje się rażąco białą. Prosta i smukła, przedstawia podobieństwo do placówki obozowej — a także do widma o niepewnych, rozpływających się zarysach.

W tej kapliczce, z poza szybki zakurzonej, wyziera śniada twarz »Częstochowskiej«. Przypomina mi to, że niedawno za jej przyczynieniem się powstałem ze śmiertelnej niemocy. Gdybyż i teraz miłosierną dla mnie być chciała!...

Za kapliczką wzgórze obniża się i droga bieży spa-

dzisto. Niewielka to pochyłość i zwykle bardzo szybko zjeżdża się z niej na zupełnie równą płaszczyznę. Teraz jednak tej pochyłości i temu zjeżdżaniu końca niema. Bryka wśród przeraźliwego chóru szklanych i metalicznych dźwięków stacza się w dół, coraz niżej i niżej, a dna dosięgnąć nie może...

Liczę w myśli sekundy, z sekund układam minuty, z minut kwadranse. W rachunku mylę się nieustannie. Usiłuję omyłkę naprawić, wracam do początku — i brnę w gorszy jeszcze zamęt. Nudzi mię to wreszcie; rzucam rachunki, daję za wygraną wysiłkom myśli. Wolę marzyć...

Marzenia moje byłyby rozkoszne, gdyby nie ból dotkliwy, odzywający się w całem ciele. Na ruchy energiczne nie mam już siły; kurczę się tylko i kulę tak samo prawie, jak Josek. Spać mi się chce okropnie. Myślę, że byłoby rzeczą rozkoszną zsunąć się z siedzenia na dno bryki, zagrzebać się w słomie, oczy zamknąć, zapomnieć o wszystkiem.

Czuję, że sen uspokoiłby bóle przez mróz sprawiane. Pozwoliłby także spokojnie i przyjemnie pomarzyć. Ale wiem, że z tego snu jużbym się więcej nie zbudził.

Mimo wszystko — zasypiam.

Zasypiam z uczuciem strachu okropnego, który może nawet wydobywa mi z piersi jęk głośny.

Takim samym snem zasypiałem przed dwoma laty w pewną noc marcową, nie mogąc i nie chcąc odpowiadać na wołania zebranej przy łóżku mojem rodziny. Ale wówczas strachu nie doświadczałem żadnego — owszem, czułem błogość niewymowną. Wielkie też było moje zdziwienie, gdym po przebudzeniu ujrzał wszystkich łzami zalanych i witających mnie, jakbym z tamtego świata powracał. Później dopiero powiedziano mi, że z wyroku lekarzy owa noc miała być dla mnie — ostatnią...

Teraz jednak wiem, że już się nie przebudzę.

Otacza mię chaos, mrok. Widzę rzeczy, których plastycznie odtworzyć niepodobna; słyszę dźwięki, których nie zna skala tonów ziemskich; doświadczam uczuć, na których odmalowanie mowa ludzka daremnieby się siliła.

Wreszcie przestaję widzieć, przestaję słyszeć, przestaję czuć.

. . . . . .

Obudziłem się.

Obudziłem się nagle, w jednej chwili, bez żadnych przejść pośrednich od snu do jawy. Wahadło, nieruchomo wiszące, zostało przez kogoś czy przez coś popchnięte i zegar napowrót iść zaczął.

Było mi dobrze, rozkosznie, a przedewszystkiem — ciepło. Doświadczałem błogich uczuć człowieka, który, miotany długą burzą morską, znajduje wreszcie ziemię pod stopami i słońce nad głową.

Ciekawem spojrzeniem powiodłem dokoła. Wszystko pławiło się w olśniewająco białem, błyszczącem świetle. Niebo i ziemię zalewał księżyc falami płynnego srebra. Gwiazdy co do jednej roztopiły się w tem srebrze.

Bryka toczyła się szybko. Na koźle nie było Joska. Biegł on przy bryce, poganiając konie. Butami podkutymi mocno uderzał w zmarzłą ziemię, nogami gwałtownie przebierał, w dłonie chuchał, rękami bił się silnie po bokach.

Josek miał na sobie tylko krótki kaftan watowany, a na głowie oprócz czapki podartą szmatę. Co zrobił ze swym grubym, ciepłym chałatem, podszytym tu i ówdzie wytartemi skórkami zajęczemi?

Blask księżyca, szybkość jazdy, żwawe ruchy woźnicy podnieciły mnie, rozweseliły. Zapomniałem o przebytych dolegliwościach i o niedawnej trwodze śmiertelnej. Rozglądając się po znanej dobrze okolicy, badałem, jak daleko jeszcze do domu. Wynik badania był pocieszający: na prawo i lewo błyskały chaty, kościółki, karczemki, zapowiadające blizkość miasta.

Zwróciłem wreszcie uwagę na siebie.

Nie zajmowałem już poprzedniego miejsca. Siedziałem wygodnie na dnie bryki, na dwóch pękach słomy, których tam wpierw nie było. Osłaniała mnie całego z nogami, rękami i głową ciepła opończa, którą niewiadomo kto okrył mnie i otulił.

Nie myślałem, nie chciałem myśleć ani o tem ani o ni-

czem zgoła. Nasycanie się rozkoszą istnienia, jakby po raz drugi mi darowanego, starczyło mi za wszystko. Zresztą zajęty byłem marzeniami o domu, o gwiazdach, o książkach, o poezyi...

Szybko biegły chwile, szybko mijały słupy wiorstowe. Księżyc pobladł i zmalał; na wschodzie zrzedniały mroki. Niebo i ziemia ze srebnych stały się matowo białe.

Otóż i Kleszewo, chowające się latem w wieńcu, a teraz tylko w rózgach bezlistnych wierzbiny i olszyny...

Oto Kacice, ze swym białym, pustelniczym kościółkiem, otoczonym lipami staremi.

Purpura wschodzącego słońca zalała ziemię. Pod kołami zaturkotał bruk wyboisty.

Jeszcze chwila — bryka stanęła przed domem moich rodziców. Zerwałem się lekki, wesoły i odrzuciłem przykrywającą mnie opończę. Odrzuciłem ją ze wstrętem, bom poznał przy słońcu, że to był — chałat Joskowy.

W minutę później, kołatałem już do drzwi swego domu. Zbudzonej służącej kazałem znieść rzeczy swe z bryki i zaraz rzuciłem się do miski z letnią wodą i do mydeł pachnących.

Joskowi nie powiedziałem nawet »Bóg zapłać«.

Nie spodziewał się on zresztą tego i — nie liczył na to.

A jednak mówią, że oni zawsze na coś liczą...

Wiktor Gomulicki.

78. O pracy.

Któż nie rozumie potrzeby posłuszeństwa względem rozkazów Bożych? A jednak dziwnie trudno ocenić całą doniosłość jednego z nich, i to najpierwszego rozkazu o pracy, pomimo że on ma znaczenie wyjątkowe i bądź co bądź wyminąć się nie daje.

Jeżeli Bóg w pewnej mierze zostawia człowiekowi wolną wolę w wykonaniu tego obowiązku, jak i obowiązków innych, to jednak taką do pracy przywiązuje wagę i tak człowieka od niej zależnym uczynił, że żadnej z potrzeb życia bez pewnego nakładu pracy zaspokoić mu nie pozwala, i nie tylko życie fizyczne, ale wszelki rozwój i postęp ma-

teryalny, umysłowy czy duchowy w zależności od niej postawił.

Zdolności człowieka są trojakie: fizyczne, umysłowe i duchowe; praca zatem zarówno trojaka być musi, ażeby tym zdolnościom odpowiadała: ręczna, umysłowa i duchowa.

Chrystus Pan w Nazarecie przy rodzicielskim warsztacie pracował ręcznie; w świątyni zatapiał się w księgach świętych i wykładał je, więc pracował umysłowo; nieustannie się modlił, cierpiał, pościł, bój z szatanem prowadził, więc pracował duchowo i tych trzech rodzajów pracy przykład nam zostawił.

Ludzie, ci nawet, którzy najbardziej są przejęci duchem świata, w obecnych czasach pojmują i cenią pracę umysłową; ona pychy nie obraża, a nawet ją zaspakaja. Ocenienie i żądza wiedzy stanowią jednę z najwybitniejszych cech naszego wieku.

Pracy wewnętrznej, duchowej, świat nie rozumie i rozumieć nie może.

Pracą ręczną świat pogardza; być może, iż poszanowanie jej będzie cechą wieku przyszłego.

A wszakże te trzy rodzaje pracy są nierozłączne, a nadto każdy rodzaj tyle tylko istotnej wartości posiada, o ile jest połączony z tamtymi dwoma. Zdaje się, że codzienne doświadczenie powinno usunąć wszelkie pod tym względem wątpliwości, a jednak dziwnie uporne panują w tej mierze przesady. Zdawałoby się, że tak w wychowaniu, jak w całym porządku społecznym, ludzie biorą sobie za zasadę nie łączność tych trzech rodzajów pracy, ale rozbrat między nimi.

Jedni tak są zapracowani pracą materyalną, że z rana budząc się, natychmiast do niej śpieszą, a z wieczora zbyt są po niej zmęczeni, ażeby mieli czas i siły przyklęknąć do modlitwy choćby na chwil parę, a o jakiemkolwiek kształceniu umysłu w jakimbądź kierunku nie może nawet być dla nich mowy; pojęcia nie mają o prawach fizycznych, które pracą ich rządzą, ani o prawach moralnych, które ich życiem rządzić powinny.

Inni znów zapracowują się umysłowo, ale w taki pochłaniający sposób, że także »nie mają czasu« zaczerpnąć

światła i natchnienia u prawdziwego źródła wszechwiedzy ani nie mają dość czasu, aby w zetknięciu z życiem potocznem doświadczyć prawdziwości swych zapatrywań.

Są nareszcie tacy — i to najdziwniejsza — którzy mając wiarę i pewną naukę wiary, tak ją jednak fałszywie pojmują, że pobożność swą zasadzając jedynie na zewnętrznych nabożeństwach, zaniedbują obowiązki stanu, zaniedbują troskę o własne wykształcenie i tak zakopawszy, jak w przypowieści ewangielicznej, powierzone sobie »talenta«, marnują życie bez korzyści dla siebie, bez pożytku dla bliźnich i podają tylko tę fałszywą pobożność w pośmiewisko i pogardę. O takich to mówi Pismo św.: »Ten lud wargami mię chwali«. Chcemy się przyczynić do szerzenia królestwa Bożego na ziemi naszej, chcemy służyć Bogu, służyć krajowi; jakżeż to urzeczywistnić zdołamy, jeżeli nie przyłożymy ręki do wszelkiej potrzebnej nam ręcznej pracy, jeżeli się nie będziemy kształcili umysłowo, a pracy naszej modlitwą nie uświęcimy?

Ale żeby temu podołać, pamiętać nam trzeba, że tak, jak są trzy rodzaje pracy, tak są trzy rodzaje lenistwa: fizyczne, umysłowe i duchowe, i że ta potrójna praca jest zarazem jedynym środkiem na pokonanie lenistwa i najwłaściwszą karą na odpokutowanie zań, karą o tyle sprawiedliwie wymierzoną, że się zawsze sama przez się stopniuje do winy. W istocie, im kto w owym kierunku jest leniwszy, tem większej w tym właśnie kierunku i w tymże stopniu doznaje przykrości z wysiłku potrzebnego do pracy.

Co do pracy ręcznej, ta o tyle większe powinna mieć dla nas znaczenie, że ona to właśnie najmniej w kraju naszym jest ceniona i szanowana. Pycha, którą cały kraj nasz w nadzwyczajnym stopniu jest zarażony, sprawia, że mnóstwo u nas ludzi wstydzi się rękę do pracy przyłożyć, nie wstydząc się jej wyciągnąć po jałmużnę.

Zacznijmy rozbrat z duchem świata, zrywając te pęta, w które lenistwo i pycha kraj nasz okuły, nagnijmy te nasze »twarde karki« do pracy! Zadawajmy sobie, jeżeli trzeba, gwałt do pracy, kochajmy się w pracy, chlubmy się pracą, starajmy się te same uczucia względem pracy wzbudzać w innych!

Przykładem swoim obalajmy to azyatyckie mniemanie, że próżniactwo i niedołężne ręce są oznaką godności. Pamiętajmy, że próżniactwo jest początkiem wszelkich upadków materyalnych i moralnych, a że pracowitością podnoszą się rodziny i narody. Jeżeli jakakolwiek praca wzbudza wstręt, to wina leży nie w przedmiocie pracy, ale w nieumiejętności tych, co się do niej biorą. Człowiek wykształcony i uduchowniony każdą pracę, jeżeli się tak wyrazić wolno, uszlachetnia i uduchownia podnosząc ją do siebie. Jeżeli zaś pracy się oddając, staje się pospolitym, rubasznym, wstrętnym, to wina leży nie w pracy, ale w nim samym. Dusze i umysły zawsze własnego szukają poziomu i jeżeli się zniżają, to powód upadku leży w nich samych, nie zaś w warunkach, w jakich się znajdują.

Praca ręczna nie wyklucza wcale wykształcenia umysłowego, a nawet dla dojścia do pożądanej doskonałości wielce go potrzebuje. Gdy ten, kto ma naukę, bierze się do pracy materyalnej, a ten, kto pracuje ręcznie, ma odpowiednią naukę, wówczas praca się podnosi, udoskonala, staje się zajmującą, ponętną, chlubną nawet. I tak jak człowiek kształcący się jedynie umysłowo, a nie przyzwyczajony ręki do niczego przyłożyć, wpada w jakąś niezaradność materyalną i umysłową i bądź co bądź zostaje tylko połowicznie wykształconym, tak samo ten, kto tylko ręcznie pracować się nauczy, zostaje nawet pod względem pracy ręcznej tylko połowicznie wykształconym. To też ani człowiek majętny, jakkolwiek nie zmuszony do pracy ręcznej, nie może się uwolnić od niej bez pewnej szkody dla zdrowia, dla umysłu, dla charakteru, ani też człowiek ubogi, zmuszony do zarabiania na chleb najgrubszą nawet pracą, nie może zaniedbać pewnego rozwoju umysłowego i duchowego bez obniżenia nie tylko swej godności ludzkiej, ale nawet i siły zarobkowej, która jest tem większa, im lepiej się rozumie zasady i warunki wykonywanej roboty. Komu przeważnie zawdzięczać trzeba tyle wynalazków, ułatwiających i ulepszających pracę ludzką, jeżeli nie tym, którzy, pracując ręcznie, pracowali zarazem umysłowo i którzy, walcząc osobiście z trudnościami przywiązanemi do pracy ręcznej, szukali sposobów jej ułatwienia? Im umiejętniej umysł kierował ręką,

tem ręka skuteczniej wymogła na umyśle wysiłki potrzebne do przyjścia jej w pomoc i tym sposobem ręka co najmniej o tyle stała się mistrzynią umysłu, o ile umysł był mistrzem ręki.

Czyż nie ci właśnie są w najistotniejszem znaczeniu dobroczyńcami ludzkości, którzy łamiąc się osobiście z trudnościami pracy ręcznej, odkryli prawa mechaniki i ich przeróżne zastosowania? Czyż oni nie przyczynili się do podniesienia całego poziomu umysłowego i duchowego ludności robotniczej, wyzwalając ją z pod ciężkiego jarzma pracy istnie bydlęcej, oszczędzając sił ludzkich, a zastępując je potężnemi siłami przyrody? Wszakże ci pracownicy więcej uczynili dla podniesienia ludzkości umysłowo i duchowo pracą swoją materyalną, niż mnóstwo ideologów, utopistów, filantropów, gubiących się w abstrakcyjnych poglądach o prawach ludzkości. Wszakże praca ręczna tych pracowników nie tylko że ich nie poniżyła, ale budząc w nich poczucie braterskiej solidarności, wywołała zarazem pracę umysłową, która imiona ich przekazała potomności, i pracę duchową, która jako ostateczny wynik przyniosła pracującym ulgę w cierpieniach, podniesienie dobrobytu i wyzwolenie duchowe.

Niewątpliwie, nie wszystkim dano tak wysoko sięgać ale bądź co bądź, wszelki rozwój i postęp ludzki, ażeby był trwałym i istotnym, musi się oprzeć na tej potrójnej pracy. Jeżeli dzieła ludzkie mają mniej lub więcej doniosłości i przynoszą mniej lub więcej stałych korzyści, to w tym właśnie stosunku, w jakim mniej lub więcej na tej potrójnej podstawie się wzniosły. Trzeba wszystkie władze swoje wprawiać do posłuszeństwa względem umysłu tak, ażeby wszystkie, czy to umysłowe i duchowe, czy fizyczne, zadaniu życia podołać mogły.

Wartość człowieka stopniuje się w miarę rozwoju zdolności jego we wszystkich rodzajach i kierunkach pracy.

Niema radości większej, jak dobrze czynić całem swojem jestestwem: umysłem, okiem, ręką, sądem; wszystko to narzędzia od Boga dane do wykształcenia i zużytkowania.

Mitologia jest tylko parodyą prawdy, ale ta parodya mieści w sobie czasem dziwne jej przebłyski. Między bogami

assyryjskimi są takie, które wyśmienicie wyrażają to, co tu powiedzić chcemy. Bogi te mają głowę ludzką, oznaczającą myśl i wolę, skrzydła rozpięte w górę, oznaczające polot ku niebu, i cztery potężne nogi, pod władzą swoją trzymające ziemię. Ziemię posiadać, ażeby spłacała swoje daniny, myślą przenikać prawa, które światem i ludźmi rządzą, a duchem wznosić się do Boga: oto całe zadanie!

W świecie chrześcijańskim doskonale zrozumieli to założyciele rozmaitych zgromadzeń zakonnych. Dośćby wymienić Benedyktynów. Któż oznaczy w przekazanych nam arcydziełach rąk ich granice między tymi trzema rodzajami pracy? Wspaniałe rękopisy, wspaniałe budowy, które po sobie zostawili, są równocześnie dziełami ich rąk i dziełami sztuki, świadczącemi o ich wykształceniu umysłowem i o ich życiu duchowem.

A cóż powiedzieć o Kartuzach i Trapistach, którzy w milczeniu i modlitwie, umiejętnością i pracą, całe pustkowia, wydmy, trzęsawiska zamieniają w zdrowe, żyzne, mogące się zaludniać obszary?

Niema o tem mowy, abyśmy im dorównać mieli, ale te przykłady powinny nam służyć za drogocenne wskazówki, do czego wszelka praca, umiejętnie wykonana, doprowadzić może, jeżeli się ją dla Boga i z Bogiem prowadzi.

79. Grzeczność.

Dano trzecią potrawę. Wtem pan Podkomorzy
Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
A młodszej przysunąwszy z talerzem ogórki,
Rzekł: »Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
Choć stary i niezgrabny«. Zatem się rzuciło
Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: »Dziś, nowym zwyczajem,
My na naukę młodzież do stolicy dajem
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowej nauki;
Ale codzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,
Że niema szkół, uczących żyć z ludźmi i światem.
Dawniej na dwory pańskie jechał szlachcic młody;
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody,

Ojca Podkomorzego, Mościwego pana —
Mówiąc, Podkomorzego ścisnął za kolana —
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił;
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Codzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeślim tyle na jego nie skorzystał dworze,
Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów:
Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu
W uczciwości, w grzeczności. A powiem to śmiało:
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tem kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo!
Bo taka grzeczność modna zda mi się kupiecka,
Ale nie staropolska ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna:
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna
I wzgląd męża dla żony przy ludziach i pana
Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli: u panów rozmowa
Byłato historya żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu.
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.
Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
Z kim on żył? co porabiał? Każdy, gdzie chce, wchodzi,
Byleby nie szpieg tylko i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazyanus nie wąchał pieniędzy
I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów,
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość, że ważny i że się stępel na nim widzi...
Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi«.
To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
Wiedział, że niecierpliwa młodzież teraźniejsza,
Że ją nudzi rzecz długa, choć najwymowniejsza.
Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem.
Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem;
Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
Ale częstem skinieniem głowy potakiwał.

Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał
I dalej mówił: »Grzeczność nie jest rzeczą małą;
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoję ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach, abyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali«...

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

80. Na pokładzie.

Na pokładzie statku, dążącego z Brunnen do Fluelen tłoczyło się wielu turystów. Byli tam przedstawiciele narodowości francuskiej, niemieckiej, włoskiej, angielskiej i innych. Świt roztoczył się nad górami i ogarnął tę całą krainę, jak niewymowne wzruszenie. Kopuła Urirothstock stała wśród nocnych obłoków, niby tajemniczy przybytek w dymie kadzideł. Na prawo i na lewo lśniły się pod słońcem szczyty lodowe. W głębi u samych wód szukała jeszcze kryjówki noc zewsząd wygnana. Świerki, leszczyny i brzozy nad brzegiem tuliły ją między siebie, ile mogły. Zniżały gałęzie aż do samej wody i oniemiałe z podziwu patrzyły we własne odbicia, rodzące się w głębokiej topieli. Długa zatoka, jakby martwa, nieruchoma fijołkowa tafla, leżała pod znikomym tumanem. Błędne i wiotkie mgiełki wstawały z przeźroczystych nurtów i chodziły nad wodami. Widziało się, że daleko, daleko w zamroczonej niebieskiej dolinie tułają się i krążą nad leżącem w ciszy jeziorem cienie i widma, wyśnione przez Schillera, który tu marzył.

W pewnej minucie na jednostajnej barwie odmętu wynikła przedziwna jasno-zielona plama, o brzegach mocno zarysowanych i mknęła chyżo, niby swobodna łódka Tellowa. Statek nurzając się w toń, wstrząsał jej uśpioną powierzchnię i ciągnął za sobą, jakby obwisłe skrzydła z fal rozkołysanych. Te lśniące, błyskotliwe, małe fale szły wstecz coraz wolniej ku czarnym brzegom, pieszcząc się wzajem jedne z drugiemi.

Cały przód pokładu pełen był dzieci szwajcarskich. Mieściła się tam szkoła z jakiejś wioski kantonu Appenzel,

odbywająca zwyczajną wędrówkę letnią w poprzek swego kraju. Byli to chłopcy i dziewczęta różnego wieku, synowie i córki rolników i drobnych mieszczan, pastuchów i kupców, robotników i służby, dorobkiewiczów i nędzarzy. Wszyscy byli już dosyć znużeni, ogorzali, pyłem okryci. Przewodniczył im nauczyciel z ruchami parobka, o twarzy piegowatej, ordynarnej, zarosłej bezbarwnym włosem. Było jednak w tem obliczu coś, co wyróżnia pedagoga tamtejszego z tłumu. Malowało się na niem przyzwyczajenie do mówienia prawdy otwartej i nieskażonej zawsze i wszędzie. Ten mus, ten piękny owoc wysokiej kultury zmywa w ciągu lat, jak niestrudzona woda rogatą glebę, przywary indywidualnego charakteru, wrodzone brzydoty temperamentu i znaczy twarze dziwnym uśmiechem, jaki oglądać można chyba tylko na starych płótnach Bernardina Luiniego. Są to naiwne twarze, które kłamać nie umieją.

Szkoła taka, gdzie się da, maszeruje, miejscami jedzie koleją albo płynie na statku. W okolicach północnych zwiedza fabryki, świetne warsztaty, muzea, kościoły, piękne miasta nad jeziorami, siedliska życia, wiedzy i pracy, odludne wioski, stare ruiny i wreszcie martwe pustynie na wysokich górach, gdzie ponury lodowiec śpi w milczeniu wiekuistem. Starsi gromadzą w swych zielonych pudełkach zioła i owady, młodsi na polach Näfels, Morgarten, Sempach słuchają wykładu zdarzeń i uczą się legend, które są jakby westchnieniami ludzkości.

Gdy przekroczą wysoki szczyt gotardzki, gdy zstąpią do pięknej doliny Tessinu, ludzie mówiący językiem obcym, Włosi czarni a żywi, przyjmą ich z otwartemi ramionami; są to bowiem ich bracia.

Gdy po długiej wędrówce znajdą się w smutnej dolinie Rodanu, w miejscach, gdzie ludzie mówią po francusku, i tam przyjmą ich z miłością; są to bowiem ich bracia.

Gdy statek wymijał Grütli, rozległ się piękny śpiew tych dzieci. Zwróceni twarzami do wyniosłego urwiska nieśmiertelnej skały śpiewali:

»*Von ferne sei herzlich gegrüsset, du stilles Gelände am See* ...

Obcokrajowi podróżni skupili się dokoła małych śpiewaków i z przyjemnością słuchali zgodnego chóru. Tu

i ówdzie wymykało się z tłumu słowo pochwały. Jakiś Niemiec z cicha bił oklaski, jakaś szczupła dama ze wzruszeniem szepnęła do towarzysza: *Oui c'est beau.* Pergaminowa twarz Anglika mieniła się rzewnym uśmiechem. Na uboczu stało kilku młodych ludzi. Oblicza ich były bardzo smutne, a źrenice zasłonięte łzami.

Stefan Żeromski.

81. Wycieczka do Melsztyna.

List Walerego do Józefa.

W Tarnowie, dnia 7. września 1893.

Kochany Józiu!

Otóż już nakoniec siedzę na ławie, otoczony książkami i zeszytami. Trzy dni temu, jak rozpoczęły się szkoły, i dlatego to nie mogłem wcześniej napisać do ciebie, bo chociaż na początku niema wiele do roboty, ale powróciwszy z wakacyi, miałem dość zajęcia i dopiero dziś, w niedzielę, dopadłszy wolnej chwilki, piszę do ciebie.

Ostatnie dnie wakacyi przepędziłem u stryja w Zakluczynie, maleńkiem miasteczku nad Dunajcem, położonem w bardzo pięknej okolicy. Należało ono niegdyś do Tarłów, a dzisiaj należy do hrabiów Lanckorońskich. Biedna to mieścina, ale tem osobliwa, że ją sami tylko chrześcijanie zamieszkują, po największej części szewcy, wyrabiający dla włościan buty, które po okolicznych jarmarkach rozprzedają.

W pobliżu, bo o małe pół milki od Zakluczyna, na wyniosłej górze, ponad samym Dunajcem sterczą zwaliska Melsztyńskiego zamku. Wiesz, jak lubię stare zamki; nieraz we dwóch błądząc po ruinach Tenczyna i Lipowca, wspinaliśmy się na szczyty wież lub do głębi piwnic schodzili, szukając pamiątek po mieszkańcach tych zamczysk. Jednych kości, drugich mury w proch się rozsypują; po pierwszych napisy na grobowcach, po drugich sterczą zwaliska, o ich potędze i ogromie świadczące.

Wyobraź sobie moją radość, gdy pewnego pięknego dnia ku wieczorowi wszedł stryj do pokoju i zapowiedział

mnie i Franusiowi, że najdalej za godzinę pójdziemy zwiedzać zwaliska melsztyńskiego zamku.

Niebawem stryjenka zastawiła nam miskę kwaśnego mleka ze śmietaną, a obok drugą z żółciutkimi i rozsypującymi się ziemniakami; zajadaliśmy ze stryjem doskonale. Franuś jakoś apetyt stracił i na zaprosiny nasze rzekł zaledwie zrozumiale:

— Dziękuję.

— Nie chcesz, to nie jedz; ale pamiętaj, żebyś potem nie narzekał, bo nic bierzemy nic ze sobą — rzekł stryj.

Za chwilę byliśmy w drodze. Już się na dobre zaczynało zmierzchać, kiedy wyszliśmy z domu. Stryj wziął dubeltówkę, ja miałem siekierkę, Franek szedł za nami, nic nie niosąc.

Upłynęło przeszło godzinę, zanim dostaliśmy się do stóp góry. Przez całą drogę stryj opowiadał nam swoje myśliwskie przygody, pokazując, gdzie i kiedy jakiego zwierza zastrzelił. Słuchałem z zajęciem, bo pięknie umie opowiadać; ale Franuś milczał, jak zaklęty, a stryj zdawał się wcale na to nie zwracać uwagi. Nakoniec zaczęliśmy się wdzierać na górę stromą, wązką, zaledwie wśród nocnej pomroki dojrzaną ścieżką. Franuś, który szedł ciągle na ostatku, wyprzedził mnie teraz i zajął miejsce w środku. Byłem pewny, że sprawiła to trwoga, bo wciąż oglądał się na wszystkie strony i za najmniejszym szelestem przyśpieszał kroku, aby być jak najbliżej stryja. Wreszcie stanęliśmy w pośrodku zwalisk, tuż pod ogromną czworoboczną wieżą, pomiędzy młodymi świerkami, odgradzającymi ją od nas.

Księżyc tylko co wszedł od strony Wojnicza, rzucając czerwonawy blask na spękane mury i baszty. Przy niepewnem jego świetle nie można było objąć wzrokiem całego zamczyska; ułamki murów malowały się niewyraźnie, lekki wietrzyk poruszał krzewami, które zdawały się przemieniać w jakieś widma i ku nam przybliżać.

— A cóż chłopcy, jak wam się tu podoba?

— Prześlicznie — zawołałem — za dnia musi być pięknie, lecz zaraz poznać, że to ruina; tymczasem przy świetle księżyca wydaje się, że zamek stoi w całości, że lada

chwila wyjdzie jakiś dworzanin, zapraszając nas w gościnę.

— A gdybyśmy tu zanocowali — co? chłopcy?...

— Z największą chęcią, stryju — rzekłem — jeszcze też nigdy nie nocowałem w zwaliskach.

Poszliśmy do baszty; stryj doskonale znał drogę i zaprowadził nas pod bramkę w jakieś ciemne sklepienie. Przyznam ci się, że i mnie jakoś niebardzo raźno było na sercu; nie wiem dlaczego, lecz i mnie dreszcz przenikał. Ale wkrótce to minęło, siekierką narąbaliśmy gałęzi jałowcowych i świerkowych i wnet potem pod sklepieniami wieży buchnęły jasne płomienie.

W tej chwili załopotało coś w górze. Franuś krzyknął; podniosłem głowę i ujrzałem, że izba, w której się znajdowaliśmy, była tylko do połowy zasklepiona, reszta leżała w gruzach tak, że gwiazdy przez otwór widać było.

Stryj zasiadł przed ogniskiem, a zapaliwszy fajkę, mówił:

— Stare to bardzo zamczysko. Zbudował je Spicymierz czyli Spytek, niemiecki rycerz z nad Renu, przed pięciuset przeszło laty. Dobra te nadał mu król Łokietek.

— A skądże król poznał się z tym Niemcem? — zapytałem.

— Wiesz dobrze, że Władysław był wygnańcem i tułał się długo po obcych krajach, zanim znowu tron odzyskał. Otóż ów Spytek gościł go na swym zamku i przyjmował serdecznie, a Łokietek mu to po królewsku odpłacił. Trzeba wam wiedzieć, że rycerz ów z czasem przerobił się zupełnie na krajowca — potomkowie jego wydali dwie sławne rodziny Melsztyńskich i Tarnowskich. Od niego to pochodzi Spytek, zwany mądrym, który w młodzieńczych latach na dworze króla Ludwika mądrością i powagą starców prześcignął i był główną sprężyną zamęźcia królowej Jadwigi, a zginął nad Worsklą, walcząc pod Witołdem w 1399. roku.

Tutaj także Aryanie mieli swoją główną siedzibę.

— Co to znaczy, stryju, Aryanie? — zapytałem.

— Jestto sekta religijna, zaprzeczająca bóstwa Chrystusowi Panu, nazwana tak od Aryusza, pierwszego twórcy tej sekty w trzecim wieku chrześcijaństwa; u nas krzewił

ją w XVI. wieku Faustus Socynus i dlatego zwano wyznawców tej sekty także Socynianami.

— Czy to ten Socynus, którego grób jest w Lusławicach, pomiędzy Zakluczynem i Wojniczem?

— Ten sam — odpowiedział stryj — w Lusławicach był zbór, czyli kościół socyniański, a w Zakluczynie ich drukarnia.

— A któż się opiekował Socynem, czy Melsztyńscy?

— Nie, bo na Spytku Melsztyńscy wygaśli. Zamek odziedziczyli Tarnowscy, potem Jordanowie, a wreszcie Taszyccy, zapaleni Aryanie i protektorowie Socyna.

— Franuś dziś mówił — rzekłem — że tutaj bili się Szwedzi.

— Nie inaczej — odpowiedział stryj — za Lanckorońskiego, któremu zamek po Taszyckich się dostał; podczas napadu Karola Gustawa Szwedzi szturmowali do zamku, ale go zdobyć nie mogli. Dopiero w sto lat przeszło potem, konfederaci mszcząc się nad dziedzicem Melsztyna, iż się z nimi połączyć nie chciał, zamek zdobyli i spalili. Podanie o tym napadzie świeżo przechowuje się między ludem, który twierdzi, że tu błądzą duchy...

Wtem w górze ponad nami dał się słyszeć jęk przeraźliwy.

— Aj! Aj! Aj! — krzyknął przeraźliwie Franuś, wskazując palcem w wyłom sklepienia.

Jakaś czarna, duża postać, zawieszona na ścianie u góry wieży, błyszczącemi oczyma patrzała na nas straszliwie.

Stryj pochwycił dubeltówkę, wymierzył i wypalił.

Ogromny puhacz spadł tuż obok ogniska.

— Otóż masz, panie Franciszku, ducha — zawołał podnosząc trzepiącego się puhacza — tylko nie zbliżaj się bardzo, bo cię podrapie.

Wystrzał i zabicie puhacza, dodały serca Frankowi; sam zaczął się śmiać ze swej urojonej bojaźni. Przez długi czas opowiadał nam jeszcze stryj rozmaite ciekawe rzeczy, i dopiero, kiedy północ wybiła na reformackim klasztorze w Zakluczynie, opuściliśmy zwaliska, nie spotkawszy się jakoś z żadnym duchem i w półtorej godziny potem, leżąc w łóżkach, rozprawialiśmy o nocnej wyprawie.

W kilka dni potem trzeba było opuścić piękną okolicę Melsztyna, bo szkoły się zaczynały.

Opisawszy ci moją ostatnią wycieczkę tegoroczną, ściskam cię i życzę powodzenia w naukach.

Twój Walery.

Wł. L. Anczyc.

82. Burza.

Nad Gierlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
Zawichrzonych obłoków; raz w raz ogniem pryska,
Grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
Waląc się, złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się, nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
Łódź wiruje, tak moja myśl wiruje w tobie,
Leci z twymi ptakami o płomiennym dziobie,
Upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się, nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
Wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie;
Pędź, zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
Pędź, duchu, wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się, nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
Uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
Nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
Aż spopieleje cała!... Pędź, demonie burzy!...

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
Myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
Kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
Lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół.

K. Tetmajer.

83. Tatry.

Grzbiety Beskidów stanowią wszędzie naturalną i historyczną granicę między Polską a Węgrami. W dwu miejscach, w których Dunajec i Poprad przebijają grzbiet graniczny, przekroczyła też Polska ku południowi swą Beskidową granicę, zajęła dwie zapadłe kotliny wśródgórskie: Podhale i Spiż, i oparła się o granitowe mury Tatr.

Podhale na północy, Spiż na wschodzie, a Liptów na południu są to trzy zapadnięte lub zaklęsłe kotliny wśródgórskie, otaczające ze wszech stron potężny wał tatrzański. Tatry, piętrzące się ponad sąsiednie kotliny, należą do wewnętrznych łańcuchów karpackich i stanowią ich najwspanialszy człon, zarówno dzięki różnorodności skał, jak też i wysokości, do której wypiętrzone zostały.

Główna cecha budowy Tatr polega na tem, że prawie cały ich grzbiet główny, wszystkie odgałęzienia południowe i liczne północne są zbudowane ze skał krystalicznych. Na północy przypierają do głównego trzonu krystalicznego Tatr liczne warstwy osadowe, powstałe na dnie mórz, które w licznych okresach czasu wkraczało w te okolice, a nawet chwilami zalewało całe prastare Tatry krystaliczne. Skały osadowe Tatr składają się przeważnie z różnorodnych wapieni i dolomitów.

Jak całe Karpaty tak też i Tatry są górami sfałdowanemi. Siła, tworząca góry, wypiętrzyła je w cztery potężne fałdy, t. j., w cztery siodła i tyleż łęków, tak jednak ściśniętych i zmiażdżonych, że współczesna postać Tatr jest przedewszystkiem dziełem sił później działających: wód płynących, lodowców i zwietrzenia. Główny grzbiet Tatr przedstawia linię silnie w trzy łuki wygiętą. Łuk zachodni i wschodni otwarty jest ku północy, łuk środkowy ku południowi. Te łuki wygięły w grzbiecie wody płynące. Do krętego grzbietu przypierają z obu stron liczne, a zwłaszcza we wschodniej części Tatr potężne żebra górskie, czyli grzbiety poprzeczne. Na żebrach południowo-wschodnich sterczą najwyższe szczyty Tatr: Krzywań, Gierlach i Łomnica. Wszakże i żebra nie są jednolite; są one przez drugorzędne dopływy i potoki wyrzeźbione w liczne boczne żebra. Szczególniej silnie rozczłonkowany jest grzbiet Krzywania.

Lodowców dziś w Tatrach niema. Liczne, ale drobne płaty wiecznego śniegu rozrzucone po stokach tatrzańskich zaledwo potrafią ostać się wobec ciepłoty lata. Dawniej jednak były w Tatrach lodowce do kilkuset metrów grube, a do dwu mil długie. Istnienia lodowców w Tatrach dowodzi aż nadto wiele zjawisk; przytoczymy jedno, ale najwy-

mowniejsze. Dolina Stawów Gąsienicowych, zwana też doliną Suchej Wody, wyżłobiona jest w skałach krystalicznych, w granitach; zachodnie jej zbocze jest wapienne. Na tem wapiennem zboczu spostrzegamy mnóstwo olbrzymich granitowych głazów. Jakaż siła zdołałaby z jednego zbocza doliny przerzucić głazy na drugie? Tylko lodowce! Olbrzymie głazy, zalegające masami wnijścia do różnych dolin tatrzańskich (n. p. Kuźnice), to dzieło lodowców. Tu u progu Tatr tajały one i porzucały skały, którychby żadna inna siła nie ruszyła, a które na ich powierzchni zsuwały się ze skalistych grani wnętrza Tatr.

W epoce lodowej były lodowce we wszystkich częściach Tatr; najpotężniej jednak rozwijały się we wschodniej ich dziedzinie. Tam też pozostały najpiękniejsze ślady dawnych lodowców w licznych, uroczych jeziorach tatrzańskich. Jeziora Tatr z czystą, jak kryształ, wodą, mieniącą się wszystkiemi barwami, zwłaszcza jednak seledynu, szmaragdu i szafiru, odbijają w swem źwierciedle całą grozę otaczających je skał. Jeziora tatrzańskie występują przeważnie gromadnie, jednak nie obok siebie, lecz piętrami jedno nad drugiem. Tak nad Morskiem Okiem rozlewa się Czarny Staw, nad Czarnym Stawem pod Kościelcem kryje się Zmarzły Staw pod Zawratem, a w dolinie Pięciu Polskich Stawów piętrzą się cztery stawy jeden nad drugim. Po piętrach spływają wody z hukiem, często w potężnych wodospadach. Najpiękniejsze wodospady Tatr znajdują się w szczelinowej dolinie Roztoki, którą odpływają wody Pięciu Stawów; tam jest Siklawa, tam są Wodogrzmoty Mickiewicza. Jeziora Tatr nie są znaczne; największe, Wielki Staw Polski i Morskie Oko, zajmują obszary ponad 30 hektarów powierzchni; znaczne są za to ich głębie: 50—80 m. głębokości często w nich mierzono.

Lodowce swą rolę w Tatrach już skończyły, lecz postać Tatr ciągle jeszcze rzeźbią wody i powietrze. O pracy wód już wspomniano, jeszcze kilka słów o pracy powietrza. Najpotężniej ona zdumiewa, gdy wiatr halny zaświszcze i zadudni, a spadając z grzbietu w doliny łamie po drodze z łoskotem lasy i toczy z hukiem głazy i skały. Większy wpływ jednak, niż wszystkie wiatry i poświsty,

wywiera zmienność temperatury powietrza; zwłaszcza skutek jest wielki, gdy ciepłota często podnosi się i spada niżej punktu marznięcia. W następstwie bowiem tego woda, przenikająca skały szczelinami, marznie; marznąc rozszerza się i kruszy tym sposobem najtwardszą skałę. W wysokości ponad 2200 m., w której w lecie są najczęstsze przemiany temperatury około punktu marznięcia, najsilniejszy jest skutek tej zjednoczonej pracy wody i powietrza. To też te grzbiety przedstawiają zmurszałą i zdruzgotaną masę skalną, a zdala mają postać poszarpanych dzikich pił lub grzebieni.

Wietrzenie, t. j., praca temperatury i wilgoci powietrznej, działa inaczej w pokładach wapieni. Tam powstają skutkiem tego owe najrozmaitsze formy skał, znane wszędzie w górach wapiennych, tam zbierają się wody w podziemia, tworząc podziemne zbiorniki wód, tam powstają olbrzymie pieczary.

Różnice budowy skał, odmienna wysokość gór, inna też ich postać uzasadniają podział Tatr na trzy części:

1) Tatry Zachodnie aż do przełęczy Liliowej, 2) Tatry Wysokie aż do Kopy Bielskiej, wreszcie 3) Tatry Bielskie na wschodzie.

Tatry Bielskie są wyłączną dziedziną wapieni ze szczytami o jasnej bardzo barwie a śmiałych kształtach. Szczyty najwyższe nie dochodzą 2200 m. wysokości, lodowców nie było tam nigdy, natomiast wody wypłukały rozległe podziemia Bielskich pieczar ze wspaniałymi stalaktytami.

Reszta Tatr posiada potężny, główny trzon krystaliczny. Podczas gdy jednak w Tatrach Zachodnich przypierają od północy rozległe masy osadowych wapieni, to w Tatrach Wysokich brak ich niemal zupełnie. Druga różnica polega na tem, że trzon krystaliczny Tatr Wysokich składa się wyłącznie z twardych granitów, w Tatrach Zachodnich występują natomiast w znacznej mierze miększe łupki krystaliczne, tworzące formy łagodne. Największa różnica jednak w wysokości. Średnia wysokość szczytów w Tatrach Wysokich wynosi 2300 m., a przełęczy 2200 m., w Tatrach Zachodnich jedne i drugie są o 300 m. niższe. W Tatrach Zachodnich mamy tylko jeden jedyny szczyt ponad 2200 m. (Bystra w Kościeliskach), w Tatrach Wysokich wznosi się

35 szczytów ponad 2400 m., w tem zaś 7 ponad 2600 m. To też w Tatrach Zachodnich bawią nasze oko malownicze doliny, jak Kościeliska, lub Chochołowska, w Tatrach Wysokich budzą podziw potężne amfiteatry skał, cudowne widoki ze szczytów, dzikie dolinki skaliste i kotliny górskie ze setką jezior i wodospadów.

Lasy roślinne w Tatrach są podobne do znanych w innych wysokich dzielnicach Karpat. Sroższy jednak klimat Tatr sprawia, że lasy świerkowe nie sięgają tu tak wysoko, jak na Czarnej Horze. Uprawa roli sięga wprawdzie też podobnie, jak tam, do znacznej wysokości, ale przyczyną tego zjawiska jest wola człowieka, Podhalanina, szczególniej gorąco zapalonego do roli, mimo że ona jałowa i kamieniakami przetkana.

Ponad lasami wznosi się w Tatrach dziedzina hal, łąk górskich. Hale są wogóle znacznie lepiej nawodnione od połonin i w tem polega główna różnica między tymi trawiastymi kobiercami gór. Roślinność hal jest też nieporównanie bogatsza w alpejsko-podbiegunowe gatunki, aniżeli roślinność połonin. Wystarczy wymienić tak powszechnie znane kwiecia, jak złotogłów, rozliczne skalnice i szaroty.

Dzika i wysoko-górska kraina Tatr jest też siedzibą kilku tylko tej części właściwych zwierząt. Przechowują się wprawdzie tu i ówdzie w Karpatach jeszcze dzięki ochronie, jaką góry dają, jelenie, ukrywają się tam przed człowiekiem drapieżce, jak ryś, żbik lub niedźwiedź, ale górom wysokim właściwe zwierzęta, jak kozica, świstak, lub halny orzeł przebywają tylko w Tatrach, ponad halami w krainach skał i turni.

Ze skalistych turni tatrzańskich, czarnych borów świerkowych i zielonych połonin Beskidu obniżają się ku północy polskie dziedziny na płaską, bezleśną, stepową płytę Czarnomorską na wschód od Wisły i na falistą, częścią leśną, częścią piasczystą wyżynę Małopolską na zachód od Wisły.

Dr E. Romer.

84. Tatry.

W dali — jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków —
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki, jak sny młodości, mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie Mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni! —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!...

Franciszek H. Nowicki.

85. Skalny motyl.

Szedłem raz w Żelazne Wrota w Tatrach. Za sobą, nad liptowskiemi górami, miałem burzę, która w ceglastosinej chmurze wisiała, bijąc w ciemne lasy złotymi piorunami, pełna grzmotu i ryku. Tatry huczały echem. Nad chmurą była jakby łuna ogromna, krwawa i straszna.

W koło mnie były turnie, nagie, skrzesane, granitowe skały, których nawet mech się nie mógł chwycić. Olbrzymie obeliski skalne strzelały wzwyż z pomiędzy olbrzymich piramid, zawieszając się wierzchołkiem gdzieś w zawrotnej wyżynie.

W dole była otchłań gruzu i łomu, spiętrzone zwały granitów, dzikie, puste i głuche; nad głową niebo przedzmierzchnie, szare i smutne. Nigdzie trawy jednej, nigdzie mchu kępki, tylko łom i gruz, piarg szeleszczący i oślizłe płyty granitowe. Pustka śmiertelna...

W tem zaszeleściło coś w powietrzu: od ściany do ściany żlebu, którym szedłem, przeleciał mały ptaszek, skalny motyl, jak go zwią górale. Z załomu na załom

wzlatywał coraz wyżej i wyżej, ze skały na skałę, aż znikł kędyś w zawrotnej wyżynie wśród iglic i przepastnych łuków.

Tam, w oddali była burza i lasy ciemne, tam niżej na dolinie były miasta i zboża dojrzałe, było życie, był ruch, a ten ptak wszystkiemu daleki, wszystkiemu obcy i niczemu niewidzialny, unosił się tu nad przepaściami w niezmiernej wysokości i w niezmiernej pustce!

Prawda? — Jest coś w duszy ludzkiej, co jest podobne do tego skalnego motyla: lata wyżej, niż burze i niż lasy, niż miasta i zboża, niż życie i ruch, wszystkiemu dalekie, wszystkiemu obce, zaledwie czasem dostrzegalne myśli na chwilę, i tak, jak ten ptak oczom, ginące w jej zawrotnej wyżynie.

Kazimierz Tetmajer (Melancholia).

86. Zawrat.

Przed nami stoją okropne, potargane, czarne, olbrzymie, gdzieś na niebo zachodzące ściany turni. Za nami w dole leży Staw Czarny, okolony poszarpanemi skałami, wśród chropowatej, pooranej parowami, zarzuconej nastroszonymi głazami pustyni, jak wielki pokrowiec z atłasu granatowego ze stalowym odblyskiem.

Przez płat śniegu, leżący między dwoma poczerniałymi odłamami skały, wchodzimy w kotlinę, otoczoną dokoła pustynnemi, ciemnemi ścianami, rumowiskami skał zgruchotanych, wielkimi głazami, oderwanymi od szczytów. Jest to zupełna dzicz kamiennej pustyni, ledwie gdzie niegdzie przerywana bladą zielenią upłazków i suchymi porostami.

Zewsząd zbliżają się ku sobie wielkie turnie, czarne, żłobkowane drogami wód, ciągnącemi się pionowo z góry na dół, jak pełznące po cielsku góry węże. Od strony północnej czarna skała zachodzi w górę, zasłania świat zimna, bezpłodna i surowa. Od południa słońce zamienia granatowy mur w jakąś przeźroczystą zasłonę tak lekką, iż się zdaje, że ją wiatr uniesie. Ślizgające się promienie czepiają się występów skały, błyszczą w źródliskach, jak w dya-

mentach, wszytych w gazę oparu przejrzystego; cienie od turni szczerbatych fałdują błękitnawemi smugami subtelną tkankę światła, unoszącego się w powietrzu.

Po ciemnych ź l e b a c h leżą białe płaty śniegów; gdzie niegdzie słońce rzuca na nie blask ślepiący, a niebo barwi cienie na ciemny szafir.

Zapadły w głębokie zręby granitu, dyszy chłodem Z m a r z ł y S t a w e k. Ponad ciemno-seledynową jego wodą wyzierają białe, jak śnieg, odłamy skał. Z pod nadbrzeżnych głazów, pokrytych rudymi mchami, wycieka zimna struga i z dźwiękiem szklanym spada na powierzchnię ciemnej wody.

Tak muszą wyglądać szczeliny f i o r d ó w i ostatnie krańce Laponii. Czuć tu, że jesteśmy blizko tych miejsc, gdzie »zima siedzi«.

Kiedyśmy jeszcze spoczywali, mijały nas rozmaite towarzystwa podróżnych, dążące na Zawrat.

Ruszyliśmy rozdołem, zasypanym piargami, wśród których leżały małe płaty śniegu, topniejące zwolna w spadających dokoła kroplach wody.

Przed nami w górę szedł skalny kurytarz, między dwiema czarnemi ścianami granitu.

W górze widniał biały płatek śniegu; ponad nim czerniła się skała i małe sylwetki podróżnych na tle jasnego nieba.

Z góry wołano na nas, żebyśmy czekali, aż tamci wejdą na przełęcz, ponieważ mogliby puścić z pod nóg kamień, który niejednego z idących w dole bez wielkiej subjekcyi »zniżyłby o głowę«.

W końcu idziemy, stając gęsiego, przewodnicy i podróżni naprzemian, jeden za drugim, gdyż wąwóz ten nie jest ani tak gładki, ani tak łagodnie pochyły, jak się z dołu wydaje. Po większej części idzie się tak, że nogi idącego naprzód są na poziomie twarzy wspinającego się za nim.

Ruchome głazy, rodzaj żwiru do naprawy jakiegoś gościńca, po którymby jeżdżono mamutami, dźwięczą ostro pod stopą, trą się jedne o drugie, chwiejąc się razem ze stojącą na nich nogą. Więc też idący niżej przytrzymuje często kamień, na którym się opiera poprzedzający go towarzysz.

Jesteśmy u »płatka« śniegu. Widziany z blizka jest on gruby na półtora do dwóch chłopów i trzeba się przedzierać wązką szparą między nim a ścianą skały, często wieszając się na rękach, a u góry wydostawać się tunelem, wytopniałym w nawisłej śniegowej skorupie.

Jeszcze jedno dość trudne miejsce i nagle... doznaje się wrażenia, że z chłodnej i ciemnej piwnicy coś wyniosło i rzuciło nas w błękity nieba i blaski słoneczne.

Ciepły, miękki wiatr obwiewa twarze, oczy lecą gdzieś w dal, szukając oparcia; człowiek zdaje się wisieć nad otchłanią, twarzą na dół.

W pierwszej chwili doznaje się uczucia jakiejś nawały światła i uciekania gdzieś w przestrzeń bezgraniczną świata...

Ledwie ostatni z naszych towarzyszy wydostał się z ciemnej i chłodnej gardzieli źlebu, zaczęła się w nim kłębić mgła i sunęła się szybko ku górze.

Przyszła i zawisła między czarnemi ścianami jak szara zasłona, z pod której spadał na gruzy granitowe mrok wieczoru.

Ktoś patrząc na nią, przypomina Homera i mówi do towarzyszy:

. . . . . Czemu
Świat porzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu?

Siedzieliśmy o parę kroków od wijącej się chmury, która kiedy niekiedy wyciągała długie kosmyki, jak potworne macki, lub ramiona ośmiornicy, obejmowała niemi południową stronę skał, jak gdyby próbując lękliwie, i nagle cofała je i chowała do ciemnego źlebu.

— To bardzo proste — mówił przyrodnik. — Ponieważ temperatura i nasycenie parami wodnemi prądów powietrznych bywają różne po dwóch stronach łańcucha gór, zatem w miejscu ich zetknięcia się następuje osadzenie się wody. Chmura ta nie przyszła znikąd, tylko tu się utworzyła i będzie się tworzyła, dopóki nie nastąpi równowaga w prądach powietrza. Może pan wolisz ją uważać za tajemniczą zasłonę krajów Persefony; co do mnie, samo to tak proste zjawisko wydaje mi się dosyć szczytnem...

Naturalnie nikt nie oponował. Zjawisko było istotnie szczytnem, choćby ze względu na to, że się zjawiło na wysokości 2.174 m. nad poziomem morza.

U stóp, w dolinie, leżało wielkie pawie oko na tle złotego żwiru, — to jeden z Pięciu Stawów, otoczony granitowem rumowiskiem.

Ponad doliną wznosił się wał, okryty zielenią, porozrywaną smugami żlebów i plamami skał jasnych. Wyżej ciągnął się z zachodu na wschód ogromny gmach góry, szarobłękitny, mieniący się opalowymi tonami, poorany żlebami, posypany płatami śniegu. Nad nim sterczał wierzchołek pochylonej piramidy, wznoszącej się potężnym zrębem z jakichś dolin, których dna nie można było dojrzeć.

Za nim bezmiar powietrza, pod nim niezmierne, jasne równiny, fioletowe fale gór dalekich, nad któremi jak piana, odpływały ku krańcom widnokręgu zwały chmur białych, oblanych słońcem.

— Krzywań! — mówił Sabała, wskazując ciupagą na fioletową piramidę.

— Zaś niżej, ten długi, gdzie te ogrody ze śniegiem, to Hruby wirch! hej!

Inni przewodnicy wyliczali kolejno nazwy wirchów, wśród których dziko dźwięczały imiona, jak: Szatan, Furkot, Cubryna, Garłuch...

To wielkie Tatry — zasuwają się jedne za drugie, coraz niklejsze, widne poprzez tonie słonecznego światła, jak szklane tafle lub lodowe iglice.

Wszystko zatapia się w powietrzu, w blaskach, staje się czemś niepokalanie czystem, kryształowem... Oczy spoczywają w tej harmonii barw nikłych, przeźroczystych, pełnych światła.

Bezludna, bezpłodna pustynia, zawalona ruinami świata, otulona w miękkie, fioletowe opary, traci swoją grozę i dzikość i leży pod naszemi stopami, jak ciche, pogodne morze...

Stanisław Witkiewicz (Na przełęczy).

87. Zawrat.

Stanąłem na przełęczy... świat czarów przedemną!
Wzrok zdumiony weń topię — podziw duszę tłoczy...
Dołem — stawy czernieją, jak piór pawich oczy,
W górze — pieśń... ale myślą stworzona nadziemną.

Pieśń runami granitów pisana przedemną!
Skamieniały sen Stwórcy, dumny sen, uroczy!
Tam — ku krańcom pustyni gwiazda dnia się toczy,
Płoną szczyty — tam z głębin wstaje wieczór ciemno.

Siadłem: cisza na górach — oko stawów drzemie,
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzymie.

Wiatr-bajarz lekkim palcem strunę marzeń trąca,
Zwolna uchodzą z serca goryczy ostatki —
O, tu siedzieć i słuchać i dumać bez końca!...

Franciszek H. Nowicki.

88. Wakar.

I.

Ujrzeliśmy olbrzymią zagrodę, pełną ogromnych, rogatych wołów. Obok przed chałupką w ziemi wykopaną, ziemią przykrytą, przed szerokiem ogniskiem z łodyg suchej kukurudzy roznieconem, siedział rozrosłej postaci siwowłosy starzec i dwóch podrostków, pomocników.

Za naszem zbliżeniem się starzec powstał i dopiero w tej chwili ujrzałem tę postać, malującą się w swej groźnej a wspaniałej potędze, na tle jasnego światła, bijącego od ogniska. Popatrzył z nietajoną niechęcią na mundur i wojskową czapkę mego towarzysza Tatara i czystym rosyjskim językiem zapytał:

— Czego tu chcecie? droga tędy nie prowadzi!

— Chcemy przenocować, starcze! — odpowiedział tym samym językiem Tatar.

— Nocować! nocować! Tu nie ma noclegu, tu nie zajezdny dom; szukajcie noclegu gdzieindziej, spokojnym ludziom dajcie pokój.

Poznawszy od razu, że po rosyjsku do celu nie trafimy, wysunąłem się z poza mojego towarzysza i po polsku przemówiłem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem, uchylając czapki.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedział starzec, a zdziwienie, prawie osłupienie odmalowało się na jego pięknem obliczu.

— Cóż wam szkodzi, staruszku, że my tu zanocujemy koło was?

Starzec stał niemy, zdziwiony, nienaturalnie wyprostowany, a snać słowa jakieś cisnęły mu się na usta, ale uczucia inne, w duszy zbudzone, wymówić mu ich nie dozwalały. Po chwili dopiero z obu ócz długo zbierające się pod powiekami łzy trysnęły strumieniami po zaschłych, zmarszczonych policzkach, a usta niezrozumiale prawie szeptały:

— Na wieki wieków, na wieki wieków, amen! amen! — O Boże mój! co to jest? W imię Ojca i Syna i Ducha świętego — mówił, żegnając się — czy to senna mara, czy prawda: wy po polsku Boga chwalicie? Wielki Boże! czy to może być? Któż wy jesteście?

— Nic nadzwyczajnego, mój dziadku, zwyczajni myśliwi z polskiego brzegu; polujemy z tej strony kilka dni już i dziś zapędziliśmy się tak daleko w te stepy; nie mogąc się do żadnej wsi dobić, dowiedzieliśmy się o was i prosimy o gościnność na tę jedną noc.

— Z całego serca, z całego serca! — mówił rozradowany starzec. — Przepraszam — zrazu omyliłem się i myślałem, że to znowu graniczne kozaki.

My tymczasem radzi z jakiego takiego przytuliska, pozsiadalliśmy z koni, rozglądając się ciekawie w około, choć daleko okiem nie można było sięgnąć, bo noc już zrobiła się ciemna, czarna.

— Przenocować to możecie, ale co ja wam dam zjeść?! co wam dam? — biadał stary. — Panami musicie być, do wygód i pańskiego wczasu przywykliście, co wam taki pustelnik, wakar, pastuch dać może? Co jest, musicie przyjąć: i ryba we więcierzu jest i kawałek baraniego mięsa się

znajdzie i wino młode, niedawno tłoczone; więcej nie mam, jak mi Bóg miły.

— Ależ i tego zanadto! — o ognisko i wodę nam szło; resztę, co potrzeba, mamy z sobą wszystko.

Stary zwijał się rzeźko, krzątając się w celu przygotowania dla nas przyjęcia; kiedy niekiedy przybiegał do nas, aby jakie słowo usłyszeć.

— Nie dziwcie się panowie staremu — mówił, mniemając, że staje się natrętnym — nie dziwcie się; człowiek przez dwadzieścia lat z górą swojej mowy nie słyszał prawie, to mu się ona zdaje być rajskiem śpiewaniem.

— Będzie wszystko, wszystko co się przyrządzić dało, byleście tylko nie byli głodni. Żebym to ja był przeczuł, jakich mi Bóg gości ześle — mówił przerywając co chwila i lubując się widocznie dźwiękiem własnego głosu. — Z głodu jednak i tak nie pomrzecie — i znowu pobiegł w stronę, skąd dochodziły aż do nas mołdawskie słowa rozmowy młodych parobczaków.

W ruchach i słowach tego człowieka było coś niepochwytnego, co jednak zmuszało do przypuszczenia, że on nie całe życie krowy i woły pasał. Rozweselony naszem przybyciem, rozradowany widocznie tem, że słyszy około siebie mowę ojczystą, odżył, twarz mu się rozchmurzyła i zdawał się być młodzieńcem prawie; młodzieńczy ogień w oczach mu płonął, młodzieńczy zapał drżał w głosie, tylko białe jak śnieg włosy podeszły wiek okazywały.

— Niech pan co mówi — prosił, zwracając się ku mnie. — O! mów pan; bo mówiąc po polsku, robi pan dobry uczynek tak, jakbyś pan dał najbiedniejszemu żebrakowi jałmużnę hojną. Proszę, nie śmiejcie się ze mnie, że ja, jak dziecko małe, waszemi słowy się bawię — ja tak dawno słów takich nie słyszałem i może znowu, kto wie, jak długo, do śmierci może już ich nie usłyszę...

II.

Wieczerza się kończyła. Posileni mięsem i rybą, rozkoszowaliśmy się doskonałym winogradem. Ognisko niepodniecane tlało blado, ale zato na wschodzie czerwieniło

się niebo krwawo — za chwilę purpurowy, stepowy księżyc się ukaże.

— Starcze! — przemówił nagle mój towarzysz — tyś zapewne nie zawsze krowy pasał, poznaliśmy to odrazu. Prosimy, opowiedz nam koleje twego życia; opowiedz, co cię tu na step zagnało?

— Pragniecie, panowie, żebym wam opowiedział, czem na świecie przedtem byłem? co mnie w stepy na pastucha bydła zagnało? Zawiedziecie się, myśląc, że to jakaś nadzwyczajna historya; nie, nie, to zwykłe dzieje. Nazywam się Peretyatkowicz. Mój ojciec służył u pułkownika Korwina, był marszałkiem dworu, a choć to służba była, ale tak, jak nie służba: lubili się starzy, jak bracia. Stary Jakób był ważną osobą u pułkownika, całą bowiem młodość razem na wojnach dalekich spędzili, a gdy zaczęli sobie przypominać dawne wojskowe zdarzenia, to końca tym opowiadaniom nie było.

Ojciec miał mnie jednego i pan pułkownik miał jednego tylko syna, pana Karola. Z panem Karolem od dziecka rośliśmy razem, w rygorze wielkim trzymani; uczył nas pan Kiersza łaciny, arytmetyki, historyi. Do pana Karola był jeszcze Francuz, ale mnie nie pozwolił pan pułkownik po francusku uczyć; nie bardzom na to narzekał. Uczyliśmy się wspólnie, dopóki pan Karol nie skończył lat szesnastu; potem wyprawił go pan pułkownik do Krakowa do akademii, a później do cudzych krajów za granicę, zwyczajnie jak wielkiego pana, żeby się w świecie ocierał. Mnie, poduczonego trochę, oddano do gospodarstwa.

Po latach dziesięciu różnych nauk i wojażów pan Karol do domu powrócił. Oddał mu ojciec jeden folwark i tak go pułkownik z moim ojcem doglądali, jak mnie w początkach. Ja już wówczas byłem żonaty od lat kilku i miał mię pan pułkownik przy sobie; z rozporządzenia jego dozorowałem wszystkie folwarki — kontrolorem mię zwano. Życie szło spokojnie i wygodnie, dostatek miałem, żonę poczciwą i kilkuletnią jedyną córeczkę — Hanię. Jakoś czwartego roku po powrocie do domu pan Karol się ożenił.

Lata płynęły szczęśliwie aż do pamiętnego roku 1861. Głuche, a coraz straszniejsze wieści między nami cho-

dziły. Pamiętam noc jesienna, taka jasna była, jak dzisiaj; lekki wschodni wietrzyk schnącym liściem szeleścił. Pan Karol na czele dziarskiego hufca, ja przy nim, wyjechaliśmy na całą noc. Konie wesoło prychały i otucha jakaś w sercu rosła. Nie wiedzieliśmy, ślepi, że na śmierć pewną, na niewolę, nie na tryumfy śpieszymy...

Jakoż wyprawa nasza skończyła się pogromem, klęską... Skryłem się w lasach; poczciwi ludziska wygoili, przechowali, przekarmili. Z wiosną, jak dziki zwierz, kryjąc się po lasach, debrach i jarach, w swoje strony się dowlokłem.

I tam żałoba na mnie czekała. Starowina, mój ojciec, zmarł zaraz po naszem wyjściu, po nim żonisko gryzło się, w tyfus nareszcie wpadło i dwóch tygodni nie przeżywszy, na początku adwentu umarło. Córkę moją, Hanię, zabrali, męczyli i — nie swoją śmiercią umarła!...

Cóż było robić? Lada chwila mogli mię pochwycić i w katorgę zagnać; nie było czego doczekiwać: pani oddałem pierścionki, panu zdałem sprawę z naszej wyprawy i o śmierci pana Karola opowiedziałem i opatrzony przez niego, w świat ruszyłem, do mołdawskiej granicy się kierując.

Dwadzieścia lat już minęło, jak tu siedzę. Poczciwe Mołdawiany, dobrzy ludziska, z wiosną na Jura spędzą mi *tamazłyk* (trzodę bydła) na wypas, a po św. Pokrowie po nią się schodzą — nie dokuczają. Ja to im czasem dokuczę. Przez lato poprzezywam im krowy po naszemu: to *kraśna*, to *jagoda*, to *kalina* i bydlęta tak się przyzwyczajają, że na inne dawne miano już do rąk nie idą; przychodzą więc do mnie ich właściciele i proszą, żeby im powiedzieć, jak się teraz ich krowy zowią, i wymawiać się uczą obce słowa. Ja ich uczę i choć czasem polskie słowo wymówię i usłyszę.

A co? prawda? zwykłe, zwykłe u nas dzieje — zakończył starzec.

III.

Dnieć już na dobre poczynało. Wstałem rozejrzyć się po okolicy. Noc przepędziliśmy u stóp wysokiej mogiły, na której szczycie stał mały dębowy krzyżyk, mchem tu i owdzie już porośnięty; poniżej nas w niewielkiem zagłębieniu lśniła

gładka powierzchnia dość długiego stawku, a na prawo powyżej stawu rozciągały się daleko, hen, poza mogiłą, równie, nizkie trzęsawiska, trzciną i sitowiem porosłe. Na lewo opodal na wysokiej płaszczyźnie sterczały rozorane już tu i owdzie resztki okopów — to obóz ongi przez hetmana Zamojskiego pod Cecorą wzniesiony, przez Żółkiewskiego poprawiony, a poza okopami, w odległości mniej więcej dwu wiorst majaczyła wspaniała wstęga Prutu.

Step, jak oko zasięgnąć zdoła, zasnuty był delikatną przędzą białej pajęczyny, na której rosa drobnemi, mikroskopijnemi perełkami skryształiła się; niezrównane to w piękności klejnoty przyrody.

To miejsce z tylu bojów sławne, poranek ten cudowny, bolesna opowieść starca wreszcie do modlitwy mię usposabiały; czułem gorącą chęć westchnienia do Boga.

Zacząłem wdrapywać się na szczyt wysokiej mogiły; za chwilę był już i stary z chłopcami. Uklękliśmy wszyscy. Starzec rozpoczął słowa pacierza powoli, uroczyście, dobitnie. Na słowa modlitwy, przez starca wymawiane, chórem odpowiadaliśmy. Z każdem słowem twarz starego coraz bardziej rozrzewniała się, jakichś blasków duchowych nabierała, głos mu drżeć zaczynał, a w drżeniu tem odbijało się tysiące uczuć, które długo, długo na dnie duszy w uśpieniu leżały, zamierały już może.

Po pacierzu codziennym rozpoczął litanię do Matki Boskiej. Starzec zapalał się coraz bardziej własnemi słowami, głos jego brzmiał coraz donośniej, po szerokim stepie się rozchodząc. Przy ostatnich słowach łzy mu błysnęły; może żal mu było, że już skończył. Żal ten we wzroku mu się odmalował, gdy spojrzał na nas, a oprócz tego żalu było tam i wahanie się jakieś. Po chwili badawczego patrzenia, widząc nas w głębokiej modlitwie pogrążonych, westchnął, wzniósł później głowę w górę i głosem silnym i pewnym zaintonował: »Boże, coś Polskę...«

Zawtórowaliśmy mu i pieśń z serca popłynęła, rozchodząc się daleko po rosie. Głos pobożnego śpiewu drżał w powietrzu, żórawie przestały krzyczeć: postawały na jednej nodze, szyje powyciągały, przysłuchując się ciekawie;

konie uszy w górę wzniosły, grzebiąc w takt pieśni nerwowo przedniemi kopytami czarną, tłustą ziemię.

Grzmiały już, huczały słowa pieśni; głosy złączone ku hetmańskim okopom po równinie płynęły i odbiwszy się od nich, ku nam wracały, by skonać u stóp mogiły.

Pieśń się skończyła i cicho przebrzmiała w końcu. Starzec powstał; zwiędła twarz jego, cała łzami zroszona, wyraz szczęścia prawdziwego przybrała, a był tak wzruszony, że z trudnością mógł mówić; po chwili dopiero przemówił, ściskając mnie serdecznie za rękę:

— Niech Bóg was stokrotnie wynagrodzi! Teraz i śmierć mi lżejszą będzie!...

Z ciężkiem sercem odjeżdżałem. Żal mi było starca, który tu na pustyni, zdala od ojczyzny, zdala od swoich, miał wieku dożywać i śmierci doczekać. Obejrzałem się poza siebie i ujrzałem go jeszcze: klęczał pod krzyżem na mogile, a wiatr igrał swobodnie z białymi jego włosami...

89. Polowanie na sumaka.

Ty śpisz, sumaku, ty śpisz, sumaku,
Między błyszczące rosą czahary?
A tutaj strzelce w stepach Budziaku
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nic słyszy!
Bo milcząc strzelce idą na łowy;
I coraz ciszej
Między parowy,
Pomiędzy trawy,
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy
Pozłaca niebo na wschodzie.

O, jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje!
Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje;
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,

Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną;
I polne róże
Powstają z rosy perłami.

I cicho łowce szli manowcami.
Trzymaj, myśliwcze, ptaka na dłoni,
Zakryj mu oczy złotym kapturem;
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
Niech się nie trzepie, w dzwonki nie dzwoni;
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.
Sokół się chmurzy,
I ociemniony
Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam jakiś szelest: czy to zwierz ruszył?
To nadto wcześnie! to nadto skoro!
O! nie: to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom piszczy, skowyczy.
Skarć, łowcze, charta ręką i sforą.
Pierwej wyśledzić sumaka tropy,
Potem go gończe podniosą głosem,
A potem charty... I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,
Gdzie się kończy ta dolina;
Tam, kozacy, wielkiem kołem
Stójcie cicho, a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, zioła:
W tej dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!

Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła,
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świt płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy.
Oblane złotem świtu burzany
Ognistej barwy kwiatem się palą
I gną się z wiatrem: fala za falą
Przebiega stepy milczące.

Cicho... Wtem trąby zagrały grzmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity
Z brzękiem surm, kotłów okrzyk wesoły,
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
I psy spuszczone jęczą i gonią.
Czekają łowce, wśród strasznej wrzawy
Patrzą na niwy, złocone świtem:
I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony
Przed szybką smyczą
Sadzi przez doły.
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.

I jeden sokół już zleciał nizko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
Już go dościgał... już blizko, blizko...
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę, wpadł na oszczepy,
Drgnął tylko, upadł... A tłum wesoły
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć, co tylko żyje
Pomiędzy trawy. Lecą sokoły,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
Ogary znowu jęczą i gonią.
Czekają łowce. — Wśród kwiatów fali
Znów coś mignęło: to sumak nowy!

Juliusz Słowacki (Żmija).

90. Słowa Henryka Sienkiewicza

przy odsłonięciu pomnika Juliusza Słowackiego d. 14. września 1899. w Miłosławiu.

Opatrzność, tworząc narody, hojnie osypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie, dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Możnaby mniemać, że Bóg tworząc Polaków, rzekł im: Oto, na domiar wszystkiego daję wam śpiż dźwięczny, a niespożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą. I powstała ta mowa, niespożyta, jak śpiż, świetna i droga, jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała, jak grzmot w górach, czasem unosiła się nad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami – błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, Boża, jak modlitwa, słodka, jak miłość. Aż przyszedł wreszcie do tej naszej harfy największy z mistrzów — Mickiewicz i położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, których nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestał grać,

....wszystkim się zdawało,
Że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało....

Echo serc polskich...!

I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt

nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a dokładności nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił — i to jest ten, którego rysy widzicie wykute dłonią mistrza w marmurze.

»Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
U nieba błękitu,
A złota u świtu;
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić i wić i wić«.

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających dyamentów i osypał nimi harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida.

I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić?

A jednak — uczynił.

Zdołał — bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzać czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna.

91. Karol Marcinkowski.

Niezwykły hart duszy, gorąca miłość ojczyzny i bezgraniczne poświęcenie dla dobra ogółu — oto trzy zasadnicze cechy charakteru męża, na którego do dnia dzisiejszego z podziwem i z wdzięcznością spogląda całe społeczeństwo polskie. Imię Marcinkowskiego związane nierozłącznie z Towarzystwem Pomocy Naukowej, które setkom młodzieńców

ubogich dopomagało i dopomaga do tego, iż wychodzą na ludzi światłych, wykształconych, a braciom swoim pożytecznych. Bez Marcinkowskiego — śmiało to twierdzić można — nigdyby chwalebne to dzieło nie przyszło do skutku. Był on jego twórcą, jego duszą i gdyby w życiu swojem nic więcej był nie uczynił, już to jedno dzieło zdolneby było zapewnić mu trwały w sercach rodaków pomnik.

W roku bieżącym (1906) d. 23. czerwca minęło właśnie 106 lat, jak w Poznaniu na przedmieściu św. Wojciecha przyszedł na świat ten wielki przyjaciel i dobroczyńca ludzkości jako syn poczciwych lubo niezamożnych rodziców. W najwcześniejszej młodości postradawszy ojca, oddany został przez matkę, znaną z przywiązania i troskliwości o wychowanie pięciorga dzieci, do szkoły t. z. reformackiej w Poznaniu, skąd po trzech latach w r. 1811. przeszedł do gimnazyum św. Maryi Magdaleny, zostającego podówczas pod sterem uczonego i niepośledniego poety ks. Gorczyczewskiego, byłego Jezuity. Już w szkołach rokował Marcinkowski najpiękniejsze o sobie nadzieje: obdarzony od natury rzadkiemi zdolnościami, odznaczał się pilnością i zadziwiającymi postępami, co mu w każdej klasie jednało zasłużone nagrody. Koledzy, przejęci jego umysłową wyższością, przyznawali mu jednomyślnie pomiędzy sobą pierwszeństwo, a kochali go tak, iż za największą poczytywali sobie chlubę, gdy Marcinkowskiego spotkał jaki zaszczyt, uważając sobie za ujmę, gdyby go odznaczenie minęło.

W r. 1817. kończy nasz Marcinkowski gimnazyum z odznaczeniem i pochwałą. Ówczesny dyrektor tego zakładu, Kaulfus, chcąc mu ułatwić wyższe nauki, wyrobił stypendyum, którego jednak Marcinkowski nie przyjął. Zamożny bowiem obywatel z Poznańskiego, Eustachy Grabski, chcąc się przysłużyć krajowi i przysposobić ojczyźnie użytecznego obywatela, zapisał mu testamentem na ukończenie nauk 1800 talarów. W rzeczywistości wypłacono Marcinkowskiemu tylko 650 talarów, tak, że uczęszczając na wydział medyczny świeżo założonego uniwersytu w Berlinie, dokąd się teraz przeniósł, musiał sobie dopomagać dawaniem lekcyj.

Jak niegdyś w gimnazyum, tak teraz w uniwersytecie wywierał Marcinkowski naokoło siebie taki dobroczynny

wpływ i dziwny jakiś urok, że najlepsi i najzacniejsi koledzy skupiali się około niego jako serdeczni przyjaciele i powiernicy; on ich też porywał swoim przykładem, wszczepiając w nich zamiłowanie pracy i popęd do wszystkiego, co dobre, piękne i wzniosłe.

Uzyskawszy stopień doktora medycyny, Marcinkowski osiedla się w swojem rodzinnem mieście, Poznaniu, w październiku 1823. roku. Dziwna dobroć i szlachetność jego serca wnet wyszła na jaw. Do niedawna żyli jeszcze naoczni świadkowie jego działania, którzy opowiadali, jak to Marcinkowski odrazu zajął się nader gorliwie leczeniem ubogich, jak często to, co mu wpłynęło z zyskowniejszej praktyki, rozdawał tam, gdzie było potrzeba. Pragnąc dopomódz jak najwięcej cierpiącej ludzkości sumienną swoją służbą i umiejętnością lekarską, pracował w jedynym zakładzie leczniczym, jaki Poznań posiadał, to jest u Sióstr Miłosierdzia. Jak tu właśnie w tym przybytku cierpień bolesnych przykuł wszystkich serdeczną miłością do siebie, na to mieliśmy najlepszy dowód, kiedy Marcinkowski opuszczał Poznań w roku 1830., ażeby wziąć udział w walce o niepodległość: w zakładzie Sióstr Miłosierdzia na wiadomość o wyjeździe doktora powstał między chorymi taki płacz i lament, że aż kapelan miejscowy musiał ich uspakajać przypomnieniem, że najwyższym lekarzem i opiekunem ubogiego i sieroty jest Bóg.

Przybywszy na pole zapasów orężnych, Marcinkowski, skromny, jak zwykle, wstąpił jako prosty ułan do szwadronu jazdy poznańskiej i za nic w świecie nie chciał przyjąć wyższej rangi, jaką mu ofiarowano w służbie lekarskiej wojska polskiego. Znalazł się jednak sposób: szeregowiec Marcinkowski otrzymał formalny rozkaz pełnić obowiązki dywizyjnego lekarza i operatora przy głównej kwaterze. Żołnierz rozkazu usłuchał, wyprosiwszy sobie tylko swój prosty mundur szeregowca. Ale go długo nie nosił: w bitwie pod Wielkiem Dębem i Jędrzejowem walczył już w stopniu kapitana, otrzymawszy poprzednio (w bitwie pod Grochowem) złoty krzyż *virtuti militari*. Oprócz czynnego udziału w bitwach i potyczkach niósł pomoc lekarską rannym na pobojowisku z prawdziwem poświęceniem.

Po upadku powstania znalazł się nasz Marcinkowski

razem z tylu innymi na obczyźnie. Ze Szkocyi, dokąd zagnały go losy, bolejąc głęboko nad niedolą ojczyzny, pisze te prorocze niemal słowa: »Jak dalece najpiękniejsze nadzieje nasze spełzły na niczem! A przecież grób i popioły zniszczonych nadziei są świeżej otuchy zadatkiem i kolebką. Duch czasu zedrze despotyzmu zasłonę; mocniejsza przyrodzenia siła nad wszystkie zabiegi sztuki; moc ludzka nie zniszczy tego, co natura dała! Ale ileż to ofiar wymaga ta prosta prawda przyznania praw człowieka i narodu!«

Wreszcie po więcej, niż czteroletniem oddaleniu, w kwietniu 1835. roku wrócił do swoich.

Staje on teraz na czele prac obywatelskich, szereguje około siebie ludzi dobrej woli i jako jedynie mądrą zasadę głosi: »Oburącz chwycić się pracy nad wewnętrznem odrodzeniem narodu i nad zbudowaniem podwalin jego bytu, a takiej pracy żaden rozumny rząd sprzeciwić się ani może ani powinien«.

Trudno w kilku słowach opisać, co zdziałał Marcinkowski w tym kierunku. Zawiązał on Spółkę bazarową, zakładał stowarzyszenia, brał żywy udział w ruchu naukowym w Księstwie Poznańskiem, należał do »Opieki teatralnej«, kierującej ówczesną polską sceną poznańską a zbierającej fundusze na nowy teatr, zasiadał w radzie miejskiej, jako wiceprezydent organizował bezpłatną pomoc lekarską dla biednych mieszczan, w czem koledzy lekarze chętną mu zawsze podawali rękę, wziął na siebie najodleglejszą część miasta, najliczniej przez ubóstwo zamieszkałą: Zagórze, Śródkę i Ostrówek.

Najdrogocenniejszą jednak perłą w koronie jego zasług jest stworzenie Towarzystwa Pomocy Naukowej dla kształcącej się ubogiej młodzieży.

Talent do nauki nie jest przywiązany do imion wielkich i znakomitych rodów, z ubóstwem owszem najczęściej chodzi w parze. Ileż to jednak takich talentów ginie marnie i bez najmniejszego pożytku dla społeczeństwa z tej prostej przyczyny, że nie mają środków pieniężnych na konieczne wykształcenie? Iść pomiędzy uboższe warstwy społeczeństwa, wyszukiwać z zaniedbania takie talenty, z ubóstwem najczęściej w parze chodzące, wspierać i dźwigać

uczącą się młodzież ubogą, zachęcać jej rodziców, wpraszać się nieraz z pomocą, słowem urabiać materyał z gruntu, stało się zadaniem Towarzystwa Pomocy Naukowej, któremu dał życie Karol Marcinkowski.

Wnet po zawiązaniu Towarzystwa, kiedy w ciepłych słowach odezwał się do społeczeństwa, posypały się na ten cel hojne składki. Najwyżsi dygnitarze świeccy i duchowni przystąpili do Pomocy Naukowej, a nawet król niderlandzki (hr. Nassau), oraz książęce i obywatelskie domy za granicą, mające swoje posiadłości w Księstwie. Bóg jeden wie i Marcinkowskiemu to policzy, ile dobrego zdziałało jego Towarzystwo Pomocy Naukowej, ile jeszcze zdziała, skoro wszyscy bez wyjątku ofiarnością swoją składkami na rzecz Pomocy popierać ją zechcą.

Nie błahe to były słowa, któremi kaznodzieja pogrzebowy, ks. biskup Janiszewski, na żałobnem nabożeństwie za duszę Marcinkowskiego z kazalnicy farnego kościoła rozniecał w duszy społeczeństwa wielkopolskiego spółczucie dla osieroconego Towarzystwa: »Wy, przyjaciele i powiernicy nieboszczyka — wołał natchniony mówca — wy, coście go przyciskali do serca waszego, wy, coście głębiej w tajniki duszy jego zajrzeć mogli, wy, coście z nim razem wszystkie prace i trudy dzielili w boju i pokoju, wy, coście z nim razem i czynem i radą wznosili ogromną budowę miłości, Towarzystwo Pomocy Naukowej, ozdobę i pociechę ziemi naszej, wy wszyscy razem, coście zbierali i znosili najdrobniejsze cegiełki i kamyczki do niej, powiedzcie, czyż możecie zapomnieć o tej sierocie, której ojciec odumarł? Czyż tego dziecięcia nie powinniście umiłować, jako Dawid umiłował Jeruzalem swoje? Czyżeście się na grobie przyjaciela waszego nie powinni zakląć słowy psalmisty: »Jeżeli cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomnianą będzie prawica moja!«

Marcinkowskiego strawiła zabójcza choroba piersiowa. Niewygody obozu, kilkakrotne więzienie (w r. 1822. za należenie do związku *Polonia*, drugi raz w r. 1835—1837. za udział w powstaniu, razem 25 miesięcy w ciemnych lochach), tułaczka na wygnaniu, sprzyjały zarodkom choroby, która ostatecznie zmogła mocny organizm.

A jednak będąc człowiekiem obowiązkowym, chociaż słabnął z dniem każdym, chociaż zdradliwe rumieńce suchotnicze paliły się na jego policzkach, wsparty na kiju i ramionach obcych, wspinał się jeszcze ostatkami sił na piętra i poddasza chorych, wówczas już sam śmiertelnie chory. Gdy go zaś siły coraz bardziej opuszczały, a on czuł, że dalsza praca w tych warunkach jest niemożliwą, opuścił Poznań i pojechał do Dąbrówki Ludomskiej, wsi należącej do jednego z najserdeczniejszych swoich przyjaciół, Wiktora Łakomickiego.

Chciał się tam leczyć, ale w rzeczywistości pojechał tam tylko po śmierć.

W wieczór 7. listopada 1846. r. Karol Marcinkowski żyć przestał.

Pogrzeb Marcinkowskiego był wspaniałym wyrazem czci i uwielbienia, jakiem go cała ludność i wszystkie warstwy społeczeństwa otaczały. Ciało wnieśli do Poznania na barkach włościanie. Na pół mili przed miastem czekały na zwłoki nieprzeliczone rzesze wszystkich stanów, wyznań i narodowości, oraz cechy z chorągwiami. Na czele konduktu stanął arcybiskup Przyłuski, który z zastępem ogromnego orszaku duchowieństwa odprowadził trumnę na cmentarz św. Marcina. Dzisiaj prosta tylko, granitowa płyta wskazuje miejsce, gdzie spoczywają ziemskie szczątki wielkiego przyjaciela i dobroczyńcy ludzkości.

92. Burza.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej:
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną nawpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy — i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.

I łany zbóż, co wprzódy kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały, jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony,
Teraz, jak martwe, z niemej wyrazem żałoby
Stoją nakształt posągów sypilskiej Nioby;
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykłe do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka,
I opuszczając strawę, do domu ucieka.
Buhaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta
I snopy zboża kradnie i na zapas chwyta.
Ptactwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnymi kroki,
Czarne oczy kierując na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli.
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała,
Jaskółka czarny obłok przeszywa, jak strzała;
Wreszcie spada, jak kula.

Na zachód jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz poraz prześwisnęło spodem;
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach:

Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemu:
Wznosi się, jak ruchoma piramida, toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz się wydyma, roztwiera ku górze
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę. —
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły, jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach; wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem, to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia:
Noc je z burzą, od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca
I anioł burzy nakształt niezmiernego słońca
Rozświecił twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie,
Znowu zbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

93. Brak woli.

Narodowość czysto polska po wyłączeniu z niej obcych pierwiastków, składa się jakby z dwu słojów: ludu i inteligencyi. Charakter naszego ludu jest normalny, lecz nie rozwinięty. Chłop posiada dosyć proporcyi między myślą, uczuciem i wolą, lecz władze te znajdują się dopiero na szczeblach najniższych. Ma on bystre zmysły, sprawne organy biologiczne, zdrowe kości i mięśnie; umie robić proste spostrzeżenia, nie jest nadwrażliwym, nie ma pamięci prze-

ładowanej frazesami... Słowem — jestto zagłodzony, lecz zdrowy, uczciwy i zdolny barbarzyńca, który jeszcze nie dorósł do idei najwyższych ani nawet do twórczości duchowej. Wymownym dowodem braku twórczości jest zasklepienie się w pracach wyłącznie wiejskich i brak ducha inicyatywy.

Wszystko to jednak lud nasz może zdobyć przy dobrobycie i przy reformatorskiej pracy przedewszystkiem w łonie klas inteligentnych; nasze bowiem klasy oświecone stanowczo muszą zreformować swój własny charakter, co jest sprawą zupełnie możliwą, a bez czego będzie z nami coraz gorzej.

Bo jakiż jest dzisiejszy charakter naszej inteligencyi?

Oto panującą władzą duszy jest uczucie, a panującym ideałem — szczęście; stąd zaś najwyższą ideą dla nas jest użycie!

Nasze niedole wypływają wprost z wadliwego charakteru. Naszą narodową trójcę stanowią: uczucie, szczęście i użycie, a tymczasem świat wymaga innej trójcy: woli, użyteczności i pracy! Z rozpanoszenia się uczuć i nieokiełzanego popędu do szczęścia wynikają w dalszym ciągu: nadwrażliwość, idealne poglądy na świat, nieustanne wahanie się między wybuchami radości i rozpaczy, pociąg do bezgranicznej swobody, jaka nigdy nie istniała w życiu, i stanowczo za wielki rozwój indywidualizmu. Dzięki wiekowemu zaniedbaniu myśli nie posiadamy np. pociągu do filozofii; owszem naszymi bogami są ludzie, którzy z niej żartowali. Instynkty zaś naukowe dopiero w ostatniem pokoleniu rozbudziły się po to, aby w końcu w. XIX. uledz nowemu zachwianiu! Nareszcie brak woli robi nas bardzo podrzędnymi pracownikami w rodzinie ludów europejskich.

Oto, jak wygląda gmach polskiej duszy: wszystkie cegły zużyto na zbudowanie uczucia, lecz i w niej brakuje najwyższego piętra, t. j., wielkich namiętności. Za to najniższe piętra są zbyt dobrze rozwinięte: gust do jedzenia, picia, palenia tytoniu i t. d.

Wymienię kilka przykładów, ażeby wskazać, jak dalece wśród nas jest zaniedbana władza woli.

U nas dziecko nieco zamożniejszej rodziny wzrasta w tem pojęciu, że praca fizyczna jest nieszczęściem, jeżeli

nie hańbą. Synowi, który nie lubi się uczyć rozmaitych gramatyk, ojciec grozi, że »będzie musiał ciężko na chleb pracować...« Gdy zaś chłopak jest wielkim próżniakiem, wówczas stroskany rodzic woła: »Gałganie! będziesz buty czyścił!«

Poczciwiec, nie słyszał, że np. w angielskich internatach nawet młode książątko z obowiązku czyści buty nie tylko sobie, ale i starszemu koledze, o ile ten ma nad nim władzę »bursza« nad »fuksem«.

U nas tylko bardzo ubogie rodziny nie wyręczają się w codziennych zajęciach sługami. W Niemczech i Francyi rodziny wcale zamożne obchodzą się bez stałej sługi. W pewnem miasteczku szwajcarskiem wynajmowałem za 20 franków na miesiąc pokoik, którego właścicielka sama zamiatała i słała łóżko u mnie. Była to zaś pani krociowa! I bynajmniej nie robiła tego przez skąpstwo, lecz ze zwyczaju, przez nałóg do pracy...

Osłabienie woli wśród klas inteligentnych miewa formy niekiedy komiczne. Ileż to razy właściciel stuwłókowego majątku, wzywa do siebie »Moszka«, który nie ma całych butów i z ufnością w powodzenie operacyi poleca mu — wydobyć skąd kilkaset rubli. No, i »Moszek« nie tylko nie waha się załatwić interesu, ale nawet znajduje kredyt tam, gdzie pan już go wyczerpał! Bardzo często przyczyną powodzeń »Moszka« jest to, że »Moszek« natychmiast siada do biedki i bez względu na mrozy czy słotę jedzie szukać pieniędzy, podczas gdy panu, nawet w najpiękniejszy dzień, nie chce się podźwignąć z kanapy...

Należy więc pomyśleć o wyrobieniu sobie nowego charakteru i zmianie dotychczasowych trybów życia.

Ale czy zmiana taka jest możliwą? — Stanowczo jest.

Pewien psycholog twierdzi, że każdy człowiek posiada jakby trzy warstwy charakteru: 1) uzdolnienia wrodzone (np. piękny głos, geniusz matematyczny, silna wyobraźnia...), 2) uzdolnienia nabyte (nauka języka, rzemiosła, nałogi, jak np. picie wódki, palenie tytoniu, późne wstawanie, grywanie w karty, próżnowanie i t. d.), 3) uzdolnienia, które chce posiadać, a których liczba jest nieskończona. Jeżeli bowiem np. głuchoniemi mogą rozmawiać, a ślepi grać na fortepianie,

nawet rzeźbić, to na prawdę niepodobna wskazać granicy tym uzdolnieniom, jakie człowiek może w sobie wyrobić, prawie stworzyć!

Na pozór najtrudniejszem zadaniem byłoby przerobić tak zwane »lenistwo naszego ludu«, a właściwie jego jakoby niezdolność do długiej i ciężkiej pracy. Otóż nawet ta społeczna choroba mojem zdaniem należy do uleczalnych. Lekarstwem zaś byłaby: 1) nauka wiejskich rzemiosł, 2) poprawienie żywności ludu. Z tego powodu ludzie, którzy zaszczepiają rękodzielnictwo między włościanami, albo którzy uczyliby ich jadać grochy, fasole i mięso zamiast kartofli, ci ludzie byliby prawdziwymi patryotami, nie zaś ci, którzy zajmują się wygrywaniem sielanek na uczuciowej dudce... »Uczucia« posiadają nawet idyoci, nawet psy i koty; lecz dopiero człowiek w podniosłem znaczeniu tego wyrazu posiada »rozum« i »wolę«, których się boimy jak śmiertelnego grzechu. A oto przykład, wskazujący wartość reformy pożywienia. Pierwsze koleje we Francyi budowali robotnicy angielscy. Gdy zaś przedsiębiorca wziął Francuzów, ci po kilku dniach pracy omdleli i nie mogli robić dłużej. Zwyrodniała rasa, czy co? — pytali przerażeni kierownicy robót. Wówczas jeden z nich spostrzegł, że wytrwali Anglicy żywią się mięsem, a wątli Francuzi jadają tylko pokarmy roślinne. Kazał tedy żywić mięsem i Francuzów, którzy po kilku tygodniach zrównali się w robocie z Anglikami.

Oto jeden z najświetniejszych przykładów, że człowiek, a nawet cała gromada ludzi może pozyskać nowe zdolności, które pod pewnym względem jakby zmieniają charakter. Z bezsilnego lenistwa utworzyć dzielnego pracownika, czy to nie jest cud?

Z tego, co mówiliśmy, wypada, że w charakterze polskim uczucie rozwinięte jest za silnie, a wola za słabo, i że charakter ten musimy poniekąd przerobić. Zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób dokona się ta przemiana?

Małe wyjaśnienie. Kiedy mówię, że w nas, Polakach, zanadto jest rozwinięte uczucie, to bynajmniej nie znaczy, że — wszyscy jesteśmy nad miarę uczuciowymi, a żaden Polak nie potrafi myśleć ani działać... Owszem, wiemy do-

skonale, że u nas, jak i wszędzie, nie brak ani jednostek bez serca ani z drugiej strony myślicieli i działaczów, bez których najmniejsza praca w społeczeństwie byłaby niemożliwą.

Zarzut nadmiernej uczuciowości znaczy tylko to, że najpierw ludzi energicznych i umiejących samodzielnie myśleć znajduje się u nas, jakby procentowo, mniej, aniżeli np. między Anglikami albo Niemcami, i powtóre, co jest najważniejszem, że wśród naszej opinii publicznej prąd uczuciowości jest jakby modnym, podczas gdy prądy umysłowe i akty woli uważane są za coś gorszego.

Nasza uczuciowość nie dlatego razi i przynosi szkodę, że istnieje, ale dlatego, że — istnieje samotna. Gdybyśmy obok uczuć posiadali równie dobrze rozwiniętą myśl i wolę, należelibyśmy do ras najdoskonalszych w świecie.

Z powyższej uwagi wynika pierwsza rada: »Nie należy tępić uczuć, bo to wreszcie na nicby się nie zdało, lecz należy rozwijać myśl i wolę«. Uczucie wyłączne jest niewątpliwie wadą, jak wadą byłaby wyłącznie panująca myśl albo wola. Nie zapominajmy jednak, że owo uczucie jest zarazem władzą duszy, a więc skarbem bez ceny. Człowiek, który nie miałby nawet uczucia, nie byłby istotą duchową.

Nie burzmy więc gmachu uczuć, czego zrobić nie podobna, lecz — dobudujmy dwa inne gmachy: myśli i woli.

Jakże wyrobić sobie wolę?... Prawie tak samo, jak wyrabia się umiejętność gry na fortepianie, jazdy rowerem, fechtunku i t. d., a więc za pomocą ciągłej wprawy i umiejętnie uporządkowanych ćwiczeń.

Zwróćmy uwagę na gmach woli. Fundamentem jego są organy ruchu, a przedewszystkiem ręce i nogi. Kto więc chce kształcić swoją wolę, musi zacząć od organów ruchu, dbać o ich zdrowie i siłę i wyrabiać ją za pomocą ćwiczeń gimnastycznych. Gimnastyka jednocześnie doskonali odruchy, jak: chodzenie, bieganie, skakanie, wdrapywanie się, chwytanie, rzucanie i t. p. ruchy elementarne, z których składa się każda praca.

Wielką pomocą w doskonaleniu ruchów i w ogólności woli jest naśladowanie ludzi, którzy wybornie umieją jakąś czynność. Bodaj, że na tej drodze nabywamy każdej

wprawy, począwszy od jedzenia zupy łyżką, tańca, jazdy konnej, a kończąc na rękodzielnictwie, grzeczności, ba! nawet bohaterstwie...

Tym sposobem dzięki wprawie i naśladowaniu, rozumie się, dobrych wzorów możemy zdobyć mnóstwo nałogów i zwyczajów, którymi nasza wola będzie posługiwała się, jak biegły fortepianista klawiszami.

Dla utrzymania się na bezludnej wyspie i zdobycia drobnych wygód Robinson musiał pływać, wdrapywać się na skały, gonić zwierzęta, strzelać, rąbać drwa, krajać, szyć i wogóle wykonywać tysiące czynności. Gdyby ich nie umiał, czyli nie uprawiał odpowiednich nałogów, po kilku tygodniach strachu i głodu zakończyłby nędzne życie.

Jeszcze wyższe piętro woli stanowią sposoby. Polegają one na kombinowaniu ruchów najprostszych dla osiągnięcia jakiegoś celu. Np. w celu »pisania« trzeba ująć pióro w pierwsze trzy palce prawej ręki, umaczać je w atramencie i kreślić proste i krzywe linie, powiązane ze sobą w pewne kształty. Gdybyśmy chcieli pisać na maszynie, musielibyśmy wykonywać szereg innych elementarnych ruchów, np. osadzić kartkę papieru w maszynie, posunąć ją do wysokości wskazówki, uderzać palcami w klawisze, cofać walec i t. p., czyli przy pisaniu na maszynie używa się innych sposobów, aniżeli przy pisaniu piórem.

Najwyższem piętrem woli są cele, czyli ideały, które chcemy urzeczywistnić i wywołać bądź w nas samych, bądź w naszem otoczeniu.

Wszystkie owe ćwiczenia, wprawy, naśladownictwa, nałogi, przedsiębiorą się dlatego, ażeby zrobić człowieka zdolnym do czynu.

Czyn zaś jest to praca wszystkich władz duszy ludzkiej, skojarzonej z przedmiotami zewnętrznymi, dla osiągnięcia pewnego pożądanego skutku.

Do czynu wchodzą następujące elementy: czynnik czyli osoba działająca, biernik czyli przedmiot, na który działamy, środki czyli narzędzia, za pomocą których działamy, a nareszcie rozmaite przeszkody i pomoce, z któremi spotykamy się w ciągu działania. Rzeczy, powyżej wymie-

nione, są jakby ciałem czynu; jego zaś duszę stanowią: pobudka, cel, plan, sposoby, rezultaty i ocena.

Niektóre z wyliczonych tu pojęć choćby pobieżnie należy określić.

Pobudka jestto uczucie, które chcemy zaspokoić i dla którego przystępujemy do czynu. Bez pobudek nie byłoby czynów, innemi słowy — bez uczuć nie byłoby czynów. To pokazuje nam, jak olbrzymią rolę w życiu odgrywają uczucia, byle — nie kończyło się na nich!...

Pobudkami mogą być równie dobrze duma, jak miłość, jak głód, jak ciekawość, pragnienie, radość i t. d. Mogą być niemi i uczucia negatywne: wstyd, nienawiść, bojaźń i t. d. W każdym jednak razie pobudki negatywne nie są korzystne, prędzej bowiem czy później wywołują szkodliwe następstwa.

Jednem z najważniejszych uczuć jest odwaga, bez której człowiek nie tylko nie puści się śladami Nansena w podbiegunowe pustynie, ale nawet nie potrafi przejść pokoju. Odwaga nie zależy na rzucaniu się w wir niebezpieczeństw, ale na tem, ażeby nawet w najgorszej sytuacyi robić, co należy, i nie myśleć o niebezpieczeństwie.

Człowiek powinien posiadać cały szereg środków, odwracających jego umysł od obrazów strasznych i paraliżujących energię. Szczęśliwym jest ten, który jak powiedział Mickiewicz — »modlić się umie«...

Czem jest cel, już wiemy: jest on ogniskiem, dokoła którego grupują się wszystkie elementy czynu. Cele bywają małe, n. p. zjeść obiad, nieco większe, n. p. stworzyć sobie dobrobyt i — bardzo wielkie, n. p. zbogacić, oświecić lub wychować społeczeństwo. Krótko mówiąc, istnieje prawie nieskończony łańcuch celów, na którego jednym końcu leży choćby — przyszycie guzika albo starcie kurzu ze stołu, a na drugim na przykład — utworzenie cesarstwa niemieckiego, jak to zrobił Bismarck i cały legion jego pomocników.

To nieskończone bogactwo celów ludzkich można jednak pomieścić w dziewięciu grupach. Bywają zatem cele religijne, filozoficzne, państwowe, naukowe, społeczne, techniczne, artystyczne, sportowe i dobrobytowe.

Cele, plany, obmyślanie sposobów i nareszcie ocena rezultatów, są to już prace czysto umysłowe, które wymagają równie dobrze wiedzy, jak chłodnego rozsądku i ruchliwej wyobraźni.

Z tego króciutkiego wyliczenia łatwo pojąć, że czyn jestto najpiękniejszy owoc duszy, w którym kojarzą się wola, myśl i uczucie. I gdyby mnie zapytano: jaki jest najlepszy sposób, ażeby charakter człowieka rozwijał się harmonijnie? — odpowiedziałbym: »Ciągle, nieustannie spełniajcie użyteczne czyny. Rozniecajcie w sobie szlachetne pubudki, stawiajcie cele — z początku małe, później coraz większe, obmyślajcie plany, wprawiajcie się do sposobów, oceniajcie rezultaty... Na tej drodze wyrobicie w sobie mnóstwo dobrych nałogów i nieznacznie — rozwinięcie woli«.

Wstawać rano o kwadrans wcześniej, zjeść o jedną łyżkę mniej, powstrzymać się od drobnego wydatku, pójść na przechadzkę o godzinie, którąśmy sobie wyznaczyli przed tygodniem, złożyć wizyty, kiedy się nie ma ochoty, oto drobne zwycięstwa, po których możemy przystąpić do wyplenienia z siebie złych nałogów, a z czasem — ważyć się na czyny bohaterskie.

Czy to są trudne zadania?... A przecież mogą zmienić charakter!...

Bolesław Prus (Al. Głowacki).

94. Sclavus saltans.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy
Na zgniłej słomie, wpółnadzy i bladzi,
Wypoczywają, zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! On swoje obole
Wie, na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak amor każde u niego pacholę,
A mąż — gladyator: choć dzisiaj w arenę!
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos, jak lwie grzywy,
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągać w cięciwy!
Przepyszny towar! — Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: »Wstań, bydlę! twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą

I ryknął wściekle: »Nie budź niewolnika!«
Co za głos! Wstrząsła się podziemna cisza,
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: »Nie budź burzy!«
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: »Przez Herkula! wszak on na łańcuchu!«
Lecz biesiadnicy cofali się żywo.
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada.
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy albo Numidy!
Łzy — to zbyt wiele i łzy — to zbyt mało...
Goście milczeli; z zapałem artysty
Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
Określa kontur pogodny i czysty.
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To »sclavus saltans«, Słowianin wpół dziki;
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki.
Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie,
Skacząc zapomniał, że łańcuch go więzi...
— Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

Marya Konopnicka.

95. Łaciarz.

Judka od kilku dni już pracował u pana Onufrego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem uszył śliczną salopę dla pani Onufrowy, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Onufrówny, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Brygidy, obłatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec tej nocy miał skończyć arcydzieło — palto dla samego pana Onufrego.

Za to wszystko oprócz fury drzewa i prowizyi w naturze, prowizyi, którą pan Onufry przyrzekł solennie od-

stawić własną furmanką w przyszłym tygodniu, Judka miał otrzymać w gotowiźnie rubli srebrem cztery.

Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć na termin.

— Słuchaj, żydzie — zapowiadał pan Onufry — płacę ci, bestyo, po pańsku, ale pamiętaj sobie, żeby mi na piątek raniuśko paltot był — bo ja *przez* lepszego odzienia na odpust nie pojadę.

— Kiedy proszę jeg*i*mości — tłómaczył się Judka — niech jeg*i*mość uważy, co ja *bez* ten tydzień prawie nic nie spałem...

— A to czemuś czeladnika sobie nie przyprowadził?

— Co tu czeladnik ma robić, kiedy ja sam zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć jak chcesz — aby było...

— Nu — to już ja zrobię, ale niech jeg*i*mość jeszcze doda choć pół korca ziemniaków dla dzieci*ów*... niech jeg*i*mość kochany nie żałuje, teraz taki czas ciężki...

— A niech cię marności!... dobrze, dam ci, ile udźwigniesz, abyś mi tylko zrobił — jeszcze ci u sąsiada robotę narajȩ.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą: przesiedzi już czwartą noc z kolei przy pracy — ale za to dostanie, oprócz zapłaty umówionej — pół korca ziemniaków, a i obietnica nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie, a on już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas słabo mu się zrobiło. Barwne koła zamigotały przed oczyma z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czernieć zaczynały... Wtenczas Judka według zwyczaju swego poratował się kieliszkiem wódki i gryzącą cebulą z chlebem. Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować zamierzał, zerwała się ze swego posłania Brygida i rozpaliła na kominie ogień, przy którym całego cielaka upiecby można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — żydzisko *pazerny* na zarobek, k*iej* jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda bied*ność*, proszę jejmości, jest bardzo *pazerna* — odpowiedział jej Judka — ale właśnie *bez* to, co ona taka *pazerna* jest, to jeg*i*mość będzie na odpuście wyglądał, jak

sam jaśnie hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest *rarytny* interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała paltot, zganiła trochę szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy rada była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancyi, a kiedy rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladłą, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe jak u królika — to jej się żal żyda zrobiło i rzekła:

— Może ci jeść co dać, boś jakoś kaducznie kiepski, mój Judko.

— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu mogę jeść? Mnie nie wolno tego, co państwo jedzą.

Baba przyznała mu słuszność.

— Co wiara, to wiara — rzekła — zaw*dyk* trza swego zakonu pilnować.

I potem otworzyła szafkę, nalała kieliszek wódki i postawiła na stole.

— Naści — rzekła — to ci wolno przecie!

Drugi już z kolei kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki... Judka orzeźwił się, na twarz jego wystąpiły silne rumieńce, wpadł nawet w dobry humor. Dowcipkował, przymierzając workowate palto i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego.

— Cóż Małgosiu? — zapytał świeżo ustrojony szlachcic — podobne to odziewadło do czego?...

— No, niby niema co gadać, sprawny żyd — porządny *statek* ci uszył.

— Niech jeg*i*mość sam uważy, jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki *fajn* palto! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! *Aj waj*, jeg*i*mość tak wygląda, jakby miał na wiel*g*ie wesele jechać — ja zaro*bia*łem *m*oje pół korca ziemniaków...

— No, słowo się rzekło... dam, odeślę ci z tem, com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek; niech mi jeg*i*mość da dzisiaj choć ćwiartkę dla moich dzieci*ów* — ja wezmę z sobą do domu. *Uni* tam pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką *fajn* robotę, niech *uni* sobie zjedzą tę trochę ziemniaków!

Szlachcic zaprowadził żyda do kopca, pomógł mu na-

sypać w worek dobrą ćwierć ziemniaków — potem wręczył umówioną zapłatę i rozstali się.

Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust. On w pali tocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczystą minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała jak mały.. stożek siana. Judka poszedł pieszo. Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym oprócz ziemniaków znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka. Na drodze szkaradne błoto było. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z poza której wychylały się wyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych. Do miasteczka było blisko dwie mile, a Judka *potrzebował* stanąć tam przed mrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć. Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że go może jaki chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze. Przecież go wszyscy znają w tej okolicy... Żeby mu lżej iść było, zawinął poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon wlókł się po błocie, ilekroć było głębsze. Nie łatwa to rzecz iść pieszo -- po wyboistej drodze, pełnej grzęzkiego błota, zwłaszcza gdy się dźwiga ciężar stosunkowo dość znaczny... O nie łatwa! ale Judkę popychało do domu szczęście wielkie. On miał taki śliczny tydzień — tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i trochę prowizyi — w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble, a na plecach niesie ćwierć ziemniaków! Z takim sutym zarobkiem warto przecie śpieszyć do domu!

Szedł więc drogą i dumał.

Z początku myśli jego skupiały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał, co może kupić za owe cztery ruble, oraz, ile jest też warta fura drzewa i prowizya, którą ma dodatkowo otrzymać... Myśląc o tem, szedł bardzo szybko, tak dalece szybko, że uczuł, iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła go palić... Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi; zażył tabaki i zaczął się oglądać, czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża... Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł. Jak mógł okiem zasięgnąć, droga była zupełnie pusta... z przeciwnej tylko strony jechało fur

kilka; dziad kulawy, wziąwszy kule pod pachę, śpieszył na odpust, a biegł zamaszyście, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści. Wszyscy w tamtą stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrową i zaczął o niej rozmyślać. Sam powiedział, że bied*ność* jest *pazerna* i chciwa — a przez to, że bied*ność pazerna*, bo głodna wiecznie, bogaci mają uszyte ubranie. To prawda jest, myślał, bieda to brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata: on bije, bardzo mocno bije. Koń u woziwody dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale za to ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes — ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? — Bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać szabasowej uczty ani wydawać córek za mąż.

Judka chciał już zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli. Fe! cóż znowu! Koń jest bydlęciem, a on pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego rebe Jojny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do przodków sławnych. Nie, łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu!

Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę. Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy bezmyślnie w mgłę szarą, stawia krok za krokiem automatycznie, ale kroki są coraz wolniejsze. Nogi ociężały, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał — nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewne i zakreślają łuki, jak u pijanego. Wszakże Judka nie jest pijany, on czuje się tylko słabym nieco... Ale to bagatela, to przejdzie; jemu to nie pierwszy raz się zdarza... O! wieleż razy tak było! Jest to tylko senność. Senność, przy której trochę głowa boli i dreszcze przebiegają po ciele. Czasem bywa z tego interesu choroba, a czasem tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego przyzwyczaić —

zresztą może furmanka się trafi... Niestety, nie widać. Pół drogi już przeszedł, lecz cóż to jest? — miasto nie przybliża się wcale, owszem zdaje się nawet oddalać — a worek strasznie ociężał. Czyżby szlachcic zamiast ćwiartki ziemniaków wsypał w niego grochu? Nie — to ziemniaki istotnie. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą — ale czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież, jak je brał na plecy, nie wydawały się takiemi i spać mu się tak nie chciało, jak teraz. Powieki opadają bezsilnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć koniecznie... niepodobna iść dalej... Na szczęście jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy, zeschła, pożółkła trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny, szeroki, świadczy o tem. Doskonałe miejsce do wypoczynku. Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórku.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wymknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa niemasz. Przed zachodem zajść można.

Judka siadł i rozmyśla, dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi, co mdleją? Dlatego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem... I to jest prawda... Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie na przykład znakomite nogi ma każdy faktor: jak on lata za geszeftami, jak zając! Ale za to on nie potrafi uszyć *fajn* warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy. Już takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem. Judka się cieszy talentem. Liczy w myśli kapoty, jakie uszył w ostatnich czasach: były to śliczne kapoty! Potem zgaduje, co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas, w tym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił, to musiał być bardzo mądry... O tak!...

Myśli Judki sięgają w przeszłość — jak w kalejdoskopie tworzą się w nich coraz to nowe obrazki... Cała historya życia staje przed oczami — czuje, że mu słabo — skąd znów?

To znużenie, sen dopomina się o swoje prawa. Głowa opada na piersi, cały korpus pochyla się nareszcie mimo-

wolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął... Dwie wrony, krocząc, zakreślają koła. Nareszcie siadły na zagonie i z daleka, przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu. Potem wzlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, kraczą krzykliwie... Dziwi ich zapewne, dlaczego ten żyd śpi przy drodze? — Że nie umarł jeszcze, wiedzą dobrze — ba! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi — po drodze chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy, siedzi pan Jacenty, ekonom z sąsiedztwa, fornal Grzela powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój, Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno, kto tu leży...

Grzela wstrzymał konie.

— A *dyć* to, panie, chyba żyd...

— Czy pijany? czy chory?

— E panie, może umarły, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć; jak żywy, to go weźmiemy na furę, a jak trup, to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Panie! to *je* losicki żyd, Judka, ale *musi* żywy, bo krzynkę jesce dycha.

— Żydzie, Judko! — krzyknął pan Jacenty — a nie słabas to na ciebie, bestyo!

Na ten wykrzyknik Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczami i na razie nie mógł zmiarkować, gdzie jest i co się z nim stało.

— A *dyć* siadaj, bestyo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Losic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi, skąd idzie.

— Ale też żeby tak zaś paść przy drodze, jak nieczłowiek — rzekł, jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jegimości — odpowiedział Judka — między nami

jest takie gadanie, *co* kura nie ptak, koza nie b*i*dło, a krawcy nie ludzie.

— Jak to nie ludzie? A cóż ty jesteś?

— Nu, niby *u*ni ludzie, a nie tak, jak ludzie, krawcy tylko...

— Ale baj baju, będziesz w raju! A któż ci kazał, żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?

— Nikt mi nie kazał, tylko widzi jeg*i*mość, każdy człowiek potrzeb*no* żyć... Krawiec też musi żyć trochę, a jak *u*n chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć, to jest bardzo prosty interes...

— To ci *ż*yd *śpekulantny* — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestya swój wykręt!...

. . . . . .

Przy osobnym, nakrytym stole, w parę godzin później, siedział Judka, ubrany w nową kapotę i śpiczastą czapkę z futrem.

Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajla, ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet, ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtemi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami zaprawionej ryby. A ten mąż i pan i głowa swojej rodziny myślał o tem, jaki świat piękny, kugiel smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony!!!

Tyfusu nie dostał, bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą czasem... gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai.

Klemens Junosza.

96. Polonez.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza
I zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha:
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi
I zaśmiał się nakoniec: rad z jej odpowiedzi,
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa.

Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady;
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zewsząd obwijają tanecznymi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was! zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim...
Brzmią zewsząd okrzyki:
»Ach, to może ostatni, patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!«

I szły pary po parze, hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

97. Henryk Schliemann.

I.

Schliemann urodził się w mieścinie meklemburskiej *Neu-Buckow*, w dniu 6. stycznia 1822. r. W rok później ojciec jego, pastor protestancki, przeniósł się do wioski *Ankerskagen*, położonej również w W. Księstwie meklemburskoskwierzyńskiem. Był on zapalonym wielbicielem historyi starożytnej, opowiadał więc synowi o Herkulanum i Pompei i o bohaterach trojańskich. Już w r. 1829. na gwiazdkę obdarzył siedmioletniego syna jakimś illustrowanym podręcznikiem historyi powszechnej. Między innymi znajdował się tam obraz palącej się Troi z kolosalnymi murami i bramą Skajską; było też w nim widać uciekającego Eneasza, jak dźwigał na barkach starego ojca, Anchizesa, a syna, Askaniusza, za rękę prowadził. Obraz ten zapalił do tego stopnia wyobraźnię młodego chłopczyka, że marzył tylko o Troi i już wtenczas bawił się myślą, że ją kiedyś w przyszłości odkopie.

Rodzina pastora była liczna. Matka, umierając, kiedy Henryk liczył lat dziewięć, pozostawiła siedmioro dzieci. Dochody parafii nie wystarczały na wychowanie tak licznego potomstwa. Henryka oddano w opiekę wujowi, pastorowi w *Kalkhorst*, gdzie się przygotował do tercyi gimnazyalnej. Lecz tylko przez 3 miesiące dozwolone mu było uczęszczać do tej klasy w *Neustrelitz*. Musiał niebawem przejść do niższej szkoły realnej, a po ukończeniu jej pracował w sklepiku w miasteczku *Fürstenberg*. Tutaj spełniał posługi kupczyka: sprzedawał cukier, masło, śledzie, świece łojowe, mełł ziemniaki dla gorzelni, zamiatał nawet izbę sklepową.

Pewnego wieczoru zjawił się w sklepie jakiś czeladnik młynarski, także syn pastora, były uczeń gimnazyalny; z powodu niewłaściwego zachowania się musiał był jako uczeń najwyższej klasy zakład opuścić przed złożeniem egzaminu dojrzałości. Pomimo nałogu pijaństwa i ciężkiej pracy zawodowej zatrzymał on w pamięci ustępy z Wergiliusza i Homera i lubił je deklamować. Schliemann nie nauczył się w szkole realnej języka greckiego, nie mógł

zatem rozumieć tekstu Homerowego; ale melodyjne brzmienie stu wierszy, które mu młynarczyk zadeklamował, tak silnie na niego oddziałało, że za kilka groszy, stanowiących cały jego majątek, kupił mu trzy kieliszki gorzałki, aby go nakłonić do trzykrotnego powtórzenia deklamacyi. »Odtąd — powiada Schliemann — prosiłem P. Boga, żeby mi pozwolić raczył kiedyś nauczyć się po grecku«.

Półszosta roku biedował już w owym kramie Schliemann, aż pewnego razu dźwigając beczkę, przerwał się, jak to mówią, i krwią pluć zaczął. Musiał tedy porzucić miejsce w sklepiku. W końcu roku 1841. poszedł piechotą do Hamburga, ażeby szukać jakiejś posady, ale nadaremnie; chorobliwy wygląd młodzieńca odstraszał od niego i odrażał wszystkich. Z rozpaczy wynajął się za chłopca na okręcie kupieckim »Dorothea«, który miał płynąć do Venezueli. Okręt rozbił się na wybrzeżu holenderskiem. W biedzie dostał się Schliemann do Amsterdamu; tutaj postanowił pozostać i próbować nadal szczęścia. Uzyskał miejsce sługi kantoru firmy F. C. Quien. Bieganina na pocztę po listy i do banków, aby odebrać pieniądze za weksle, pozostawiała młodzieńcowi sporo czasu. A potrafił go wyzyskać rzetelnie. Nawet czekając w sieni pocztowej na otwarcie okienka, nie próżnował. Z płacy wynoszącej 800 franków, potrafił zaoszczędzić 400 fr., które wydawał na potrzeby idealne, na książki, nauczycieli i t. p. Czytał i uczył się bezprzestannie, zwłaszcza języków; uczył się ich zupełnie mechanicznie, według własnej metody, ale z pomyślnym skutkiem. W pół roku przyswoił sobie znajomość języka angielskiego, w dalszem półroczu francuskiego, później potrzebował już tylko po sześć tygodni, aby się wyuczyć holenderskiego, hiszpańskiego, włoskiego i portugalskiego. Schliemann stał się istotnym poliglottą. W osobliwszych warunkach uczył się po rosyjsku. Ponieważ nie mógł znaleźć nauczyciela do tego języka, przeto uczył się sam rosyjskiego tłómaczenia Telemaka ustępami na pamięć; żeby zaś mieć przecie przed kim wydawać lekcyę, wynajął w tym celu ubogiego żyda, który miał go wysłuchiwać, nie rozumiejąc oczywiście ani słówka. Żyd wytrzymywał za cztery franki tygodniowo, lecz nie wytrzymali sąsiedzi, których

tylko cienka przegradzała ścianka, i Schliemann musiał w tym czasie dwa razy się przeprowadzać. Nauczył się także po szwedzku i po polsku.

Kupiec Quien nie bardzo był zadowolony ze swego sługi, nie ufał też jego zdolności do pracy szlachetniejszej, umysłowej. Schliemann opuścił tedy upokarzające stanowisko i został dnia 1. marca 1844. r. korespondentem i buchalterem w jednym z najpotężniejszych i najbogatszych domów handlowych, u panów B. H. Schroeder i Sp. Tutaj rozwinął gorliwość swoją i talenta tak skutecznie, że chlebodawcy wielkie okazywali mu uznanie i nie szczędzili pochwał i poparcia. W r. 1846. wyruszył Schliemann do Rosyi jako agent Schroedera. W Petersburgu i w Moskwie spełnił swoje zadanie tak znakomicie, że wyniki jego usiłowań przewyższyły oczekiwania chlebodawców. Schliemann pozostał przez lat jedenaście zastępcą Schroedera w Petersburgu, przytem jednak już w r. 1847. otworzył tamże własny dom kupiecki, a w roku 1852. filię w Moskwie. Trudn się przedewszystkiem handlem indygo, przez pewien czas także herbaty. W czasie wojny krymskiej kupcy narażeni byli na różne straty. Schliemannowi fortuna sprzyjała. Kiedy Kłajpeda (Memel) się spaliła i wszystkie towary w tem mieście nagromadzone, Schliemanna towar, w który był włożył całe swoje mienie, około 150.000 talarów, ocalał jakby cudem. Na dostawie materyałów wojennych, ołowiu, siarki i saletry, tudzież przez inne interesa Schliemann w ciągu jednego roku w tych czasach krytycznych majątek swój więcej niż podwoił. Szczęście mu więc sprzyjało; ale potrafił on też zrozumieć jego wskazówki, a energii i wytrwałości nie zdołał osłabić żaden zawód. Zresztą marzeniem Schliemanna nie przestały być nigdy studya starożytne; majątek zbierał w tym celu, aby sobie do nich wrota otworzyć. Kiedy wreszcie zgromadził już takie zapasy, że nie potrzebował lękać się o przyszłość, w r. 1856. zaczął się uczyć po grecku według swojej metody — po nowo- i po staro-grecku — i wreszcie pozyskał zupełną wprawę w ustnem i piśmiennem używaniu obydwóch tych języków.

W końcu r. 1863. zwinął Schliemann swój interes kupiecki, a na wiosnę r. 1864. wyruszył w drogę do Karta-

giny i do Indyi, do Chin, Japonii i Ameryki. Po powrocie z podróży osiedlił się w r. 1866. w Paryżu i ogłosił tam pierwsze swoje dzieło: »La Chine et le Japon«, napisane w ciągu pięćdziesięciu dni na okręcie, wśród przeprawy z Japonii do Ameryki.

II.

Z pierwszą podróżą do ziem klasycznych (w r. 1868.), do ojczyzny i siedzib bohaterów Homerowych, rozpoczyna się drugi okres w życiu Schliemanna.

Ze wszystkich prastarych miejscowości najwięcej Schliemann umiłował Troję. Tam na równinie Skamandru, gdzie zebrane wojska greckie przez dziesięć lat rzekomo bój toczyły z wojskami Pryama i jego sprzymierzeńców, tam on rozpoczął swoje roboty i zawsze po niejakiej pauzie wracał do tej krainy. Długiego szeregu wypraw dokonał do Troi na czele licznych hufców robotników i zdobył ją z ich pomocą, jak drugi Agamemnon.

Na wiosnę r. 1870. rozpoczął Schliemann swoje badania na kresie trojańskim, na wyżynie Hissarlik, a w jesieni r. 1871. zabrał się do pracy. Ale choć ośmdziesięciu ludzi kopało rów wielki na północnym brzegu wzgórza, jesienne roboty nie przyniosły pożądanej zdobyczy. Brakło narzędzi niezbędnie potrzebnych do poszukiwań; Schliemann kazał je bezzwłocznie sporządzić w Anglii i w marcu 1872. roku powrócił do Troi. Zbudowawszy na wyżynie skromny domek z drzewa dla siebie i żony Zofii, Greczynki, z którą kilka lat (1869) wpierw zawarł związek małżeński, zebrał hufiec robotników, liczący 100—150 ludzi, pod dowództwem jednego inżyniera i trzech dozorców i kopać kazał na wzgórzu przekop 233 stopy szeroki, a w tym przekopie znowu rów szeroki i głęboki.

Skutki w r. 1872. jeszcze nie odpowiadały nadziejom, choć Schliemann nie szczędził trudu i pracował w największych upałach i dopiero w sierpniu zaniechał robót. Ufności jednakże nie tracił. Na wiosnę r. 1873. stawił się bardzo wcześnie na Hissarliku, bo już d. 1. lutego. Wiatry straszliwe dokuczały przez całe sześć tygodni i sprowadzały zimno takie, że woda w pokoju zamarzała. Lecz wytrwałość wynagro-

dziła fortuna tym razem sowicie. Mury miasta wyraźniej się zarysowały i bramę wielką odkryto i znaleziono skarb sławny; Schliemann nazwał skarb »skarbem Pryama«, a bramę — »bramą Skajską«.

Ta zdobycz rozniosła nazwisko Schliemanna po całym świecie cywilizowanym. Telegramy i artykuły dziennikarskie goniły jeden za drugim; Anglia z niecierpliwością wyczekiwała nowych wiadomości. Wreszcie w r. 1874. pojawiły się »Trojańskie starożytności« — jeden tom tekstu, obok tego atlas z licznemi tablicami, oryginał niemiecki, pisany przez Schliemanna, oraz przekład francuski, dokonany przez głośnego pisarza greckiego, Rhangabé.

Schliemann nie spoczął ani chwili. W lutym 1874. r. począł kopać w Mikenach, w stolicy Agamemnona, którą uwieczniły podania, przybrane w cudną szatę poezyi Homerowej, a później uświetnione nieśmiertelnymi utworami Eschyla, Sofoklesa i innych tragików na niwie attyckiej. Co tu Schliemann odkrył, tego i fantazya w chwilach największego rozbujania nie mogła mu przepowiedzieć. Na nieznacznej przestrzeni niższego zamczyska, wśród dwóch równoległych kół płytowych, odsłonionych z kolosalnego nasypu, odkrył pięć grobów prastarych, a z wnętrza tych grobów wydobył niezliczoną ilość przedmiotów ze złota i z innych kruszców szlachetnych; krociowa jednak wartość złota niczem jest w porównaniu z wartością archeologiczną wyrobów, które w połączeniu z innymi zabytkami, szczególnie ze zdobyczą ceramiczną, otworzyły światu naukowemu pogląd na osobną dotychczas mało znaną a raczej nieznaną wcale kulturę dziejową.

Ledwo się Schliemann oderwał od robót ziemnych, zaraz zasiadł do stolika do pracy literackiej i z podziwu godnym pośpiechem napisał swe dzieło o Mikenach, które znów pojawiło się niemal równocześnie w trzech językach: w niemieckim i angielskim w r. 1877., we francuskim w r. 1878.

Rzecz zrozumiała, że Schliemann po tak świetnych odkryciach w stolicach Pryama i Agamemnona zapragnął uprzytomnić światu dwór Odysseja. Pośpieszył tedy już w r. 1878. na wiosnę do Itaki i odsłonił niektóre fundamenta, ale nie doszedł do wyników, któreby mogły jego sa-

mego zadowolić, a ogół olśnić i w zdumienie wprawić. Wrócił zatem do Troady, a po krótkiej przerwie zimowej pracował tamże dalej gorliwie do lutego 1879. r. Plon tych robót pod względem zabytków wydobytych nie był obfity, odsłoniono jednak t. zw. pałac Pryama całkowicie i znaczną część murów zamkowych, rozkopano czternaście kopców, uważanych powszechnie za groby bohaterów, co pod Troją polegli: Ajasa, Patroklosa, Achillesa i t. d.

Z nową książką o Troi p. t. »Ilios« (wydaną r. 1880.) przybył Schliemann na zjazd antropologów do Berlina (w sierpniu 1880. r.); był on tu przedmiotem niezwykłych owacyj, które świat naukowy i urzędowy składał niestrudzonemu badaczowi. Wkrótce potem Schliemann ofiarował berlińskiemu »Muzeum Narodów« (»Völker-Museum«) niemal cały zbiór trojański; tylko naczynia robione z terrakoty w dość znacznej liczbie zatrzymał i ustawił w swym pałacyku ateńskim. Mikeńskie skarby są własnością królestwa greckiego; złożone w kilku salach ateńskiej politechniki, stanowią bezsprzecznie jedno z najwspanialszych i najoryginalniejszych muzeów świata.

Po krótkich wyprawach do Orchomenos w latach 1880. i 1881., których zadaniem było odkopanie t. zw. »skarbca Miniasa«, powrócił Schliemann w marcu 1882. na wyżynę Hissarlik, ażeby robić dalsze poszukiwania.

Ogłosiwszy wyniki ostatnich swych badań w dziele p. t. »Troja«, podążył Schliemann w r. 1884. na równinę argolską, wśród której na niezbyt wysokim (10—20 m.) kopcu widać dziś jeszcze wcale dobrze zachowane mury prastarego grodu Tyryns, już przez Homera nazwanego warownym. Ważne odkrycia, jakie tu Schliemann do spółki z innymi uczonymi poczynił, wzbogacają znakomicie naszą wiedzę, pouczając nas o sposobie budowania, rozkładzie i ozdabianiu pałaców królewskich w epoce, o której historya jeszcze nic powiedzieć nie umie. Opis owych odkryć podaje dzieło p. t. »Tiryns, der prähistorische Palast der Könige von Tiryns« (1885.), najlepsza ze wszystkich prac Schliemanna.

I w ostatnich latach swego życia Schliemann nie próżnował. Ruchliwość umysłu zwracała go w coraz to inne

strony. Dwie zimy 1886/7. i 1887/8. spędził w Egipcie. Na wiosnę r. 1888. kopał na wyspie Cyterze; w tym samym roku w »piaszczystem« Pylos, siedzibie sędziwego Nestora i na wyspie Sfakteryi, gdzie odsłonił mury prastarej cytadeli; a wreszcie w r. 1889. na wyspie Krecie, w mieście Knossos, gdzie odkrył szczątki dawnych budynków, a zamierzał czynić w przyszłości dalsze poszukiwania. W późnej jesieni tego roku zabrał się znowu do pracy na wyżynie Hissarlik, prowadził tę robotę dalej na wiosnę roku 1890., a zamierzał jej dokończyć w roku następnym. Alić najniespodzianiej rozniósł telegraf po Europie smutną wiadomość o zgonie Schliemanna: zmarł nagle w Neapolu d. 26. grudnia 1890. r. Przypadkowym świadkiem jego śmierci był Henryk Sienkiewicz.

Henryk Schliemann — to wzór żelaznej energii i wytrwałości a przytem niezłomnej woli, skierowanej do celów szlachetnych. Przez lat czterdzieści dźwigał ciężkie brzemię pracy praktycznej, ale się nie złamał ani nawet ugiął, młodzieńczy zapał nie ostygł, a hart i wytrwałość jeszcze się wzmogły, kiedy nareszcie, zdobywszy miliony, począł zdobywać dobra idealne, wprowadzając w czyn marzenia młodości.

Schliemann sam sobie wszystko zawdzięcza; olbrzymi majątek, władanie kilku językami a wreszcie piękne zdobycze naukowe, które mu między uczonymi wszystkich czasów trwałe zapewniają miejsce — wszystko to są owoce wytrwałej pracy, połączonej z oszczędnością i mądrem użyciem czasu a przytem zamiłowania rzeczy wyższych, tej czci dla ideałów, którą się przejął i przesiąkł na wskróś za młodu, jeszcze w swych latach dziecięcych. Nie bez słuszności też powiada nasz sławny odkrywca pałaców i grodów Homerowych, że łopata i motyka, któremi odkopano Troję i królewskie groby w Mikenach, zrobione zostały w małej niemieckiej wioszczynie, w której mu upłynęło dzieciństwo.

98. Bitwa pod Custozzą.

(dnia 24. czerwca 1866.)

Młode królestwo włoskie, czyhające na chwilę sposobną, aby oderwać od Austryi pozostające przy niej jeszcze pro-

wincye włoskie, rozpoczęło już na początku marca roku 1866. mobilizować swe siły zbrojne, które w końcu maja wynosiły 250.000 ludzi i zostały podzielone na dwie armie. Główna armia pod naczelnem dowództwem króla Wiktora Emanuela składała się z trzech korpusów w sile około 130.000 żołnierza i 282 dział, druga zaś pod komendą Cialdiniego liczyła mniej więcej 90.000 żołnierzy. Oprócz tego znajdowało się pod bronią 36 do 40.000 Garybaldczyków w okolicy Brescii.

Obie armie miały bezpośrednio po wypowiedzeniu wojny wtargnąć do królestwa weneckiego i z dwóch stron ująć jakby w kleszcze o wiele słabszą liczebnie armię austryacką. W istocie naprzeciw 220.000 regularnego wojska włoskiego mógł mianowany w pierwszych dniach maja naczelnym wodzem południowej armii austryackiej arcyksiążę Albrecht postawić zaledwie trzy korpusy (V. generała Rodicza, VII. generała barona Marojczyca i IX. generała Hartunga z brygadą kawaleryi Pulza) w sile około 64.000 żołnierzy. Austrya, zagrożona równocześnie od północy (przez Prusy) i od południa, starała się osiągnąć pomyślny dla siebie wynik podwójnej wojny przez zgniecenie potężniejszego północnego przeciwnika i dlatego ograniczyła się we Wenecyańskiem na odpornem stanowisku.

Wódz naczelny, świadom poruczonego mu wielce trudnego zadania, wytknął sobie jako pierwszy cel możliwe wzmocnienie swej armii operacyjnej. Kosztem załóg fortecznych utworzył na prędce dywizyę rezerwy pod komendą generałmajora Rupprechta i tym sposobem podniósł stan swej armii do 76.000 ludzi.

Włoski plan kampanii zasadzał się na przypuszczeniu, że słaba liczebnie armia austryacka będzie musiała ograniczyć się do obrony w sławnym czworoboku fortecznym Peschiera, Mantua, Legnano i Werona. Tu miała być ona trzymana na wodzy i szachowana armią króla, aby Cialdini mógł tem łatwiej dostać się na tyły wójsk austryackich w Wenecyańskie i wzniecić tam ogólne powstanie.

Arcyksiążę Albrecht, dla którego było bardzo pożądane podobne rozdwojenie sił włoskich, zamierzał przedewszystkiem zająć w ten sposób centralne stanowisko,

aby mógł z pomocą pośpiesznego marszu rzucić się z całą siłą na jedną z armij nieprzyjacielskich, króla lub Cialdiniego.

Dnia 20. czerwca w południe otrzymał arcyksiążę zawiadomienie, że kroki nieprzyjacielskie rozpoczną się już za trzy dni, to jest 23. czerwca. Dowiedziawszy się z wiarygodnego źródła, iż Włosi zatrzymali system podziału swych sił na dwie grupy, powziął arcyksiążę nadzwyczaj śmiałą, lecz trafną myśl zaczepienia znacznie silniejszej grupy, t. j., głównej armii pod dowództwem króla, gdyż tutaj tylko zdaniem genialnego wodza należało szukać rozstrzygnięcia i wywalczenia zwycięstwa.

W tym celu skupił wszystkie wojska pod Weroną z zamiarem napadnięcia na boki armii królewskiej podczas jej przeprawy przez rzekę Mincio, a w razie potrzeby przekroczenia samemu rzeki i stoczenia walnej bitwy. W razie, gdyby się ten plan powiódł, mógł arcyksiążę z tem większymi widokami powodzenia zwrócić się przeciw Cialdiniemu. Na wypadek zaś porażki armia austryacka byłaby zmuszoną ustąpić z Wenecyańskiego i cofnąć się do Tyrolu.

Celem utrzymania w złudzeniu nieprzyjaciela, arcyksiążę jeszcze dnia 21. t. m. nie ruszył się ze swego środkowego stanowiska na lewym brzegu Adygi.

Atoli już dnia 22. czerwca przeprawiło się całe wojsko armii na prawy brzeg Adygi, kierując się pod Weronę.

Dla obserwowania armii generała Cialdiniego wyznaczył arcyksiążę tylko pułk huzarów nr. 13. i batalion strzelców. Oddział ten miał »utrzymywać czucie« z nieprzyjacielem, a gdyby ten chciał przeprawić się przez Pad, miał pułkownik hr. Szapary ze swymi huzarami i strzelcami cofnąć się przez Adygę i zniszczyć podczas odwrotu istniejące jeszcze mosty i inne środki, służące do przeprawy.

Dnia 23. arcyksiążę, otrzymawszy dokładne wiadomości o ruchach nieprzyjaciela, postanowił o godz. 10. przed południem, pomimo że wojska były znużone pośpiesznym marszem, posunąć jeszcze wieczorem część armii ku wzgórzom Santa Giustina i Sommacampagna i stąd rzucić się na lewe skrzydło głównej armii włoskiej. Plan ten był w każdym razie bardzo śmiały, bo chociaż pułkownik hr. Szapary do-

wodzący oddziałem, przeznaczonym do obserwowania armii Cialdiniego, doniósł, że armia ta obsadziła kilka punktów nad Padem, co dowodziło, że Włosi posuwają się ciągle w dwóch grupach, to przecież i bez tego arcyksiążę miał do czynienia z nieprzyjacielem silniejszym o jakie 50.000 wojska. Dnia 24. wyruszyły już o godz. 3. rano wszystkie oddziały austryackie, aby wykonać wydane dnia poprzedniego rozkazy i zająć wyznaczone stanowiska.

Wyobraźmy sobie okolicę pagórkowatą, szeroką (od zachodu na wschód) na jakie 8 km. i tyleż prawie km. (od północy na południe) długą. Jestto jakby górzysta wyspa, kształtem podobna do Hiszpanii, wyrosła na otaczającej ją zewsząd równinie. Całą tę wyspę zalegają trzy podłużne pasma wzgórz, ciągnące się w kierunku od północy na południe. Pierwsze pasmo (zachodnie) odpowiadałoby Portugalii, przedłużonej jednak aż do zatoki biskajskiej. Pasmo to południowo-zachodnim kątem dotyka niemal rzeki Mincio; dalej ku północy odległe jest zaledwie o $2^1/_2$ km od warownej Peschiery tak, że kto posiada tę fortecę, temu zachodni bok zasłaniają forteczne armaty. Pierwsze pasmo oddziela od następnego rzeczka Tione, płynąca naprzód z północy na południe, następnie jednak prawie w połowie długości pierwszego pasma skręca się nagle na wschód, przerzynając w ten sposób pasmo drugie, poczem znów pod kątem niemal prostym wraca do pierwotnego, południowego kierunku, stanowiąc teraz przedłużenie płytkiego zagłębienia, które oddziela pasmo trzecie (wschodnie) od środkowego. Pasmo trzecie jest stosunkowo najkrótsze, ale zato w południowo-wschodniej swej części posiada najwyższe wyniosłości, panujące nad całą okolicą; punkta te idąc z północy ku południu są: Monte Croce (góra krzyża), na wschód od M. Croce Monte Torre (wieża), ku zachodowi Belvedere (piękny widok) i wreszcie wieś Custozza od południa. Wojska austryackie zajęły (8. godz. rano) od północy mniej więcej trzecią część wszystkich trzech pasm wszelako nierównemi siłami, gdyż na grzbiecie pasma zachodniego (na prawem skrzydle) stanęła tylko jedna dywizya (Rupprechta), środkowe zajął już cały korpus (V. pod jenerałem Rodiczem), a wreszcie wschodnie pasmo obsadziły dwa korpusy,

VII. pod jen. Marojczycem i IX. pod Hartungem. Całą południową połowę »wyspy«, a więc i punkta najwyższe: M. Croce, Torre, Belvedere i Custozzę zajęli Włosi a nadto mając znaczną przewagę liczebną, przedłużyli swoją linię bojową ku wschodowi aż do Villafranca o blizko 4 km. tak, iż ustawione tu trzy dywizye włoskie, nie mając przed sobą przeciwnika, mogły obejść stanowisko Austryaków i rzucić się z boku na lewe ich skrzydło. Z tego to powodu rzucił wódz austryacki aż dwa korpusy a więc niemal $^2/_3$ swego wojska na lewe skrzydło a nadto kazał naprędce umacniać wieś Sommacampagna, leżącą na wschodnim krańcu tegoż skrzydła; ponieważ zaś teren, skąd oczekiwał bocznego napadu, był równy, postawił przeto naprzeciw prawemu skrzydłu włoskiemu (3 dywizye) całą niemal jazdę, jaką rozporządzał, t. j., 2 pułki ułanów i dwa huzarów, stanowiące 2 brygady kawaleryjskie: Pulza i Bujanowicza.

Taki był w ogólnych zarysach rozkład wojsk obustronnych.

Bitwę, która stanowi jedną z najpiękniejszych kart w dziejach wojennych Austryi, rozpoczęła kawalerya. Obie brygady kawaleryjskie, Pulza i Bujanowicza, otrzymawszy rozkaz zakrywania lewego skrzydła armii, wyruszyły w dwóch kolumnach w kierunku południowym; była godzina 7. rano. W odległości może 2 km. od nieprzyjaciela rozwinęła się brygada Pulza przeciw dywizyom, z których jedną dowodził generał Bixio, a drugą książę, późniejszy król, Humbert. Pułk ułanów nr. 13. pod dowództwem pułkownika Rodakowskiego wpadł jak huragan, przedarł się przez gęsty łańcuch tyralierski *bersaglierów*, rzucił się z tak niesłychanym impetem na stojące w drugiej linii bataliony dywizyi ks. Humberta, że te zaledwie miały czas sformować czworobok, rozdarł go, zabrał działa i powrócił ostatecznie, poniósłszy dotkliwe straty, tą samą drogą, którą przybył. Pułk zaś huzarów nr. 1. uderzył na szykującą się pod Villafranca do marszu dywizyę generała Bixio i sprawił w niej dotkliwe zamieszanie. Wrażenie obu tych ataków kawaleryjskich było tak gwałtowne, że dywizye piechoty gen. Bixio i ks. Humberta a niemniej dywizya kawaleryi gen. Sonnaza stały już odtąd zupełnie bezczynnie pod Villafranca, a chociaż

zostały zasilone świeżą brygadą piechoty, nie próbowały nawet zaczepiać ważnej pozycyi Sommacampagna.

Właściwa bitwa rozpoczęła się około godz. 8. prawie równocześnie na obydwu skrzydłach i w centrum. Austryacy rzucili się na całej linii na nieprzyjaciela i odnieśli niejakie korzyści, na lewem skrzydle zajęto chwilowo Monte Croce i Monte Torre a nawet Belvedere i Custozzę. Za nadejściem jednak posiłków, nieprzyjaciel nie tylko odparł zmęczonych upałem i drapaniem się w górę Austryaków, lecz nawet na prawem skrzydle austryackiem, które było najsłabsze, zajął Monte Cricol i dotarł dalej aż do Fenile, skąd przeważnemi siłami wyparł oddziały dywizyi gen. Rupprechta.

Wtedy to zaszedł epizod, który uchodzi niemal za niepodobieństwo, a jednak jest we wszystkich szczegółach najzupełniej prawdziwy, gdyż tysiące z obu stron wojujących patrzały nań własnemi oczyma.

W centrum (przy V. korpusie) stał pułk ułanów t. zw. sycylijskich, jako assekuracya przy armatach. Otóż w chwili, kiedy nieprzyjaciel miał uderzyć na Fenile (na prawem skrzydle), otrzymał rotmistrz bar. Bechtolsheim rozkaz natrzeć z 3 plutonami na zbliżającą się kolumnę nieprzyjacielską. Zanim jednak ułani zdążyli przejechać Tione, nieprzyjaciel już był w Fenile, gdzie mu jazda oczywiście nic zrobić nie mogła. Rotmistrz Bechtolsheim, nie wiele myśląc, objeżdża Fenile, dostaje się na gościniec i puszcza się w największym galopie przez Monte Cricol w kierunku południowym. Przerznąwszy się przez całą brygadę włoską (Pisa) tamże stojącą, rzuca się na drugą brygadę (Forli), odbywającą właśnie pochód, rąbie, tratuje, rozbija, co tylko napotka; cała niemal brygada rozleciała się na widok tych »szatanów«, jak ich Włosi nazwali; jenerał dowodzący obiema brygadami, Cerale, i drugi jenerał, Dho, otrzymali rany. Ale i garstka ułanów topniała coraz więcej, wróciło ich 17 razem z dowódcą, który straciwszy własnego konia, przyjechał na pięknym, zdobycznym rumaku.

Bohaterski ten czyn ułatwił znakomicie wyparowanie nieprzyjaciela z zajętych przez niego stanowisk i odtąd toczy się uporczywy bój na całej linii ze zmiennem wpra-

wdzie szczęściem, ale nieprzyjaciel nie zyskuje już na Austryakach ani piędzi terenu. Gorąca i zacięta walka wre zwłaszcza o posiadanie silnie przez Włochów obsadzonych wyżyn: Monte Croce, Monte Torre, Belvedere i Custozza. O zajęcie powyższych miejscowości kusiły się głównie pojedyńcze oddziały armii austryackiej, a chociaż się im powiodło kilkakrotnie odnieść świetne korzyści, nie mogły wobec znacznej przewagi nieprzyjaciela utrzymać się na zajętych chwilowo stanowiskach. Belvedere zdobył po dwakroć żołnierz austryacki, musiał wszakże oba razy ustępować przed przemagającemi siłami włoskiemi. Naczelne dowództwo włoskie w trafnem zrozumieniu ważności wyżyn, o które walczono, wysyłało tam coraz świeże zastępy. Przy tem wszystkiem wszakże była to wielka korzyść dla broni austryackiej, iż dzięki wzmiankowanemu już bohaterskiemu natarciu ułanów i huzarów, wykonanemu o wczesnej godzinie w kierunku Villafranca, stojące tam dwie włoskie dywizye piechoty pod komendą księcia Humberta i jenerała Bixio, oraz jedna dywizya kawaleryi zostały jakby przykute do tego miejsca i nie mogły wziąć udziału w akcyi bojowej.

O godz. 3. po południu arcyksiążę Albrecht, powziąwszy wiadomość o zwycięskiem posunięciu się prawego skrzydła i centrum, postanowił ważyć się na krok stanowczy, który w razie powodzenia rokował armii cesarskiej świetne zwycięstwo. W tym celu rzucił na punkt ten całą rezerwę, przyczem miały ją wedle potrzeby wspierać korpusy V. i IX., oraz rezerwa kawaleryi.

Stósownie do wydanych rozkazów ruszyły o godz. 4. brygady Welsersheimba i Töplego do ataku na Belvedere. Był to już trzeci w ciągu dnia (24. czerwca) szturm na tę miejscowość i tym razem został uwieńczony zupełnem i trwałem powodzeniem.

Teraz pozostało jeszcze zająć Custozzę i przytykające do niej wyżyny Monte Torre i Monte Croce. Ponieważ jednak Włosi stawili tutaj zacięty opór, a wojska austryackie były niezmiernie znużone, rozkazał jenerał Marojczyc po zdobyciu Belvedere otrąbić chwilowy odpoczynek. Artylerya tylko nie odpoczywała. Działa jej grzmiały bezustannie, co

było niejako przygrywką do stanowczej rozprawy. Skoro wojska nabrały sił potrzebnych do ciężkiej przeprawy, rozwinęły się w kolumny i ruszyły na miejscowość, która miała dać nazwę świetnemu zwycięstwu broni austryackiej.

O godzinie pół do 5. rozpoczął się równocześnie atak na Custozzę i Monte Torre. Wojska austryackie obejmowały obie te miejscowości żelaznym pierścieniem, który coraz bardziej się ścieśniał. Włosi stawiali rozpaczliwy opór i zdawało się, że postanowili do ostatniego żołnierza bronić swych pozycyi. Byli oni zresztą w znacznie korzystniejszem niż strona przeciwna położeniu, bo o wiele łatwiejsza wydawała się obrona tych stanowisk, niż ich zdobycie.

Pod osłoną silnego ognia artyleryi, który wśród kolumn nieprzyjacielskich straszne czynił spustoszenia, posuwały się pewnym krokiem wojska austryackie. Działa włoskie nie zdołały powstrzymać ani na chwilę tego pochodu, a tem mniej zachwiać kroczących do szturmu szeregów, chociaż w nich coraz nowe, coraz większe powstawały szczerby. Już pierwszy szturm tak był gwałtowny, że szyki nieprzyjacielskie poczęły się mieszać i cofać w chaotycznym nieładzie. Jeszcze jeden dobrze z góry obmyślany szturm, przyczem w sam czas znalazły się w akcyi brygady Möringa (od strony zachodniej) i Welsersheimba (od północy), a wyżyny, o które toczył się krwawy bój, były w ręku wójsk austryackich. Armia pod wodzą króla Wiktora Emanuela była zmuszoną rozpocząć odwrót. Przedewszystkiem odwrót generała Govone i gen. Cugia — pierwszy zajmował szczyt Monte Croce, drugi stał u jego podnóży — w kierunku Villafranca zamienił się, dzięki dzielnemu współdziałaniu austryackich brygad kawaleryi pod dowództwem Pulza i Bujanowicza, w formalną ucieczkę. Cofając się w popłochu porwały te dywizye za sobą nietkniętą dotąd wcale kolumnę, złożoną z dwóch dywizyi pod komendą księcia Humberta i generała Bixio: klęska całej głównej armii królewskiej była już oczywistą.

Z powodu ogromnego znużenia zwycięzców (w ogniu nie były tylko dwa bataliony: jeden strzelców i jeden piechoty i jedna baterya) nie można było myśleć o ściganiu

nieprzyjaciela. I bez tego jednak pogrom był zupełny, a losy armii włoskiej rozstrzygnięte...

Armia austryacka przepędziła noc z dnia 24. na 25. czerwca na zdobytych stanowiskach. Wojska włoskie ściągnęły na prawy brzeg Mincia i cofały się dnia 26. dalej w kierunku Oglio. Generał Cialdini widział się zmuszonym przeprawić się napowrót przez Pad.

99. Modlitwa wieczorna.

Bądź pochwalony, Boże Ojcze z nieba!
Pracowałem, igrałem, teraz spocząć trzeba!
Ale nim do snu zamknę swe powieki,
Dzięki Ci, Boże, i chwała na wieki!

Dzięki za wszystkie Twe dary i łaski!
Dzięki za słońce, za ptaszki, za kwiaty,
Za dzionek, w takie rozkosze bogaty!...
Ale już oto zgasły jego blaski;
Oto noc cicha już na ziemię schodzi:
I za nią dzięki złożyć Ci się godzi,
Bo śród jej mroku Ty nas strzeżesz, Boże,
I małe dziecię spać bezpiecznie może.

Życie w tysiączne Ty mi zdobisz wdzięki:
Tyś mi dał ojca, matkę i rodzinę;
A wszelkie dobro płynie z Twojej ręki,
Boś Ty sam dobro najwyższe, jedyne!
Blask to dobroci Twojej rozpromienia
Dla mnie tak cudnie rodziców spojrzenia;
Twoja to miłość tak mnie pieści czule,
Gdy się do drogich piersi ich przytulę.

Lecz gdy mi dajesz szczęście i wesele,
Są, słyszę, inni bardzo nieszczęśliwi,
Którym łez gorzkich płynie wiele, wiele,
A radość nigdy duszy nie ożywi!
Są oczy, którym światło dnia nieznane,
Są smutne serca, nigdy nie kochane,
Są chorzy, głodni i nadzy i tacy,
Co i przytułku nie mają, biedacy!

Są i sieroty nawet na tej ziemi:
O, jakże szczerze boleję nad niemi!

Biedne, bez matki!... O Boże dobroci!
Ach, niechaj moja mnie nie osieroci!
Im zaś sam Ojcem bądź, mój Boże miły!
Niech w Twej opiece rosną na Twą chwałę!
Smutnym pociechę, znękanym daj siły,
Chorym wróć zdrowie, a nasyć zgłodniałe!

Teraz się tylko modlić mogę za nie;
Lecz, gdy wyrosnę, dozwól mi, o Panie,
Abym z miłością sam w pomoc im śpieszył,
Abym ich bronił, wspierał, karmił, cieszył,
A nie zapomniał w żadnej życia chwili,
Żeś Ty nas stworzył na to, byśmy Ciebie
Znali, kochali i w każdej potrzebie
Bliźnim swym służąc, Tobie w nich służyli!

A dziś, o Boże, przed którym niczyje
Uczucie ani myśl się nie ukryje,
Jeślim zawinił, niech Cię żal mój wzruszy:
Bądź miłościwy grzesznej mojej duszy!
Odpuść mi, Ojcze! wzmóż me dobre chęci,
Bym wzrastał, w rozum i w cnotę bogaty
I strojny w białe niewinności szaty,
Czysty był zawsze, jak anieli święci!

Bądź pochwalony, Boże Ojcze z nieba!
Pracowałem, igrałem, teraz spać potrzeba;
Ale nim do snu zamknę swe powieki,
Dzięki Ci, Boże, i chwała na wieki!

Adam Pług.

Instytut Filologii Polskiej UJ BIBLIOTEKA Kraków

OBJAŚNIENIA.

Aga — dowódca oddziału, oficer.
amfiteatr (str. 173) — tak się zwała sala w dawnem gimnazyum ś. Anny, w Krakowie przeznaczona na uroczystości szkolne, z siedzeniami nakształt schodów, otaczającemi z dwóch stron eliptyczny poziom.
Andersen Jan Krystyan — znakomity poeta duński, autor bajek i opowiadań dla młodzieży († 1875).
aprosze — przykopy, któremi oblegający starają się zbliżyć do murów obleganego miasta.
arabeski — poplątane linie, ozdoby architektoniczne, którym dali początek Arabowie.
arkan — długi sznur z ołowianą gałką na końcu, służy do łapania stepowych koni.
armatura — ozdoby malowane lub rzeźbione na tarczy herbowej (sztandary, broń i t. p.).
d' Aviano padre — Włoch, kapucyn, kapelan Jana III.
Bagamoyo — osada w południ. wschodniej Afryce naprzeciw Zanzibaru.
bajersz — (bayerisch) piwo.
Bałtycka płyta — zob. Pojezierze bałtyckie.
baryjskie księstwo — ks. Bari w południ. Włoszech, dziedzictwo królowej Bony.
baskak — tatarski urzędnik niższego stopnia.
Batoh nad Bohem w województwie bracławskiem, pamiętny klęską w r. 1652.
beluard — bastyon, szaniec murowany.
bersagliery — (czyt. bersaljery), strzelcy.
Berszada — m. nad rz. Berszadą w gub. podolskiej.
Białocerkiew — w gub. kijowskiej nad rz. Rosią.
bierwiona — tramy, grube belki.
biologiczne organy — służące do utrzymania życia w człowieku.
Branicki Ksawery — hetman w. k., jeden z przywódców konfederacyi Targowickiej.
brona — stara forma wyrazu *brama*.
Brunnen — w. w szwajc. kantonie Schwyz.
brygada — 2 pułki piesze z odpowiednią ilością jazdy i artyleryi.
brygantyna — rodzaj okrętu.
brzeszczot — ostrze miecza, klinga.
budowniczy — tytularny urząd na Litwie.
Budziak — po tur. *kąt*, równina pomiędzy Dniestrem a m. Czarnem od Akermanu do Kilii.
bursz — stary student.
burzan — wielki krzak zielska, bujnie rosnącego na stepach.
Buys-Ballot Henryk — znakomity meteorolog holenderski († 1890).
buzdygan — mała, żelazna maczuga, którą nosili rotmistrzowie i wogóle dowódcy.
Castellanos — moneta hiszpańska w XVI. w.
ciupaga — mała siekierka góralska, służąca zarazem za laskę.
czabańczyk — pastuch wołów.
czahar — podmokła łąka, porosła olszyną.
czaron — nazwa naczynia.
czaukczy — pachołek chański.
czausz — urzędnik turecki lub tatarski, wysyłany z firmanami, tj., pismami urzędowemi, lub poborca podatkowy.
Czersk — m. nad Wisłą w gub. warszawskiej, w pow. grojeckim.
Czorsztyn — zamek pograniczny nad Dunajcem (dziś ruiny w pow. nowotarskim).
Daurya — górzysty kraj w Wschodniej Syberyi.
denominacya — nazwa.
Dębe Wielkie — w. w gub. warsz. pow. nowomińskim (bitwa 81. marca 1831. r.).
debra — parów, wąwóz.
diw — zły duch.
Domeyko Ignacy — znakomity naturalista, profesor geologii i fi-

zyki (przez długie lata rektor) w uniw. Santiago w Chili († 1889).
dywizya — 2 brygady (zob.)
dzięcielina — na Litwie nazwa koniczyny.
Dzikie Pola — równina pomiędzy dolnym biegiem Dniepru a Bohu.
Ekonomiczne pismo — poświęcone sprawom gospodarstwa krajowego.
Falkonet — rodzaj działa.
Fanfanik — pieszczotliwa nazwa królewicza Jakóba Sobieskiego.
faskula — (Passkugel) kula tej wielkości, co kanał działa.
fetyszysta — wierzący w fetysze, t. j., w rzeczy bezduszne i czary.
fiordy — wązkie zatoki w Norwegii, głęboko w ląd się wrzynające.
floresy — ozdoby architektoniczne w kształcie kwiatów (flores).
Flüelen — w. w szwajc. kantonie Uri
fuks — uczeń początkujący.
ks. *Gorczyczewski Jan* — uczony i tłómacz, członek Tow. Przyjaciół Nauk († 1823).
Goszczyński Seweryn — poeta (»Zamek kaniowski«, »Sobótka« i i.) † 1876 we Lwowie.
Grabowski Ambroży — zasłużony badacz przeszłości i dawnych zabytków narodowych, zwłaszcza Krakowa i okolicy († 1868.).
Grochów — w. pod Pragą w gub. warsz. (bitwa 20, 24, i 25. lutego 1831. r.).
Grütli — polana na stoku góry Seelisberg w Szwajcaryi, pamiętna zawarciem pierwszego związku w r. 1307., mającego na celu wyswobodzenie Szwajcaryi z pod obcego jarzma.
Grzegórzki — gmina podmiejska pod Krakowem.
Gwagnin Alexsander, Włoch, przez 18 lat dowódca załogi witebskiej, wydał w r. 1578: »Sarmatiae Europeae descriptio« († 1614).
Hala — pastwisko górskie.
harmonika — instrument muzyczny szklany: krążki szklane na walcu, z których przy obrocie walca wydobywają się tony przez muskanie zwilżonymi palcami.
hoczewski kościół — Hoczew, wieś kościelna w Sanockiem (w pow. liskim).
hodża — kapłan i nauczyciel.
Ideolog — marzyciel.
indywidualizm — jednostkowość, t. j., poczuwanie się tylko jednostką bez względu na ogół.
infirmarz — sala dla chorych.
Janczarowie — wyborowa piechota turecka.
jar — głęboka dolina, wyżłobiona wodą rzek płynących.
Jędrzejów — osada w gub. łomżyńskiej, pow. ostrowskim (bitwa 13. maja 1831.).
jurta — namiot ludów koczujących.
Kair str. 253 — ma na myśli wyprawę Napoleona do Egiptu w r. 1798. a mianowicie bitwę pod piramidami.
Kalinowski Marcin — wojew. bracławski, hetman p. k., znakomity wojownik, poległ wraz synem Samuelem pod Batohem w r. 1652.
kanalia — pospólstwo obozowe, ciury.
Karakasz — basza budzyński, przyprowadził (1621.) Osmanowi pod Chocim 6000 najdzielniejszych żołnierzy, zginął 15. września w szturmie na obóz polski.
kassawa — zob. *manijok*.
katorga — ciężkie roboty w kopalniach.
Kaulfuss Jan Samuel — filolog i znawca literatury pol., członek warsz. Tow. Przyj. Nauk († 1832).
kihaja — zastępca, namiestnik.
Kirchholm — niegdyś m. dziś w. w Inflantach pod Rygą, pamiętna świetnem zwycięstwem J. K. Chodkiewicza nad Szwedami (27. września 1605).
Kluk ks. — Krzysztof, znakomity naturalista polski († 1796).
kniaź (str. 15.) — naczelnik wsi, wójt.
koalicya (str. 238) — mocarstwa sprzymierzone przeciw Napoleonowi I.
kolczuga — koszulka z kolców czyli kółek metalowych, sięgająca po pas, z krótkimi rękawami, i czepiec, który okrywał głowę i spadał na kark, zabezpieczając szyję od cięcia.
kolubryna — większe działo.
konstaby, konstable — stróżowie bezpieczeństwa publ.

konwisarz — mosiężnik lub puszkarz, lejący działa.
kordybant lub kurdybanik — kuśnierz wyprawiający skóry zwane »kurdybanami«.
korpus — część armii, składająca się z 2—3 dywizyi.
korpus kadetów — zakład wychowawczy dla przyszłych oficerów, założony w r. 1765. przez Stanisława Augusta.
Korzeniowski Józef — znakomity powieściopisarz i dramaturg a przytem wychowawca i nauczyciel (* 1797 w Brodach, † 1863 w Dreźnie).
kosz (str. 37) — klatka, więzienie, koza.
koszenila czyli czerwiec meksykański, owad, dostarcza wspaniałego barwika; ususzony i sproszkowany wchodzi w skład karminu.
Krakowskie-Przedmieście — jedna z najcelniejszych ulic Warszawy.
krokos — szafran, roślina, której kwiat suszony daje barwik, zwany krokoszem.
króbka — pudło, kobiałka.
krzywuła — instrument muzyczny dęty w rodzaju klarnetu.
kuna — narzędzie kary: słup z wrzeciądzem czyli szyną wygiętą, w którą zamykano przestępcę.
Lamus — domek murowany, zabezpieczony od ognia.
Leverrier — Urban Jan Józef, znakomity astronom francuski (†1877. w Paryżu).
luidor — francuski pieniądz złoty (Louis d'or = Ludwik złoty).
Luini Bernardino — znakomity malarz włoski (†około 1530. w Medyolanie).
łuzak — posługacz towarzysza jazdy polskiej.
Łazarz, ostatni car serbski, zginął w bitwie na Kosowem polu (r. 1389.); zbiór narodowych pieśni serbskich, opiewających tę bitwę, nosi od niego nazwę »Lazarica«. Wiersze w ust. 8. pochodzą z tego właśnie zbioru (w przekładzie J. B. Zaleskiego).
łegin — z węg. *legény*, chłopak, junak; stąd wyraz ludowy *łygoń*, duży chłopak.
łęgi — zarośla na łąkach błotnistych.
Łosice — m-ko w gub. siedleckiej.
Malgasz — mieszkaniec wyspy Madagaskar.
Malinowski Lucyan — znakomity językoznawca, członek Ak. Um. († 1898).
mamelon — wzniesienie, kopiec.
manijok — czyli *kassawa* (iatropha manihot) — roślina o wielkich korzeniach bulwiastych, służących za pokarm.
Marengo — w. w półn. Włoszech, pamiętna bitwą, stoczoną w r. 1800. przez Napoleona I. z Austryakami.
Marszałek nadworny (str. 112) — Hieronim Lubomirski.
Marymont (Mariemont), pałacyk pod Warszawą, wybudowany przez Maryę Kazimirę, żonę Jana III. Szkoła rolnicza w M. założona w r. 1818., została po powstaniu r. 1863. zniesiona.
Miłosław — m. w W. ks. Poznańskiem w pow. wrzesińskim.
Minionek — pieszczotliwa nazwa królewicza Aleksandra Sobieskiego.
Mniszew — wieś nad Wisłą o 2 km. od ujścia Pilicy do Wisły.
Morgarten — góra w Szwajcaryi, pamiętna zwycięstwem Szwajcarów w r. 1316. nad Austryakami.
muszkiet — rodzaj strzelby, której używała piechota.
mycka — rodzaj czapki.
Näfels — w. w kantonie Glarus, pamiętna zwycięstwem Szwajcarów w r. 1388. nad Austryakami.
Nansen Fridtjof — Norweg, (* 1861) słynny podróżnik współcz., odbył w latach 1893—1896 wyprawę do bieguna północnego, docierając do 86° 14' szer. półn.
Niobe — żona króla tebańskiego, Amfiona, straciwszy naraz 7 synów i 7 córek, skamieniała z bólu i została z woli bogów przeniesiona na górę Sypilus w M. Azyi.
Niż — kraina nad dolnym Dnieprem.
Obłąk — przedmiot zakrzywiony, str. 109: chomąto; *koń w obłęku* — tabor ciągnący za wojskiem.
Olizarowski Tomasz August — poeta polski († 1879).
Orłowski Aleksander — znakomity malarz († 1832.); jego obrazy olejne prawie wszystkie wykupili Anglicy.

Ossyan — bard szkocki, miał żyć w III. w. po Chr. Pieśni Ossyanowe (wątpliwej autentyczności) wydał w 18. w. Macpherson (czyt. Mekfersen).

ośmiornica — mięczak morski, ma na głowie 8—10 długich ramion, za pomocą których chwyta zdobycz.

Pawęża — tarcza.

piargi — drobne kamienie, z łatwością z pod nóg się usuwające.

piątka — w szkołach królestwa Polskiego tyle, co nasze »celująco«.

Piotrkowski sejm w r. 1548., na którym powstawano mocno na małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną, wdową po Gasztołdzie.

plen — niewola.

pluton (Zug) — oddział jazdy, liczący 30—40 koni.

płatnerz — rzemieślnik robiący zbroje i rynsztunki.

Pojezierze bałtyckie — kraina bogata w jeziora, opasująca Bałtyk (Prusy Zach. i Wschodnie).

ś. *Pokrowa* — święto ruskie N. M. P. 14. października.

Pol Wincenty — poeta polski (»Pieśń Janusza«, »Pieśń o ziemi naszej«, »Mohort« i t. d.), w latach 1849—1853 profesor geografii w uniw. Jagiellońskim. († 1872).

polonina — w Tatrach *polana*, łąka górska.

Połowców pola — wieś Płowce w gub. warsz., pow. radziejowskim (bitwa w r. 1331.).

du Pont — Francuz, dworzanin Jana III., autor »Pamiętników« o tych czasach.

Potocka Klaudyna — z hr. Działyńskich († 1836 w Genewie), pielęgnowała w czasie powstania r. 1831. z największem poświęceniem chorych i rannych, a po upadku powstania opiekowała się emigrantami.

prąga — lub pręgierz (Pranger), słup, u którego wystawiano na hańbę publiczną winowajców.

pryskować — piętnować, piętno wypalać.

pułk ułanów n. 13 — złoczowski.

Radziwiłł sierota książę — Mikołaj Krzysztof, marsz. w. lit. i wojewoda wileński, odbył pielgrzymkę do Jerozolimy († 1616).

raptularz — nazwa książki, gdzie zapisywano na prędce (raptim) ciekawsze wydarzenia domowe i publiczne.

razzia — łupieska wyprawa na ludzi.

rebe — zaszczytny tytuł uczonego w piśmie żyda.

Rej Mikołaj z Nagłowic — pierwszy poeta i prozaik polski († 1568).

Reklewski Wincenty — poeta († 1812).

remissa — odesłanie do innego sądu.

renegat — odstępca, zaprzaniec.

Rewera — Stanisław Potocki z przydomkiem Rewera (re vera) hetman w. k. († 1667).

roborować — umacniać, utwierdzać.

Rudnik — m-ko nad Sanem w Galicyi, pamiętne zwycięstwem Stefana Czarnieckiego nad Szwedami w r. 1656.

rum — (Raum) miejsce.

runy — tajemne pismo dawnych Germanów; nasze okazy pisma runicznego dotąd stanowią zagadkę.

Sala — Sall-azze, rzeka przymorska w pow. wolmarskim, gub. ryskiej.

Sambia — prowincya w Prusach wschodnich z stolicą Królewiec.

Sempach — miasto w Szwajcaryi w kantonie Lucerna, pamiętne zwycięstwem, odniesionem w. r. 1386. nad Leopoldem Austryackim.

Skanderberg — Jerzy Kastryota, († 1467) narodowy bohater albański, wywalczył Albanii niepodległość.

Skarga Piotr Powęski — najznakomitszy kaznodzieja polski († 1612).

snadki — płytki.

Sodalis Marianus — członek bractwa *Sodalitas Mariana* ku czci N. M. P.

soliter — duży dyament, ozdobnie oprawiony.

Somo-Sierra — pasmo górskie w prow. madryckiej w Hiszpanii.

Spółka bazarowa — bazar, gmach przy ulicy Nowej w Poznaniu, przeznaczony na hotel i sklepy.

Starowolski Szymon († 1656), kanonik kat. krakowski, autor licznych dzieł, po polsku i po łacinie pisanych, treści teol., polit., prawn., wojskowej, geograf. i hist. (polihistor).

Staszic Stanisław — uczony, statysta i filantrop (cały majątek przekazał na cele publiczne) † 1826.

stateczek — małe naczynie, kufel.

statek — sprzęt, ubranie.

subsellia — ławki, w znaczeniu przenośnym: sąd, trybunał.

Suderman — Karol, ks. Sudermanii, ogłoszony królem w r. 1604 jako K. IX. († 1611).

sumak — albo suhak (Antilope saiga); obecnie już go w Europie niema.

surma — rodzaj trąby.

surowiec — rzemień ze surowej skóry.

sycylijscy ułani — pułk ułanów imienia Franciszka II., króla obojej Sycylii.

sykl — szekel, pieniądz u Żydów.

szczyr — roślina z rodzaju wilczomleczowatych (Mercurialis).

sztabowa mapa, robiona przez oficerów sztabu jeneralnego dla celów wojskowych i dlatego bardzo dokładna.

szychterz — robotnik, sypiący materyały surowe w piec hutniczy.

Talenti — Tomasz, Włoch, sekretarz Jana III.

Tananariwa — stolica Madagaskaru.

Taraszcza — m. powiatowe w gub. kijowskiej.

tercya — Untertertia w szkołach niem. odpowiada naszej 4. klasie gimnazyalnej.

Tessin — rzeka w szwajcarskim kantonie tegoż nazwiska, mającego ludność włoską.

tołub — kożuch tatarski.

tundra — moczary okolic podbiegunowych, odmarzające w czasie krótkiego lata.

tupet — czupryna, peruka.

turnie — nagie skały, ogołocone prawie zupełnie z roślinności.

Tyszowiecka konfederacya, zawiązana w. 1655 w m. Tyszowcach (w woj. bełzkiem) dla obrony ojczyzny i króla.

Ułus — pewna ilość namiotów, wioska tatarska.

Umiński Jan († 1780 † 1851), jenerał, żołnierz Napoleoński, dowódca w r. 1830. i 1831. (jakiś czas wódz naczelny), autor kilku dzieł wojskowych.

Urirotstock — góra w szwajc. kontonie Uri.

ustępna — sala w gmachu trybunalskim, przeznaczona dla palestrantów.

utopista — człowiek marzący o utopiach, tj., o czemś pięknem i szlachetnem, ale nie dającem się urzeczywistnić. (Utopia, tj., Niebyłków — tytuł polityczno-społecznego utworu Tomasza More † 1535).

Warka — m. nad rz. Pilicą w gub. warsz. pow. górno-kalwaryjskim.

Wespazyanus — cesarz Wespazyan († 79. po Chr.) nałożył podatek na miejsca ustępowe; gdy mu syn Tytus zwracał uwagę na niestosowność takowego podatku, wziął pieniądz, pochodzący z owego podatku, i podsunąwszy synowi pod nos, zapytał, czy czuje jaką woń nieprzyjemną.

widermach — (Hintergemach) oficyna.

wilkirz — (Willkür) orzeczenie lub uchwała rady miejskiej.

wino (str. 244) — wino sztuczne.

Wiśniowiec — m-ko na Wołyniu, w pow. krzemienieckim.

włóka — 30 morgów.

»wuj Tom« — »Chata wuja Tomasza«, powieść angielskiej autorki Beecher-Stowe (wym. Biczerstoo).

wyraj — kraje południowe, dokąd ptactwo ciągnie na zimę.

Zatokowy prąd — (Golfstrom) ciepły prąd północnej części oceanu Atlantyckiego, gałęź prądu równikowego, dosięgająca Europy aż po Norwegię, a nawet Szpicberg i Nową Ziemię.

Zbaraski Jerzy ks. — podczaszy kor., umarł kasztelanem krakowskim w r. 1631.

Zeyszner Ludwik — mineralog polski, prof. Uniw. Jag. († 1871).

Źleb — wyżłobienie między skałami.

Żebrawski Teofil — inżynier, budowniczy i archeolog († 1886).

Wiadomości o ważniejszych autorach,

których utwory pomieszczono w niniejszych „Wypisach".

Amicis Edmund, współczesny literat włoski.

Anczyc Władysław Ludwik, (* 1824. † 1885.), poeta (»Tyrteusz«), autor utworów dramatycznych, osnutych na tle życia ludowego: »Chłopi arystokraci«, »Łobzowianie«, »Emigracya chłopska«, »Kościuszko pod Racławicami« i t. d.

Antoniewicz Karol ks., (* 1807. † 1852.) w młodych latach poeta, (»Poezye«, Kraków 1861), później członek zakonu Jezuitów i gorliwy kaznodzieja. (Czytania świąteczne, Nauki i mowy przygodne).

Asnyk Adam, (El . . . y) (* 1838. † 1897.), najznakomitszy poeta w drugiej połowie w. XIX. Wystąpił w r. 1864. a pierwszy zbiór »Poezyj« pod pseudonimem El . . . y wydał we Lwowie w r. 1869. Później wyszło jeszcze trzy tomy (razem Poezyj tomów 4.). Równocześnie pracował na polu dramatycznem: »Cola Rienzi« (1874.) »Żyd« (1875.) »Kiejstut« (1878.) i »Bracia Lerche« (1888.). Umarł w Krakowie; pochowany w grobie zasłużonych na Skałce.

Bodzantowicz K. (pseudonim): Suffczyński Kajetan (* 1807. † 1873.), autor powieści historycznych: »Muszkieter«, »Boje polskie«, »Marszałek Łomżyński«, »Starosta warecki«, »Zawsze oni« i i.

Brodziński Kazimierz, (* 1791. † 1835.) żołnierz Napoleoński, poeta sielankowy, (»Wiesław«) profesor literatury pol. w uniw. warszawskim, badacz literatury. (»O klasyczności i romantyczności«).

Chłędowski Kazimierz, (* 1843.) współczesny literat polski, autor kilku powieści i szkicu historyczno obyczajowego p. t. »Królowa Bona«.

Chodźko Ignacy, (* 1795. † 1861. w Dziewiętni pod Smorgoniami na Litwie), powieściopisarz, autor »Obrazów litewskich« seryj IV. i »Podań litewskich« seryj VI., stanowiących dalszy ciąg »Obrazów«.

Ćwikliński Ludwik (* 1853) b. profesor filologii klasycznej w uniw. lwowskim, obecnie szef sekcyi w min. oświaty w Wiedniu, członek Akademii Umiej. w Krakowie. Pisał rozprawy naukowe i literackie (»H. Schliemann«, »Homer i Homerycy«, »Kl. Janicki« i i.).

Deotyma (właśc. Jadwiga Łuszczewska) współczesna poetka, wsławiła się w szóstym dziesiątku w. XIX. improwizacyami. Pisała większe poematy (»Polska w pieśni« 1859. i »Sobieski pod Wiedniem« 1901.) i powieści (»Zwierciadlana zagadka« »Branki w jasyrze« 1889).

Dubiecki Maryan, (* 1838) współczesny historyk (»Kudak« »Żółte wody« »Obrazy i studya historyczne« (1884.).

Faleński Felicyan, (* 1825.) współczesny poeta i powieściopisarz (»Z daleka i z blizka«), tłómacz obcych utworów poetycznych.

Gliński Kazimierz, (* 1850) poeta, dramaturg i powieściopisarz współczesny (»Pan Filip z konopi« 1902, »Cecora« 1902, »W Babinie« 1903 »Boruta« 1903).

Gomulicki Wiktor (* 1851) współczesny poeta i powieściopisarz (»Kolorowe obrazki«, »Róże i osty«, »Obrazki weneckie«, »Złote ogniwa«, »Wyzwolona«, »Miecz i łokieć«).

Junosza — zob. Szaniawski.

Karłowicz Jan, (* 1836 † 1903) językoznawca, i ludoznawca. (»Słownik jęz. pols.«, »Słownik gwar polskich«, »Słownik wyrazów obcego pochodzenia«. — »Rys ludoznawstwa polskiego«).

Kasprowicz Jan, (* 1860) współczesny poeta (»Poezye« »Anima lachrymans« »Krzak dzikiej róży«, »Moja pieśń wieczorna«), dramaturg (»Bunt Napierskiego«, »Uczta Herodyady«) i tłómacz Szekspira, Shelleya, Göthego, Hauptmana i i.

Kaszewski Kazimierz (* 1825.) krytyk, literat i tłómacz niepospolity tragedyj Ajschylosa i Sofoklesa.

Konopnicka z Wasiłowskich Marya, (* 1846.) współczesna poetka i literatka (»Poezye« seryj 4. »Pan Balcer w Brazylii« poemat, »Kwiaty i pieśni«, »Italia«, »Drobiazgi«, »Głosy ciszy«; »Moi znajomi« nowele; »Na drodze« nowele i obrazki; »Ludzie i rzeczy« szkice i obrazki. »Na normandzkim brzegu«. Nadto rozprawy literackie »O Mickiewiczowskiej Odzie do młodości«, »O Adamie Asnyku« »O Dziadach Mickiewicza«, »O Teofilu Lenartowiczu«, »O Krzyżakach Sienkiewicza«. — Mieszka przeważnie w Żarnowcu pod Jasłem, w willi, zakupionej ze składek publicznych w roku jubileuszowym 1902.

Korzon Tadeusz, (* 1839.) współczesny historyk polski, autor »Wewnętrznych dziejów Polski za Stan. Augusta«, 4 t., »Dola i niedola Sobieskiego«, 3 t., podręcznika historyi powszechnej (starożytnej, średniowiecznej, nowożytnej t. 4.) i wielu rozpraw.

Koźmian Kajetan, (* 1771. † 1856.), członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, senator Królestwa Polskiego przed rokiem 1830; poeta (»Ziemiaństwo«, »Stefan Czarniecki«) i prozaik (»Pamiętniki«).

Kraszewski Józef Ignacy, (* 1812. † 1887.), poeta, powieściopisarz, literat, historyk polski, napisał przeszło 600 tomów dzieł rozmaitej treści, głównie powieści obyczajowych i historycznych. Nauki pobierał w Białej (na Podlasiu), w Lublinie i Świsłoczy; następnie uczęszczał na uniwersytet we Wilnie. Do roku 1860. gospodarz na Wołyniu, zajmując się równocześnie gorliwie literaturą; w roku 1860. przenosi się do Warszawy, gdzie redaguje »Gazetę Codzienną« (później zmienioną na »Polską«); w roku 1863. otrzymał rozkaz opuszczenia kraju; odtąd mieszkał stale w Dreźnie, wyjeżdżając tylko dla

poratowania zdrowia do kąpiel. — Umarł w Genewie 19. marca 1887.; spoczywa w grobie zasłużonych na Skałce w Krakowie.

Łaguna Stosław, (* 1833 † 1900) znakomity prawnik i historyk (»O statucie wiślickim«, »Dwie elekcye«).

Łętowski Julian, (właściwe nazwisko: Książek * 1857 † 1897) nowelista (»Nowocześni bohaterowie«, »Robakiewicz«, »Rogata dusza«), i dramaturg (»Izrael na puszczy«, »Firdusi«).

Mickiewicz Adam (* 24. grudnia w Nowogródku na Litwie, † 26. listopada 1855. w Konstantynopolu). Ojciec Mikołaj († 1812) był adwokatem w Nowogródku, matka Barbara z Majewskich († 1820). Niższe i średnie szkoły skończył w Nowogródku w szkole powiatowej OO. Domnikanów; w roku 1812. widział »wielką armię« Napoleona ciągnącą na Moskwę. Od roku 1815—1819. kształcił się dalej w uniwersytecie wileńskim, gdzie młodzież łączyła się w ściślejsze związki Filomatów 1817. (»przyjaciół nauki«) i Filaretów 1819. (»przyjaciół cnoty«); następnie był (1818—1820) nauczycielem w szkole powiatowej (gimnazyum) w Kownie, lecz dla słabego zdrowia otrzymał zwolnienie od obowiązków i przeniósł się do Wilna, gdzie wydał 1822/3 pierwsze dwa tomiki swoich poezyj. Wskutek śledztwa, jakie w roku 1823. rozpoczął przeciw owym związkom młodzieży senator Nowosilców, i zapadłego wyroku, musiał poeta w roku 1824. opuścić Litwę — na zawsze. — Po krótkim pobycie w Petersburgu i Odessie (1825) i dłuższym (3-letnim) w Moskwie, uzyskał wreszcie w Petersburgu paszport na wyjazd za granicę w roku 1829 i przez Niemcy i Szwajcaryę (w towarzystwie A. E. Odyńca) podążył do Rzymu. Tu go zaskoczyły wypadki listopadowe (29. listopada 1830. r.); w maju 1831. pośpiesza w Poznańskie, żeby się przedrzeć do Królestwa i wziąć udział w walce. Gdy jednak wszelkie usiłowania z powodu silnego obsadzenia granicy spełzły na niczem, udaje się naprzód do Drezna, następnie do Paryża, gdzie stale zamieszkał. W r. 1834. pojął w małżeństwo Celinę Szymanowską; w roku 1839. objął obowiązki profesora literatury łacińskiej w Lozannie (w Szwajcaryi), skąd jednak następnego roku powołany został na katedrę literatur słowiańskich, świeżo utworzoną w »Kollegium francuskiem« w Paryżu; wykładał tu od roku 1840 do 1844. W lutym 1855. roku stracił żonę, a we wrześniu wyjechał na Wschód; tu zachorował nagle i zgasł 26. listopada 1855. w Konstantynopolu. Zwłoki przewieziono do Francyi i złożono na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, skąd je 4. lipca 1890. r. sprowadzono do Krakowa i uroczyście pochowano w grobach królewskich na Wawelu. — (»Ballady i romanse«, »Grażyna«, Dziady«, »Sonety Krymskie«, »Konrad Wallenrod«, »Pan Tadeusz«, »Konfederaci Barscy« (I. i II. akt, reszta zginęła), dramat pierwotnie po francusku przez poetę napisany, przetłómaczony później pięknym wierszem przez Tomasza Olizarowskiego.

Mickiewicz Władysław, (* 1838) syn Adama, współczesny literat polski i francuski, wydawca dzieł ojca i autor najobszerniejszego życiorysu p. t. »Żywot Adama Mickiewicza«. (4 tomy).

Niemcewicz Julian Ursyn, * 1758. † 1841., poeta, historyk, powieściopisarz i statysta. (»Powrót posła« komedya, »Śpiewy historyczne«, »Jan z Tęczyna«, »Dzieje panowania Zygmunta III.«, »Pamiętniki« »Podróże« i w. i.)

Nowicki Franciszek Henryk (* 1864) profesor szkoły realnej, autor »Poezyj« 1891., między któremi sonety p. t. »Tatry« najpiękniejsze.

Odyniec Antoni Edward, (* 1804. † 1885.), poeta, przyjaciel i towarzysz podróży Mickiewicza w latach 1829. i 1830. — »Poezye« (ballady, legendy, wiersze drobne), tłómaczenia z Byrona: »Narzeczona z Abydos«, »Korsarz«, »Niebo i ziemia«, »Mazepa«; z Tomasza Moora: »Czciciele ognia«, »Raj i Peri«; Walter Skota: »Dziewica jeziora« i »Pieśń ostatniego minstrela«; wreszcie z Schillera: »Dziewica Orleańska«; proza: »Listy z podróży« 4 tomy, »Wspomnienia z przeszłości«).

Pług Adam (Pietkiewicz Ant.), (* 1823. † 1903.) poeta (»Sroczka«) i powieściopisarz, (»Bakałarze« »Oficyaliści«, »Duch i krew«).

Prus Bolesław (Aleks. Głowacki) (* 1847) jeden z najwybitniejszych nowelistów i powieściopisarzy, żyjący stale w Warszawie i zasilający swymi »kronikami« i »fejletonami« tygodniki literackie. Oprócz licznych nowel i powieści: »Placówka«, »Lalka« (2 tomy), »Emancypantki« (3 tomy), »Faraon« (3 tomy); nadto dzieło pouczające: »Najogólniejsze ideały życiowe«.

Romanowski Mieczysław, (* 1834. † 1863.), poeta bardzo utalentowany (powieść poet.: »Chart watażki«, »Chorąży«, »Łużeccy«, »Dziewczę z Sącza« i wiersze drobne, nadto dramat: »Popiel i Piast«). W młodym wieku poległ śmiercią bohaterską na polu walki pod Józefowem w roku 1863.

Romer Eugeniusz, (* 1871.) współcz. geograf, profesor akademii handlowej oraz docent uniwersytetu i szkoły politechnicznej we Lwowie.

Siemieński Lucyan, (* 1809. † 1877.), krytyk, historyk literatury i poeta W zakresie poezyi największe zasługi ma jako tłómacz: »Ody« Horacyusza, Homera »Odysseja«, Prozą: »Wieczory pod lipą« (historya polska), »Portrety literackie«, »Żywot Kazimierza Brodzińskiego«.

Sienkiewicz Henryk, (* 1846. w Woli Okrzejskiej w gubernii siedleckiej, powiecie łukowskim), wychowanek Szkoły Głównej, wcześnie poświęcił się literaturze; w latach 1876—1878. odbył podróż do Ameryki Północnej (Listy z podróży), w 1891. do Afryki (Listy z Afryki) Krótsze utwory: »Stary sługa«, »Za chlebem«, »Latarnik«, »Niewola tatarska«, »Bartek zwycięzca«, «Wspomnienie z Maripozy«; — dłuższe: trylogia 1. »Ogniem i Mieczem«, 2. »Potop«, 3. »Pan Wołodyjowski«, »Rodzina Połanieckich«, »Quo Vadis«, »Krzyżacy« »Na polu chwały«. Powieść »Quo Vadis« przełożono na wszystkie

języki narodów cywilizowanych; po niej tłomaczono i inne jego dzieła. Mieszka w Warszawie lub w Oblęgorku (gub. kieleckiej), który mu wdzięczny naród ofiarował w roku jubileuszowym 1900.

Słowacki Juliusz, jeden z trzech naszych największych wieszczów, urodzony w Krzemieńcu na Wołyniu r. 1809., kształcił się w Wilnie. Od r. 1830. do śmierci (1849.) przebywał za granicą, w Paryżu, Genewie i znowu w Paryżu. Podróżował wśród tego do Grecyi, Ziemi św. i Egiptu; przebywał krótko i we Florencyi. Pisał powieści poetyczne (Żmija, Jan Bielecki, Hugo, Mnich, Arab, Ojciec zadżumionych, Lambro, Pan Beniowski) dramaty: (Mindowe, Marya Stuart, Mazepa, Balladyna, Lilla Weneda) poematy: Ojciec zadżumionych, W Szwajcaryi, Wacław, Anhelli, Król Duch) ze spuścizny po nim ogłoszono niedokończone utwory jak »Horsztyński«, »Beatrix Cenci«, »Zawisza Czarny« — nadto bardzo piękne »Listy do matki«. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Montmartre w Paryżu.

Szaniawski Klemens, (Junosza) (* 1849. † 1898.) nowelista i powieściopisarz dworków szlacheckich i małomiasteczkowych żydów (Panowie Bracia, Przy kominku, Z mazurskiej ziemi, Wilki i inne nowelle; Czarne błoto, Pająki).

Szujski Józef, (* 1835. † 1883.) poeta dramatyczny, historyk, profesor historyi polskiej w Uniw. Jagiell. i pierwszy sekretarz jeneralny Ak. Umiej., autor szeregu dramatów historycznych (»Wallas« »Królowa Jadwiga« »Twardowski« »Halszka z Ostroga«, »Zborowski«, »Marya Mniszchówna«, »Jerzy Lubomirski«, »Śmierć Władysława IV«) i tłomacz tragedyj Ajschylosa i komedyj Arystofanesa (»Rycerze« »Ptaki«) Z prac historycznych ważniejsze są: »Dzieje Polski« 4 tomy; »Opowiadania i Roztrząsania historyczne« »Odrodzenie i reformacya w Polsce« i w. i.

Szymański Adam, (* 1852) publicysta i literat współczesny wsławił się »Szkicami« (2 tomy), osnutymi na tle życia wygnańców polskich na Syberyi.

Tarnowski Stanisław hr., (* 1837.) prezes Akademii Umiejętności, profesor historyi lit. pol. w uniw. Jagiellońskim, autor dzieł (»Pisarze polityczni pol. w XVI w.« »Jan Kochanowski« »Zygmunt Krasiński« »Z wakacyj« »Historya literatury polskiej« tomów 6.) i wielu rozpraw treści literackiej i politycznej.

Tetmajer Przerwa Kazimierz, (* 1865) jeden z najzdolniejszych poetów współczesnych (»Poezye« tomów 5 i dramat: »Zawisza Czarny«) Pisze również nowelle (»Melancholia«, »Otchłań«, »Wrażenia«) i powieści (»Anioł Śmierci«, »Zatracenie«). Najpiękniejsze są jego obrazki z życia dawnego górali tatrzańskich p. t. »Na skalnem Podhalu« (2 tomy).

Ujejski Kornel, (* 1823. † 1897.) poeta niepospolity, autor »Skarg Jeremiego« i innych utworów poetycznych (»Maraton«, »Pogrzeb Kościuszki«), z których hymn »Z dymem pożarów« znany ogólnie.

Na tle Pisma św. tworzył poezye (»Melodye biblijne«), muzykę Chopina illustrował wierszem (»Tłómaczenia Chopina«). Zbiorek zupełny jego utworów wyszedł w r. 1884. w Przemyślu w 4. tomikach.

Wilczyński Albert, (* 1829. † 1900.) powieściopisarz humorysta, autor »Kłopotów starego komendanta« i innych powieści większych i mniejszych.

Witkiewicz Stanisław, (* 1851.) współczesny malarz i literat (»Na przełęczy«, »Juliusz Kossak«, »Sztuka i krytyka u nas«).

Witwicki Stefan, (* 1800. † 1847.) naśladowca Mickiewicza (Ballady i romanse, Edmund) twórca »Pieśni sielskich« i »Poezyi biblijnych«. Prozą pisał »Wieczory pielgrzyma« »Listy z zagranicy« i powiastki »Gadu-Gadu«.

Zabłocki Franciszek, (* 1750 † 1821) jeden z celniejszych komedyopisarzy polskich w czasach panowania Stanisława Augusta. (»Fircyk w zalotach«, »Sarmatyzm«) i tłómacz utworów francuskich, jak np. Moliera.

Żeromski Stefan, (* 1864) jeden z niezwykłych talentów powieściopisarskich ostatniej doby. »Opowiadania« (1895), »Utwory powieściowe«, »Ludzie bezdomni« (1900), »Popioły« (1904).